Moc czytania na Wielkanoc

Kraków 1 – 7 kwietnia 2026 nr 14 (4004)
cena 18 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY



KOZIOŁEK
O ŚMIERCI JEZUSA

RADZIK O KRZĄTANINIE
WIELKIEJ SOBOTY

FOSSE O NAWRÓCENIU

DIMITROVA
O WYBACZANIU

ROSIAK O ŚWIECIE
BEZ PYTAŃ

STAWISZYŃSKI O TRUMPIE

KWIAT JABŁONI
O RODZEŃSTWIE

ŁUBIEŃSKI O JAJKU

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 631e0


ALUPROF
SUN SHADING SOLUTIONS
AMBASADOR
Szymon Marciniak
Mistrzowska promocja
Pergola tarasowa
z oświetleniem LED
GRATIS*
* Regularna wartość zestawu oświetlenia LED wynosi 3 559 zł.
Dotyczy pergoli SB 400, SB 450, SB 550.
REKLAMA

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, ANNA GOC

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Oczy i uszy Kremla w Europie
MARCIN ŻYŁA

8 Komentarze

■ ■ ROZMOWA

24 To, co piszę, nie pochodzi ze mnie



FREDRIK SANDBERG / TT NEWSAGENCY / FORUM

ROZMOWA Z JONEM FOSSEM

■ ■ PSYCHE

24 To, czego nie słyszymy
CVETA DIMITROVA *o relacjach rodzinnych*

■ ■ KRAJ

32 Liczenie jest złotem
MAREK RABIJ

36 Unieważnić wszystko
JACEK K. SOKOŁOWSKI *o polskim sporze o praworządność*

38 Nowe życie
ANNA KORYTOWSKA:
Nowoczesne technologie zmieniają codzienność ludzi po amputacjach

41 Sztuka wracania
ROZMOWA Z ANNĄ GRAJNY, TŁUMACZKĄ, OSOBĄ CIERPIĄCĄ NA SCHIZOFRENIĘ:
Nauczyłam się myśleć, że ta choroba to nie moja wina

■ ■ OPINIE

46 Dlaczego znika dlaczego
DARIUSZ ROSIAK:
Procesy mające na nas wpływ nie znikają z chwilą, gdy przestajemy się nimi interesować

■ ■ ŚWIAT

52 Donald Wspaniały
TOMASZ STAWISZYŃSKI:
Przypadku prezydenta USA nie da się sprowadzić tylko do narcyzmu

56 Jak Babiš zmienia kraj
MARTYNA WASIUTA Z PRAGI
o proteście w czeskiej stolicy

58 Test nad Sekwaną
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
Postępy ekstremistów są umiarkowane. To wniosek z wyborów samorządowych we Francji

WIELKANOC



DOMENA PUBLICZNA

10 Medytacja krzątaczki
ZUZANNA RADZIK
Czego nas uczą kobiety krzątające się przy grobie Jezusa

14 Adres Pana Boga
MARCIN MAJEWSKI
Dobrą nowinę warto czytać z mapą w ręku

17 A potem umarł
RYSZARD KOZIOŁEK
Nie jest chrześcijaninem ten, kto nie doświadczył szarości wiary

23 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
50 OLGA DRENDA
67 WOJCIECH BONOWICZ
92 PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
CHRYSTUS PANTOKRATOR, XIX W., AUTOR NIEZNANY, GALERIA MIEJSKA W JANINIE, GRECJA // ALAMY / BE&W

REDAKTORKA PROWADZĄCA:
ANNA GOC

59 Włoski odruch
PAWEŁ BRAVO:
Aby do września. Wtedy Giorgia Meloni stanie się najdłużej urzędującym premierem w historii Republiki Włoskiej

60 I łzę obetrą
ANTONINA PALARCZYK Z CHARKOWA:
Karina i Wiktoria nie uciekły z Charkowa. Pracują w ogrodzie zoologicznym

■ ■ NAUKA

62 Zaczyna się od światła
ROZMOWA Z RAFAŁEM SZABLĄ, FOTOCHEMIKIEM:
Jesteśmy na dobrej drodze, by zrozumieć, jak powstało życie

■ ■ HISTORIA

68 Niemka, która ocaliła Polskę
MACIEJ MÜLLER: *Opowieść o Rychezie, matce Kazimierza nazwanego Odnowicielem*

72 Odkupiony grzech rabacji
ROZMOWA Z PROF. WALDEMAREM ŁAZUGĄ

■ ■ KULTURA

77 Pan Iniemamocny



MATERIAŁY PRASOWE

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI *portretuje Hayao Miyazakiego: jest perfekcjonistą do szpiku kości, jego standardom trudno sprostać*

80 Jak brat z siostrą
ROZMOWA Z KASIĄ SIENKIEWICZ I JACKIEM SIENKIEWICZEM, CZYLI KWIATEM JABŁONI

84 Porządek, który pozwala nam żyć
RADOSŁAW KOBIERSKI *poleca nowele Marlen Haushofer „Zabijemy Stellę / Piąty rok”*

86 Piękno i krew
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Kokuho” w reż. Sanga-il Lee*

87 Pamięć o Tybecie
LEKTOR *o książce Dalajlamy „Głos uciśnionych”*

■ ■ SMAKI

88 Miska pełna harmonii
MICHAŁ KUŹMIŃSKI:
Sałatka jarzynowa budzi narodowe spory, tymczasem jej istotą jest łączenie

■ ■ ZMYSŁY

94 Na początku było jajo
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

eprasa.pl 631e544192

KS. ADAM

Boniecki: *Czego Wam życzę*

Wielkanoc. Co się kojarzy z tym słowem? Wielkanocne babki, baranki z cukru, wyjazd w góry, nabożeństwa (chyba że pojechaliśmy gdzieś, gdzie kościoła nie ma...) itd. Zmartwychwstanie odsunęło się na dalszy plan. To było tak dawno, jeśli w ogóle...

Napisano o tym wiele, ale w pierwszym okresie po śmierci Jezusa nic lub prawie nic, więc poręczna była teoria, że legenda o zmartwychwstaniu została stworzona przez uczniów. Trudno się dziwić. Pomijam chrześcijańską wiarę, pomijam argumenty przemawiające za prawdziwością wersji, która – przyznajmy spokojnie – trudna jest do przyjęcia. Ona sama i jej konsekwencje.

Różne były sposoby wiary w zmartwychwstanie. Dla mnie szczególnie interesujący jest czas, w którym wyrażała się w praktykach pokutnych. Spowiednicy je nakładali, ale niezależnie od tego ludzie sami brali na siebie rozmaite umartwienia: biczowania, posty itd. Wielkanoc bywała metą takich praktyk, tymczasową, bo znów je podejmowano. „Natura ludzka jest skłonna do grzechu" – stwierdzano do czasu, kiedy za sprawą nauki zaczęto rozumieć ją lepiej.

Z pewnością panowanie nad sobą i wychowanie, które uczy stawiania sobie wymagań, jest w cenie bez względu na mody wychowawcze. Mówimy o tym w oderwaniu od chrześcijańskiej ascezy. Czy to dobrze, czy źle? Oczywiście, że dobrze, bo dobro nie wymaga pieczątki z napisem „chrześcijaństwo". Nadal jednak za miarę wartości stawianych sobie wymagań uważamy wysiłek, jaki w to wkładamy.



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

ANNA

Goc: *Metafory i tajemnica*

Gdy pracowaliśmy nad tym numerem, przypomniał mi się „Schron przeciwczasowy" Gospodinowa. Bohaterowie podziwiają zachód słońca, ale po chwili zauważają chmurę muszek. „O ile dla nas jest to po prostu kolejny zachód słońca, o tyle dla dzisiejszych jednodniówek to zachód ich życia" – mówi jeden. To „tylko wyświechtana metafora" – komentuje drugi. „One nie znają metafor" – zauważa pierwszy.

Czas i przemijanie, oczekiwanie i nowe początki, pochwała codzienności i zachwyt szarością – to niektóre z tematów, które przygotowaliśmy na Wielkanoc. Niezależnie od tego, czy świętujemy religijnie, czy traktujemy te dni jako krótką przerwę, którą możemy spędzić z bliskimi, nasze teksty zachęcają, by się na chwilę zatrzymać.

I kontemplować codzienność, o której pisze w „Medytacji krzątaczki" Zuzanna Radzik. Przed Wielką Sobotą przypomina słowo, które zawdzięczamy Jolancie Brach-Czainie: krzątactwo. I to, które znamy

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 51

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 631e544192

Są jednak różne etapy pracy nad sobą. Może przyjść taki, w którym rzeczy niegdyś wymagające wysiłku, stają się oczywiste. Nie wiem, jak to przebiega u was, napiszę, jak jest u mnie.

Kiedyś trzeba było bardzo uważać. Łatwo było tracić cierpliwość, niepostrzeżenie selekcjonowało się ludzi, nawet jeśli w granicach dobrego wychowania i z pamięcią o tym, że księżowska profesja wymaga określonej postawy. Było to wobec jednych spontaniczne, wobec innych narzucone sobie, często odreagowywane później.

Czy to możliwe, że teraz, w wieku zaawansowanym, coś się zmieniło na lepsze? Spontanicznie, bez szczególnej uwagi, wszyscy, których spotykam, są mi bliscy. Wysiłek, jeśli się pojawia, jest skierowany na opanowywanie znużenia, nie na stosunek do człowieka. Nawet wobec takich, którzy wyrządzają mi krzywdę, nie czuję żalu. Nie wiem, czy to starość, czy duchowy dorobek. Oczywiście przychylam się do tego drugiego.

Piszę o własnych doświadczeniach, jakby to nie była Wielkanoc. Chciałbym jednak złożyć wielkanocne życzenia. Wszystkim, którzy są dla mnie dobrzy i wyrozumiali, ale też tym, którzy nie są – chciałbym życzyć radości wielkanocnej. Radości z tego, że choć jesteśmy śmiertelni, to nie znikniemy, ale będziemy istnieć. W jaki sposób? Nie bardzo wiemy, bo jest to poza granicą naszych doświadczeń. Ale mam nadzieję, że będziemy szczęśliwi.

Chciałbym też życzyć, by czasu, który tu nam pozostał (a może być go jeszcze sporo...) nie marnować na ranienie ludzi. I w ogóle: żebyśmy czasu nie marnowali. Alleluja. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

z przedświątecznych przygotowań, i to codzienne, którego mamy tu pochwałę.

Szukać ciszy, spokoju i nasłuchiwać świata, o czym rozmawiają Wojciech Bonowicz i Jon Fosse. „Godziną wilka” nazywał Bergman czas między kończącą się nocą a wschodzącym dniem. Właśnie wtedy – przyznaje noblista – odczuwa spokój świata i znajduje swój własny.

I zadawać pytania o świat. Zwłaszcza teraz, gdy coraz trudniej odróżnić prawdę od fałszu, a politycy nie ułatwiają porządkowania rzeczywistości. Czemu przestaliśmy pytać? – zastanawia się Dariusz Rosiak w tekście „Dlaczego znika dlaczego”. Przecież jeśli przestaniemy zastanawiać się nad procesami, które nas dotyczą, one wcale nie znikną.

Chwilę przed zamknięciem tego numeru dotarła do nas wiadomość, że odszedł Wiesław Myśliwski. W rozmowie, na którą umówiliśmy się siedem lat temu, w dniu jego urodzin 25 marca, mówił o języku, który go prowadzi. Internet, do którego nie zaglądał, nazywał „źródłem choroby słów, która przerodziła się w epidemię, ale i w okropne gadulstwo”.

Mówił też, że niewiele wiemy o własnym życiu. „Nawet w najbliższych relacjach człowiek dla człowieka pozostaje tajemnicą” – mówił. Otwartości na tę tajemnicę życzymy, nie tylko na święta. ©℗

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu”, „Głuszy”, za którą otrzymała m.in. Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Już niemal co drugi młody Polak i Polka to single. Dlaczego nie łączą się w pary? Jak postrzegają życie w związku i co naprawdę myślą o posiadaniu dzieci?

MARCIN ŻYŁA
Tuż przed wyborami, które zdecydują o przyszłości Węgier, rozmawiamy z mieszkańcami małych węgierskich miejscowości o sytuacji w ich kraju i polityce Budapesztu.

MAREK ZAJĄC
W Niedzielę Palmową izraelska policja odmawia wstępu do Bazyliki Grobu Pańskiego łacińskiemu patriarsze Jerozolimy. W Polsce słychać apele o modlitwy „w intencji nawrócenia” kard. Grzegorza Rysia, współautora listu biskupów, w którym przypomniano, że antysemityzm jest grzechem. Dokąd zawędrował dziś dialog chrześcijan i Żydów?



MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 631e544192

OBRAZ TYGODNIA

24 – 30 MARCA 2026

W IRANIE BEZ PRZEŁOMU: po miesiącu izraelsko-amerykańskich ataków reżim nie upadł, a jego działania odwetowe zwiększają napięcie w rejonie Zatoki Perskiej; zablokowana jest żegluga przez cieśninę Ormuz, co wstrzymuje eksport ropy z Bliskiego Wschodu. Donald Trump twierdzi, że władze w Teheranie „błagają" o porozumienie, ale te wyśmiewają prezydenta USA. Wedle Czerwonego Półksiężyca w wyniku bombardowań zginęło dotąd ponad 1900 Irańczyków. ■■■ **UKRAIŃSKIE DRONY** zaatakowały rosyjskie instalacje energetyczne nad Bałtykiem, m.in. kluczowy dla eksportu ropy terminal w Ust-Łudze. Akcja zniwelowała pozytywny dla Moskwy efekt zniesienia części amerykańskich sankcji. ■■■ **VIKTOR ORBÁN** zapowiedział wstrzymanie dostaw gazu na Ukrainę do czasu, gdy ta uruchomi uszkodzony rurociąg Przyjaźń, którym płynęła rosyjska ropa, i nazwał Ukrainę „państwem terrorystycznym". ■■■ **KAROL NAWROCKI** na dorocznej konferencji amerykańskich konserwatystów w Teksasie krytykował bliską organizatorom Rosję; tym razem na spotkaniu nie było Donalda Trumpa. ■■■ **POLSCY OCHOTNICY** wstępujący do ukraińskiej armii nie będą karani. Nowe przepisy zobowiązują ich do złożenia w MON pisemnego oświadczenia o terminie i miejscu przyjęcia oraz zakończenia służby. ■■■ **CENY PALIW NIŻEJ**: przygotowany przez rząd pakiet ustaw ma ograniczyć wywołany kryzysem na Bliskim Wschodzie wzrost cen paliw. Eksperci spodziewają się, że przed świętami będzie można zatankować o ok. 1,18 zł taniej. ■■■ **FRONDA W KOŚCIELE** wokół listu Episkopatu na 40. rocznicę wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze. Słowa biskupów o Żydach i antysemityzmie nazywa się w tradycjonalistycznych mediach i w mediach społecznościowych „heretyckimi". ■■■ **SKANDAL PEDOFILSKI W KŁODZKU** (za wieloletnie wykorzystanie seksualne dzieci i zoofilię zapadł tam wyrok 25 lat więzienia) zmienia się w aferę polityczną, bo oskarżona o nieudzielenie pomocy córce żona głównego winowajcy okazała się lokalną działaczką PO. Analizujący trendy internetowe kolektyw Res Futura nazywa to największym kryzysem wizerunkowym koalicji rządzącej od wyborów 15 X. ■■■ **DZIECI KORZYSTAJĄCE** z serwisów Mety nie były dostatecznie chronione przed wykorzystaniem seksualnym – orzekła ława przysięgłych sądu w Nowym Meksyku i zasądziła od koncernu 375 mln dolarów kary. ■■■ **RZĄD AUSTRII** jako kolejny w Europie zapowiada wprowadzenie minimalnego wieku 14 lat dla użytkowników serwisów społecznościowych. ■■■ **GRZEGORZ BRAUN** straci immunitet – zdecydował Parlament Europejski. Europoseł odpowie za zniszczenie flag Ukrainy i UE oraz negowanie Holokaustu. ■■■ **WIESŁAW MYŚLIWSKI**, pisarz, zmarł w wieku 94 lat. ■■■ **ANDRZEJ SAPKOWSKI** powiedział, że ludzie czytają za mało, bo książki są za drogie; jedna nie może kosztować więcej niż pół litra wódki. ©℗



ATTILA KISBENDEK / AFP / EAST NEWS

OCZY I USZY KREMLA W EUROPIE

POWYŻEJ: Reflektory na niebie i nastrój grozy: wiec Orbána w 25-tysięcznym miasteczku Szentendre, 20 marca 2026 r.

Bardzo bliskie związki między politykami z Budapesztu i Moskwy sprawiają, że inaczej trzeba dziś spojrzeć na rolę Węgier na Zachodzie.

MARCIN ŻYŁA

Węgierski dziennikarz śledczy Szabolcs Panyi to dla władz w Budapeszcie idealny kandydat na „agenta obcych służb": publikuje na Zachodzie, prowadzi portal, pisał o próbach werbowania przez węgierski wywiad urzędników UE i o wpływach rosyjskich służb nad Dunajem.

W czwartek 26 marca ekipa Viktora Orbána ogłosiła więc, że Panyi to szpieg. Pracując rzekomo dla Ukrainy, miał podsłuchiwać szefa węgierskiej dyplomacji Pétera Szijjártó. Tego samego, który – co wcześniej ujawnił właśnie Panyi – regularnie telefonował

eprasa.pl 631e544192



Magyar i Ukraina: to skomplikowane

Ewentualna wygrana opozycji zbliży Budapeszt do Brukseli i prawdopodobnie umożliwi odblokowanie unijnych funduszy dla Węgier. Jednak w kwestii Ukrainy Péter Magyar różni się od większości europejskich przywódców:

- **podkreśla, że to Rosja jest agresorem, ale wyklucza wysłanie na Ukrainę węgierskiej broni;**
- **podobnie jak Fidesz porusza w kampanii temat węgierskiej mniejszości na Zakarpaciu i krytykuje dyskryminujące, jego zdaniem, ukraińskie przepisy dotyczące języka i kultury węgierskiej;**
- **unika jednoznacznych deklaracji; według sondaży Węgrzy uważają, że Rosja i Ukraina to niemal takie samo źródło ryzyka (odpowiednio: 47 i 50 proc.); wyborcy Tiszy różnią się tu tylko nieznacznie: dla 54 proc. groźniejsza jest Rosja;**
- **chce reintegracji Węgier z UE, dlatego ewentualne załagodzenie sporu z Kijowem zależy od szerszej polityki europejskiej i uwzględnienia w niej „interesu Węgier".**

z Brukseli do Moskwy, aby relacjonować przebieg poufnych unijnych narad.

WŚRÓD POCHODNI | Oskarżenie wobec reportera to zapowiedź wyjątkowo ostrego finiszu kampanii na Węgrzech przed zaplanowanymi na 12 kwietnia wyborami do parlamentu. Oraz sygnał, kolejny już, że główny jego temat to Ukraina.

Wieczorne mityngi Orbána i partii Fidesz, zagrożonych utratą władzy, odbywają się w specyficznej oprawie: uczestnicy trzymają płonące pochodnie, a niebo nad sceną, jakby wypatrując wrogiego desantu, przeczesują reflektory-szperacze.

Także podczas wiecu 25 marca w Ostrzyhomiu Orbán powtarzał, że „zagrażają nam z wielu stron". Twierdził, że Ukraina i Unia chcą wciągnąć Węgry do „obcej wojny" – Kijów wstrzymaniem tranzytu rosyjskiej ropy przez rurociąg „Przyjaźń", a Bruksela pożyczką dla Ukrainy w wysokości 90 mld euro. Orbán ją blokuje. Blokuje też zwrot pieniędzy dla Polski za broń przekazaną Ukrainie jeszcze w 2022 r.

RZEKOME DOWODY | Ostatnie sondaże mówią już o 23-procentowej przewadze opozycyjnego ugrupowania Tisza, na którego czele stoi Péter Magyar (wcześniej związany z elitami władzy, a od dwóch lat ostro je krytykujący). To dobra wiadomość dla opozycji, która obawia się, że w razie skromnego jej zwycięstwa Orbán, zapatrzony w Trumpa, mógłby sięgnąć po „nadzwyczajne środki" i unieważnić wybory – ponownie tłumacząc to wpływem obcej agentury.

Jednak nawet taka przewaga nie gwarantuje opozycji zwycięstwa: sondaże zwykle nie doszacowują poparcia Fideszu. W Budapeszcie mówi się o szykowanej przez rząd publikacji rzekomych dowodów na powiązania polityków Tiszy z władzami w Kijowie. W dodatku ze wsparciem dla Fideszu ma wkrótce przybyć do Budapesztu wiceprezydent USA J.D. Vance, nieprzychylny Ukrainie. „Złoty sojusz" ze Stanami ma być dowodem na potęgę Węgier w świecie.

WSPARCIE DLA ORBÁNA | Kampania przyspieszyła 23 marca, gdy do Budapesztu zjechali politycy skrajnej prawicy. W budapeszteńskim parku Millenáris odbył się starannie wyreżyserowany wiec. Marine Le Pen, Matteo Salvini, Geert Wilders i kilkunastu mniej znaczących polityków (z Polski wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak) powtarzali, że za sprawą Orbána, jedynego przywódcy w Europie, który nie ugiął się szantażowi brukselskich elit, Węgry są dziś centrum kontynentu, z którego 12 kwietnia może rozpocząć się jego odrodzenie.

Petr Macinka z czeskiej populistycznej partii Kierowcy dla Siebie uznał wręcz, że Orbán to osobowość na miarę Michała Anioła – geniusz, który rodzi się raz na kilkaset lat. Z osobną wizytą przybył też na Węgry Karol Nawrocki, co Orbán przedstawiał jako dowód poparcia także z Polski.

ROLA WĘGIER | Skupiona na kwestii praworządności Bruksela przegapiła, że w ostatnich latach Węgry stały się oczami i uszami Rosji w Europie. W ujawnionych przez Panyiego rozmowach Szijjártó prosił Ławrowa m.in. o działania na rzecz Fideszu w Słowacji, wśród miejscowych Węgrów. Zdaniem dziennikarza, Kreml stosuje przed wyborami te same metody, którymi usiłował we wrześniu 2025 r. wpłynąć na wybory w Mołdawii (tam bez powodzenia).

To już nie tylko powiązania gospodarcze – tanie rosyjskie surowce, od których Węgry są uzależnione, czy wspólna z Rosją rozbudowa elektrowni atomowej w Paksu. To przede wszystkim związki służb i polityków z obu państw sprawiają, że inaczej trzeba dziś spojrzeć na rolę Węgier na Zachodzie. Orbán i słowacki premier Fico blokują wspomnianą unijną pożyczkę dla Ukrainy. Kilka dni temu parlament w Budapeszcie uchwalił rezolucję przeciw członkostwu Ukrainy we Wspólnocie.

DYLEMAT MAGYARA | Zatrzymanie podróżującego tranzytem z Austrii transportu złota i gotówki, należących do ukraińskiego banku, propaganda Orbána wykorzystuje do budowania obrazu Ukrainy jako państwa quasimafijnego. Największą w tej kampanii przysługę oddał zresztą Fideszowi sam Zełenski, który, tracąc cierpliwość, rzucił, że „poda adres" Orbána ukraińskim żołnierzom. Efekt: nieufność do Kijowa wzrosła nawet wśród zwolenników Magyara, który tematu Ukrainy unika jak ognia (zagranicznym mediom tłumaczy, że robi tak, by nie stracić poparcia).

Jeśli Tisza wygra, Europa odetchnie z ulgą. Węgierska opozycja – to pospolite ruszenie przeciw Fideszowi, wewnętrznie zróżnicowane – stanie przed arcytrudnym zadaniem rozmontowania propagandy i powiedzenia obywatelom, że gospodarka kraju jest na skraju zapaści. Dla Kijowa upadek Orbána nie musi jednak oznaczać końca kłopotów z Węgrami. ©

eprasa.pl 631e544192



Blokada kardynała

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI

Łaciński patriarcha Jerozolimy, kard. Pierbattista Pizzaballa, idąc na liturgię Niedzieli Palmowej do Bazyliki Grobu Pańskiego w towarzystwie o. Francesca Ielpo, kustosza Ziemi Świętej, został zatrzymany w drodze przez policję izraelską. Duchownym nakazano powrót do domu, pod pretekstem zapewnienia im bezpieczeństwa na wypadek ataku bombowego.

Rzeczywiście takie ataki miały ostatnio miejsce. Ich celem była zarówno wspomniana bazylika, jak i Ściana Płaczu czy meczet Al-Aksa. Wiele parafii katolickich musiało odprawiać liturgię Niedzieli Palmowej w schronach. Ze względów bezpieczeństwa odwołano też tradycyjną, wielotysięczną procesję z palmami z Góry Oliwnej do kościoła św. Anny, a obrzędy w innych kościołach i miejscach kultu ograniczono do liczby 50 osób. Dla wielu ludzi z różnych zakątków świata może to być niezrozumiałe, jeśli nie weźmie się pod uwagę zafiksowania Izraelczyków – nie bez powodu – na punkcie bezpieczeństwa. Takie same obostrzenia spotykają wyznawców judaizmu i islamu.

Jednak uniemożliwienie kardynałowi Kościoła katolickiego uczestnictwa w jednym z najważniejszych nabożeństw w roku jest wydarzeniem nie tylko bez precedensu, ale i niezrozumiałym. Izraelskie służby bezpieczeństwa, kościelna ochrona miejsc świętych, świeccy i duchowni opiekujący się Bazyliką Grobu Pańskiego na co dzień ściśle ze sobą współpracują. Mieszkając przez rok w Jerozolimie, wielokrotnie byłem świadkiem życzliwości izraelskiej policji względem chrześcijańskich pielgrzymów.

Patriarchat wydał oświadczenie, że „ta pochopna i zasadniczo błędna decyzja [...] stanowi skrajne odejście od podstawowych zasad rozsądku, wolności kultu i poszanowania *status quo*" (czyli ściśle określonych procedur dostępu do miejsc świętych i sprawowania kultu przez pięć wyznań podzielonego chrześcijaństwa).

Ale jest też druga strona medalu. Bo ktokolwiek mieszkał w Jerozolimie i w Izraelu nieco dłużej, wie, że miejsca święte trzech religii – judaizmu, chrześcijaństwa i islamu – to „bomby emocjonalne" o wyjątkowo krótkim loncie. Jakiekolwiek ingerencje oficjalnych czynników, państwowych lub religijnych, mniej lub bardziej zasadne, budzą podejrzenie o chęć nałożenia kagańca drugiej stronie. Pewnie dlatego premier Netanjahu jeszcze tego samego dnia oświadczył, że „polecił władzom umożliwienie patriarsze odprawianie nabożeństw zgodnie z jego życzeniem". Co daje nadzieję, że liturgia Wielkiej Nocy odbędzie się zgodnie z wielowiekową tradycją. ©



AMMAR AWAD / REUTERS / FORUM

Kard. Pierbattista Pizzaballa przewodniczy liturgii Niedzieli Palmowej w Bazylice Wszystkich Narodów w Getsemani. Jerozolima 29 marca 2026 r.



Paliwo inflacji

MAREK RABIJ

Obniżka VAT i akcyzy na paliwa, którą w ub. tygodniu wprowadził rząd, ma sprawić, że będziemy tankować nawet 1,18 zł mniej za każdy litr benzyny i 1,3 zł za diesla. Ministerstwo Energii do odwołania będzie też codziennie ustalać maksymalną cenę detaliczną paliw. Za jej przekroczenie mają grozić wysokie grzywny.

Pakiet – nazwany już przez premiera programem Ceny Paliw Niżej, nawiązującym do pochodzącego z czasów PRL akronimu CPN (Centrala Paliw Naftowych, poprzednik Orlenu) – spotkał się głównie z krytyką. Jedni zarzucają rządowi spóźnioną reakcję na trwający już blisko miesiąc kryzys surowcowy, wywołany izraelsko-amerykańskim atakiem na Iran. Innych oburzają próby interwencji na rynku, na którym popyt po prostu przewyższa podaż. W gruncie rzeczy rząd nie miał jednak wyjścia. Na tym etapie najgroźniejszą konsekwencją kryzysu paliwowego jest dla Polski wystrzał dopiero co zdławionej inflacji.

Droższe tankowanie prędzej czy później musi się odbić na cenach innych produktów i usług. Maksymalna cena paliw, choć brzmi jak punkt z podręcznika peerelowskiego zaopatrzeniowca, jest więc w istocie próbą zamrożenia inflacyjnych projekcji, które już musiały zaświtać każdemu, kto prowadzi jakiś biznes. Skoro nie wiadomo, jak zachowają się ceny benzyny i diesla, lepiej zabezpieczyć się przed gorszym scenariuszem i podnieść cenę swojego produktu. Wystarczy, że pomyśli tak większość przedsiębiorców i nagły wzrost inflacji mamy jak w banku. Dodajmy do tego braki na rynku gazu ziemnego, podstawowego surowca do produkcji nawozów, i ryzyko rośnie jeszcze bardziej.

Rząd może łagodzić konsumentom cenowy szok na rynku. Zapisami ustaw i rozporządzeniami nie zapełni jednak magazynów gazu i ropy. Na razie zdywersyfikowane źródła surowców energetycznych, które Polska szczęśliwie sprowadza nie tylko z regionu Zatoki Perskiej, zapewniają nam regularne dostawy i scenariusz, który ziścił się już w Azji – kolejki na stacjach i reglamentacja paliw – wciąż jest głównie obrazkiem z dzieciństwa we wspomnieniach dzisiejszych 50-latków. Oby ich dzieci nie dorobiły się teraz podobnych. ©℗

eprasa.pl 631e544192



WŁODZIMIERZ WASYLUK / FORUM

Wiesław Myśliwski. Warszawa, czerwiec 2014 r.

WSPOMNIENIE

Zmarł Wiesław Myśliwski

LITERATURA ▪ „Pisarz nie ma tak dużo do powiedzenia", mówił, „w każdym razie nie więcej niż ma każdy inny człowiek. I powinien pisać tylko to, co ma do powiedzenia, a nie pisać dlatego, że jest pisarzem". Był autorem 7 powieści, 4 dramatów, tomu wystąpień i wywiadów, a także kilku scenariuszy filmowych. Publikował rzadko, długo i starannie pracując nad każdym utworem. Pisanie łączył przez lata z pracą na etacie: kierował działem literatury współczesnej w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, był redaktorem naczelnym kwartalnika „Regiony" i dwutygodnika „Sycyna".

Urodził się w 1932 r. we wsi Dwikozy, gimnazjum i liceum kończył w Sandomierzu. Chciał być inżynierem, ale wybrał polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, bo studiowała tam jego sympatia, późniejsza żona – Wacława. Zadebiutował jako pisarz w wieku 35 lat. Pierwszą powieść, „Nagi sad", przygotował w tajemnicy przed wszystkimi, ale przyjęta została bardzo dobrze, a przychylne recenzje, m.in. Juliana Przybosia, otworzyły mu drogę do literatury. Odtąd każda kolejna – „Pałac", „Kamień na kamieniu", „Widnokrąg", „Traktat o łuskaniu fasoli", „Ostatnie rozdanie" i „Ucho Igielne" – stawała się wydarzeniem. Dwukrotnie otrzymał Nagrodę Literacką Nike.

Przedstawiano go jako piewcę kultury chłopskiej, ale był kimś znacznie więcej. W swojej twórczości potrafił połączyć głębokie zakorzenienie w konkretnym świecie z uniwersalnym wymiarem podejmowanej problematyki. Jego utwory to owoc refleksji nad doświadczeniami XX-wiecznej prozy: zrywają one z typową dla klasycznych powieści linearną narracją trzecioosobową, zastępując ją meandrującą opowieścią jednego podmiotu, a jednocześnie zachowują niektóre tradycyjne rozwiązania fabularne.

Czytelników przyciągał mądrościowy wymiar jego dzieła i fakt, że opowieść prowadzona była zawsze z perspektywy konkretnego „ja", które usiłuje zrozumieć, kim jest, czego jest częścią i co decyduje o jego wyborach. „Świat jest takim, jakim odbierze go jednostka", podkreślał w wywiadach. „To jednostka jest podmiotem świata, nie zbiorowość".

Wiesławowi Myśliwskiemu udała się sztuka, która nieczęsto się udaje: stał się autorem ważnym dla czytelniczek i czytelników reprezentujących wszystkie pokolenia. Jego książki przetłumaczono na kilkadziesiąt języków; cieszył się, że jest czytany z równym zainteresowaniem w Turcji, jak w Holandii czy Francji. Na pytanie o znaczenie literatury w jego życiu odpowiadał jednak konsekwentnie, że nie literatura jest najważniejsza, tylko – miłość.

Zmarł w swoim domu w Warszawie 29 marca br.

© WOJCIECH BONOWICZ

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 631e544192

WIELKANOC

MEDYTACJA KRZĄTACZKI

Przedświąteczny dylemat:
jak kontemplować Mękę i Śmierć,
myjąc okna i siekając jajka na sałatkę.
Czego nas uczą kobiety
krzątające się przy grobie Jezusa.

ZUZANNA RADZIK

Kontemplacyjna Wielka Sobota. Przywilej mnichów – myślę sobie. Oraz osób zaopatrujących się na święta w garmażerce. Więcej, zastanawiam się, jak żyją ci, którzy znajdują czas i siły na odwiedzanie Grobów Pańskich w czasie leniwych spacerów po mieście. Z perspektywy mojego życia kontemplacyjna Wielka Sobota to dziwo. Nigdy niewidziane.

Owszem, jest w niej ten osobliwy rodzaj zawieszenia, ale też i pośpiech. Kontemplacja w przelocie, przyklęknięcie przed Grobem, by biec dalej, do spraw. Czas wydłużony zatrzymaniem pomiędzy dwiema liturgiami, przedsionek święta. A jednocześnie rozpędzony i przysłonięty listą czynności, której wymaga kulinarna i domowa strona świąt. Zagęszczony poczuciem, że nawet jak nie ma mowy o umyciu okien, to musi przecież być jakiś porządek. A poza tym: upiec spody mazurków, nie zapomnieć w pośpiechu wsypać cukru do ciasta na babę, utrzeć polewy, wylać w odpowiednim momencie i zdążyć ze wszystkim przed Wigilią Paschalną. Na którą zawsze można, w natłoku zadań, pójść na najpóźniejszą godzinę, choćby na 22.00, tyle że wtedy spracowana zasypiam podczas długich czytań.

Pamięć w zeszycie

Przez lata z poczuciem winy wyobrażałam sobie korzyści duchowe, jakie płynęłyby z Wielkiej Soboty, gdyby nie domowe obowiązki, kumulujące się jeszcze u osób pracujących zawodowo w tym dniu. Myślałam o nich, szatkując kilkadziesiąt jaj, które ponownie, po połączeniu z koperkiem, ↦



Abraham Janssens van Nuyssen (ok. 1575–1632)
„Opłakiwanie Chrystusa", ze zbiorów Dayton Art Institute

DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 631e544192

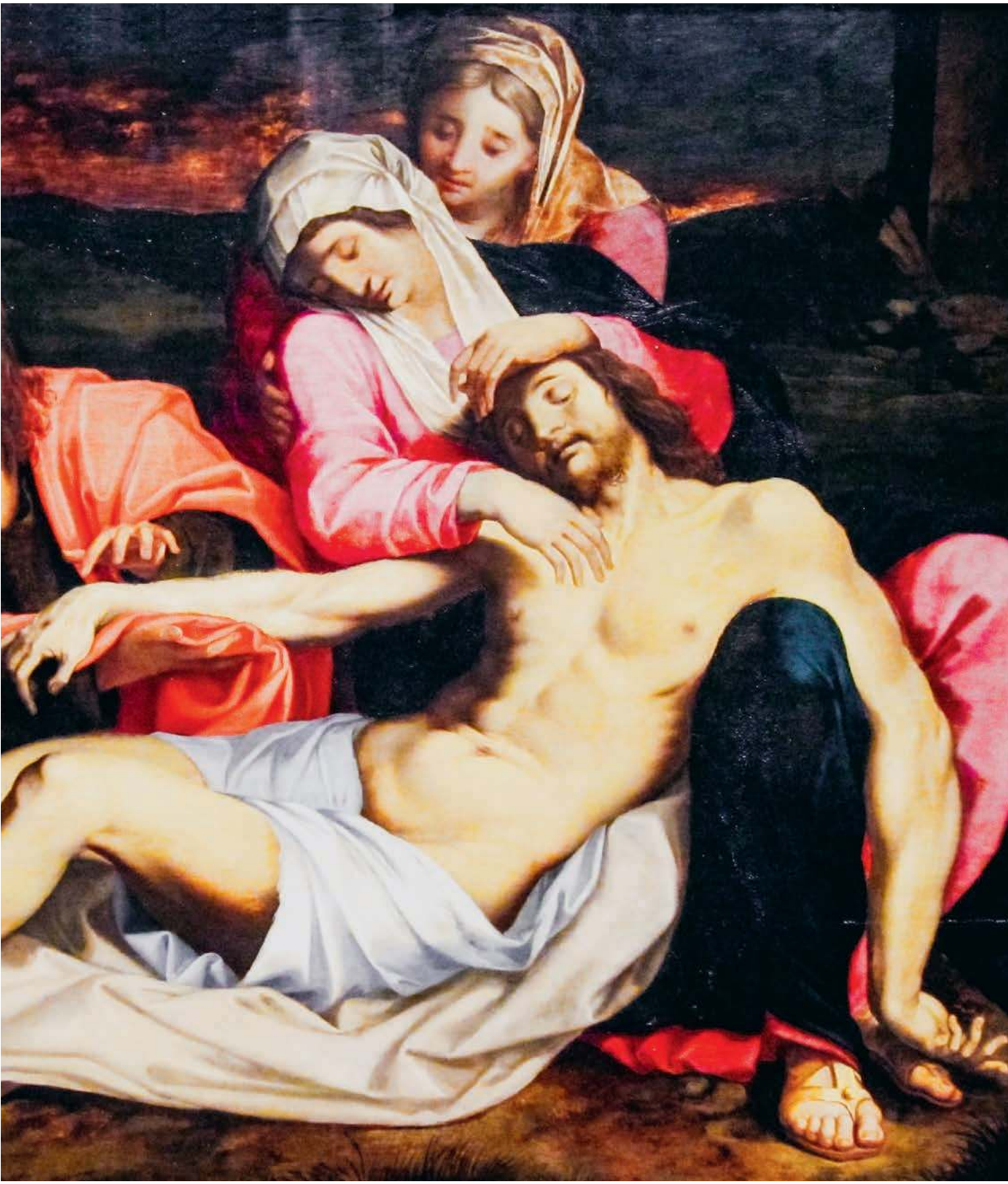

eprasa.pl 631e544192

↦ wkładam w precyzyjnie rozcięte skorupki i zasmażam. Nie jestem pewna, czy trud przekłada się na smak, ale wiem, że jemy je raz w roku i że sama uparłam się, by przenieść ten zwyczaj z domu przyjaciół dziadka. Uwielbiałam jajka faszerowane, przygotowywane przez ciocię Lodę, jedzone na majowych imieninach wujka Stasia, więc znalazłam dla nich miejsce w wielkanocnym śniadaniu naszej rodziny. Potrawy to zresztą rodzaj Dziadów, przywoływania zmarłych. „Baba drożdżowa babci", „rogaliki cioci Lidki", których zresztą dawno nikt nie piekł, to pamięć o przodkiniach, która trwa w zeszycie z przepisami – najpierw matki, potem przenosi się do twojego. Najwięcej zresztą czasu – dobrego, skupionego, ale i pełnego rozmów – spędzało się w kuchni. Niektóre z kobiet w mojej rodzinie znam tylko z tego zeszytu. Jak choćby dalekie siostry cioteczne babki, o których pewnie nikt by nie wspomniał, gdyby nie zanotowany przepis.

Logistyka żałoby

Czy jednak Wielka Sobota musi przebiegać w rozdarciu między przedświąteczną krzątaniną a kontemplacją? I w nieodzownym polskim, kobiecym czy katolickim, przepraszającym poczuciu winy? Czy bohaterki świątecznego poranka, kobiety, które poszły do grobu i zastały go pustym, poświęcały czas medytacji, czy przyziemnej krzątaninie?

Zgaduję, że nie były przygotowane na śmierć Mistrza. I co teraz? Zawiedzione nadzieje i poczucie nieogarnionej straty Jego i wszystkiego, co się z Nim wiązało: uwolnienia, entuzjazmu, poczucia przełomu, wspólnoty. Czy oprócz tego, co czują, są gotowe na zadania, jakich wymaga Jego martwe ciało? W obcym, stołecznym mieście, zajętym wielkimi świętami. A tu przecież przydałyby się jakieś szmaty, ręczniki, zioła dla zabicia zapachu. I woda.

Od kogo pożyczą dzban? Kogo mogą bezpiecznie poprosić o pomoc? Może wrócić do Betanii? Tylko czy zdążą – kłębią się myśli i uczucia. A jednocześnie wpadły w stupor żałoby. Łatwiej byłoby ruszyć i czymś zająć ręce, robić, a nie rozważać. Tyle że jest szabat i nie można żałoby zasłonić ani ucieczką, ani krzątaniną. Można tylko układać plan, a potem, zaraz po zachodzie słońca, szybko załatwić konieczne drobiazgi, żeby być gotowymi o świcie.

Praktyczna strona trochę zagłusza lęk, że złe konsekwencje mogą spotkać i tych, którzy z Nim szli, słuchali Go, byli wielokrotnie widywani w Jego otoczeniu. Ale czy akurat one były z Nim widywane? Czy czuły się uczennicami, czy tylko posługiwały grupie uczniów od strony logistyki i kuchni? Czy dołączyły do nich dawno, czy dopiero po radosnym wjeździe do Jerozolimy, w świątecznym entuzjazmie? O tym ewangelie głucho milczą.

Wielogłowy kolektyw

Imiona kobiet idących do grobu ewangeliści wymieniają tonem oczywistości, tak jakbyśmy je znali. Do grobu idą Maria Magdalena i Maria, matka Jakuba, oraz Salome (według autora Ewangelii Marka) albo Joanna (według Ewangelii Łukasza). Albo po prostu Maria z Magdali i jakaś inna Maria (jak w Ewangelii Mateusza). Jest też wersja u Jana, zgodnie z którą Maria Magdalena była u grobu sama.

Tylko u Łukasza czytaliśmy wcześniej historie o Marii Magdalenie i Joannie. U Marka jest wzmianka o Salome. Ale nawet jeśli zostały nazwane, to nie znaczy, że są nam znane. Może o ich obecności przy pustym grobie wszyscy dobrze wiedzieli, więc nie można było zaprzeczyć ich roli w ogłoszeniu zmartwychwstania? A może kobiet przy grobie było więcej i ewangeliści przywołują tylko imiona tych znanych Kościołom, dla których piszą? Brak imion kobiet znanych w tych wspólnotach zaprzeczałby przecież wiarygodności przekazu. Ale jednocześnie nie zdecydowali się poświęcić im więcej uwagi. Wspominają o nich w przelocie. Trochę jak zbiorową kobiecą bohaterkę. Kobiecy, wielogłowy kolektyw, który miał się zająć opieką nad ciałem, a niespodzianie skończył w roli apostolskiej. Siostry od godnego pogrzebu poszły opowiedzieć światu, że Jezus zmartwychwstał!

Jako że niewiele o nich wiemy, mówimy „kobiety u grobu" lub wspominamy z imienia tylko Marię Magdalenę. Były może w tych tłumach, idących za Jezusem, wyłaniając się z tła i niknąc w tle. Niewidzialne. Nie czczone tak, jak należy. Dostrzeżone dopiero wtedy, gdy ich krzątanina, służąca ciału i tradycji, zrobiła z nich apostołki zmartwychwstania. Choć miały tylko wykonać niewdzięczną robotę, krzątać się przy zmarłym, w cieniu tego wielkiego wydarzenia.

Uczennice do usług

Co więcej, synoptycy (autorzy Ewangelii wg Marka, Mateusza i Łukasza), mówiąc o kobietach idących do grobu, używają czasowników *akoloutheo* (iść za kimś) i *diakoneo* (usługiwać), które w tych ewangeliach związane są z byciem uczniem/uczennicą. Do grobu idą więc one – uczennice Pana. Były pod krzyżem, widziały Jego śmierć, teraz nie znajdują Go w pustym grobie. Mogą więc dać świadectwo: umarł prawdziwie i prawdziwie zmartwychwstał! Alleluja.

Wszechobecna w scenie przy grobie Maria Magdalena wiedziała coś jeszcze: że sama doświadczyła uwolnienia, zwrócenia życia. Może więc oprócz poczucia obowiązku, krzątaniny wokół spraw ciała, poszła do grobu wiedziona czymś jeszcze? Szła jako uczennica, która dostała inną lekcję niż tylko wykładnię tekstów. Uwalniając ją od złych duchów, cokolwiek one znaczą, Jezus oddał jej życie. Czy wiedząc to, doświadczywszy, jaką ma moc i władzę, przypuszczała, że może przywrócić do życia i siebie? Jeśli ją powołał, to nie odwołując od rodziny czy pracy, tylko właśnie przez to uwolnienie.

Praca z ciałem

Kobiety u grobu znane nam są zatem tylko z jednego: że tam poszły. Niczym ciocia Wacia, którą znam tylko z zeszytu z przepisami. Poszły do „roboty przy ciele". Bo ciało, martwe czy żywe, domaga się specyficznej krzątaniny, zabiegów, starań, z których ostatecznie składa się życie i śmierć. Żąda od nas gotowania, karmienia, czyszczenia powierzchni i rzeczy, by nasze ciała nie chorowały, mycia, prania, przewijania, zakupów, podpierania, tulenia, noszenia, ubierania, głaskania. Dbanie o ciała innych nieproporcjonalnie bardziej wypełnia życie kobiet, ale tak naprawdę tworzy codzienność każdego. Możemy tylko udawać, że jest inaczej.

„Skoro nasze istnienie przebiega głównie w doświadczeniu potocznym, pośród czynności zwykłych, to odmawiając

eprasa.pl 631e544192

im znaczenia, unieważniamy się sami” – pisała filozofka Jolanta Brach-Czaina w słynnym eseju „Krzątactwo”. Może więc Wielka Sobota krzątających się jest zanurzeniem w istnieniu, pławieniem się w tym, co Brach-Czaina nazywa „egzystencjalnym konkretem”. Jego znaczenie zwykle jest ulotne, niezauważalne i zapominane chwilę po tym, gdy się wydarzy. Świąteczną krzątaninę dla odmiany celebrujemy. Ten porządek, pięknie nakryty stół, smak potraw jest komplementowany inaczej niż często niezauważany wysiłek podtrzymywania codzienności – te niezliczone wypakowywania zmywarki, mycie garów, wycieranie blatów, nakrywanie do kilku posiłków dziennie.

„Jaki pyszny sernik, ciociu!”. „Cały rok czekam na te jajka”. „Podajcie tę znakomitą sałatkę śledziową”. „Chrzan, oczywiście, własnej roboty”. Celebrujemy świąteczne dania, komplementujemy trud odświętnego gotowania. Choć ostatecznie nie jest dużo większy niż mozół powtarzalności zup, obierania kartofli i śniadań naszej codzienności.

Jak widzieć w codzienności perspektywę spraw ostatecznych? Nie powinno być o to trudno, jeśli wierzymy we wcielonego Boga, którego matka walczyła z przewijaniem pieluch i zamiataniem izby.

Egzystencjalny konkret

Jolanta Brach-Czaina zauważa: „Podstawę naszego istnienia stanowi codzienność. A że fakt istnienia przeżywamy jako niezwykle ważny, więc ogarnia nas zdumienie, ilekroć uświadamiamy sobie, że upływa ono na drobiazgach. Codzienność stanowiąca tło egzystencjalne zdarzeń niezwykłych, których oczekujemy – często tło nadmierne – może więc decydować o wszystkim. Ma wymiar drobny, częstotliwość dużą. Jest niezauważalna”.

Może doceniając świąteczną krzątaninę, dostrzegamy właśnie codzienność i dajemy jej to zauważenie, które powinna mieć? Brach-Czaina widzi w niezauważalności codzienności bezpośrednie zagrożenie naszego istnienia, bo upływa ona na czynnościach nieuniknionych, które za chwilę okażą się nieważne. Ratunek widzi w odsłanianiu sensu naszych akcji: „W obronie własnej trzeba ścigać sens codzienności, jak przestępcę, który czyha w ukryciu”. Może więc świąteczny stół wskazuje na sens zajmowania się służbą ciału, czynnościami żmudnymi i na co dzień niedostrzegalnymi, które podtrzymują nasze życie i spajają nas we wspólnoty?

Stół łączy rodzinne spotkanie ponad podziałami na tych, co byli i nie byli w święta w kościele. Coraz częstszymi w sekularyzującym się społeczeństwie. Zatem jego przygotowanie jest niczym wielkoczwartkowe *mandatum* – obmywanie nóg w kościołach. Wskazuje na miłość i troskę. Liturgiczny symbol zaciemniony jest zwyczajem, że księża-mężczyźni myją zwykle nogi ministrantom i lektorom. Stół jest natomiast egalitarną przestrzenią posługi – zaprasza, by położyć na nim owoce trudu lub zwyczajnej troski o przyjemność bliskich. Wyrazić miłość i służbę: obrusem, starannością, pracą włożoną w przygotowanie i goszczenie. Stół świąteczny jest więc momentem przypomnienia o sensie tych wszystkich stołów codziennych, nakrywanych do wczesnego śniadania i po długim dniu szkoły czy pracy. Przypomnieniem, że żmudna i zwyczajna, gotowana późno w nocy zupa albo myty przed snem zlew – są miłością. Codziennym jej wyrażaniem. Bo właśnie miłość jest sensem krzątaniny. Głos całości zawsze dźwięczy w drobinach istnienia – przypomina Brach-Czaina.

Adoracja wcielenia

Śmierć na krzyżu jest niecodzienna, ale wymaga służby ciału, pospiesznie zdjętemu z krzyża, które należałoby w niedzielny poranek przygotować – porządnie, zgodnie z tradycją, by pochówek był godziwy, a szacunek oddany. Czy pójście do grobu ze szmatami, ziołami i wodą, by wyszykować ciało na spoczynek, nie jest adoracją Wcielenia? Skoro Bóg chciał wejść w ludzką cielesność, może uchylanie się od tego, „co przy ciele”, jest uciekaniem przed Jego obecnością? Może w krzątaninie wokół potrzeb ciała trzeba się zanurzyć? Znów Brach-Czaina: „Któż nam zaręczy, że w codzienności nie dzieją się jakieś sprawy ostateczne? Czy możemy z czystym sumieniem wykluczyć taką możliwość?”.

Jak być chrześcijanką, która się krząta, widzieć w codzienności perspektywę spraw ostatecznych? Nie powinno być o to trudno, jeśli wierzymy w bliskiego, wcielonego Boga, którego matka też walczyła z przewijaniem pieluch i zamiataniem izby. Boga, który znał krzątaninę dnia i fizyczną pracę, by przeżyć. Służby w nazareńskim domu raczej nie było. Wcielonego w ciało i jego codzienność, nieodciętego od krzątaniny, która podtrzymuje byt. Nawet jeśli chrześcijaństwo skutecznie inkulturowało się w niechęć do tego, co cielesne, symptomatyczną dla późnego antyku. Zwłaszcza że „cielesne” oznaczało też „kobiece”. A dla kobiet w kościołach było coraz mniej miejsca.

Głos w świecie

Szukanie Boga w codzienności świeckiej przyszło dużo później, gdy sami świeccy odzyskali głos i mogli zadawać pytania o duchowość w świecie. Jeszcze później przyszły pytania kobiet o sens ich krzątaniny, która w wielu rodzinach zajmuje im każdego dnia nieproporcjonalnie więcej czasu. Jak widzieć w tym wartość? Czy uciekać przed utkwieniem w masie obowiązków? Szukać równowagi? Żyć w napięciu? Odpowiadamy na te pytania i na co dzień, i od święta, negocjując z kształtem kolejnych rodzinnych spotkań i oczekiwań.

Czy krzątające się przy grobie, który okazał się pusty, nadają krzątaninie godność? Czy może ich rola, tak mało celebrowana, pokazuje, że lepiej zająć się czymś innym?

Wiara we wcielonego Boga, który daje się poznać dzieląc posiłek albo pozwalając zobaczyć i dotknąć swoje rany, jest dziwnie blisko zwyczajności i codziennego konkretu. Blisko ciała, jego ułomności i potrzeb. Służenia mu i przyjmowania posługi. Tak przy wielkanocnym stole, jak i w żmudnej codzienności.

© ZUZANNA RADZIK

eprasa.pl 631e544192

Adres Pana Boga

MARCIN MAJEWSKI

BIBLIA | Cztery ewangelie spisano na pergaminie. Piąta wyryta została w kamieniach Judei i Galilei. Dobrą nowinę warto czytać z mapą w ręku.



Gdyby ktoś kazał nam jechać z Warszawy do Krakowa przez Gdańsk, uznalibyśmy go za ignoranta albo szaleńca. Tymczasem ewangelista Marek właśnie tak prowadzi Jezusa, pisząc, że „opuścił okolice Tyru i przez Sydon przyszedł nad Jezioro Galilejskie, przemierzając posiadłości Dekapolu" (Mk 7, 31). Coś tu nie gra, prawda? Przecież Sydon leży na północ od Tyru, a Galilea – na południe.

Ale bibliści odchodzą dziś od tezy o błędzie geograficznym na skutek ignorancji autora Ewangelii. Dla ewangelistów przestrzeń jest formą języka znaczeń. Jeśli Jezus wchodzi na górę, przemawia jako autorytet; jeśli idzie na pustynię, walczy ze złem; jeśli płynie na drugą stronę jeziora, szuka wykluczonych.

Marek używa nazw miejsc jako markerów teologicznych, nie kartograficznych. Zestawiając Tyr, Sydon i Dekapol, prowadzi Jezusa przez kolejne obszary pogańskie. Jezus dokonuje „wielkiego obejścia" świata nieżydowskiego. Nie chodzi o to, którędy dokładnie idzie, ale dokąd symbolicznie dociera – coraz dalej poza granice Izraela. Dobra nowina nie zna granic administracyjnych czy konfesyjnych. Markowy opis to nie mapa drogi, ale mapa znaczeń.

Zapach ryb i smak kurzu

Judaizm i chrześcijaństwo to religie nie tylko idei, ale także miejsca. Bóg Biblii nie objawił się „za górami, za lasami", czyli mówiąc językiem religioznawczym *in illo loco* – w owym (mitycznym) miejscu, w przestrzeni ahistorycznej, wyobrażonej. Dokonało się to w konkretnej krainie, klimacie i topografii.

Patrząc na Nowy Testament z tej perspektywy, można postawić zaskakującą tezę: geografia w ewangeliach nie jest tłem, jest nośnikiem teologii i kluczem narracji. Opisy ewangeliczne mają zapach ryb z Jeziora Galilejskiego i smak pyłu z Pustyni Judzkiej. Drogi są długie, zbocza strome, a miasta różnią się charakterem i znaczeniem. Bez uchwycenia tej przestrzeni tracimy wiele ze znaczenia słów i działań Jezusa.

Czytelnik zwykle postrzega ewangelię jako zbiór epizodów z życia Jezusa – uniwersalnych i oderwanych od konkretnej przestrzeni. Tymczasem wiele wskazuje, że ewangeliści budują narrację, czyniąc z geografii niemego narratora wydarzeń.

Formacja w drodze

Wymiar geograficzny to klucz do lektury Ewangelii wg św. Marka. Galilea to przestrzeń objawienia Jezusa, Jerozolima to przestrzeń Jego odrzucenia. Dzieło zbawienia jest wyraźnie zarysowane topograficznie: od Galilei po Jerozolimę, gdzie łącznikiem jest „droga" (gr. *odós*). W Galilei dokonują się cuda i objawienie tożsamości Jezusa (Mk 1–8). W Jerozolimie zaś następuje konflikt i śmierć (Mk 11–15).

eprasa.pl 631e544192



JOHN THEODOR / ADOBE STOCK

Widok z Góry Oliwnej na Stare Miasto w Jerozolimie

Przejście przez „drogę” pomiędzy nimi to przestrzeń formacji uczniów (Mk 9–10). W centralnym punkcie opowieści znajdziemy wyznanie Piotra (Mk 8, 27), które ewangelista nie przez przypadek lokuje w Cezarei Filipowej – na północy, z dala od Jerozolimy. Ujawnienie mesjańskiej i synowskiej godności Jezusa ma miejsce daleko poza centrum religijnym, na kulturowo-religijnych krańcach świata żydowskiego, peryferiach tradycyjnej religijności.

Dla autora Ewangelii wg św. Łukasza centralnym elementem struktury narracyjnej będzie natomiast „wielka podróż” Jezusa. Zdanie: „Gdy dopełnił się czas Jego wzięcia z tego świata, postanowił udać się do Jerozolimy” (Łk 9, 51) jest punktem zwrotnym. Od tego momentu, przez ponad dziesięć rozdziałów (aż do Łk 19, 27), Jezus idzie do Jerozolimy. To tzw. sekcja podróży (*travel narrative*). I znów – nie chodzi o realistyczny opis trasy, lecz o konstrukcję teologiczną: droga do Jerozolimy to droga do wypełnienia Bożego planu, realizacji dzieła zbawienia. Przypowieści właściwe tylko Łukaszowi (np. o miłosiernym Samarytaninie) są umieszczone właśnie w tej „podróży” – przestrzeń ruchu staje się przestrzenią nauczania. Kategorie geograficzne stają się kategoriami teologicznymi.

Góra kontra równina

Topografia pełni też istotną rolę dla autora Ewangelii wg św. Mateusza. Jest nią ukazanie Jezusa w kluczu typologicznym – jako „nowego” Mojżesza. Kazanie na górze czy przemienienie na górze nie przywołują zwyczajnej góry, lecz tę wyjątkową (Synaj). Podobnie jak i wyjątkowego nauczyciela-prawodawcę: Mojżesza. Podczas gdy u Łukasza miejscem kluczowego nauczania Jezusa jest równina (w jego Ewangelii Jezus jako Emanuel – Bóg z nami – schodzi na poziom ludzi, jest blisko ich nędzy i codzienności), u Mateusza będzie nim góra – tylko na niej bowiem może nastąpić objawienie nowego Prawa przez nowego Wybawiciela i Prawodawcę.

Istotny dla konstrukcji ewangelii komponent geograficzny jeszcze lepiej widoczny jest w zderzeniu trzech ewangelii synoptycznych z Ewangelią wg św. Jana. Tu z kolei cała narracja o Jezusie budowana jest nie w kluczu podróży z Galilei pogan do stolicy religii i kultu, ale wokół Jerozolimy i jej świątyni. Inna mapa to inna teologia. Jezus będzie „nową świątynią” i zainauguruje nowy kult „w duchu i w prawdzie”. Ta różnica między ewangeliami uzmysławia, że przestrzeń i geografia ma w nich znaczenie teologiczne, a nie tylko historyczne.

Przekraczanie granic

Geografia ewangelii jest realna i weryfikowalna archeologicznie (Nazaret, Kafarnaum, Jerozolima). Jednocześnie jest teologicznie przetworzona. Ewangelie nie są suchym zapisem wędrowania Jezusa z punktu A do punktu B po drogach upalnej Palestyny. Są przemyślaną konstrukcją literacką, w której to, *gdzie* znajduje się Jezus, definiuje to, co robi i *kim* jest.

W ewangeliach synoptycznych istotnym elementem jest „droga” jako metoda i jako styl życia. Dobra nowina to narracja w ruchu. Jezus jest ciągle „w drodze”: „Lisy mają nory (...) lecz Syn Człowieczy nie ma gdzie głowy położyć”. Nie siedzi, nie naucza z bezpiecznego dystansu katedry (siedziska dla nauczyciela). Idzie do ludzi.

Charakterystyczna jest wspomniana, trwająca dziesięć rozdziałów, „podróż” ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ do Jerozolimy u Łukasza. Pod względem topograficznym mocno niespójna (Jezus zdaje się krążyć), co jednak nie powinno nas dziwić – autorowi nie zależy bowiem na rekonstrukcji drogi, ale na *teologii drogi*. Geografia jest osią fabularną: nauczanie Jezusa o naśladowaniu i wyrzeczeniu dzieje się „na szlaku". Bycie chrześcijaninem zostaje zdefiniowane jako ruch ku celowi, którym jest Pascha. To nie przypadek, że chrześcijaństwo pierwotnie nazywano „Drogą".

Jezioro Galilejskie w ewangeliach nie jest tylko zbiornikiem wodnym, ale płynną granicą. Jezus wielokrotnie udaje się „na drugą stronę jeziora", „na drugi brzeg", poza teren ziemi świętej i bezpiecznej – na „skażone" pogańskie obszary Dekapolu, w okolice Gerazy, Gadary czy Betsaidy. To nie wycieczki krajoznawcze, ale nauka przekraczania barier kulturowych i religijnych. Podobną funkcję pełnią w ewangeliach podróże Jezusa w okolice miast fenickiego wybrzeża, Tyru i Sydonu (gdzie spotka się z Syrofenicjanką) czy na tereny wrogiej Samarii (gdzie spotyka się z Samarytanką). Nie są to przypadkowe lokalizacje. Peryferie stają się miejscem głoszenia dobrej nowiny i zapowiedzią jej uniwersalizmu.

Geografia Męki Pańskiej

To właśnie najmocniej wybrzmiewa w geografii ewangelii: konflikt między „centrum" (świątynia, władza, prawo) a „peryferiami" (rybacy, celnicy, poganie). Galilea i Jerozolima stają się u synoptyków dwoma biegunami misji Jezusa. Podział na te dwie główne sceny działalności Nauczyciela z Nazaretu nie jest tylko logistyczny, ale symboliczny. „Galilea pogan", ukazana niemal sielsko, jest generalnie miejscem powołania uczniów, cudów i entuzjazmu. Jerozolima z kolei staje się miejscem konfrontacji, odrzucenia i śmierci – miastem, które zabija proroków. Ewangeliści uwypuklają teologiczny paradoks: centrum objawienia staje się miejscem odrzucenia.

> Konflikt między „peryferiami" a „centrum" wybrzmiewa mocno w geografii ewangelii. Pierwsze są miejscem głoszenia dobrej nowiny. Jerozolima z kolei – miastem, które zabija proroków.

Również konkretne miejsca wymieniane w opisie męki i śmierci Jezusa nie są jedynie neutralnym tłem, a nośnikiem znaczenia teologicznego. Przejście od Góry Oliwnej (ogród, pojmanie) przez centrum Jerozolimy (skazanie i droga krzyżowa) na Golgotę (miejsce ukrzyżowania poza miastem) tworzy teologiczną mapę odrzucenia i objawienia. Narracja pasyjna ma wyraźny kierunek przestrzenny: z serca świętego miasta – w stronę jego obrzeży, na zewnątrz, poza bramy.

Golgota (Kalwaria) była miejscem egzekucji. Wszystkie ewangelie podkreślają, że znajdowała się poza murami Jerozolimy. Rzeczywiście, egzekucje rzymskie, zwłaszcza ukrzyżowania, zazwyczaj odbywały się poza miastem, przy drogach publicznych. Celem było wystawienie skazańca na pohańbienie, ale jednocześnie podkreślenie, że dzieje się to „z dala od nas", w przestrzeni wykluczenia.

Geografia Golgoty to geografia wykluczenia Boga. Paradoksalnie jednak, społeczne i religijne wykluczenie staje się znakiem włączenia do nowej, uniwersalnej wspólnoty, a to, co zostaje wyrzucone „poza", staje się nowym „centrum". Podkreśla to autor Listu do Hebrajczyków: „Dlatego i Jezus (...) poniósł mękę poza miastem. Również i my wyjdźmy do Niego poza obóz, dzieląc z Nim Jego pohańbienie" (Hbr 13, 12n).

Nowy Eden

Jest jeszcze jeden szczegół w geografii męki Jezusa, podkreślany zwłaszcza w czwartej Ewangelii. Jej autor konsekwentnie mówi o „ogrodzie" – zarówno gdy chodzi o miejsce pojmania (nie używa nazwy Getsemani, jak synoptycy), jak i miejsce grobu oraz zmartwychwstania Jezusa. Motyw ogrodu powtarzany jest tu – jak twierdzą badacze – w sposób celowy, jako nawiązanie do rajskiego ogrodu Eden, wskazujące na nowy początek stworzenia. Skoro upadek człowieka nastąpił w ogrodzie, to i w nim musi dokonać się naprawa tego stanu. Jezus jako „nowy Adam" właśnie w „nowym ogrodzie" wypowiada posłuszne „tak", odwracając konsekwencje pierwszego nieposłuszeństwa.

Piąta ewangelia

Ewangelię warto czytać z mapą w ręku, bo to opowieść nie tylko o słowach i czynach Jezusa, lecz o drodze, przestrzeni i ruchu – a więc o historii wcielonej w konkretny krajobraz. Topografia obecna w ewangeliach nie tylko ilustruje wydarzenia, lecz je interpretuje. Wcielenie nie było tylko przyjęciem ciała, ale także przyjęciem konkretnego adresu.

Ziemia święta bywa nazywana piątą ewangelią właśnie w tym sensie, że o ile cztery zostały spisane na pergaminie, ta jedna została wyryta w kamieniach Judei i Galilei. Bez jej lektury tekst pisany pozostaje dwuwymiarowy.

Dziś ta mapa jest pocięta murami, naszpikowana punktami kontrolnymi i strzeżona przez żołnierzy na checkpointach. Paradoksalnie także współczesne podziały rymują się z geografią czasów rzymskich. Podobnie jak wtedy, Ziemia Święta i dziś jest miejscem napięć pomiędzy centrum a peryferiami, tym, co „nasze", i tym, co obce. Bo Bóg najpełniej objawia się tam, gdzie kończą się bezpieczne granice.

© MARCIN MAJEWSKI

OGŁOSZENIE

Niech Tajemnica Wielkiej Nocy wypełni ludzkie serca miłością, niosąc światu pokój i nadzieję. Niech będzie źródłem siły i radości każdego dnia, obdarzy nas łaską wiary i paschalnego odrodzenia.

Z życzeniami Spokojnych i Pogodnych Świąt!

Kluby „Tygodnika Powszechnego"

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

eprasa.pl 631e544192



PETER MACDIARMID / GETTY IMAGES

A potem umarł

RYSZARD KOZIOŁEK

DUCHOWOŚĆ | Nie jest chrześcijaninem ten, kto nie doświadczył szarości wiary. Jej źródłem jest bowiem nie tylko nieobecność Boga wśród nas. Równie trudno uwierzyć w świętość życia, które pozbawił koloru.

Podobno Karl Barth, słynny teolog protestancki, miał sen, w którym zobaczył piekło. Żadnych w nim nie było płomieni ani diabłów. Nie było też grzeszników męczonych w najbardziej wymyślny sposób. To skądinąd logiczne, bo teologia tej części zaświatów i tak nie prześcignie w okropieństwach Dantego czy Boscha, a ci z kolei eksplorują prawdziwe okrucieństwa zadawane człowiekowi przez człowieka.

Najważniejsze pytanie

Ikonoklastyczne piekło ze snu to była bezkresna i płaska jak stół równina bez śladu roślinności ani żadnych innych form krajobrazu. Jej powierzchnię pokrywał szary pył. Panował tam przejmujący chłód. W środku tej pustyni, w słabym i mglistym świetle bez źródła stał jeden człowiek.

Senna wizja, zapewne nieco opracowana teologicznie, była dla Bartha obrazem stanu absolutnej samotności i opuszczenia, jakich nie może zgotować chrześcijaninowi żaden człowiek, a jedynie Bóg. Szare, zimne klepisko po horyzont to pejzaż doświadczenia religijnego, które powstać może tylko na skutek radykalnego i ostatecznego porzucenia człowieka przez Boga. Kary najdotkliwszej wówczas, gdy poprzedzało ją szczęście boskiego towarzystwa, wspólnej przyjaznej codzienności dzielonej z Bogiem wcielonym, jak było to udziałem uczniów i przygodnych towarzyszy Jezusa.

Doświadczenie utraty boskiej współobecności możemy sobie nieco wyobrazić jako całkowity zakaz kontaktu z ukochaną osobą, o której wiemy, że kocha nas również i chce z nami być, a jednak nas opuszcza. Takie porzucenie jest nieakceptowalne i niezrozumiałe. Nawet dla samego Jezusa, skoro sformułował na krzyżu najważniejsze pytanie teologiczne: „Boże mój, czemuś mnie opuścił?”.

Smutek Piotra

Kiedy słucham krytyki Kościoła katolickiego wypowiadanej przez moich przyjaciół i znajomych, uderza mnie język zawiedzionego uczucia; słowa znamienne dla zdradzonych, oszukanych i porzuconych przez ukochanego, który okazał się niegodny miłości. Jest to język gniewu, zrozumiały u tych, którzy z Kościołem byli głęboko związani i nagle zrozumieli, że darzyli uczuciem swoje wyobrażenie, któremu brutalnie ↦

Plac św. Piotra. Watykan, luty 2013 r.

eprasa.pl 631e544192

przeczą wyjawione fakty o czynach tego księdza czy tamtego biskupa. Dostrzegam w tym coś, co wykracza poza wstrząs wywołany przestępstwami i skandalami.

Kościół powstał jako substytut nieobecności Boga wcielonego. Materialny i symboliczny splendor architektury, scenografii, kostiumów i rytuałów rozbudowywanych przez dwa tysiące lat pozostaje w rażącej sprzeczności ze skromnością i łagodnością człowieka w lnianej szacie, głoszącego miłość wzajemną jako fundament życia wspólnego ludzi na Ziemi. Materialny przepych religii zakrywa fundamentalne zerwanie współobecności Boga i człowieka; fakt, że kiedyś byli razem. Ale się rozstali. Finał wszystkich Ewangelii powinien przygotować chrześcijanina na nieuchronne rozczarowanie Kościołem. Relacja „wierny"–Kościół będzie zawsze nieudaną próbą naśladowania miłosnej relacji z żywym Jezusem.

Zerwanie realnego związku uczniów i Jezusa leży bowiem u źródeł chrześcijaństwa; bez tej traumy odziedziczonej wiara nie ma uzasadnienia. Bóg wcielony na chwilę w człowieka zadaje im nieuleczoną ranę miłosną, w chwili, kiedy „rozstał się z nimi i został uniesiony do nieba" (Łk 24, 51). Nie wiemy, czy wszyscy uczniowie przeżywają to równie dramatycznie, ale dwaj na pewno.

Drama nad jeziorem

Ilustruje to epizod nad Jeziorem Tyberiadzkim opisany w Ewangelii Jana. Szymon Piotr wybiera się na nocny połów, a towarzyszy mu siedmiu uczniów, w tym spisujący wszystko Jan. „Szymon Piotr powiedział do nich: »Idę łowić ryby«. Odpowiedzieli mu: »Idziemy z tobą«" (J 21, 3 Biblia Ekumeniczna). Nic nie złapali, ale nad ranem na brzegu pojawia się człowiek, który radzi im zarzucić sieć z drugiej strony. Pierwszy Jan rozpoznaje Jezusa. To zrozumiałe, jest najmłodszy, ma dobry wzrok, a dystans wynosi dwieście łokci, czyli trochę ponad sto metrów. Na wieść o tym, nagi Piotr narzuca na siebie szatę i rzuca się wpław, aby być pierwszy przy Jezusie. Potem dobijają wszyscy z mnóstwem ryb, które złowili. Jedzą, rozmawiają; są szczęśliwi. Bóg do nich wrócił.

Tymczasem zmartwychwstały Chrystus postępuje jak ktoś, kto ma zamiar wyjechać na długo i niepokoi się, czy rozłąka nie osłabi uczucia tego, który zostaje. Widzi też początki rywalizacji uczniów o swoją schedę. Stara się więc wybadać, jak postąpią po Jego ostatecznym odejściu (ach, ta niebezpieczna fantazja o wpływie naszej śmierci na bliskich!).

„Czy miłujesz mnie bardziej niż ci?". Twierdząca odpowiedź Go nie zadowala, więc pyta jeszcze dwa razy, uzyskując tę samą odpowiedź zasmuconego rybaka. Tradycja łączy ów smutek z wyparciem się przez Piotra związków z Jezusem podczas procesu.

Nie tylko w ten sposób Jezus okazuje Piotrowi swoje rozczarowanie. Zapowiada mu, że będzie jego następcą w przewodzeniu wspólnotą, ale niech nie liczy, że uniknie śmierci. „Gdy jednak się zestarzejesz, wyciągniesz swoje ręce i ktoś inny cię przepasze, i poprowadzi, dokąd nie chcesz" (J 21, 18). Po czym każe mu oddalić się z sobą od reszty uczniów. Piotr jednak zauważa, że Jan idzie za nimi. Zaniepokojony pyta więc Jezusa: „Panie! a ten co?". Wtedy Jezus, wyraźnie zniecierpliwiony, odpowiada: „»Tak chcę, aby został aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za mną«. Gruchnęła tedy ta mowa między bracią, iż on uczeń nie umrze" (J 21, 21-23, Biblia Jakuba Wujka).

To dramatyczna scena, pełna nienazwanych, a zaledwie sugerowanych emocji. Uczniowie mają prawo myśleć, że skoro Jezus wrócił żywy, to może i oni będą żyli wiecznie już teraz. Ale czy wszyscy? Czy tylko najbardziej ukochani? Piotr już się dowiedział, że zawiódł. Jan, jako najbardziej umiłowany, staje się obiektem zazdrosnych spekulacji, które ucina, tłumacząc czytelnikowi, że Jezus powiedział to w trybie warunkowym, który wskazuje na jego wszechmoc, a nie na obietnicę, że Jan doczeka na Ziemi powtórnego przyjścia Mistrza. „Ale Jezus nie powiedział mu, że nie umrze,



BOGDAN SARWIŃSKI / EAST NEWS

Procesja rezurekcyjna w Kościele pw. Opieki św. Józefa w Błędowie, marzec 2016 r.

eprasa.pl 631e

lecz: »Jeśli Ja chcę, aby pozostał aż przyjdę, co tobie do tego?«" (J 21, 23).

Prawdziwie tragicznym sednem tej nieco zabawnej dramy jest nieuchronność rozstania z Bogiem, który dopiero co z nami jadł, pił, rozmawiał. Dzielił nieistotność naszego życia, czyniąc ją boską.

Zbyt szybki przeskok

„I zaraz potem umarł. Wiele by o tym mówić". Ten lakoniczny wers z Hölderlina wydaje mi się straszniejszy niż epopeja Pasji, do której zdążyliśmy przywyknąć za sprawą milionów krzyży, niezliczonych obrazów Ukrzyżowania i misteriów Męki Pańskiej.

„Być chrześcijaninem oznacza wierzyć, że Bóg stał się człowiekiem i że zadano mu śmierć tak straszliwą, jakiej mógł doświadczyć dowolny śmiertelnik. Dlatego też krzyż, owo antyczne narzędzie zbrodni, pozostaje tym, czym był zawsze: stosownym symbolem chrześcijańskiego przewrotu" – podsumowuje swoje rozważania nad cywilizacją chrześcijańską Tom Holland („Boże władztwo. Jak chrześcijański przewrót zmienił oblicze świata", przeł. T. Korecki, PIW 2025).

Jasne. A jednak za szybko i za łatwo przeskakujemy od życia do śmierci na krzyżu, nobilitując i absolutyzując tę ostatnią. Kosmiczny wymiar, którego Pasja nabrała przez wieki chrześcijaństwa, przeczy jej historycznej kameralności lub okrutnej nieistotności, jaką odegrała w administracyjnych trybach imperium rzymskiego. Po prostu jeden z wielu procesów i kaźni, jakie wykonywały służby w rozległych prowincjach cesarstwa. ↦



Śladem tej znikomości jest fragment Ewangelii Marka, w którym Józef z Arymatei prosi Piłata o wydanie ciała Jezusa. „Piłat zdziwił się, że On już nie żyje" (Mk 15, 44). Można łatwo zrozumieć, że „sprawa Jezusa" nie zaprzątała zbyt długo uwagi zajętego prokuratora Judei.

Ale Jezusowi ukrzyżowanemu nie towarzyszą nawet uczniowie i zwolennicy. Grupa Ukrzyżowania w wersji najskromniejszej obejmuje tylko matkę Jezusa i Jana. I tego bym się trzymał. Wszystkie bowiem ewangelie, poza Janową, mówią o sporym dystansie oddzielającym bliskich od Ukrzyżowanego; „ci, którzy go znali, stali z z daleka" (Łk 23, 49). Zresztą, do tego fundamentalnego osamotnienia przygotowują Jezusa rozmaite epizody, jak zaśnięcie uczniów w ogrodzie oliwnym, zdrada Judasza, wyparcie się Go przez Piotra i wiele małych drobnych niezrozumień, dotyczących tego, kim jest i jaki ma cel.

Tylko sztuka potrafi „odmłodzić świat", czyli uczynić go w naszych oczach trwającym, dobrym i sensownym. „Boskim", choć Boga straciliśmy na wieki.

Jak teraz żyć?

Nasze oswojenie z Ukrzyżowaniem jest zatem mocno nieuprawnione. Nie mamy wiarygodnych świadków tego, co tak dokładnie zostało przedstawione w scenach pasyjnych. A dwa tysiące lat współczucia Jezusowi są dziełem wyobraźni napędzanej malarstwem i literaturą.

Choć i one mogą mieć skutek odwrotny. Bohaterka opowiadania Marii Konopnickiej wspomina swoją guwernantkę, która czytała powierzonym jej opiece dzieciom legendy o świętych. „Po roku pobytu Anusi u nas tak byliśmy oswojeni z całem martyrologium, żeśmy o wyrwanych językach, rozpalonych kleszczach, plecach dartych pasami ze skóry i piłowanych ciałach rozprawiali, jak o chlebie z masłem, i gdyby które z nas spotkało Świętego Dyonizego, idącego z własną, uciętą głową pod pachą, myślę, że nie bardzo byłoby zdziwione".

Tym, co straszniejsze niż tortury na krzyżu, jest ostateczne, nieodwracalne opuszczenie człowieka przez Boga. Wykonało się. *Mission completed*. Nie umarł – zmartwychwstał, jak zapowiedział. Ale oni myśleli, że będzie z nimi na zawsze, bo przecież obiecywał, że kto w Niego wierzy, nie umrze. Tymczasem ich zostawił.

Jak po czymś takim żyć zwykłym życiem? Łowić ryby, uprawiać pole, siedzieć za biurkiem osiem godzin, rozmawiać o pogodzie i polityce? Przez chwilę wszystko to było ważne, bo takie zwykłe życie dzielił z nami Bóg. Ale skoro je porzucił, to nie wiadomo nawet, co jest w nim ważne, a co ważniejsze.

Świat poszarzał; życie straciło kolor – mówimy o takim stanie ducha. Szarość, a nie zwyczajowa czerń, powinna być kolorem Wielkiego Piątku. To kolor dnia po Ukrzyżowaniu, kiedy „uśpiona szarość brzasku, zaledwie dopiero znaczącego się, wysysała wszystkie barwy" (G. K. Chesterton „Tajemnica Ojca Browna"). Pawłowe chrześcijaństwo jest religią spóźnionego ucznia, który nie doświadczył życia w towarzystwie Boga. Oparł więc chrześcijaństwo na jednym tylko fundamencie – na śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Bo przecież nie na nudnym, potulnie przecierpianym życiu.

Szarość nie radość

Mądrość jest szara. Powstaje z rozpoznania pozoru jaskrawej barwności życia naturalnego i sztucznego. Rodzi się, kiedy umysł widzi świat jako całość płynącą nieubłaganie i bez celu; nieśmiertelną, choć złożoną ze śmiertelnych istnień poszczególnych. Tak uważa Peter Sloterdijk. A my, choć niechętnie, zgodzimy się z tezami jego książki, napisanej „Dla tych, którzy jeszcze nie zastanawiali się nad szarością" („Wer noch kein Grau gedacht hat: Eine Farbenlehre", Suhrkamp Verlag 2022).

Inspiracją dla Sloterdijka było stwierdzenie Cezanne'a, iż nie jest malarzem ten, kto nigdy nie malował szarości. Przenosi to zadanie na terytorium filozofii i sprawdza, jak radziła sobie ona z szarością, która jest barwą egzystencji; kolorem aury spowijającej ludzką codzienność. „Szary opar, niczym kurtyna, nie pozwala spojrzeniu zapuścić się w tę dziedzinę popielnej szarości" (Tadeusz Sławek „Hamlet czyli SZARE").

Szarość staje się odtąd synonimem nieodwracalnego starzenia się świata. A tam świata! Nas. Każdego z nas! Ewangelia o narodzinach Jezusa, a później o Jego zmartwychwstaniu była obietnicą wiecznej wiosny dla każdego. Okazało się jednak, że jeszcze nie teraz i raczej nie tu.

Rozczarowany religią człowiek nowoczesny oddał się więc w ręce rozumu z wątlejącą nadzieją, że nie tylko objawienie, ale myślenie i nauka mogą dawać radość i nadzieję. Nie łudźmy się: poważna, samoświadoma filozofia jest szarością, która wytwarza szarość, która jest właściwym kolorem medytacji – mówi Sloterdijk, omawiając słynny fragment „Zasad filozofii prawa" Hegla: „Kiedy filozofia o szarej godzinie maluje swój świt, wtedy pewne ukształtowanie życia już się zestarzało, a szarością o zmroku nie można niczego odmłodzić; można tylko coś poznać. Sowa Minerwy wylatuje dopiero z zapadającym zmierzchem" (przeł. Adam Landman).

Nieszczęśni teologowie

Filozofia nie odmładza świata, „nie wygładza jego zmarszczek", nie przywraca mu koloru, a jedynie w szarości własnej refleksji uczy rozpoznawać szarość świata i godzić się z nim. Chrześcijaństwo od najwcześniejszych czasów szukało partnerstwa z filozofią, lękając się pstrej irracjonalności, baśni i mitów. Dla Grzegorza z Nazjanzu „filozof", jako „miłośnik mądrości", staje się synonimem słowa „chrześcijanin" (J. Pelikan „Chrześcijaństwo i kultura klasyczna", Teologia Polityczna 2024).

O nieszczęśni teologowie! Przyzywając filozofię, aby pomogła zrozumieć, jak żyć po życiu z Bogiem, dopuścili, aby Jezus, czyli dobro rozstrzygające, został zastąpiony mądrością, która poucza, że nic w ludzkim życiu nie jest tylko białe albo czarne; wyłącznie dobre lub złe; jawne bądź ukryte; godne lub podłe. Wiara i religia zaprzyjaźnią się z dialektycznym rozu-

eprasa.pl 631e544192

mem i odtąd mole podejrzliwości będą niestrudzenie pożerać kolorystykę liturgii, kostiumów, architektury i scenografii. Aż przemienią ten cały kompensacyjny blichtr w ikonoklastyczną szarość zreformowanego chrześcijaństwa.

Karl Barth nie musiał śnić, żeby zobaczyć prawdziwy kolor chrześcijaństwa. Kto widział wnętrze katedry w Genewie (tej z krzesłem Kalwina), ten wie, jak bezwzględnie szary jest protestantyzm.

Wina, Troska, Brak, Bieda

W istocie nie ma jednak różnicy. Nikt lepiej tego nie ujął niż Reymont w monologu Moryca:

– Pan nie lubi protestantyzmu? – zapytał Kurowski (...).

– Nie lubię i nigdy bym na to wyznanie nie przeszedł. Ja jestem człowiek, który kocha i potrzebuje pięknych rzeczy. Jak ja się narobię cały tydzień, to potem w szabas, czy w niedzielę potrzebuję odpocząć, potrzebuję iść do ładnej sali, gdzie bym miał ładne obrazy, ładne rzeźby, ładną architekturę, ładne ceremonie i ładny kawałek koncertu. Ja bardzo lubię te ceremonie wasze, w nich jest i piękny kolor, i ładny zapach, i dzwonienie, i światła, i śpiewy. A przy tym jak ja już muszę słuchać kazania, to niech ono będzie nie nudne, niech ja słucham delikatnego mówienia o wyższych rzeczach, to jest bardzo nob i to dodaje człowiekowi humoru i ochoty do życia! A w kirche co ja mam?... Cztery gołe ściany i tak pusto, jakby cały interes miał się trochę zlikwidować. A do tego przychodzi pastor i mówi. Co pan myślisz, o czym on gada?... Gada o piekle i innych nieprzyjemnych rzeczach. Bądź pan zdrów. Czy ja po to idę do kościoła, żeby się zdenerwować?".

I tak oto lądujemy w nowoczesnym, kapitalistycznym świecie Zachodu; świecie powszechnej sprzedaży, masowej produkcji i podziału pracy. Szarość przestaje być metaforą filozoficzną, staje się dominującym kolorem rzeczywistości – od hali fabrycznej, przez morze garniturów na Wall Street i hektary korporacyjnych openspejsów, po obrazy świata rozwijającej się fotografii. Koloryzacja mediów, ubrań i samochodów, która nastąpi w drugiej połowie XX w., nie usunie podejrzenia, że życie codzienne to pokolorowana szarość – domena „czterech szarych niewiast":

człowiek rodzi się
dorasta
zakłada rodzinę
buduje dom
(...)

pierwsza pojawia się Wina
za nią milczy Troska
powoli rośnie Brak
szczerzy zęby Bieda

(...)
przebudzeni bogowie
opędzają się
od natrętnych ludzi
ziewają

T. Różewicz, **PAJĘCZYNA**

Idąc za Cezanne'em i Sloterdijkiem, myślę, że nie jest chrześcijaninem ten, kto nie doświadczył szarości wiary. Jej źródłem jest bowiem nieobecność Boga, w którego trzeba uwierzyć. Ale to zaledwie połowa wyzwania. Trudniej uwierzyć w świętość szarego życia, które pozbawił koloru.

Trzech niedoszłych pastorów

Spektakularne i po dziś dzień największe wyzwanie rzucone filozoficznej, teologicznej i egzystencjalnej szarości było dziełem trzech niedoszłych pastorów, którzy przez pewien czas zajmowali wspólną stancję w Tybindze.

Był to chyba najsłynniejszy w historii pokój w akademiku. Połączył bowiem na długie lata Hegla, Hölderlina i Schellinga. Ich jedyne wspólne dzieło wydaje się nosić największy wpływ Schellinga, ale to Hölderlin był Poetą. Spisany ok. 1797 r. manifest, znany pod tytułem „Najstarszy program systemu niemieckiego idealizmu", głosił koniec państwa jako wielkiej administracyjnej maszyny i zapowiadał nadejście państwa żywego, rozwijającego się żywo i organicznie jako emanacja wolnych ludzi i obywateli.

Co do Boga i religii, niedoszli pastorowie odrzucali religię instytucjonalną i jej eschatologiczne konstrukty – wieczne zaświaty. Bóg i nieśmiertelność mieszkają w człowieku i każdy z nas może je w sobie odnaleźć. Potrzeba tylko czynnika, który to umożliwi. A jest nim piękno. Nic dziwnego, że najważniejszą rolę w akademiku odegrał poeta. Jak pisze Rüdiger Safranski, było to środowisko „opętane literaturą", pojmowaną jako energia do przetwarzania życia codziennego w budzące ekstazę dzieło sztuki.

Słowo poetyckie miało nieść witalną siłę przenikającą miłość, przyjaźń, obcowanie z naturą, a nawet uprawianie polityki. Kościół oskarżali o potajemny pakt z naukowym i rachującym rozumem, w celu korzystnego usadowienia się w nowoczesnej rzeczywistości politycznej i ekonomicznej. Nie odpychali człowieka w sekularność, ale byli rzecznikami rewitalizującej doświadczenie religijnej rewolty, która miała przywrócić człowiekowi doświadczenie szczęścia, jakie daje postrzeganie życia codziennego, jakby zamieszkiwał w nim nieśmiertelny Bóg. Pośród śmiertelnych ludzi.

Zadanie szalone. Nazwał je Hegel w „Fenomenologii ducha". Jego celem jest „życie, które potrafi śmierć wytrzymać i w niej się nadal zachować" (przeł. A. Landman). Łatwo powiedzieć. Nawet łatwo to wyśnić. Gorzej praktykować na jawie. Wykonane oznacza stan umysłu, w którym nie odczuwamy tragiczności życia, przenika nas pogoda i dobroć, przy jednoczesnej świadomości naturalnej i uczynionej przez człowieka niesprawiedliwości. I mimo tego nie opuszcza nas dobry humor.

Nie do pojęcia. Tak może patrzeć na świat tylko Bóg. Spoglądać z krzyża z zachwytem wobec życia i świata. Bez negacji, która jest najwłaściwszą postawą skrajnego cierpienia; nieuszlachetniającego bólu. Czy jest możliwe, aby odczuć to nie jako nakaz religijny czy kulturowy frazes trudnej afirmacji lub pokornej akceptacji? Tak, potrafią to Hölderlin i jego przewrotny kontynuator Różewicz – wielki poeta szarości. ↦

eprasa.pl 631e544192

moja szara strefa
powoli obejmuje poezję
biel nie jest tu absolutnie biała
czerń nie jest absolutnie czarna

Tadeusz Różewicz, **SZARA STREFA**

Rozpoznać szarość prawdy w koloryzowanej rzeczywistości oznacza zobaczyć w ukrzyżowaniu Jezusa – „szarego kota który w szarej trawie poluje na szarą mysz" („Szara strefa") – czyli zwyczajne dzieje ludzkiego okrucieństwa. Ale od tego miejsca rozpoczyna się praca poezji, której zadaniem jest pozwolić czytelnikowi osiągnąć „stan stałej, harmonijnej zmienności (...) poczucie radości istnienia, bycia w prawdzie i metaprawdzie zarazem" (Wiesław Rzońca „Friedrich Hölderlin, geniusz romantycznej dekonstrukcji", PIW 2025).

Jak uśmiechnąć się do życia

Ujmę to zadanie prościej: Jak uśmiechnąć się do życia w Wielki Piątek?

„Raczej już straciłeś go na wieki" – dowiaduje się o Bogu śniący bohater napisanej przez Jeana Paula „Mowy wypowiedzianej przez umarłego Chrystusa ze szczytu kosmicznego gmachu o tym, że nie ma Boga". Przebudziwszy się z wielkopiątkowego koszmaru widzi z zachwytem i ulgą, jak „słońce żarzyło się głęboko w dole za pełnymi, purpurowymi kłosami zboża i spokojnie przesyłało odblaski swojej zorzy wieczornej małemu księżycowi, który wstał rano bez jutrzenki; a między niebem i ziemią wesoły przemijający świat rozpostarł swe krótkie skrzydła i żył, jak ja, w obliczu nieskończonego Ojca. A od całej otaczającej mnie natury płynęły pogodne tony, jak odgłos dalekich dzwonów wieczornych" (przeł. M. Żmigrodzka).

A co ze snami, z których się nie budzimy?

W filmie „Hamnet" Chloe Zhao jest wstrząsająca scena finałowa, z matką pogrążoną w rozpaczy po śmierci synka. „Nie będzie powrotu. Nie da się cofnąć tego, co przygotował dla nich los. Jej syn umarł, mąż odejdzie, a ona zostanie; świnie wymagają codziennego karmienia, a czas biegnie tylko w jedną stronę" (M. O'Farrel „Hamnet", Papierowy Księżyc 2026). Ale kobieta ogląda spektakl i widzi, jak jej mąż przerobił tę śmierć na sztukę pt. „Hamlet". I nagle, kiedy cała publiczność teatralna płacze na widok umierającego Hamleta, ona jedna się uśmiecha. I my, widzowie filmu, płaczemy z nimi i uśmiechamy się razem z nią. Na naszych oczach wydarza się cud sztuki, który Hölderlin ujął w trzech wersach:

Miłość sprawia, że ma się
Oczy szeroko otwarte.
Wszelako co się ostaje, ustanawiają poeci

F. Hölderlin, **WSPOMNIENIE**, przeł. A. Libera

Tylko sztuka to potrafi. „Odmłodzić świat", czyli uczynić go w naszych oczach trwającym, dobrym i sensownym. „Boskim", choć Boga straciliśmy na wieki. Zostawił nam porzucony przez siebie świat; przekreślony na krzyż; i szarą monotonię powszechnego losu istot śmiertelnych. Nie ma Go z nami, więc nie ma sensu, ani jednej prawdy, ani wspólnych zasad. A mimo to wielu stara się żyć i działać tak, jakby świat mógł kiedyś być dobrym miejscem dla Boga.

Aby znów zwabiła Go piękna, szara codzienność.

Miasto już odpoczywa. Turkot ostatnich powozów
Migoczących światłami oddala się i ulica
Cichnie w poświacie latarni. Syci słodyczy dnia
Ludzie śpieszą do domu, by tam w spokoju i ciszy
Ocenić zysk i stratę. Opustoszał też rynek;
Zniknęły ze straganów winogrona i kwiaty,
I wszelkie rękodzieło. Tylko z dalekich ogrodów
Dochodzi cicha muzyka. Struny potrąca zapewne
Ktoś zakochany lub taki, co jest sam i wspomina
Młodość i dawnych przyjaciół. Słychać też wieczne źródła
Bijące z wonnego gruntu, i dzwon w gęstniejącym mroku,
I głos czuwającej straży, gdy ogłasza godzinę.

F. Hölderlin, **CHLEB I WINO**, przeł. A. Libera

© RYSZARD KOZIOŁEK

REKLAMA



eprasa.pl 631e544192

O. WACŁAW

Oszajca: *Święto miłości*



Jesteśmy wezwani do przeżywania chrześcijaństwa »z otwartymi oczami«. Wiara nie jest ślepym aktem, abdykacją rozumu ani ulokowaniem się w jakiejś pewności religijnej, która powoduje, że odwracamy wzrok od świata" – mówi papież Leon. Jeśli tak, to wiara zaczyna się od przyjęcia do wiadomości, że ludzkie życie dzieje się według znanego scenariusza: poczęcie, narodziny i śmierć. Życie „z otwartymi oczami" polegałoby na jego akceptacji. Czas więc przestać traktować świat jako „padół łez", śpiewać „przemień, o Jezu, smutny ten czas" i zarzucać Boga prośbami: daj, daj i daj! Zrób tak, żeby mnie ten, przecież Boży scenariusz, nie dotyczył. A skoro Bóg nie kwapi się ze spełnianiem tych żarliwych modłów, podnosimy bunt, obojętniejemy i w końcu zastępujemy Boga uzurpatorami, łudząc się, że dadzą nam te „łaski, których tak bardzo pragniemy i potrzebujemy". Inni rezygnują z Boga, uczciwie mówiąc, że nie potrafią uwierzyć Temu, który „zsyła łaski" dopiero, jak się Go ładnie o to poprosi.

Jeśli szukałbym dla ludzi rozczarowanych Bogiem i Jego wyznawcami, czyli Kościołem, jakiegoś dnia na wspólne z nimi świętowanie, wskazałbym Wielkanoc, która burzy złudne przekonanie, że „modlitwa wszystko może", a „Bóg sam wystarczy", wystarczy zawołać: „Jezu, Ty się tym zajmij". Burzy też złudne acz pobożne przekonanie, że Bóg w ten świat wbuduje coś w rodzaju rezerwatu „pewności religijnej" dla wybranych, w którym będzie jak w raju. Ten brak odpowiedzi, to milczenie Boga w świetle Świąt Paschalnych przeistacza się w głośne Jego wołanie właśnie o otwarcie oczu, czyli zobaczenie Go nie na zewnątrz świata, ale w świecie i w nas, skoro jesteśmy Jego dziećmi i ciałem Jego Syna Jezusa.

Papież Leon mówi: „W obliczu tak licznych pytań ludzkiego serca i dramatycznych sytuacji niesprawiedliwości (...) potrzeba wiary (...) która otwierałaby oczy na ciemności świata i wnosiła w nie światło Ewangelii przez zaangażowanie na rzecz pokoju, sprawiedliwości i solidarności". Bóg nie milczy, Jego głosem jest ludzka rozpacz i ból, zachwyt i radość. Udowodnił to Chrystus. W chwili śmierci Jezus z Nazaretu stracił wiarę i nadzieję: „Boże mój, Boże mój, czemu Mnie opuściłeś?". Została Mu miłość: „Wykonało się", „Ojcze, Tobie oddaję moje życie". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Bankructwo i zysk*



Ostatnio Liturgia uczyniła nas świadkami gwałtownego sporu: „Żydzi porwali kamienie, aby Jezusa ukamienować" (J 10, 31-42). Za bluźnierstwo: za to, że będąc człowiekiem, czyni się Bogiem. Jezus nie cofa się jednak ani o krok. Nie tylko potwierdza swoją boskość, ale mówi także, iż dowodzą jej Jego czyny: „Wierzcie moim dziełom, abyście poznali i wiedzieli, że Ojciec jest we Mnie, a Ja w Ojcu". Co więcej, stwierdza również, iż tę prawdę można odnieść do każdego człowieka – zwłaszcza do takiego, który słucha Słowa Bożego: „Czyż nie napisano w waszym Prawie: Ja rzekłem: Bogami jesteście?". To niesłychanie inspirujący cytat.

Najpierw dlatego, że Jezus słowem „Prawo" określa Psalm 82 („Ja rzekłem: Jesteście bogami i wszyscy – synami Najwyższego"; Ps 82, 6). Psalmy są dla nas raczej tekstem modlitewnym, nie prawnym; nie szukamy w nich norm: zakazów, nakazów, przepisów. A jednak! Jezus mówi nam jasno, że nasza modlitwa powinna wyznaczać drogi naszego postępowania: *lex orandi – lex operandi* (prawo modlitwy – prawem działania). Modlisz się do Ojca? Nie możesz nienawidzić Jego dzieci!

Jakie jest przesłanie Psalmu 82? Już sam jego początek jest uderzający – przedstawia Boga jako najwyższego Sędziego, dokonującego sądu pośród innych „bogów": „Bóg powstaje w zgromadzeniu bogów, pośrodku bogów sąd się odbywa". To, oczywiście, sąd nad ludźmi, którym zresztą Pan uświadamia ich boską godność. I dokładnie tak samo, jak w przypadku Jezusa w odnośnej Ewangelii, boską godność ludzi, którzy otaczają Najwyższego, można poznać po ich czynach. I tu nie chodzi wcale o cuda czy nadzwyczajne działania. „Ujmijcie się za sierotą i uciśnionym, wymierzcie sprawiedliwość nieszczęśliwemu i ubogiemu! Uwolnijcie uciśnionego i nędzarza, wyrwijcie go z rąk występnych!". Oto po czym rozpoznaje się synów i córki Boga. Boskie w ludzkich czynach jest miłosierdzie! Stanąć po stronie tego, kto jest słaby. Wybrać ubogich w tym świecie. Stać się ojcem/matką dla sieroty. Tak czyni Bóg. I tak czynią ludzie, którzy otwierają się na Jego myślenie, wybory i działanie. Czy wszyscy? Sąd należy do Boga. Ten jednak przestrzega: „Ja rzekłem: Jesteście bogami (...), lecz wy pomrzecie jak ludzie, jak jeden mąż, książęta, poupadacie". Tak. Brak miłosierdzia okrada nas z boskiej godności! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 631e544192

ROZMOWA

TO, CO PISZĘ, NIE POCHODZI ZE MNIE

JON FOSSE:

Najlepszą modlitwą jest modlitwa w ciszy.
Najlepsza literatura też powstaje wtedy, kiedy do twojego pisania wkracza cisza.

WOJCIECH BONOWICZ: O której się Pan zwykle budzi?

JON FOSSE: Kiedy byłem nastolatkiem, spałem najdłużej, jak się dało. Potem, już jako dorosły, długi czas budziłem się mniej więcej o siódmej. A od jakichś 10, może 15 lat wstaję koło czwartej. Moją najdłuższą powieść, „Septologię", pisałem między piątą a dziewiątą rano.

Pytam, bo czytając Pańskie utwory, można odnieść wrażenie, że wczesny świt to Pańska ulubiona pora dnia. Nie chodzi nawet o to, kiedy rozgrywają się wydarzenia. Chodzi o nastrój, jaki kojarzymy ze świtem – kiedy wszystko dopiero się zaczyna, światło i ciemność mieszają się, właściwie nie sposób powiedzieć, co jest czym. Wszystko jest jeszcze możliwe.

Rzeczywiście, chyba tak jest. Choć pisząc, zupełnie o tym nie myślę. Dla mnie ważny jest spokój. O tak wczesnej porze świat jest spokojny i ja sam jestem spokojny. Bergman nazwał ten czas „godziną wilka", ale ja ją lubię. Najlepszy czas, by pisać.

Ten nastrój zawieszenia, niezdecydowania wydaje mi się charakterystyczny dla Pańskiej twórczości. Jakby chciał Pan uchwycić jakąś rzeczywistość, zanim pojawią się pierwsze sądy na jej temat. Zanim okaże się dobra lub zła, wzniosła lub trywialna.

Moim zadaniem jako pisarza nie jest wydawanie osądów. Kundera napisał kiedyś, że w powieści każdy ma prawo do bycia zrozumianym. Każdego z bohaterów staram się więc traktować z sympatią, nawet tych, którzy nie są szczególnie mili. Powiedziałbym wręcz, że wszystkich swoich bohaterów kocham. Nie znajdzie się u mnie szorstkiej ironii czy sarkazmu.

Odkryłem to dosyć wcześnie, że aby pisać, nie mogę mieć z góry określonego stosunku do żadnej postaci czy tematu.

Rozumienie rzeczywistości, zajęcie takiej, a nie innej postawy wobec niej, a pisanie to dwie różne sprawy?

Pierwszą powieść napisałem jako dwudziestoparolatek. Studiowałem wtedy filozofię i literaturoznawstwo. I szybko zdałem sobie sprawę, że język teoretyczny, konceptualny jest czymś zupełnie innym niż konkretny język literatury. Pracowałem też jako dziennikarz, jednak świadomość, że literatura to coś innego, nigdy mnie nie opuściła. Literatura – wartościowa literatura – wytwarza własny, osobny język.

Co nie zmienia faktu, że refleksja teoretyczna wkracza do Pańskiej twórczości. A w każdym razie do „Septologii".

„Septologia" jest wyjątkiem. Napisałem przeszło 70 różnych utworów, ale tylko w niej pozwoliłem sobie na włączenie fragmentów bardziej teoretycznych czy eseistycznych. Zresztą jeden jedyny raz w mojej twórczości pojawiają się tam też nazwiska artystów czy myślicieli, takich jak Lars Hertervig, Georg Trakl czy Mistrz Eckhart. Miałem trochę obaw, uznałem jednak, że akurat tej powieści fragmenty eseistyczne mogą się przysłużyć.

Ale skoro o tym mowa, to muszę wyznać, że było ich o wiele więcej, i w ostatecznej redakcji z wielu zrezygnowałem. Wydaje mi się, że te, które zostawiłem, nie obciążają powieści nadmiernie.

Główny bohater, Asle, jest naturą refleksyjną, artystą stawiającym sobie pytania o sens sztuki, którą tworzy.

I o co chodzi w jego własnym życiu, prawda? Powtarza, że nie jest myślicielem, ale ciągle do tych pytań wraca. I odpowiada na nie tak, jak potrafi. Choć nie jest to powieść w ścisłym sensie realistyczna, to zależało mi, żeby jego refleksje brzmiały naturalnie. Mówi o tym, co przeczytał i co przemyślał.

Mam wrażenie, że w Pańskich utworach najważniejszą sprawą jest stworzenie pewnej aury, zbudowanie przestrzeni, którą miałoby się ochotę nazwać przestrzenią tajemnicy. Zgadza się Pan, że to ważniejsze

eprasa.pl 631e544192



FREDRIK SANDBERG / TT NEWSAGENCY / FORUM

JON FOSSE (ur. 1959) jest norweskim pisarzem i dramaturgiem, laureatem Literackiej Nagrody Nobla 2023. „Septologię" i „Białość", w przekładzie Iwony Zimnickiej, wydało ArtRage. „Misterium wiary. Jon Fosse w rozmowie z Eskilem Skjeldalem" opublikowało wydawnictwo WAM.

niż poszczególne wątki, bohaterowie czy zdarzenia?

Tak, zgadzam się. Ani bohaterowie, ani temat, ani nawet język nie są tu kluczowe. Kiedy piszę, robię to bez planu. Po prostu wsłuchuję się w to, co już napisałem. Heidegger powiedział, że sztuka się nam przydarza. I rzeczywiście tak jest. Pisząc, nie wymyślam niczego, tylko nasłuchuję. Przypomina to komponowanie muzyki albo malowanie obrazu.

Trudno mi o tym mówić, jestem zbyt zaangażowany w to, co piszę. Ale ta metafora przestrzeni wydaje mi się trafna. Moje pisarstwo na pewno zawiera jakieś przesłanie, ale gdy mnie pytają, jakie, odpowiadam: nie wiem, próbuję się dowiedzieć.

Nasłuchuję, a potem staram się zapisać to, co usłyszałem. I staram się zrobić to jak najlepiej, wykorzystując całą moją wiedzę o literaturze i języku. Niemniej kluczowe jest nasłuchiwanie. Podążam za intuicją, przy czym intuicja to coś więcej niż wyczucie języka. Zresztą może „intuicja" to nienajlepsze słowo. Intuicja pochodzi z wewnątrz mnie, a tu mamy do czynienia z czymś innym. Zamiast o intuicji, wolę mówić o konieczności.

W jakim sensie?

Mam bardzo silne przekonanie, że to, co piszę, nie pochodzi ze mnie, ale spoza mnie. Że istnieje, zanim usiądę do pisania, i że zniknie, jeśli nie zdążę tego zapisać. Często powtarzam, że nie piszę, aby wyrazić siebie, ale – aby od siebie uciec.

Dobrym przykładem budowania tajemniczej przestrzeni, o której mówimy, jest krótka powieść „Białość". Bohater pod wpływem niejasnego impulsu wjeżdża w las, jego samochód grzęźnie w śniegu, więc porzuca go i zaczyna błądzić w ciemności w poszukiwaniu pomocy. Las jest dla niego tyleż przestrzenią zewnętrzną, co wewnętrzną. I nagle w tej ciemności pojawia się „świetlista istota", nie wiadomo – anioł, Bóg, przywidzenie. A w zakończeniu wszystko zatopione zostaje w mocnym świetle, które opisane zostaje jako pustka, nicość. Czy to opowieść o przemianie? O śmierci?

Najbardziej szczera odpowiedź brzmi: nie mam pojęcia. Kim jest ta świetlista istota? Dlaczego w pewnym momencie bohater spotyka w lesie swoich rodziców? I co oznacza to światło na końcu wędrówki? Nie wiem. Wiem, że to światło musi tam być. Że aby tekst zadziałał, musi pojawić się jakiś inny wymiar, powiedzmy – transcendentny. Coś większego niż życie. Czuję, że muszę ten wymiar wprowadzić, a kiedy to robię, opowieść dostaje skrzydeł, wznosi się, leci. Tyle mogę powiedzieć. ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ Nawiasem mówiąc, „Białość" napisałem po zakończeniu pracy nad „Septologią". Chciałem, żeby to było coś krótkiego, w kontraście do dzieła, które liczyło jakieś 1500 stron. Potrzebowałem odpoczynku.

Literatura i duchowość nieczęsto dziś chodzą w parze. A u Pana tak właśnie jest.

Owszem. Ale muszę zastrzec, że nie chodzi o żadne dogmaty, lecz o obecność transcendentnego wymiaru, który wpływa na nasze życie. Doświadczyłem tego wielokrotnie, także jako pisarz.

Co np. sprawiło, że zacząłem pisać? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Na pewno pomogła mi świadomość, że to, co widzialne, nie jest wszystkim, co istnieje. Wielu ludzi ignoruje to, co niewidzialne. Ale ja, już jako bardzo młody człowiek, czułem, że nie można tego ignorować. Powiedziałbym wręcz, że dobry wiersz czy w ogóle dobra literatura to taka, w której uobecnia się to, co niewidzialne.

Każda z siedmiu części „Septologii" kończy się modlitwą, którą główny bohater odmawia najpierw po łacinie, a potem w swoim ojczystym języku. Dość odważny pomysł.

Miałem wiele obaw związanych z tą powieścią. Martwiłem się, że jest za długa i że starzejący się malarz (albo dwóch malarzy, jak kto woli) to nie jest bohater, który kogokolwiek zainteresuje. W dodatku jest katolikiem, więc z konieczności w powieści muszą się pojawić rozważania dotyczące drogi, jaka doprowadziła go do wiary. Bałem się, że nikt tej powieści nie polubi – ani w Norwegii, ani w całym, mocno zsekularyzowanym świecie.

Byłem zaskoczony, kiedy okazało się, że jest zupełnie na odwrót. Powieść została bardzo dobrze przyjęta, w wielu krajach świetnie się sprzedawała, otrzymała kilka ważnych nagród. Nie bałem się o jej formę, wiedziałem, że od strony estetycznej jest udana, ale myślałem, że ten wątek dotyczący duchowości będzie dla niej obciążeniem. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie.

Często podkreśla Pan, że Pańskie utwory są dalekie od autobiografizmu. Ale akurat w przypadku „Septologii" – mimo iż jej bohaterem uczynił Pan malarza – trudno uciec od skojarzeń. Przeszedł Pan podobną drogę jak Asle.

Dzisiejszy świat nie bardzo wierzy w łaskę.
Nawet wierzący nie zawsze w nią wierzą. A kiedy przestajesz wierzyć w łaskę, zaczynasz wierzyć w siłę.

Ta powieść jest swoistym podsumowaniem wszystkiego, co do tej pory zrobiłem. I oczywiście nie jest autobiograficzna. Ilekroć próbowałem opisywać swoje przeżycia tak, jak ich doświadczyłem, było to literacko nieudane. Brakowało przestrzeni, o której mówiliśmy, tego transcendentnego lotu.

Aby mogła powstać literatura, musiałem znaleźć odpowiednią formę. Przy czym mówiąc o formie, mam na myśli także pewien komponent muzyczny, rytm, w jakim to jest napisane. A nawet rozmaite drobne rzeczy – np. kiedy trzeba rozstrzygnąć, czy użyć jakiejś metafory, czy nie.

Powtórzę: kluczowe jest nasłuchiwanie. To wciąż mój głos, a jednocześnie efekt owego wsłuchiwania się w coś, co jest poza mną. Jest szereg podobieństw między mną a Aslem i jednocześnie mnóstwo niepodobieństw. W przeszłości bywały okresy, kiedy trochę malowałem, mam też sporo przyjaciół malarzy. Nie wiem dlaczego, ale chyba nie byłbym w stanie napisać powieści, której bohaterem byłby pisarz. Żeby mogła powstać literatura, potrzebny jest dystans. Tak, ta powieść nie jest o mnie.

Mówi się, że każdy pisarz ma swojego demona – lub demony – z którymi musi się zmagać. Czy „Septologia" jest zmaganiem z osobistymi demonami?

Zapewne jest coś na rzeczy. Pisząc, stacza się walkę ze swoimi demonami, a jednocześnie w pewien sposób się z nimi współpracuje. Nie wiem, czy można tworzyć literaturę, nie czując w sobie tej demonicznej siły. Oczywiście, proszę Boga, żeby wynikło z tego coś dobrego. Dla starożytnych Greków demon niekoniecznie był zły, dopiero chrześcijańska tradycja nadała temu określeniu pejoratywne znaczenie.

Mogą być różne demony, choćby tak jak w przypadku Aslego i moim – demon picia. Konsekwencje działania takiego demona bywają złe: ranisz siebie i bliskich. Ale z drugiej strony, ten demon, ta siła, formuje twoje życie, wpływa na to, kim jesteś. Bez tych doświadczeń byłbyś kimś innym. Myślę, że każdy z nas czuje to zmaganie rozmaitych sił w swoim wnętrzu.

Kiedy piszę, czuję, że to, co robię, ma wymiar demoniczny. Ale jest też inny wymiar – anielski. W miarę jak piszę, zaczynam coraz więcej rozumieć. Wszystko się układa.

Mówi Pan, że pisanie jest wsłuchiwaniem się. Ale wsłuchiwaniem w co? W głosy rzeczywistości? W głos Boga? W ciszę?

Nie wiem. I sądzę, że gdybym znał odpowiedź, pisanie przestałoby mnie interesować. Ono jest interesujące jedynie jako droga do czegoś nowego, nieznanego. Dzięki pisaniu może się pojawić coś, czego nie było. Coś, co istniało gdzieś tam i czekało, aż zostanie usłyszane.

Pisanie przypomina modlitwę. Modlitwa też przecież jest ucieczką od samego siebie. Nie chodzi o to, żeby wyrazić siebie, ale zwrócić się ku czemuś większemu niż ja. Ten zwrot ku nieznanemu jest znamienny.

Gdybym pisząc, myślał o tym, że jakaś konkretna osoba będzie czytać moją powieść albo oglądać moją sztukę, zapewne nic bym nie napisał. Straciłbym całą ochotę. Pisząc, nie zwracam się więc do nikogo konkretnego – ale jednak do kogoś się zwracam. I sądzę, że tego, do kogo się zwracam, można nazwać Bogiem. Dlatego porównałem pisanie do modlitwy. Bóg jest pierwszym czytelnikiem.

Najlepszą modlitwą jest modlitwa w ciszy. I najlepsza literatura powstaje wtedy, kiedy do twojego pisania wkracza cisza.

Co to znaczy?

Gdzieś za tym językiem, którym się posługujesz, zjawia się drugi – język milczenia. Istnieje druga strona rzeczywistości, która przemawia ciszą. W dobrej literaturze da się tę ciszę usłyszeć.

Domyślam się, że nie chodzi tylko o zwykłe pauzy.

Oczywiście, chodzi o coś więcej. Można to nazwać ciszą, można przestrzenią, można Bogiem. Bardzo trudno to wyjaśnić. To coś, co wymyka się opisowi, a za-

eprasa.pl 631e544192

razem decyduje o tym, czy literatura będzie dobra, czy nie.

Czasami w teatrze w trakcie przedstawienia przychodzi taki moment, że nagle wszystko do siebie pasuje, wszystko jest takie, jak powinno być. Czujesz, że przez scenę i przez widownię przepływa jakiś strumień, coś, czego nie potrafisz nazwać, ale co jednocześnie jest realne, niemal namacalne. I to dotyczy całej literatury. Joyce nazwał to epifanią. Literatura potrzebuje epifanii, wypełnienia.

Wydana niedawno po polsku książka rozmów z Panem – „Misterium wiary" – powstała niedługo po tym, jak wstąpił Pan do Kościoła katolickiego. Skąd taka decyzja?

Przeszedłem długą drogę. Najpierw, jak większość rodaków, należałem do Kościoła Norwegii, czyli byłem luteraninem. Była to przynależność w znacznej mierze formalna; na dodatek to, co słyszałem w moim kościele, wydawało mi się po prostu głupie, więc w wieku 16 lat postanowiłem wystąpić. Przez pewien czas uważałem się za ateistę, jako nastolatek czytałem Marksa. A jednocześnie pisałem. I literatura sprawiła, że wróciłem do religii.

W jaki sposób?

Zacząłem się zastanawiać, skąd właściwie bierze się moje pisanie. Materialistyczne próby wyjaśnienia tego, czym jest twórczość, nie wydały mi się przekonujące. Pisanie otworzyło mnie na duchowość. Uznałem, że jestem człowiekiem wierzącym. Że słowo „Bóg" jest dla mnie ważne, nawet jeśli nie umiem nic o Bogu powiedzieć.

Zapragnąłem znaleźć się wśród ludzi, którzy wierzą. Tak trafiłem do wspólnoty kwakrów w Bergen. Była to mała grupa, 5-6 osób. W całej Norwegii jest raptem 150 kwakrów. Nie mają duchownych ani dogmatów, są pacyfistami. Podczas spotkań siedzieliśmy w kręgu, nic nie mówiąc, tylko koncentrując się na wewnętrznym świetle, przez które przemawiał do nas Bóg.

Po jakimś czasie opuściłem tę wspólnotę, ale wciąż w jakimś stopniu uważam się za kwakra. Mój styl myślenia jest bardzo kwakierski, niedogmatyczny.

Dlaczego więc Pan odszedł?

Spotkania w tak małej grupie nie wystarczały mi. Któregoś razu poszedłem w Bergen na mszę do kościoła katolickiego i spodobało mi się. Religijność kwakrów nie potrzebuje liturgii ani żadnych znaków. A ja polubiłem liturgię, jej rytm. W dodatku od lat czytałem Mistrza Eckharta, równolegle z moimi studiami filozoficznymi. Powiedziałem sobie: skoro Eckhart był katolikiem i umarł jako katolik, to i ja mogę. Było to już w latach 80. ubiegłego wieku, ale wtedy nie byłem jeszcze gotów wstąpić do Kościoła.

To co o tym zdecydowało?

Moja druga żona, która jest Słowaczką, pochodzi z katolickiej rodziny. Dzięki niej zacząłem poznawać katolicyzm od strony praktycznej, lepiej rozumieć liturgię – dlaczego w jednych momentach trzeba stać, a w innych klęczeć. Dla wyznawców to oczywiste rzeczy, ale dla mnie wszystko było nowe. Cały czas też dużo czytałem. Kiedy już byłem gotowy dokonać konwersji, jeden z przyjaciół skontaktował mnie z biskupem.

W książce „Misterium wiary" nazywa Pan siebie „katolikiem z ostatniej ławki".

Bo tak jest. Większość rzeczy w nauczaniu Kościoła mi się podoba. Są też takie, które trudno mi zaakceptować. Np. to, że całe grupy ludzi – żyjące w związkach niesakramentalnych czy homoseksualne – z zasady pozbawione są dostępu do komunii. Mogą być bardzo wierzące, zaangażowane, bardzo tej komunii pragną, a jednak nie są dopuszczone do Wieczerzy Pańskiej. Wydaje mi się to niesprawiedliwe. Czy mówiąc tak wiele o Bożym miłosierdziu, można nakładać na ludzi takie ograniczenia? Ja sam mogę przyjmować komunię, bo moje pierwsze małżeństwo nie było sakramentalne...

Jednocześnie zależy Panu, żeby Kościół katolicki zachował swoją liturgię, nie „sprotestantyzował" jej. Nie ma Pan nic przeciwko kapłaństwu kobiet, ale celibat duchownych chciałby Pan utrzymać.

Tak, jestem dość osobliwą mieszaniną konserwatyzmu i postępowości. Myślę, że papież Franciszek też był kimś takim. Po Noblu dostałem od niego bardzo miły, osobisty list.

W książce mówi Pan: „Dogmaty Kościoła przeszkadzają mi mniej niż dziki i brutalny kapitalizm panoszący się na całym świecie".

Kiedy znika tajemnica, życie zaczyna być objaśniane i traktowane zbyt mechanicznie. Religia nie pozwala sprowadzić go tylko do takiego czy innego aspektu. Przeczytałem cały katechizm i nawet jeśli z tym czy owym się nie zgadzam, to większość akceptuję. Siłą Kościoła jest to, że zachowuje tradycję, a jednocześnie nieustannie się zmienia.

A co katolicyzm ma do zaoferowania pisarzowi?

Przez wiele lat byłem mocno uzależniony od alkoholu. Piłem w dzień i w nocy. Piłem z tego samego powodu, dla którego pisałem – żeby od siebie uciec. Ale kiedy byłem pijany, nie mogłem pisać, pisanie szło mi dobrze tylko na trzeźwo.

I kiedy w końcu udało mi się przestać pić, musiałem poszukać czegoś, co pozwoli mi uciec od siebie w inny, mniej samobójczy sposób. Zamiast jak zwykle do baru, poszedłem na mszę. I ta msza mnie porwała. Dosłownie zabrała mnie od tego kogoś, kim byłem – i kim nie chciałem być – i przeniosła gdzie indziej.

Tak więc katolicyzm miał wpływ na moje życie – chociaż pić przestałem wcześniej, zanim się do niego zwróciłem. Natomiast nie wiem, czy ma wpływ na to, co piszę. Asle, bohater „Septologii", jest katolikiem, więc z konieczności jest tam wiele fragmentów poświęconych wierze.

Ale właściwie wszystko, co napisałem, mógłbym napisać, nie będąc katolikiem. „Białość" mogłaby powstać równie dobrze przed nawróceniem. Chociaż... Pamiętam, przed wielu laty była w Sztokholmie premiera mojej drugiej czy trzeciej sztuki, zatytułowanej „Dziecko". I jeden z wpływowych szwedzkich krytyków, Leif Zern, po obejrzeniu przedstawienia stwierdził, że autor sztuki na pewno jest katolikiem.

Jeszcze jeden powód, by mówić o wierze jako tajemnicy.

Wiara jest łaską. A dzisiejszy świat nie bardzo wierzy w łaskę. Nawet wierzący nie zawsze w nią wierzą. A kiedy przestajesz wierzyć w łaskę, zaczynasz wierzyć w siłę. I jednym z głównych problemów Kościoła jest właśnie to, że wciąż nie potrafi w czytelny sposób rozstrzygnąć, czy zaufać sile, czy łasce.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

eprasa.pl 631e544192

PSYCHE

TO, CZEGO NIE SŁYSZYMY

Relacje rodzinne są ze swej istoty przepełnione konfliktem.
Rzecz nie w tym, by uczynić je bardziej harmonijnymi,
ale by znaleźć język,
za pośrednictwem którego można o tym konflikcie rozmawiać.

CVETA DIMITROVA

M2 FILMSX2

Mała dziewczynka przykłada ucho do piecyka i nasłuchuje rozmów, które toczy jej mama, psychoterapeutka, w pokoju poniżej. Nie wszystko rozumie, ale coś do niej dociera. Amerykański fotograf Gregory Crewdson jako dziecko podsłuchiwał rozmowy swojego ojca, psychoanalityka, który miał gabinet w suterenie ich domu.

To doświadczenie przełożył później na obrazy. Podsłuchiwanie i zaglądanie w to, co najbardziej intymne, pociąga i zarazem przeraża, ale często tak naprawdę niewiele słyszymy, bo sami czujemy się niesłyszani.

Nagrodzona dopiero co Oscarem „Wartość sentymentalna" (najbardziej zapadła mi w pamięć melodia piosenki Terry'ego Calliera „Dancing Girl") to jedna z wielu opowieści o potrzebie bliskości i tęsknocie za nią, ale jej siła polega na tym, że wykracza daleko poza kino.

Ten film uderza tym, jak bardzo pragniemy być usłyszani. Problem w tym, że słyszenie innych wymaga miejsca, którego często w sobie nie mamy. Nie słuchamy ani nie słyszymy częściej nie z braku dobrej woli, ale po prostu dlatego, że nie potrafimy, bo nam samym zabrakło tego doświadczenia.

Słuchając innych, słyszymy tak naprawdę siebie

Słyszenie drugiej osoby rzadko kiedy jest neutralne – uruchamia w nas obszary, które bywają dla nas nieznośne, z którymi nie umiemy sobie radzić, których nie chcemy czuć. Przeżywamy zawstydzenie i poczucie winy. Im głębsza więź, tym większy potencjał zranienia.

Stosujemy uniki, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, bo od najwcześniejszych lat nasiąkamy przekonaniami i emocjami swoich rodzin. Uczymy się, jak obchodzić się ze sobą i z innymi. Co uchodzi za właściwe i dopuszczalne, a od czego odwraca się wzrok. Częściej uciekamy nie od drugiego człowieka, ale od tego, co jego słowa, obecność i doświadczenie wywołują w nas samych.

Nasze wewnętrzne melodie zabarwiają rzeczywistość, ale bywamy z nimi tak zżyci, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, że w nas grają. Zawsze słuchamy z pewnego miejsca i w pewnej tonacji, a to decyduje o tym, co i w jaki sposób jesteśmy w stanie usłyszeć. Nasze lęki i braki dyktują naszą gotowość do przyjęcia cudzej perspektywy, a nieraz całkowicie determinują to, jak ją widzimy, nie zostawiając nawet miejsca na wysłuchanie drugiego.

Uciekamy się do szybkiego naprawiania siebie, do bagatelizowania, do zaprzeczania, bo obecność drugiego zawsze nam coś robi. Im więcej tego, co w nas samych nieprzeżyte i nieopowiedziane, tym mniej miejsca zostaje również na cudzą odrębność – włączamy innych we własną opowieść, piszemy własny scenariusz, odmawiając innym, zupełnie nieintencjonalnie, tego samego prawa. Wyjście poza tę perspektywę wymaga odwagi.

Rzecz jest o tyle złożona, że zanim się w sobie rozejrzymy, sami jesteśmy już domem umeblowanym przez historie naszych bliskich z poprzednich pokoleń, przez to, jak były one przez nasze otoczenie przetwarzane, co zostało wydobyte, a co przemilczane.

To wszystko nie znika – po prostu kształtuje naszą rzeczywistość, określa granice naszego ruchu, wpływa na to, jakie emocje dominują, a im mniej jest uświadomione, tym bardziej uporczywie powraca. Nasze światy wewnętrzne zamieszkane są przez setki opowieści, z których nawet nie zdajemy sobie sprawy.

Nieszczęścia rodzinne są zawsze niepowtarzalne

Brytyjski psychoanalityk Adam Phillips zwraca uwagę, że freudowska psychoanaliza od zarania koncentrowała się na tym,

eprasa.pl 631e544192



Stellan Skarsgård w filmie „Wartość sentymentalna”

co w rodzinach nie funkcjonuje dobrze, ale nie daje obrazu tego, co mogłoby działać w nich lepiej. Jesteśmy zależni od naszych osobistych historii.

Niemniej to, co ludzie wobec siebie czują, pozostaje kluczowe, dlatego psychoanaliza nie jest „leczeniem przez mówienie”, ale właśnie „leczeniem przez słuchanie” – tworzeniem przestrzeni dla wypowiedzenia swoich uczuć, bez natychmiastowych rad i rozwiązań w odpowiedzi.

Dopiero mówiąc do drugiej osoby, możemy usłyszeć siebie i odkryć, co czujemy i przeżywamy. Właśnie ta prawda bywa w relacjach nie do zniesienia. Relacje często nie rozpadają się z powodu braku uczuć, ale z powodu niemożności usłyszenia się nawzajem. A więc nie chodzi o brak komunikacji, lecz brak przestrzeni, w której to, co zostaje powiedziane, może zostać przyjęte.

Historie rodzinne z traumą w tle są tyleż jednostkowe, co uniwersalne. Słynne słowa Tołstoja, otwierające „Annę Kareninę” – że „wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób” – znajdują w „Wartości sentymentalnej” swoje potwierdzenie. Nieszczęście ma swój nastrój, kontekst, melodię – swoją niepowtarzalność. Rozminięcia, ból utraty, konflikty, nieporozumienia, opuszczenie, bliskość i oddalenie są głęboko wpisane w istotę ludzkiego doświadczenia.

W opowieści Nory, zawartej w eseju szkolnym i przedstawionej w pierwszych ujęciach „Wartości sentymentalnej”, dom staje się nośnikiem i świadkiem historii, losów oraz zmagań jej rodziny. Jego ściany pamiętają nie tylko obrazy, ale i dźwięki – odgłosy narodzin, śmierci, dziecięcej radości, kłótni małżeńskich, a potem dojmującą ciszę, która zapada po wyprowadzce ojca.

Dom jest przestrzenią, która mieści w sobie emocje swoich mieszkańców – te, których oni sami nie są w stanie dźwignąć. To, co nie znajduje języka, nie znika, ale zostaje we wspólnej przestrzeni i przenika relacje – z pokolenia na pokolenie.

Wiedza terapeutyczna nie chroni przed zranieniem

Dorosła już Nora siedzi w garderobie, nie może zaczerpnąć powietrza, spętana nie tylko sztywnym gorsetem, ale także czymś w rodzaju ataku paniki, który nawiedza ją tuż przed wyjściem do publiczności. Jest doświadczoną aktorką teatralną, bezbłędną na scenie, ale poza nią zagubioną, odciętą od swoich uczuć, które dają o sobie znać przez symptomy cielesne.

Gdy wreszcie staje przed publicznością, jej bohaterka krzyczy z całą mocą: „słuchaj!”. Na scenie komunikuje coś, co w niej żyje, ale tylko w ten sposób może to przeżywać – w życiu nie słyszy własnych uczuć, a gniew przesłania jej słyszenie innych. Dla Nory sztuka jest formą pośrednią, która mieści to, czego ona sama nie umie w sobie rozpoznać i unieść, a co zarazem znajduje w jej rolach swój wyraz.

Jej siostra Agnes inaczej poradziła sobie z opuszczeniem przez ojca i z historią rodzinną – założyła własną rodzinę, a spokój znalazła w stabilnej pracy historyczki, starając się rozumieć innych, ale nie zagłębiając się zanadto w siebie. Stabilność i przewidywalność też są sposobem, żeby radzić sobie ze zranieniem, nie muszą być koniecznie jego przeciwieństwem.

Sissel, czyli matka Nory i Agnes, musiała – jako praktykująca psychoterapeutka – wysłuchać wielu osobistych historii w swoim gabinecie. To doświadczenie, a tym bardziej wiedza nie mogły jej uchronić ani przed rozpadem małżeństwa, ani przed depresją, podobnie jak jej córek przed bólem relacyjnym. Takie przygotowanie nie daje odporności na własne uwikłania ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ ani nie uzdrawia własnych obciążeń. Może Sissel również brakowało przestrzeni na bycie usłyszaną we własnym domu?

Filmowy dom rodzinny staje się nośnikiem emocji nie tylko wspomnianych bohaterek, ale kilku pokoleń, ponieważ jest świadkiem przeżyć jego mieszkańców, ich tragedii. Ból straty i opuszczenia jest przekazywany z pokolenia na pokolenie, bezwiednie, w sposób przemilczany, a zarazem żywotnie obecny.

Matka Gustava, ojca dziewczynek, będąc ofiarą represji nazistowskich, popełnia w tym domu samobójstwo. Widać, jak historia się powtarza – on również został opuszczony. Nora sądzi, że wybrał karierę zawodową, nie wie i nie rozumie, że być może uciekł przed wspomnieniem, którego nie był w stanie udźwignąć, przed miejscem, które pamiętało o tym zdarzeniu. Zranienie nie zaczyna się od jednej osoby, jest powielaną historią w kolejnych pokoleniach, które stają się jego nieświadomymi nosicielami.

Konflikt nie jest wadą czy skazą naszej relacji

Słuchanie wymaga czasu i przestrzeni. Niektóre emocje i przeżycia są nie do zniesienia właśnie dopóty, dopóki nie zostaną opowiedziane. Taką opowieścią ma być nowy scenariusz napisany przez Gustava dla Nory – rola, którą ona początkowo odrzuca. Dopiero przeczytawszy scenariusz pod wpływem siostry, odnajduje w nim jakoś siebie, widzi siebie, słyszy siebie w opowieści ojca, który mimo swojej nieobecności zaskakująco dobrze ją wyczuwa.

Najtrudniejszą rzeczą jest wpuścić, usłyszeć, co ta druga osoba ma do powiedzenia, zanim poczynimy – pewnie i słuszne – wnioski na podstawie własnych zranień. Początkiem pojednania jest chwila, gdy druga osoba przestaje być tylko figurą naszej krzywdy, kiedy zaczynamy dostrzegać, że ona też coś w sobie nosi i czuje.

Relacje rodzinne są z istoty swej przepełnione konfliktem; rzecz nie w tym, żeby uczynić je bardziej harmonijnymi, ale żeby znaleźć język, za pośrednictwem którego można o tym konflikcie rozmawiać. Konflikt nie jest wadą czy skazą relacji. Nie jest też dowodem jej porażki.

Gniew i rozczarowanie, ambiwalencja, rywalizacja, potrzeba uznania to uczucia, których nie możemy uniknąć – właśnie tam, gdzie jesteśmy najbardziej zależni i potrzebujący. Problemem nie są te uczucia, ale to, że brakuje nam języka, by je ubrać w słowa, gdy w nich utykamy, nawet o tym nie wiedząc. Milczenie i unik nie usuwają konfliktu – sprawiają jedynie, że działa spod spodu – przez symptomy i powtórzenia.

Jeśli więc ten film jest obrazem jakiegoś pojednania i odzyskania łączności, to jest to obraz niedosłowny – taki, który, mimo że poniekąd czerpie z psychoterapeutycznej opowieści o najgłębszych pragnieniach i potrzebach człowieka, zarazem nie dostarcza gotowych odpowiedzi.

Unikanie konfrontacji z przeszłością, bólem, pretensją, poczuciem straty i rozgoryczeniem jest oczywiście sposobem przetrwania. Jednak dopiero uniesienie tych wszystkich uczuć, zrobienie dla nich miejsca, daje szansę na zmianę, na powrót do siebie, na uznanie własnego doświadczenia.

> Dopiero mówiąc do drugiej osoby, możemy usłyszeć siebie i odkryć, co czujemy i przeżywamy. **Właśnie ta prawda bywa w relacjach nie do zniesienia.**

Miłość nie unieważnia odrębności

Siłą, która znosi oddalenie, niemożność patrzenia i słyszenia, jest więź, jakiś fundament, miłość – jakkolwiek ją definiujemy.

Nie chodzi jednak o miłość pozbawioną wybojów, taką, w której sprawy toczą się gładko i w której nie doświadczyliśmy zranień. Miłością może być odwaga usłyszenia siebie i drugiego; pojednanie z uwzględnieniem różnic; przyjęcie tego, że moja wersja zdarzeń i to, co zdarzyło się innym, są tak samo prawdziwe. Że drugi nie pozbawia mnie własnej historii.

Być może miłość nie polega na pełnym zrozumieniu, lecz na gotowości, by nie unieważniać cudzej odrębności tylko dlatego, że rani ona nasze własne wyobrażenie o tym, co się wydarzyło.

Dlatego w tej tęsknocie i pragnieniu sprowadzenie cierpienia do kłopotów z komunikacją czy nieporozumień jest drogą na skróty. W dzisiejszych czasach podsuwana jest nam opowieść – a my ją ochoczo chwytamy – że jeśli popracujemy nad sobą, załagodzimy konflikty, przepracujemy traumy, łączność z innymi odzyskamy w prostym, linearnym ruchu.

Tymczasem inna, psychoanalityczna z ducha perspektywa zwraca uwagę na dysharmonię – na to, że tym, co możemy, jest nauczyć się z nią żyć. Żyć z krzywdą, z tęsknotą, z cierpieniem, którego sami w sobie całkiem nie rozpoznajemy – i nie przestawać dostrzegać innych. Czasem wydaje się, że opowieści to wszystko, co mamy.

Bycie wysłuchanym wspiera relację

Język filmowy i artystyczny, cierpiący na własne uwikłania, pokazuje rzeczy, których wielowymiarowości i afektu dosłowność interpretacji nas pozbawia. Są przecież doświadczenia, których nie da się odzyskać wprost – można jedynie zbliżyć się do nich przez metaforę, obraz, ton, muzykę, spojrzenie, pauzę.

W swoim słynnym przemówieniu na pogrzebie prof. Marii Janion Olga Tokarczuk podkreślała, że „największą chorobą naszych czasów stał się literalizm – tendencja do ograniczającej myślenie dosłowności". Dlatego właśnie „Wartość sentymentalna" jest wartością uczucia i przeżycia, pokazania i rozpoznania, a nie dramatem rozgrywającym się w terapeutycznym gabinecie. Czasem połączenie dokonuje się w subtelnym geście, w drobnej chwili uznania, w przejściowym dostrojeniu.

„Bycie wysłuchanym może sprawić, że stajemy się zdolni znieść – a nawet polubić – słuchanie samych siebie i innych; od tego zaś zależy sama demokracja" – przypomina Adam Phillips. Być może właśnie pojednanie zaczyna się nie od rozwiązania konfliktu, lecz od odnalezienia siebie w cudzej historii, tym razem nie przez podsłuchiwanie, ale nasłuchiwanie tego, co mamy do powiedzenia sobie nawzajem. Z takiej obecności bierze się przestrzeń, w której nikt nie musi już krzyczeć, by zostać usłyszanym.

© CVETA DIMITROVA

eprasa.pl 631e544192

TYGODNIK POWSZECHNY

Najnowsze wydanie specjalne o psychologii relacji

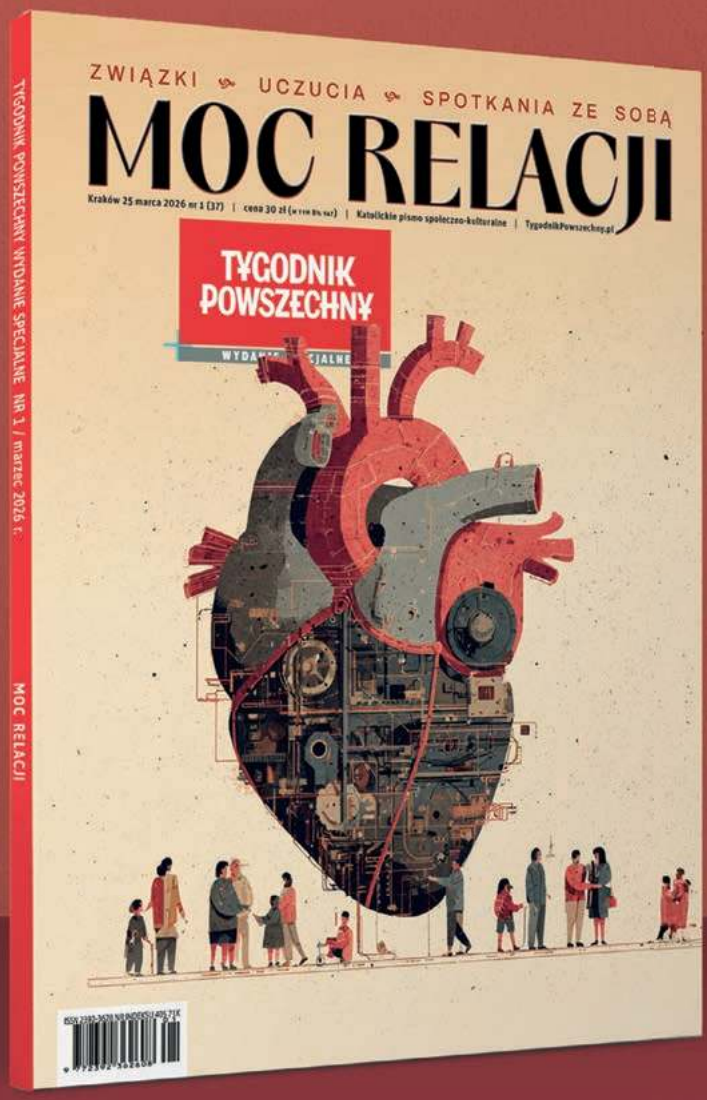

Zamów:
sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 631e544192



KRAJ

LICZENIE JEST ZŁOTEM

Ostatnio gwałtownie tanieje.
Wiadomo też, że nie zastąpi Polsce miliardów z UE
na obronność. Ale to jeszcze nie znaczy,
że złoto przestaje być ważne.

MAREK RABIJ

eprasa.pl 631e544192



JAKUB CELEJ / MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM WARSZAWY

Instalacja Pawła Althamera „Złota Wyspa", dawny wybieg dla niedźwiedzi przy warszawskim zoo został pomalowany na złoto, sierpień 2023 r.

Ben Bernanke, przewodniczący Systemu Rezerwy Federalnej USA, zeznając w lipcu 2013 r. przed senacką komisją bankowości, wypalił: „Nikt tak naprawdę nie rozumie cen złota. Ja też nie będę udawać, że je rozumiem".

Nie wiadomo, czy pod tamtą deklaracją amerykańskiego kolegi po fachu podpisałby się prezes Narodowego Banku Polskiego. Ostatnie publiczne wypowiedzi Adama Glapińskiego, zapowiadającego naprzemiennie zwiększanie polskich rezerw złota i wykorzystywanie ich dla rozwoju polskiej obronności, mogły jednak wzbudzić w odbiorcach przekonanie dokładnie odwrotne: czyżby szef NBP wiedział o tym surowcu coś, czego nie wiedzą inni?

Mogły wzbudzać takie przekonanie, ale do niedzieli 15 marca. Cena złota, od miesięcy bijąca kolejne rekordy, ruszyła wtedy ostro w przeciwnym kierunku. W ciągu zaledwie dwóch tygodni od konferencji, na której Glapiński zaprezentował zarys programu „SAFE zero", potaniało o ponad 20 procent. Polskie rezerwy tego kruszcu, szacowane przez NBP na 570 ton, straciły w ten sposób na wartości ok. 62 mld zł – jedną trzecią kwoty, którą prezes chciał zasilić polskie wojsko i rodzimy przemysł obronny.

Właśnie to miał na myśli Ben Bernanke. Jako surowiec transakcyjny złoto jest nieprzewidywalne. Gdyby było inaczej, nigdy nie stałoby się tym, czym jest.

Złota ostoja

W świecie złota mało co bywa oczywiste. Miarą wagi używaną w handlu tym kruszcem jest uncja zwana trojańską – lecz nie od Troi, a francuskiego miasta Troyes, które było ważnym ośrodkiem handlowym i jubilerskim średniowiecznej Europy. Uncja trojańska, czyli 31 g z małym hakiem, występuje zresztą w handlu na przemian ze sztabką, czyli prostopadłościanem ważącym 12,44 kg.

A żeby sprawę skomplikować jeszcze bardziej, oprócz wagi surowca o jego cenie decyduje też próba, odpowiadająca zawartości czystego złota w stopie z innymi metalami.

W rezultacie dla przeciętnego polskiego klienta, przyzwyczajonego do systemu dziesiętnego, ceny złotego kruszcu bywają enigmą i dopiero kalkulator podpowie, że aktualne 4,5 tys. dolarów za uncję najwyższej próby, w przeliczeniu na gramy daje ok. 525 zł. Jeszcze miesiąc temu za tyle samo można było dostać w skupie ponad 70 zł więcej.

Jeśli spojrzymy na wykresy kursowe, którymi chełpią się ekonomiczni kuglarze kuszący bezpieczną inwestycją w złoto, od początku stulecia jego cena wzrosła ponad piętnastokrotnie, potwierdzając obiegową prawdę, jakoby nie można było na nim stracić. Wskaźnik kreślony z takim rozmachem chronologicznym nie pokaże jednak chwilowych, ale sporych wahań cenowych.

Bo czasami złoto drożeje w sposób niejako oczywisty i przewidywalny – jak po upadku banku Lehman Brothers we wrześniu 2008 r., kiedy świat zamarł w oczekiwaniu na kolejny Wielki Kryzys. Innym razem tanieje jednak wbrew regułom ekonomii i zdrowemu rozsądkowi, jak chociażby wiosną 2011 r. po trzęsieniu ziemi i tsunami, które uszkodziło elektrownię atomową w japońskiej Fukushimie. Albo teraz, po ataku Izraela i USA na Iran.

Wojny i wielkie katastrofy co do zasady zwiększają popyt na złoto postrzegane jako bezpieczna przystań dla kapitału w burzliwych czasach. Konflikt w rejonie Zatoki Perskiej doprowadził jednak do błyskawicznego wzrostu cen ropy, który z kolei wywindował ceny paliw. Drożyzna na stacjach to zaś niemal pewna zapowiedź ostrzejszej inflacji, bo wyższe koszty transportu muszą przełożyć się na wzrost cen większości towarów i usług. A stąd już blisko do konstatacji, że banki centralne na całym świecie w obliczu takiego zagrożenia podniosą zapewne stopy procentowe, aby wyrwać inflacji kły.

Złoto drożało intensywnie od kilkunastu miesięcy. Pomiędzy lutym 2024 r. a lutym br. jego cena wzrosła przeszło dwukrotnie. Wielu inwestorów doszło więc zapewne do wniosku, że gdy na horyzoncie pojawia się znów okazja do dobrego i do tego pozbawionego ryzyka zarobku, czas spieniężyć złoto i kupić dobrze oprocentowane, bezpieczne w obecnym, chybotliwym świecie obligacje.

To właśnie największy paradoks tego kruszcu: surowca, który od stuleci uchodzi za idealne zabezpieczenie na czarną godzinę i zarazem na tyle nieprzewidywalnego, by stać się narzędziem międzynarodowego obrotu handlowego i wielkich spekulacji.

Liczba atomowa 79

Pora przedstawić bliżej głównego bohatera. Rzymianie mówili o nim *aurum* i właśnie pod taką nazwą trafił kilkanaście stuleci później na tablicę Mendelejewa.

Chemicy – potomkowie alchemików zajętych poszukiwaniami kamienia filozoficznego, który pozwoliłby im zamieniać w złoto co dusza zapragnie – jako pierwsi opisali językiem nauki powody stojące za twierdzeniem, że to właśnie ono stało się towarem „na wagę złota". Ciężki metal o liczbie atomowej 79 ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ okazał się nie tylko plastyczny w obróbce, za co pokochali go jubilerzy. Jest też wyjątkowo odporny na niszczące reakcje chemiczne z innymi pierwiastkami – co uczyniło go niejako naturalnym kandydatem na lokatę kapitału odporną na upływ czasu. Co prawda natura stworzyła substancje jeszcze stabilniejsze chemicznie, ale trudno sobie wyobrazić oszczędności ulokowane w helu czy argonie.

Złoto, dzięki swojej odporności na korozję i świetnej przewodności, wykorzystywane jest dziś w elektronice (procesory), przemyśle kosmicznym oraz medycynie (implanty). Ma jeszcze jedną wielką zaletę: nie występuje w dużej ilości.

Rozpoznane zasoby tego kruszcu szacuje się obecnie na 130-133 tys. ton, głównie w RPA, Rosji, Chinach, Chile i w USA (dla porównania, węgla kamiennego mamy w Polsce około 3 mld ton). Wielkość tych, które aktualnie nadają się do eksploatacji, to około 55-60 tys. ton. Przy obecnym poziomie wydobycia wystarczą na 15-20 lat, ale poszukiwania nowych pokładów trwają nieustannie i areał złotonośnych pól systematycznie się powiększa.

Dwa lata temu w chińskiej prowincji Hunan odkryto złoże z ok. 300 tonami złota. Innym ważnym punktem jest kopalnia West Red Lake w kanadyjskim Ontario, w której znaleziono niedawno pokłady o tak dużej zawartości złota w rudzie, że ich eksploatacja będzie opłacalna nawet po załamaniu cen tego surowca. Na pograniczu Argentyny i Chile trwa już wydobycie z równie obiecujących pokładów złoża Filo del Sol.

Czy wystarczy tego dla zaspokojenia rosnących potrzeb gospodarki na sterydach globalizacji? Miliarder Warren Buffet zwykł powtarzać, że sześcian powstały po przetopieniu globalnych zasobów złota w jedną bryłę miałby bok nie dłuższy niż 25 metrów. W tym przypadku znany inwestor nie opierał się jednak na legendarnej intuicji, lecz dorocznych raportach Światowej Rady Złota, która szacuje, że w całej historii wydobyto z ziemi ok. 205-215 tys. ton tego kruszcu.

Gdyby wspomniany sześcian jakimś cudem trafił dziś na sprzedaż, byłby wart nieco ponad 16 bilionów dolarów. Mówiąc jeszcze inaczej – równowartość niemal 14 proc. zeszłorocznego produktu krajowego brutto całego świata.

Jak do tego doszło i co to oznacza – zarówno dla świata wielkich finansów, jak i portfela przeciętnego Smitha lub Kowalskiego? Zanim odpowiemy na to pytanie, musimy na chwilę przenieść się do złotego wieku Hollywood.

Złoto, dzięki odporności na korozję i świetnej przewodności, wykorzystywane jest np. w elektronice i medycynie.
Ma jeszcze jedną wielką zaletę: nie występuje w dużej ilości.

Złote i zielone

Oddziały alianckie kierowały się już na Paryż, a w Berlinie niemieccy oficerowie dopinali właśnie plan zamachu na Hitlera, kiedy na początku lipca 1944 r. w hotelu Mount Washington w amerykańskim Bretton Woods do rozmów zasiadło 730 przedstawicieli 44 państw alianckich.

Celem konferencji było zarysowanie powojennego ładu gospodarczego, a właściwie namaszczenie dolara na przewodnią walutę świata. Kontrkandydatów nie było, bo gospodarka USA jako jedyna nie ucierpiała przez wojnę. Imperium brytyjskie wychodziło z niej okrutnie pokiereszowane. Niemcy nie mogli się liczyć jako przegrani, a Związek Radziecki był kolosem na glinianych nogach.

Do objęcia przewodnictwa nad światową gospodarką dolar był zresztą świetnie przygotowany. Jeszcze w latach 30. administracja Roosevelta przeprowadziła szereg reform, dzięki którym ekonomiczny silnik Stanów Zjednoczonych, zatarty przez Wielki Kryzys z roku 1929, zaczął szybko odzyskiwać wysokie obroty. W 1933 r. USA uporządkowały własny obieg pieniężny, w którym krążyło wiele monet i banknotów z różnych emisji – włącznie z wciąż ważnymi pierwszymi dolarami jeszcze z XVIII w. Reforma Roosevelta zastąpiła je nowoczesnym, dobrze zabezpieczonym przed podróbkami pieniądzem.

Wartość dolarów w obiegu miała być odtąd wiernym odzwierciedleniem wartości amerykańskich depozytów złota zgromadzonych we wzniesionym właśnie Forcie Knox. Delegaci zgromadzeni w Bretton Woods mogli więc z czystym sumieniem uczynić z „zielonego" wzorcową walutę. Uncja złota miała być odtąd wymienialna na 35 dolarów, zaś inne waluty świata miały pilnować jedynie swojego kursu do dolara i zabezpieczać go swoimi rezerwami złotego kruszcu. Nad stabilnością całego systemu miał zaś czuwać powołany do życia Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Powojenny ład nie utrzymał się jednak długo. Sukcesy amerykańskiej gospodarki i renoma dolara na świecie sprawiły, że już w 1960 r. zagraniczne depozyty dolarowe przekraczały swoją wartością to, co amerykańska rezerwa federalna trzymała w Forcie Knox. Stało się jasne, że sztywne powiązanie „zielonego" ze złotem jest anachronizmem w warunkach globalizującej się gospodarki.

Aby nie dopuścić do utraty rezerw, 15 sierpnia 1971 r. USA zawiesiły więc wymienialność dolara na złoto, a dwa lata później upłynniły jego kurs do innych walut. Cena „zielonego" miała odtąd odzwierciedlać nie wartość amerykańskich rezerw złota, ale zaufanie do gospodarki USA i stabilności państwa.

Ryzyko rozpadu światowego systemu walutowego było jednak spore, toteż z innych krajów na USA posypały się gromy. Delegacja finansistów z Europy Zachodniej przyjechała nawet do Waszyngtonu na rozmowy ostatniej szansy, ale od Johna Connally'ego, sekretarza skarbu w gabinecie Richarda Nixona, usłyszeli jedynie słynne zdanie, że „to nasza waluta, a wasz problem".

Świat wszedł w trwającą do dziś epokę tzw. pieniądza fiducjarnego, czyli wartego tyle, na ile rynki wyceniają zaufanie do jego emitenta.

Złoty kręgosłup

Scott Bessent, który dziś sprawuje tę funkcję w ekipie Donalda Trumpa, nie może już bezkarnie pozwolić sobie na podobną dezynwolturę. Ameryka pozostaje gospodarczym pępkiem świata, ale już nie dzieli jej do reszty taka przepaść, jak w pierwszych powojennych dekadach, gdy ponad połowa globalnej produkcji przemysłowej była *made in USA*.

Stany Zjednoczone mogą jednak nadal szczycić się największymi rezerwami złota, przekraczającymi 8,13 tys. ton tego surowca o bieżącej wartości rynkowej rzędu 1,3 bln dolarów. Inna sprawa,

eprasa.pl 631e544192

że w Forcie Knox, w którym wedle deklaracji władz przechowywana jest przeszło połowa tych zasobów, od czasów Eisenhowera nie przeprowadzono pełnej inwentaryzacji.

Milczenie Waszyngtonu w tej sprawie regularnie podsyca więc teorie, jakoby główny skarbiec USA od dawna świecił pustkami, ewentualnie dla niepoznaki zapełniono go sztabkami cieniutko pozłoconego wolframu. Plotki o pustej kasie w 1974 r. wymusiły nawet na władzach zorganizowanie słynnej wizyty kontrolnej dla kongresmenów i dziennikarzy, którym pozwolono zajrzeć za ważące 20 ton drzwi skarbca. Kolejną kontrolę w ubiegłym roku zapowiedział Donald Trump, ale skończyło się na słowach, nie pierwszy raz w jego przypadku.

Niemiecki Bundesbank, posiadacz drugich największych rezerw złota (3,4 tys. ton), nie musiał nigdy mierzyć się z podobnymi plotkami. Polska ze swoimi 570 tonami jest na wysokim, bo 11. miejscu, ale tak samo jak w przypadku USA czy Niemiec – wartość pieniądza pozostającego nad Wisłą w obiegu nie ma pełnego zabezpieczenia w krajowych depozytach złota. Tak dziś po prostu się nie da.

Gdyby bowiem zsumować wszystkie zapisy na kontach, lokatach i rachunkach inwestycyjnych wszystkich klientów indywidualnych i korporacyjnych globu, otrzymamy kwotę bliską 900 bln dolarów.

Jak to możliwe przy założeniu, że cała gospodarka świata produkuje rokrocznie dobra i usługi warte zaledwie 117 bln dolarów? Pieniądz uwolniony ze złotych więzów parytetu kruszcowego zaczął po prostu szybciej krążyć po świecie w formie zapisu księgowego, który łatwo powielić w przeciwieństwie do brzęczącej monety.

Aby rozruszać gospodarki sparaliżowane brakiem gotówki po upadku Lehman Brothers, a potem pomóc wyjść im z pandemicznego paraliżu, wiele państw rozpoczęło dodruk pieniądza. W globalnej gospodarce pojawiło się więc mnóstwo kapitału bez pokrycia w realnych zasobach.

Wiele banków centralnych w ostatnich latach ściągało te pieniądze z obrotu, kupując za nie właśnie złoto. NBP, który tylko od 2022 r. nabył ok. 280 ton szlachetnego kruszcu, należał tu do najaktywniejszych graczy. Zakupy miały jeszcze jeden cel. Chętni na polskie obligacje są po prostu spokojniejsi o swoje pieniądze, gdy wiedzą, że pożyczają je krajowi dysponującemu dużymi rezerwami złota.

Egalitarny elitaryzm

Współczesna gospodarka, napędzana kryptowalutami i innymi skomplikowanymi produktami finansowymi, nadal nie umie obyć się bez swoistego kręgosłupa, jaki stanowi dla niej złoto. A nawet więcej – regularnie pojawiają się głosy, że powrót do świata urządzonego podług parytetu złota jest tylko kwestią czasu.

Willem Middelkoop w głośnej książce „Big Reset" wydanej w 2014 r., dawał na to globalnej gospodarce najwyżej sześć lat. Ok. 2020 r. – twierdził holenderski inwestor i ekonomista – pod ciężarem długu publicznego rządy i banki centralne miały stracić nie tylko możliwość dalszego dodruku pieniądza, ale też obsługi zadłużenia.

Światowa gospodarka upodobniłaby się wówczas do Republiki Weimarskiej z lat 20. XX w., którą sparaliżowała hiperinflacja. Upadłby dolar jako międzynarodowa waluta numer jeden. Rządy poszczególnych krajów stanęłyby przed alternatywą – albo szybko siadamy do stołu do pracy nad nowym Bretton Woods, które pożegna się z pieniądzem fiducjarnym i znów powiąże go ze złotem, albo seria lokalnych krachów zmieni się w globalne tsunami nie do zatrzymania. Zamiast krachu, przyszła jednak pandemia i wizje Middelkoopa się nie ziściły.

Ale czy ważny bohater musi być zawsze bohaterem pierwszoplanowym? Dla rzeszy drobnych ciułaczy z całego świata złoto od dawna jest pierwszym wyborem na czarną godzinę. Światowa Rada Złota szacuje, że ręce, uszy i szyje prywatnych inwestorów zdobi dziś co najmniej 26 tys. ton tego surowca – niewiele mniej od rezerw wszystkich banków centralnych. Z dala od rynków surowcowych, giełd i innych matecznikó w współczesnego turbokapitalizmu, miliony ludzi trzymają w domu złoto na czarną godzinę w formie pierścionków, kolczyków i innych drobiazgów.

Do listy złotych paradoksów można zatem dodać jeszcze jeden: pierwiastek o liczbie atomowej 79 w naturalny sposób łączy elitarność z egalitaryzmem.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 631e544192



COURT OF JUSTICE OF THE EUROPEAN UNION

Siedziba Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu

Unieważnić wszystko

JACEK K. SOKOŁOWSKI

PRAWO | W polskim sporze o praworządność Unia i jej Trybunał Sprawiedliwości są ostatnim bastionem zdrowego rozsądku. W Polsce nie wykazuje go żadna ze stron.

Wyrok TSUE przesądził właśnie, że niedopuszczalne jest odmawianie tzw. neo-sędziom statusu sędziego wyłącznie na tej podstawie, że nominowani zostali w wadliwej procedurze przez „ziobrowską" Krajową Radę Sądownictwa. Oznacza to, że jedno z głównych założeń, do których odwoływali się zwolennicy „przywrócenia praworządności", upadło: neo-sędzia to też sędzia. A czy sprzeniewierzył się niezawisłości, trzeba oceniać indywidualnie, w kontekście konkretnej sprawy.

Ale po kolei. Bo dziś – po 9 już latach – wiele osób przyjmuje za oczywistości rzeczy, które wcale oczywiste nie są.

Zmiany wprowadzane przez PiS w sądownictwie od 2017 r. zwykle opisywane są przez ich przeciwników jako obarczone zasadniczą wadą: sprzeczności z konstytucją. Ich zwolennicy z kolei zaklinają, że wszystko było w porządku, powołując się na wyroki Trybunału Konstytucyjnego. Tymczasem zasadniczy problem polega nie na naruszeniach konstytucji, lecz na fundamentalnej nieuczciwości, jaką podszyte są działania obu stron. Zarówno ziobrystom, jak i „obrońcom praworządności" chodzi bowiem – mam wrażenie – o coś innego, niż deklarują.

Hermetyczna kasta

Dziewięć lat temu Zbigniew Ziobro twierdził, że proponowane przezeń reformy służyć mają zwiększeniu społecznej kontroli nad sądownictwem i uczynieniu sprawiedliwości bardziej dostępną, w szczególności przez przyspieszenie postępowań. I z jakichś powodów wierzył, że realizacja tych celów nie będzie możliwa bez wymiany większości składu Sądu Najwyższego.

Wymiany takiej nie dało się przeprowadzić bez drastycznej zmiany przepisów, regulujących działalność SN i Krajowej Rady Sądownictwa. I takie przepisy, po zamieszaniu wywołanym prezydenckim wetem (po którym Andrzej Duda wniósł własne projekty ustawy, niewiele różniące się od poprzednich), uchwalono.

Problem, jak dla mnie, nie polega na tym, że przepisy te „gwałciły konstytucję". One gwałciły uczciwe zasady gry. W myśl których, jeśli umówiliśmy się na demokrację, to jej elementem jest niezawisłość sędziów i niezależność sądownictwa. Są to, nawiasem mówiąc, dwie różne rzeczy: w niezawisłości sędziego chodzi o to, żeby nie był kolegą twojego przeciwnika w procesie, a w niezależności sądownictwa o to, żeby polityk nie mógł zbyt łatwo decydować o tym, kto zostanie sędzią, bo wtedy sędzią mógłby zostać jego kolega i nie bylibyśmy pewni, czy jest niezawisły w sprawach tego polityka dotyczących.

W myśl naszej konstytucji, gwarantem tej niezależności miała być KRS. Było to rozwiązanie wymyślone jeszcze przy Okrągłym Stole, które miało służyć do czegoś innego, niż ostatecznie posłużyło. Pierwotnie bowiem KRS wymyślono po to, żeby PZPR nie mogła nominować sędziów, stąd też ukształtowano ją tak, aby to środowisko sędziowskie wybierało swoich przedstawicieli bez udziału polityków. Potem PZPR zniknęła, ale KRS została, i o tym, kto może zostać sędzią, decydowali wyłącznie inni sędziowie (będący członkami KRS). A o tym, kto może zostać członkiem KRS, decydowali również sędziowie, w nieczytelnej z zewnątrz procedurze. Spowodowało to, że w Polsce rzeczywiście zafunkcjonowała hermetyczna kasta. Model ten miał zalety (brak wpływów politycznych na sądownictwo), ale miał też wady, do których należał podnoszony przez ziobrystów brak mechanizmów odpowiedzialności wobec społeczeństwa.

Gwałt na uczciwości

Dlatego uważam, że pomysł, aby 15 sędziów-członków KRS wybierali nie sędziowie, lecz Sejm, nie był sam w sobie zły. I pod pewnymi warunkami mógłby nawet zostać uznany za zgodny z konstytucją. Bo ta w art. 187 nie mówi wprost, kto ma wybierać sędziów, wchodzących w skład KRS. Owszem, z konwencjonalnej wykładni językowej tego przepisu wychodzi, że 1) nie wiadomo, kto ma tych 15 wybrać, 2) raczej nie jest to Sejm (bo on jest wskazany w kolejnym punkcie, jako wybierający inną kategorię członków KRS).

Konstytucja to akt prawny znacznie bardziej podatny na interpretację

eprasa.pl 631e544192

niż ustawy. Gdyby gracze polityczni uzgodnili na arenie sejmowej dużą większością, że wybiorą tych 15 sędziów, a Trybunał Konstytucyjny to zaakceptował, to uważałbym, że taka wykładnia jest akceptowalna jako konsekwencja ponadpartyjnego konsensusu.

Ale takiego konsensusu nie było. PiS uchwalił nową ustawę o KRS w 2017 r. przy donośnym oporze pozostałych partii. Ustawę przyklepał TK, który w wyniku wcześniejszego kryzysu był już obsadzony sędziami wybranymi przez PiS. A nieszczęsną piętnastkę – głosami wyłącznie posłów PiS – wyłoniono w procedurze urągającej przyzwoitości. Listę kandydatów PiS ustalił sobie tak, jak chciał. A raczej jak mógł, bo na ok. 10 tys. sędziów znalazło się – uwaga – raptem 18, którzy gotowi byli kandydować.

I to właśnie było gwałtem: na elementarnej uczciwości. Rzecz bowiem nie w pytaniu, czy wybór 15 sędziów przez Sejm jest poprawny od strony formalnej, a raczej w pytaniu, czy chcemy państwa, w którym jedna partia może zdominować organ decydujący o nominacjach sędziowskich.

Czy system się rozsypał

Neo-KRS zaczęła powoływać kandydatów na sędziów, na wszystkich szczeblach: od Sądu Najwyższego do rejonowych. Łącznie ponad 2 tys. osób. Czy wszystkie te nominacje były upolitycznione? Niektóre na pewno, zwłaszcza na wyższych szczeblach: SN, sądów apelacyjnych. Niżej – już niekoniecznie. Nie sądzę, żeby Ziobrę (i neo-KRS, będącą *de facto* wykonawcą jego woli) szczególnie obchodziło, kto będzie sądził spór o miedzę w Limanowej.

Sytuację tę prawnicy, z typowym dla siebie teologicznym zacięciem, zaczęli jednak rozpatrywać w kategoriach metafizycznych: czy neo-KRS w ogóle istnieje? Czy jeżeli nie istnieje (bo obsadzono ją sprzecznie z konstytucją), to czy jej nominacje są ważne? A jeżeli nie są – to kim jest taki neo-sędzia i czy wydany przez niego wyrok obowiązuje?

Gdyby takie rozumowanie wziąć serio, oznaczałoby to, że nie istnieją też setki tysięcy wydanych w tym czasie wyroków. Słowem: że cały nasz system prawny się rozsypał.

A przecież udzielenie odpowiedzi „nie" na pierwsze pytanie niekoniecznie pociąga za sobą konieczność odpowiedzi „nie" na pozostałe. Wyroki wydane przez neo-sędziów mogą być ważne, natomiast jeżeli sprzeniewierzyli się niezawisłości w konkretnej sprawie (o co można ich w niektórych wypadkach podejrzewać), to należałoby ich pociągnąć do odpowiedzialności dyscyplinarnej, a samą sprawę powtórzyć przed wolnym od podejrzeń sędzią.

Mosty Iustitii

Inna sprawa, że ci, którzy lansowali teorię „totalnej nieważności wszystkiego" – przeważnie sędziowie starszego pokolenia zrzeszeni w stowarzyszeniu „Iustitia" – nie byli tak zupełnie bezinteresowni. Spór o praworządność był też bowiem sporem o przywileje; o to, z jakiej grupy składać się będzie środowisko tzw. sędziów pałacowych, rozstrzygających najważniejsze sprawy, mających realny wpływ na kształt wymiaru sprawiedliwości.

W walce o jak najdalej idące cofnięcie wszystkiego, co stało się pod rządami Ziobry, „Iustitia" posunęła się o jeden most za daleko: jej sympatycy zaczęli w sądach wyższych instancji uchylać wyroki wydane przez neo-sędziów, powołując się wyłącznie na argument, że wyrok taki jest nieważny, bo neo-sędzia nie jest sędzią.

Dlaczego temu środowisku tak bardzo zależało na zachowaniu mechanizmu odpowiedzialności zbiorowej? Dlaczego ministrowie Bodnar i Żurek nie chcieli zgodzić się na mechanizm indywidualnego weryfikowania (na wniosek strony), czy konkretny sędzia sprzeniewierzył się w konkretnej sprawie, tylko chcieli „lustrować" wszystkich neo-sędziów hurtem?

Będąc politologiem, nie mogę traktować tego sporu inaczej niż w kategoriach walki o władzę i status. Ziobrowska rewolucja była złamaniem reguł gry w podwójnym sensie: naruszyła zasadę niezależności sądownictwa, ale też zdruzgotała stare hierarchie, wokół których formowała się sędziowska elita – niestety, zastępując je mechanizmem awansu w zamian za dyspozycyjność polityczną.

Kto jest ciałem obcym

Absolwenci działającej od 2009 r. Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury (stworzyła scentralizowany system kształcenia sędziów oraz mechanizm „automatycznej" asesury i pierwszej nominacji sędziowskiej dla jej absolwentów) znaleźli się w tej walce między młotem a kowadłem. Czy ich również należy automatycznie zdegradować, skoro stanowią większość wśród neo-sędziów?

Elity skupione wokół „Iustitii" dążą do przywrócenia modelu, w którym to one decydują o karierach. Jeśli dla „KSSiP-owców" skłonne są zrobić wyjątek i zostawić na stanowiskach, to jednocześnie poddając ich ostracyzmowi, w wypowiedziach publicznych czynią z nich swego rodzaju sędziów drugiej kategorii.

Jak powiedziałby Pierre Bourdieu, to klasyczna przemoc symboliczna, obliczona na obniżenie statusu tej grupy. W nowym-starym (czyli przywróconym starym) systemie, zdominowanym przez dawnych sędziów pałacowych, absolwenci KSSiP pozostaną „ciałem obcym". W ten sposób hierarchia starej elity zostanie zachowana, a jej władza umocniona.

I na tym, moim zdaniem, polega nieuczciwość strony „demokratycznej i praworządnej". Koncepcja „nieważności wszystkiego" nie wzięła się z przywiązania do konstytucji, tylko z potrzeby obrony grupowego interesu. A pomysł, by unieważnić wszystkie powołania sędziowskie dokonane po 2018 r. po to, by następnie zrobić wyjątek dla określonej grupy, ale za cenę jej delegitymizacji, uważam za naruszenie standardów państwa prawa nie mniejsze niż to, którego dopuścili się ziobryści.

Dobrze, że ten pomysł spotkał się z dezaprobatą TSUE. Tak samo zresztą, jak dobrze się stało, że ten sam Trybunał postawił wcześniej tamę zapędom Ziobry.

Źle, że żadna ze stron sporu nie chce tego uznać. ©

OGŁOSZENIE

Trójka POLSKIE RADIO

Z okazji 64. rocznicy życzymy wszystkiego najlepszego redakcji Programu Trzeciego Polskiego Radia!
W tym roku o treściach „Tygodnika Powszechnego" możesz także posłuchać w radiowej Trójce.

eprasa.pl 631e544192

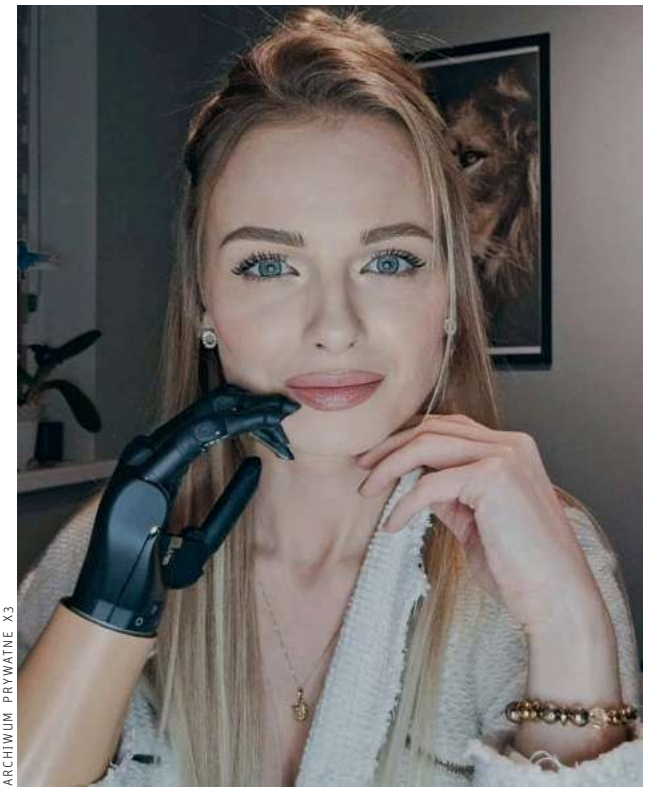

ARCHIWUM PRYWATNE X3

MARY PIECHOWSKA: *„Nie boję się pokazać światu taką, jaka jestem”*

na sąsiedniej stronie: **KLAUDIA KANIEWSKA:** *„Proteza to część mojego ciała, nie będę jej ukrywać”*

obok: **ŁUKASZ OSTROWSKI:** *„Cieszę się, że żyję, bo tamtego dnia mogło być różnie”*

Nowe życie

ANNA KORYTOWSKA

ZDROWIE | Na początku była niepewność, lęk i depresja. A potem pojawiła się determinacja. Bez niej Mary, Łukasz i Klaudia nie ruszyliby z miejsca. Pomogły im też nowoczesne technologie, zmieniające codzienność ludzi po amputacjach.

Wolę chodzić po świecie bez ręki, niż z ręką leżeć dwa metry pod ziemią – mówi Mary Piechowska, która piętnaście lat temu przeszła amputację prawej ręki.

Ból przyszedł bardzo wcześnie, w czwartej klasie podstawówki, jednak przez lata nikt nie potrafił postawić trafnej diagnozy. Lekarze podejrzewali m.in. zespół cieśni nadgarstka, sugerowali nadwrażliwość. Właściwe rozpoznanie przyszło dopiero blisko dekadę później.

Mary miała 17 lat, gdy usłyszała, że choruje na nowotwór złośliwy i musi iść do szpitala. Przed oczami przeleciało jej całe życie. – A potem przyszła myśl: czy ja to przeżyję? Człowiek czuje się przegrany, bez nadziei. A w głowie od razu pojawiają się najgorsze scenariusze – wspomina.

Jej przypadek należał do bardzo rzadkich. – Lekarze długo się konsultowali, analizowali wyniki, ale w końcu stwierdzili jednoznacznie, że rękę trzeba amputować. Miałam kilka dni na decyzję – opowiada.

Namalować ostatni obraz

Była wiosna, zbliżały się święta wielkanocne. Tuż przed wyjazdem do szpitala Mary pojechała jeszcze do sklepu plastycznego. – Kupiłam płótna i pędzle. Chciałam namalować ostatnie obrazy prawą ręką. Pamiętam też, jak rodzina stała przed domem, a ja machałam im tą ręką. Przed samą operacją narysowałam na niej uśmiech – wspomina.

Po amputacji trafiła na chemioterapię do Centrum Zdrowia Dziecka i to były najtrudniejsze miesiące leczenia. – Jako nastolatka bardzo cierpiałam, gdy wypadły mi włosy. Strasznie schudłam. Byłam wrakiem człowieka – przyznaje Mary, dodając, że jej droga do zdrowia była długa i pełna niepokoju o nawrót choroby. Do dziś pozostaje pod kontrolą lekarzy, chociaż badania odbywają się już rzadziej.

Nowej rzeczywistości Mary uczyła się od podstaw. Na początku denerwowała się, gdy nie potrafiła związać włosów czy przenieść garnków. Z czasem wypracowała własne sposoby. Nie chciała prosić o pomoc. Szukała w sobie siły, a gdy ją w końcu odnalazła, ludzie też zaczęli to dostrzegać. Mary wiedziała, że jeśli zostanie sama, nikt jej nie wyręczy. Od tamtej pory stara się doceniać to, co ma, i cieszyć się drobiazgami.

Prawdziwy przełom nastąpił, gdy została matką. – Kiedy pojawia się dziecko, nie ma wyboru, trzeba sobie radzić – zaznacza. Jednocześnie przyznaje, że zdarzają się jej momenty słabości. – Ale ogólnie jest dobrze. Mam dziecko, mam partnera, który akceptuje mnie w pełni, życie powoli się układa. Nie boję się pokazać światu taką, jaka jestem. Przeszłam długą drogę i czuję, że teraz jestem silna – podsumowuje.

Mary zajmuje się dziś fotografią, maluje obrazy, tworzy bransoletki. Czasem pracuje też jako modelka.

Maraton z protezą

Łukasz Ostrowski, autor bloga „Biegowe Pasje Amputanta”, w 2017 roku uległ wypadkowi. Podczas pracy spadł z dużej wysokości. Liczne złamania i obrażenia wewnętrzne sprawiły, że mimo iż lekarze przez długie tygodnie walczyli, ostatecznie konieczna okazała się amputacja prawej nogi.

– Cieszę się, że żyję, bo tamtego dnia mogło być różnie. Jednak zaakceptowanie nowego stanu rzeczy było z początku bardzo trudne. Pojawiały się różne myśli, nawet takie, żeby to wszystko zakończyć – przyznaje. Złamane udo, kręgosłup, miednica. Lekarze mówili, że zrost kości może trwać od roku do nawet ośmiu lat. – Wszystko zagoiło się szybciej, ale o kulach chodziłem ponad rok – wspomina.

Pierwsze dwa miesiące Łukasz spędził w szpitalu. To był czas bólu, niepewności i konfrontacji z nową rzeczywisto-

eprasa.pl 631e544192





ścią, ale na szczęście nie został z tym sam. Miał wsparcie rodziny i pomoc psychologa, rozpoczął też intensywną rehabilitację. – Jeśli człowiek wie, że nie cofnie czasu, to musi użyć całej energii, by wstać i wygrać walkę o samego siebie – podkreśla.

Kluczowym momentem była decyzja o zakupie protezy. – Dopasowanie odpowiedniej było nie lada wyzwaniem. Wymagało to konsultacji, przymiarek, testów i kolejnych prób – opowiada. Gdy w końcu udało się dobrać właściwą, postanowił zrobić coś, o czym przed wypadkiem nawet nie pomyślał. Zaczął biegać. – Wcześniej nie byłem aktywny, nie uprawiałem sportu. Dopiero z protezą poczułem, że chcę spróbować – opowiada.

Zaczynał od krótkich dystansów i stopniowo wydłużał trasy. – Jestem samoukiem, a udało mi się przebiec półmaraton – mówi. Dziś bieganie to dla niego coś więcej niż sport. – Daje mi wolność, poczucie, że nie jestem od nikogo uzależniony. I siłę, która napędza mnie do dalszego działania – podkreśla.

Łukasz wrócił także do pracy w zawodzie ślusarza-spawacza. – Moje życie stało się normalne. Dziś nie ma w nim specjalnych utrudnień – zapewnia. W tym roku kończy 40 lat i stawia przed sobą kolejne wyzwanie. – Mam marzenie, żeby przebiec maraton. Czterdzieści dwa kilometry na czterdzieste urodziny to by było coś. Zobaczymy, czy się uda – dodaje z uśmiechem.

Za krótkie dzieciństwo

Miała 16 lat, gdy usłyszała, że leczenie nie przynosi efektów, a stawką stało się wręcz jej życie. Z nowotworem kości zmagała się od trzeciego roku życia. Szpitale, operacje, kolejne terapie, to była jej codzienność przez trzynaście lat. W 2009 roku Klaudia Kaniewska, inicjatorka projektu „robo_noga", przeszła amputację. – Mama robiła wszystko, co mogła, żeby mnie wyleczyć. Mimo to ból nogi z roku na rok się nasilał, w końcu stał się potworny. Skóra i tkanki były bardzo zniszczone chorobą. Przeszłam kilka zabiegów, spędziłam długie miesiące w szpitalach – wspomina.

Kolejne próby leczenia kończyły się niepowodzeniem. Organizm był coraz słabszy. W końcu lekarze postawili sprawę jasno: amputacja to jedyna szansa Klaudii. – Jeden z lekarzy przeprowadził ze mną ważną rozmowę. Spokojnie opowiedział o protezach, o tym, że po amputacji można żyć, pracować, normalnie funkcjonować. Przygotował na to, co mnie czeka – mówi.

W wieku, w którym większość rówieśników myśli o szkole, przyjaciołach i pierwszych miłościach, ona musiała podjąć decyzję o utracie nogi. – Jak się jest nastolatką, chce się mieć zupełnie inne problemy. Ja musiałam bardzo szybko dorosnąć. Wiedziałam też, że amputacja to jedyna słuszna decyzja. Było trudno, nie ukrywam, czasem nadal jest. Ale żyję i to jest najważniejsze – podkreśla Klaudia.

Po operacji przyszedł moment konfrontacji z rzeczywistością. – Kiedy odzyskałam świadomość, bałam się spojrzeć na nogę i zobaczyć, że jej nie ma. Na to nie da się przygotować – wspomina.

Kurs innego życia

Klaudia uczyła się wszystkiego krok po kroku. Dowiadywała się, jak uzyskać orzeczenie o niepełnosprawności, do jakich instytucji się zwrócić, jak starać o rentę, jak zdobyć dofinansowanie do protezy. To nie był jeszcze czas, kiedy wszystko można było znaleźć szybko w internecie. – Ogrom formalności. A ja byłam młodą dziewczyną po amputacji, w stanach depresyjnych, z lękiem o przyszłość – opowiada.

Pierwsza proteza nie przyniosła ulgi. – Mówiono mi, że muszę zacisnąć zęby, że krew ma się lać, a ja mam chodzić. Tylko że ta proteza była źle dopasowana. Przewracałam się, nie dało się w niej normalnie funkcjonować. Wracałam do domu i z bezsilności rzucałam nią o ścianę. Jeśli coś ma ci pomóc, a powoduje tylko ból i upokorzenie, zaczynasz myśleć, że ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ może lepiej w ogóle z tego zrezygnować – przyznaje.

Przełom przyszedł niespodziewanie. Podczas turnusu rehabilitacyjnego nad morzem Klaudia poznała młodą kobietę po amputacji. – Zobaczyłam, że ona chodzi, śmieje się, normalnie żyje. To był dla mnie szok. Rozmowa z nią dała mi ogromną nadzieję. Pomyślałam, że skoro ona może, to może ja też – wspomina.

Dowiedziała się, że istnieje możliwość wykonania nowoczesnej, dobrze dopasowanej protezy. Koszt był jednak ogromny, więc konieczne okazały się zbiórki pieniędzy. Klaudia zacisnęła zęby i przez cały rok chodziła bez protezy, choć w tamtym czasie uczyła się w liceum. Kiedy w końcu otrzymała nową „nogę", zaczęła się żmudna nauka chodzenia, od podstaw. – Trwało to rok. Najpierw poruszałam się o dwóch kulach, potem o jednej. Później chodziłam z laską. Bałam się upadków, bo przy poprzedniej protezie wiele razy się przewracałam. W końcu nadszedł moment, w którym naprawdę poczułam równowagę i mogłam iść już przez życie samodzielnie – opowiada.

Dziś Klaudia ma kolejną, jeszcze nowocześniejszą i lepiej dopasowaną protezę. – Zakładam ją rano, zdejmuję wieczorem. To część mojego ciała. Jedna z najważniejszych materialnych rzeczy w moim życiu. To po prostu moja noga – mówi zdecydowanie.

Chętnie ją zresztą pokazuje. – Chodzę w krótkich spódnicach lub w spodenkach, więc protezę widać. Czasem ludzie pytają, co się stało, a ja im szczerze odpowiadam. Mam to już od dawna przepracowane. Niech patrzą i się oswajają. Może wtedy innym osobom po amputacjach będzie łatwiej – zaznacza.

Być sobie wsparciem

Klaudia stworzyła „robo_nogę", internetową inicjatywę, w ramach której angażuje się w różnego rodzaju projekty edukacyjne, a przede wszystkim towarzyszy osobom przed i po amputacji. – Dostałam w życiu dużo dobra i chcę je przekazywać dalej – przyznaje.

Dlatego działa na wielu płaszczyznach, np. pomagając załatwić orzeczenie o niepełnosprawności, bez którego nie da się nic zrobić. Albo świadczenie czy rentę. Klaudia pomaga też w wyjaśnianiu procedur związanych z pozyskaniem dofinansowań i środków na protezy – niedoświadczonej osobie zazwyczaj trudno się w tym połapać.

Kolejny etap to znalezienie protezy i rehabilitacja. – Ludzie pytają mnie o wszystko. Nawet o to, czy z protezą się śpi. Oczywiście, nie śpi się. Ale to nie są głupie pytania. To są pytania, jakie często wstydzimy się zadać lekarzowi. A ja odpowiadam na każde. Ludzie mi ufają, bo wiedzą, że mamy takie same doświadczenia – mówi.

Każdy przypadek jest inny i wymaga odmiennego podejścia. – Dlatego najpierw staram się poznać taką osobę i rozeznać, co w jej sytuacji jest najpilniejsze. Potem staramy się zaplanować rehabilitację i wybrać odpowiednią protezę. Dobrze dopasowana, która nie powoduje bólu i pozwala na swobodne funkcjonowanie, wciąż bywa wyzwaniem – zaznacza Klaudia.

Jej wsparcie jest społeczne, bezpłatne, a na stronie internetowej Klaudii dostępna jest też spora baza wiedzy, stanowiąca pożyteczny poradnik dla osób po amputacji.

Stopa z silikonu

Katarzyna Piechnik jest protetyczką. Prowadzi w Krakowie firmę Silmedica specjalizującą się w tworzeniu silikonowych protez, bardzo komfortowych i niezwykle realistycznych. Każda powstaje indywidualnie i ma jak najwierniej odtworzyć utraconą część ciała, każdy jej szczegół. Są refundowane przez NFZ.

Proces tworzenia zaczyna się od pobrania wycisku. – Technik robi to w masie alginatowej. Na tej podstawie powstaje później model, który jest realistyczną kopią drugiej kończyny pacjenta, o ile ją posiada. Staramy się odtworzyć kształt w taki sposób, by dokładnie imitował oryginał zarówno pod względem anatomii, jak i kolorystyki – tłumaczy. Protezy powstają z silikonów medycznych, ale ich kolor dobierany jest indywidualnie. – Barwy nakładamy w wielu warstwach, budując głębię koloru podobną do tej, która występuje naturalnie w skórze – wyjaśnia Katarzyna Piechnik.

Efekt jest zaskakujący. Na silikonowej powierzchni widać drobne żyłki, zmarszczki, bruzdy skóry, pieprzyki. Nawet kolor paznokci jest jak najbardziej zbliżony do naturalnego. – Praca z pacjentem wymaga bardzo różnych umiejętności. Potrzebna jest precyzja, wyczucie koloru, dbałość o detale, ale też znajomość anatomii i biomechaniki. Trzeba rozumieć, w jaki sposób ciało się porusza i przenosi obciążenia, żeby proteza była wygodna, funkcjonalna i bezpieczna – tłumaczy protetyczka.

Jednak techniczne kompetencje to tylko część pracy. Równie ważna jest wrażliwość na pacjentów i ich potrzeby. – Osoby, które do nas trafiają, często są na różnych etapach radzenia sobie z traumą po amputacji. Zdarza się, że ktoś nie przeszedł jeszcze całego procesu żałoby po utraconej części ciała. Dlatego zawsze trzeba brać pod uwagę stan psychiczny pacjenta. Protezowanie ma sens tylko wtedy, gdy pacjent jest na to gotowy – podkreśla.

Przy tworzeniu silikonowych protez trzeba pamiętać, że kończyny dolne są znacznie bardziej wymagające niż górne. Noga musi sobie poradzić z ciężarem całego ciała, więc obciążenia tkanek są dużo większe. W przypadku ręki chodzi głównie o funkcję chwytu, natomiast przy nodze kluczowa jest stabilność i sposób przeniesienia ciężaru.

Wykonywane w Silmedice uzupełnienia powstają z elastycznego, biozgodnego materiału, który nie wywołuje reakcji skórnych i dobrze dopasowuje się do ciała. Dzięki temu w około 95 procentach przypadków proteza jest akceptowana przez pacjenta.

Radość w oczach

Największą nagrodą za pracę zespołu Katarzyny są reakcje ludzi, którzy po raz pierwszy widzą gotową protezę. – Często widać, jak schodzi z nich napięcie. Jakby odzyskiwali spokój, a dyskomfort odchodził w przeszłość. Widzimy w ich oczach ulgę, a czasem jesteśmy świadkami po prostu radości. Ma się wtedy wrażenie, że robi się coś dobrego, że naprawdę udaje się poprawić kawałek czyjegoś życia – opowiada właścicielka Silmediki.

W Polsce firmy specjalizujące się w silikonowych protezach wciąż należą do rzadkości. Jest ich zaledwie kilka. Edukacja w tym kierunku dopiero w Polsce raczkuje, więc wiedzy trzeba szukać za granicą. – To lata nauki i przygotowań, zanim uda się tworzyć dobrze dopasowane protezy. Ale kiedy widzę radość w oczach pacjentów, nie mam wątpliwości, że było warto – kończy Katarzyna.

© ANNA KORYTOWSKA

eprasa.pl 631e544192



GETTY IMAGES

Sztuka wracania

ANNA GRAJNY, TŁUMACZKA, OSOBA CIERPIĄCA NA SCHIZOFRENIĘ:

ZDROWIE | Nauczyłam się myśleć, że ta choroba to nie moja wina. Prawdopodobieństwo, że przejdzie z rodzica na dziecko, wynosi około jeden do trzech. Jest nas rodzeństwa troje, wypadło na mnie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Ten wywiad zaczął się nietypowo: to Pani zadzwoniła do mnie.

ANNA GRAJNY: Kiedyś pisał pan o kryzysach psychicznych, po tamtej rozmowie pozostał mi kontakt. Pomyślałam, że właśnie teraz mam do opowiedzenia ważną historię.

O czym ona jest?

O tym, że nawet z najcięższego kryzysu się wychodzi. I o tym, jak w tym wychodzeniu pomaga praca oraz ludzie.

Zacznijmy od początku.

Chyba już w podstawówce mogłam cierpieć na niezdiagnozowaną dziecięcą depresję. Gdy miałam 13 lat, umarł mój tata, z którym czułam się bardzo związana. Byłam w kiepskim stanie, dokuczały mi smutek oraz lęki. Także te szkolne, wtedy związane głównie z fobią na punkcie pisania, co zostało mi zresztą do dorosłości.

Bałam się, że nie dostanę się do liceum, a w liceum, że nie napiszę matury i nie pójdę na studia.

Poszła Pani.

Pierwsze moje studia to była medycyna. Podjęłam taką decyzję z wielu powodów, nie ze wszystkich być może zdając sobie świadomie sprawę. Mój tata umarł przez zaniedbanie systemu opieki zdrowotnej – zarazili go żółtaczką typu C. Dopiero wiele lat po jego śmierci, a także sporo po próbie studiowania medycyny dotarło do mnie, że może chciałam uchronić jakąś dziewczynę przed stratą ojca – ratować ludzi takich jak mój tata.

Niestety, medycyna – jak się okazało – nie była dla mnie. Odpadłam na egzaminie z fizjologii na drugim roku, i wtedy po raz pierwszy wylądowałam na dziennym oddziale psychiatrycznym. „Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak cierpiał z powodu studiów" – usłyszałam od pani doktor.

Ale z pomysłu studiowania Pani nie zrezygnowała.

Po wyjściu ze szpitala pojechałam do Anglii, by przygotowywać się do egzaminu wstępnego na filologię – postanowiłam startować na japonistykę i anglistykę. Dostałam się na oba kierunki, wybrałam ten pierwszy – anglistów było wielu.

Na japonistyce poczułam się jak u siebie: lubiana i akceptowana do tego stopnia, że szło mi nawet znienawidzone wcześniej pisanie prac zaliczeniowych. Dramat zaczął się dopiero wtedy, gdy przyszło do pisania pracy licencjackiej. Znowu nawrót pisarskiego bloku, lęki, kryzys. Ale na szczęście chodziłam już do psychiatry, brałam leki antydepresyjne. Zdałam licencjat z pomocą mamy, poszłam na magisterkę. I tu też pod sam koniec było podobnie – blok, lęki, kryzys, urlop dziekański dla podratowania zdrowia.

Wtedy dowiedziałam się, że jest możliwość wyjazdu na wolontariat do Japonii. Chodziło o możliwość obejrzenia, ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ jak wygląda japońskie rolnictwo ekologicznie. Pojechałam. I tam zaczął się mój największy krach.

Inny niż wcześniejsze?

Inny i głębszy.

Pojechałam do Japonii w sierpniu, w najgorszym momencie, bo tam się można w tym okresie roku ugotować. Stres, długa podróż, do tego pogoda i brak snu. W dodatku nie zarezerwowałam sobie pierwszego noclegu po przylocie, więc musiałam spędzić noc na kozetce w kawiarence internetowej.

Nazajutrz pojechałam do gospodarzy. Gdy po jakimś czasie zabrali mnie na nabożeństwo buddyjskie, a potem na jakiś poczęstunek, nie do końca wiedziałam, co się dzieje i kto co do mnie mówi. To był początek zaburzeń postrzegania rzeczywistości: nie byłam nawet pewna, czy dziewczynki jeżdżące w ramach uroczystości na monocyklach i żonglujące piłeczkami widzę naprawdę, czy są wytworem mojej wyobraźni.

W pewnym momencie zaczęłam na tej farmie kompletnie odjeżdżać: głośno mówić, śpiewać, tańczyć, robić fikołki na trawniku. To były początki manii, czyli nienaturalnej euforii i pobudzenia, co często jest objawem towarzyszącym schizofrenii.

Jak zareagowali gospodarze?

Uznali, że coś jest ze mną nie tak i może lepiej, bym wracała do domu. Miałam już wówczas problemy ze skleceniem zdania. W dodatku zaczęłam wypisywać dziwne rzeczy na blogu, przez co zaniepokoiła się też moja rodzina. Brat zadzwonił do gospodarzy i używając prymitywnego jeszcze wtedy narzędzia do tłumaczenia sklecił zdanie: „Czy jest Ania? Jestem jej starszym bratem i chcę z nią rozmawiać".

Gospodarze przebukowali mi bilet na samolot i odwieźli na stację. W samolocie powiedziałam stewardessie, że jestem latającym ninją – ale dobrym ninją, który nie robi kłopotów. Jest taki film „W chmurach", w którym bohaterka mówi, że dużo ciekawsze od patrzenia w mały telewizorek w samolocie jest obserwowanie ludzi. I tak też robiłam w trakcie lotu do Polski: odwróciłam się na fotelu i obserwowałam pasażerów. Rzucałam też cukierkami w dzieci, zachowując się wesołkowato i dziwnie.



GRAŻYNA MAKARA

PROF. DOMINIKA DUDEK, PSYCHIATRA:

Zdrowienie z tak ciężkiej choroby jak schizofrenia to złożony i długi proces. Osoby cierpiące często czują się osamotnione, dlatego tak ważna jest praca i ludzie dookoła. Dzisiaj na szczęście dominuje środowiskowe podejście do leczenia: osoby z psychozą stają się częścią lokalnych społeczności, a w rekonwalescencji pomaga często asystent zdrowienia – to nowy, powołany przez reformę psychiatrii zawód, którego przedstawiciele sami mają za sobą kryzysy, ale w danej chwili czują się dobrze i po odbyciu szkolenia wspierają innych chorych. Warto też wspomnieć inicjatywy pozarządowe, które zachęcają do aktywności w kryzysie i po kryzysie – jak słynny krakowski Pensjonat „U Pana Cogito" czy społeczna kawiarnia Zakręcony Pan Cogito.

Ciężka choroba psychiczna nie zawsze pozwala na pełną aktywność. Osoby ze schizofrenią dzielą się tu na trzy zbiory. Pierwszą jest grupa, do której należy bohaterka tej opowieści: to osoby, które w remisji żyją normalnie bądź prawie normalnie, pracując w swoich zawodach, zakładając rodziny itd. Grupa druga to ludzie, którzy miewają częstsze nawroty, ale są na tyle samodzielni, że nie wymagają stałej opieki. Ich kondycja zdrowotna sprawia jednak, że pracują na niższych niż ich potencjał stanowiskach, w innych niż te wyuczone zawodach. Wreszcie grupa ostatnia to osoby ze schizofrenią chroniczną – nierzadko oporną na leczenie, wymagającą częstych hospitalizacji i opieki osób trzecich.

Niezależnie od tego, do której z grup należy dana osoba, aktywność, poczucie sensu i obecność dookoła ludzi to bezcenne elementy zdrowienia.

A gdy wreszcie wylądowaliśmy, na lotnisku znowu tańczyłam. Pamiętam, że klaskali mi celnicy...

Zatrzymajmy się na moment na tych scenach. Co by Pani radziła postronnym świadkom takich albo podobnych zdarzeń? Załóżmy, że osoba będąca najwyraźniej w kryzysie, dziwnie się zachowująca, nie zagraża bezpośrednio ani sobie, ani innym. Co robić?

Mimo wszystko warto spróbować nawiązać z nią kontakt, poprosić o telefon do kogoś bliskiego. A następnie powiadomić tę osobę, np. krewną, że dzieje się coś niepokojącego. Jeśli zaś to niemożliwe, w sytuacjach ekstremalnych warto zadzwonić po prostu po pogotowie. Laikowi trudno jest ocenić, czy dana osoba ma psychozę [stan utraty kontaktu z rzeczywistością towarzyszący m.in. schizofrenii – red.], czy może jest pod wpływem środków odurzających – niech to robią fachowcy.

Wiemy, jak reagować. A jak – z Pani doświadczenia – wygląda najbardziej typowa reakcja?

Tak jak ta opisana wyżej, w wykonaniu celników: „Upiła się i tańczy, więc jej poklaszczemy".

Częsty jest też lęk przed nieznanym? Oswoiliśmy już, zdaje się, depresję, ale schizofrenii chyba jeszcze nie?

Zgadzam się z tą opinią. Nawet wśród pacjentów szpitala psychiatrycznego osoby ze schizofrenią bywają osobną kategorią chorujących. Ludzie się ich boją, mając być może z tyłu głowy stereotyp: „Usłyszy głosy i będzie latał z siekierą".

Ten stereotyp utwierdzają media, seriale, filmy. A my pamiętamy historie w rodzaju mordu dokonanego przez Mieszka R. na Uniwersytecie Warszawskim. Nie zawsze chcemy przyjąć do wiadomości, że osoby chorujące psychicznie nie popełniają przestępstw statystycznie częściej niż osoby zdrowe.

Jeśli komuś zagrażają, to znacznie częściej sobie niż innym. Ja sama też nie stanowiłam dla nikogo zagrożenia. Za to w tym moim roztańczeniu, euforii mogłam zrobić coś głupiego i dla siebie ryzykownego. Mogłam np. tańcząc wbiec

eprasa.pl 631e544192

pod samochód. Ludzie w psychozie czasami podejmują też ryzykowne zachowania seksualne, bo np. kobieta może uznać się za „boginię miłości". Osoba w psychozie może zostać napadnięta, okradziona.

Wróćmy do Pani historii z czasu kryzysu – tuż po przylocie z Japonii do Polski.

Do dziwnych zachowań doszły – już w domu – urojenia prześladowcze. Np. wydawało mi się, że akrobata, który jeździł po krakowskim Rynku na rowerze skręcającym w stronę przeciwną do skrętu kierownicy, chce mnie zabić.

Mama pojechała ze mną do Kobierzyna, gdzie przestało być wesoło. Trafiłam na oddział ostry, tam spędziłam prawie trzy miesiące, pierwszy w części ze ścisłym dozorem. Później z kolei oddział rehabilitacyjny, no i jeszcze dzienny – łącznie ponad pół roku.

Jaką dostała Pani diagnozę?

Schizofrenia paranoidalna. A po wyjściu ze szpitala, już będąc na powrót w normalnej rzeczywistości, dostałam epizodu depresji.

W lutym 2011 roku wróciłam na studia. Napisałam pracę, obroniłam ją, skończyłam studia. Świat stanął przede mną potworem (*śmiech*).

Aż tak źle?

Chodzi mi o lęk, że sobie nie poradzę, np. że nie znajdę pracy. Ale jakoś sobie radziłam. Najpierw były staże, np. w krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, co mi się podobało, no i pasowało do świeżo zdobytego wykształcenia. Potem były jeszcze jakieś staże, aż trafiłam do pierwszej stałej pracy – w biurze tłumaczeń.

W 2018 roku pojechałam znowu do Japonii. Tym razem z dobrym kolegą, a nie sama, i nie w tak upalnym okresie roku. To było jak wybicie klina klinem.

Albo jak jazda samochodem krótko po wypadku.

Początkowo na tym wyjeździe panikowałam, że historia się powtórzy, dlatego skróciłam pobyt. Ale bardzo wiele udało się zrobić: byłam na farmie ekologicznej, trochę pozwiedzałam, spotkałam się z przyjaciółką. I przede wszystkim bezpiecznie wróciłam.

Po pandemii straciłam pracę. Przez półtora roku byłam na bezrobociu, choć w tym okresie udało mi się też – po dwóch wcześniejszych nieudanych próbach – zdać egzamin na tłumacza przysięgłego z języka angielskiego.

A co z japońskim?

Nigdy go nie porzuciłam. Najpierw dla siebie, „do szuflady", przetłumaczyłam książkę Sawako Ariyoshi „Żona doktora Hanaoki". Później odważyłam się wysłać ten tekst do wydawnictwa. Okazało się, że są problemy z dogadaniem się ze spadkobiercami praw autorskich, ale zaproponowano mi tłumaczenie innej książki – „Nocy na kolei galaktycznej" dla dzieci, autorstwa Kenjiego Miyazawy, a potem kolejnych pozycji. Aż wreszcie wydawnictwo dogadało się ze spadkobiercami praw do „Żony...", więc udało się opublikować i to tłumaczenie, dzięki czemu mój dorobek urósł do pięciu książek.

I tu zaczyna się historia, z którą Pani do mnie zadzwoniła: historia zdrowienia z pracą, i dzięki pracy. A także dzięki ludziom dookoła.

Warto wiedzieć coś, czego ludzie nie są zwykle świadomi, jeśli chodzi o schizofrenię. Oczywiście różne są jej rodzaje, różne przypadki, ale często osoby cierpiące na to schorzenie przez lata – a nawet do końca życia – pozostają w remisji, tzn. funkcjonują normalnie, bez objawów. Tak jest od ponad dekady ze mną, dlatego całkiem niedawno założyłam działalność gospodarczą, na którą składają się dwa rodzaje działalności – tłumaczenia literackie z japońskiego na polski, a także tłumaczenia przysięgłe z języka angielskiego.

Co ta praca Pani daje?

Daje sens. Dzięki niej rosnę, czuję się potrzebna. Nie jest to łatwe, bo wielu zleceń na razie nie mam, a w tych najłatwiejszych tekstach tłumaczy zaczyna zastępować sztuczna inteligencja. Ale idę do przodu, rozwijam się.

Nie muszę już pracować, jak się zdarzało, poniżej swoich kompetencji czy wykształcenia. Np. przez jakiś czas wykonywałam pracę fizyczno-porządkową. Pracował ze mną chłopak z niepełnosprawnością intelektualną, który wyglądał na szczęśliwego, że może takie czynności wykonywać. Ja nie czułam się na swoim miejscu, a nawet przeciwnie – miałam poczucie, że komuś innemu zabieram miejsce.

Niestety, to nie jest powszechny pogląd, jeśli chodzi o pracę osób po kryzysie psychicznym. Ilekroć natrafiałam na programy aktywizacyjne dla takich osób, oferowano niemal wyłącznie zajęcia typu sprzątanie. A przecież kryzys – także taki jak ten mój, poważny – dotyka ludzi bez względu na ich predyspozycje, kwalifikacje, wykształcenie.

Teraz, gdy mam zlecenie, czuję moc. I sprawczość, która pomaga mi utrzymać się w zdrowiu.

Wykonuję coś, do czego się latami przygotowywałam. Jestem potrzebna. Jestem samodzielna.

Co poza pracą najbardziej pomagało i pomaga?

Bliscy i rozmowy z nimi. Zwłaszcza z rodzeństwem i mamą. Rodzina nie ma podobnych do mnie problemów. Ryzyko, że weźmie się chorobę po rodzicu, a mój tata też cierpiał na schizofrenię, określane jest na mniej więcej jeden do trzech. Jest nas troje, wypadło na mnie.

Tata pozostaje Pani bliski także ze względu na wspólną chorobę?

Na pewno. Jego przypadek był chyba cięższy, w szpitalu był siedem razy, choć ja tego specjalnie nie pamiętam, bo byłam wtedy bardzo mała. Tata zresztą też po każdym ze swoich kryzysów wracał do pracy – był bardzo cenionym etnografem.

A co do żyjących bliskich, siostra jest artystką, rzeźbiarką i ceramikiem, a równocześnie twardo stąpa po ziemi. Można z nią porozmawiać na każdy temat. Też założyła działalność gospodarczą, wiele mi w tej mierze pomogła. Dużo mnie też słuchała.

Z mamą z kolei sporo chodziłam na spacery. Przechodziłyśmy ze sobą wszystkie zakątki parku w Kobierzynie. A potem, gdy już byłam w domu, ale nadal zdrowiałam, też razem wędrowałyśmy. W ogóle spacery, aktywność fizyczna, to jest coś, co bardzo w kryzysie i po kryzysie pomaga.

A znajomi? Przyjaciele?

Wiele kontaktów się pourywało, także z mojej winy – bałam się odrzucenia, więc sama zrywałam relacje.

Ma Pani spory dystans do choroby, to też się przydaje? ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ To przyszło dopiero z czasem. Wcześniej choroba była dla mnie tragedią. I źródłem poczucia winy. Myślałam o sobie: złodziejka, pasożyt – że nie mam prawa studiować, pracować, a jeśli to robię, zabieram miejsce innym.

W akceptowaniu siebie pomagały przyjaźnie, także z osobami podobnie jak ja cierpiącymi. Jedna z moich przyjaciółek miała nawet cięższą sytuację. Jesteśmy dla siebie wsparciem.

Poza tym śpiewam w zespole wokalnym przy Centrum Kultury i Sportu w Skawinie. I tam też mam przyjaciółki. Śpiewanie było i jest ważne także z tego powodu, że przezwyciężałam w ten sposób lęki przed wystąpieniami publicznymi. Nie mam teraz czasu na inne swoje hobby – fotografię – ale należę do Skawińskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Lubię też prace manualne. Bywa, że dziergam, lepię, rysuję. W grudniu zrobiłam szopkę na konkurs parafialny. W trzy godziny. Patchworkową, z resztek różnych materiałów. Poszły na to podkoszulki i inne części garderoby. Grota betlejemska była z szarych skarpetek, Matka Boska miała niebieski płaszcz i rude włosy zrobione z pociętych podkoszulków.

Jak się ma wiara do kryzysów?

Jestem osobą wierzącą i praktykującą. Ale czasem się zdarzało, że to mi nie pomagało. Wkradało się dodatkowe poczucie winy.

Że?

Że myśli samobójcze, a takie miałam, to grzech przeciw Duchowi Świętemu. I grzech dodatkowy: pychy. Bo skoro chcę się zabić, to dlatego, że uważam, iż zasługuję na lepsze życie, na lepszą pracę – pomimo choroby. Terapeuci, lekarze, mama, siostra – wyciągnęli mnie z tego poczucia, ale ono długo we mnie tkwiło.

Religia, wiara, może dawać otuchę, ale może też stanowić obciążenie. Wiele zależy od tego, jakich księży się spotka podczas spowiedzi. Ja nie spotkałam takich, którzy by mnie potępili. Ci, na których natrafiłam, podeszli do mnie z empatią i zrozumieniem.

A psychoterapia?

Była bardzo istotna! Pomogła mi zaakceptować siebie i wyjść z poczucia winy. Biadoliłam, że sama to wszystko spowodowałam. Długo było tak: ja swoje, terapeutka swoje, w końcu zrozumiałam, że to, jak potoczyło się moje życie, to nie moja wina.

Życie jest piękne?

Bywa piękne. A bywa, że wracają złe myśli.

Życie jest piękne, bo...

...bo wciąż może się zdarzyć coś nieprzewidywalnego. Bo można spotkać kogoś, kogo się człowiek nie spodziewa. Bo złe chwile, teraz to wiem, w końcu przechodzą.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ANNA GRAJNY *jest tłumaczką, mieszka i pracuje w Skawinie pod Krakowem. Z japońskiego na polski przetłumaczyła m.in. „Riku i królestwo bieli" Randy Taguchi i „Przeklęty bębenek" Kyūsaku Yumeno.*

REKLAMA

Kraków

Teatr Groteska

PRZEMIANY

PRAPREMIERA: 18 KWIETNIA 2026

DRAMATURGIA: Zuzanna Bojda • REŻYSERIA: Natalia Sakowicz-Cempura
SCENOGRAFIA: Aleksandra Starzyńska • MUZYKA: Maciej Sakowicz-Cempura
REŻYSERIA ŚWIATŁA: Prot Jarnuszkiewicz • ASYSTENT REŻYSERKI: Jakub Popławski
PRODUKCJA: Anna Ratkowska-Filipowicz • INSPICJENT: Krzysztof Karaś
WYSTĘPUJĄ: Paweł Kuźma • Paweł Mróz • Jakub Popławski
Maja Spychaj-Kubacka • Angelika Włoch (gościnnie)

www.groteska.pl

SCENA DLA MŁODZIEŻY I DOROSŁYCH

fot. B. Warzecha

TEATR GROTESKA · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

eprasa.pl 631e544192

Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

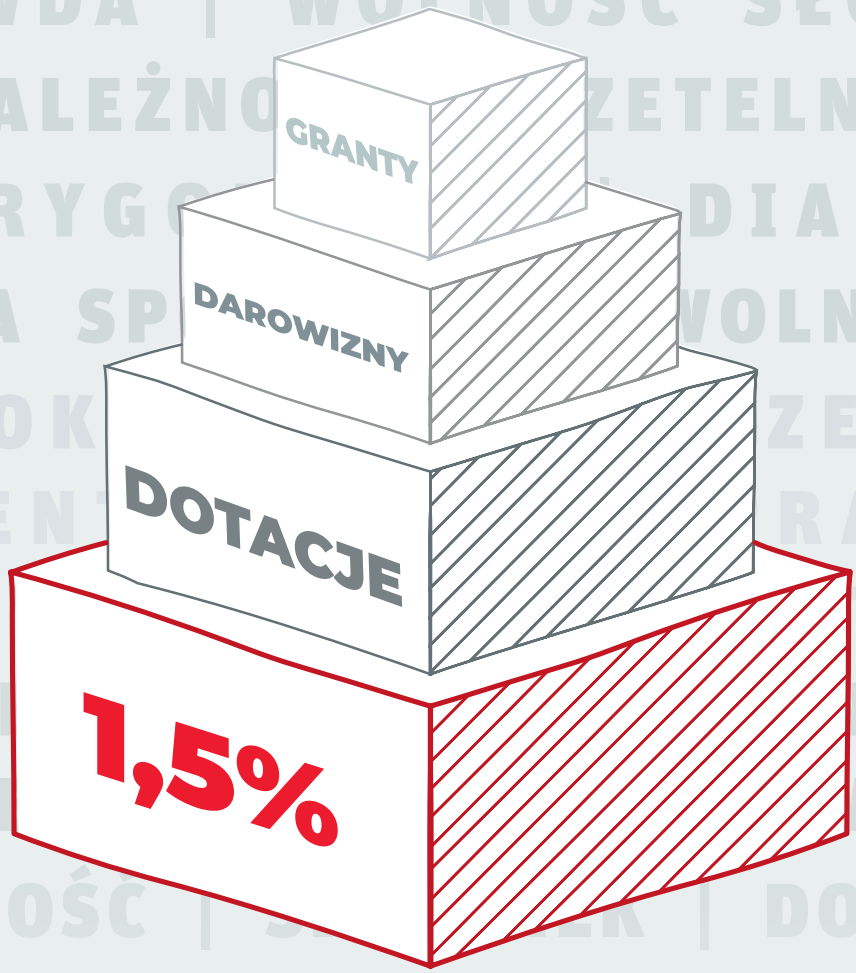

Każda podarowana przez Ciebie złotówka wzmacnia fundament naszej działalności. To, co możliwe, zależy od Twojego wsparcia.

Dowiedz się, skąd organizacje pożytku publicznego pozyskują fundusze na swoje działania.

OPP

eprasa.pl 631e544192

OPINIE

DLACZEGO ZNIKA DLACZEGO



Unikanie pytań to niezła strategia, jeśli chce się przeżyć życie, niezbyt się przy tym męcząc. Problem w tym, że procesy mające na nas wpływ nie znikają z chwilą, gdy przestajemy się nimi interesować.

DARIUSZ ROSIAK

Najlepszą metodą uniknięcia błędu jest nieodpowiadanie na pytania. To truizm i praktyka stosowana przez każdego polityka. Nie tylko polityka zresztą. Psycholog Daniel Kahneman zwrócił uwagę, że człowiek gotów jest spożytkować nieograniczoną porcję energii, czasu i pieniędzy na to, by uniknąć rozwiązywania trudnych problemów. Weźmy np. skręt w lewo na skrzyżowaniu. Z naprzeciwka jadą samochody. Po co się męczyć, skoro wystarczy skręcić cztery-pięć razy w prawo i dojechać w to samo miejsce?

Dobrze postawione pytanie zmusza do konfrontacji z rzeczywistością i własnymi wyobrażeniami o niej, a unikanie takiej konfrontacji to popularny sposób na przetrwanie w życiu, które nieustannie wiąże się z niedogodnościami. Nasza zdolność wypierania, ignorowania i zaprzeczania równa jest chyba tylko potrzebie wiary w rzeczy nadprzyrodzone, nierealne i kompletnie pozbawione sensu. Jak zauważył Nietzsche w „Poza dobrem i złem", ignorancja daje „niemal niewyobrażalną wolność": otwiera świat iluzji, który jest fascynującym polem doświadczalnym dla naszej wyobraźni i czyni życie szczęśliwym. Kto chciałby płacić cenę wolności i szczęścia w zamian za wymagające mnóstwa wysiłku dążenie do porządku ograniczonego zasadami rozumu?

Infrastuktura iluzji

W trzeciej dekadzie XXI w. tworzymy równoległe rzeczywistości, których nie umiemy od siebie odróżnić. Wymyślamy oddzielne zestawy faktów dla wsparcia wewnętrznie sprzecznych wniosków. Budujemy coraz bardziej wymyślną infrastrukturę iluzji, a wszystko po to, żeby życie w skomplikowanym otoczeniu uczynić bardziej przewidywalnym. W tym dziele wspiera nas technologia, oferująca bezproblemowe światy, w których wszyscy nas kochają i wszyscy się z nami zgadzają; światy, w których jesteśmy piękni i młodzi, nigdy nie popełniamy błędów i nie czynimy nikomu krzywdy.

Nic dziwnego, że w czasach dominacji głupoty zaprzęgniętej do przemysłowej produkcji szczęścia zadawanie pytań nie jest w modzie. Robimy to w zasadzie w dwóch przypadkach: jeśli czegoś nie wiemy i chcemy się dowiedzieć, albo kiedy wiemy i chcielibyśmy poznać opinię innej osoby na dany temat, żeby swoją wiedzę wzbogacić o inny punkt widzenia. Czasem jeszcze zadajemy pytania retoryczne, czyli takie, za którymi stoi ironia albo przekonanie, że wszyscy wiedzą, o co chodzi.

Ani niewiedza, ani zainteresowanie innym spojrzeniem nie są dziś popularne. Zwłaszcza w mediach: nikt nie zaprasza do rozmowy ludzi, którzy nie są pewni swego albo chcieliby poznać zdanie innych.

eprasa.pl 631e544192



DAVID PAUL MORRIS / BLOOMBERG // GETTY IMAGES

Mark Zuckerberg podczas konferencji Meta Connect, gdzie zaprezentowano m.in. nowy model okularów rozszerzonej rzeczywistości, Menlo Park (Kalifornia), 25 września 2024 r.

Tydzień z życia Trumpa

Rozumieją to politycy, a trend wyznacza obecny prezydent USA. Donald Trump praktykowaną od wieków sztukę unikania odpowiedzi na pytania wyniósł na szczyty. On nie tyle unika odpowiedzi, co unieważnia sens zadawania pytań. Założenia tej praktyki sformułował Steve Bannon, jeden z ideologów MAGA, w wywiadzie dla PBS z 2019 r., w którym określił media jako „partię opozycyjną": „Są głupi, leniwi i nie potrafią ogarnąć więcej niż jedną rzecz na raz – mówił Bannon o dziennikarzach. – Powinniśmy po prostu rozlać się na ich terytorium. Bang, bang, bang i nigdy się nie podniosą. Ale trzeba zacząć z szybkością karabinu maszynowego".

Jak to wygląda w praktyce? Gdy zaczynałem pisać ten tekst, obowiązywało ultimatum: w ciągu 48 godzin Iran zobowiązany jest otworzyć cieśninę Ormuz, albo Amerykanie unicestwią irańskie pola naftowe. Ale przecież kilka dni wcześniej sekretarz wojny Hegseth mówił, że cieśniną Ormuz można płynąć, jedynym problemem jest jej ostrzał ze strony Iranu. Iranu, którego „możliwości rakietowe są całkowicie wyeliminowane", a operacja „Epicka furia" przynosi „kolosalne rezultaty" (Biały Dom, 16 marca). Z tym, że przynosiłaby lepsze, a zwłaszcza doprowadziłaby do otwarcia cieśniny Ormuz, gdyby włączyły się w nią państwa NATO (Trump, 16 marca), choć Ameryka nie potrzebuje i nigdy nie potrzebowała pomocy „tchórzy" z NATO (Trump, 20 marca).

Gdy kończę ten akapit, Trump informuje, że odwołuje ultimatum, przynajmniej czasowo, bo przeprowadził „konstruktywne rozmowy" z Iranem na temat „całkowitego i pełnego rozwiązania konfliktu na Bliskim Wschodzie". Trzy dni wcześniej mówił, że w Iranie nie ma liderów, z którymi można rozmawiać, bo wszyscy zostali zabici. Ciekawe, z kim teraz rozmawiał i o czym. Choć właściwie to nieważne: słowa Trumpa wystarczyły, by ceny ropy spadły do 90 dolarów za baryłkę. Następnego dnia, gdy Irańczycy zaprzeczyli, jakoby rozmowy miały miejsce, znów skoczyły powyżej 100 dolarów.

Jak to się skończy

W czym uczestniczymy? Jaki jest cel tego widowiska? Zniszczenie programu nuklearnego Iranu? Ale przecież został on zniszczony osiem miesięcy temu (Trump, 25 czerwca 2025). Zmiana reżimu? Tak, zmiana reżimu, twierdzi Trump 4 marca, zwracając się do irańskiego narodu: „Będziecie wolni". „Zmiana reżimu nigdy nie była podstawowym celem ataku na Iran" – mówi Trump 20 marca. „Zwijamy operacje wojenne" (Trump, 21 marca). Albo może nie, bo przenosimy oddziały piechoty morskiej z Indo-Pacyfiku na Bliski Wschód. To Izrael skłonił ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ Amerykanów do interwencji (Marco Rubio, 2 marca). „Nie, to ja zmusiłem Izraelczyków" (Trump, 3 marca). Itd., itp.

Ha, ha, mówią eksperci od geopolityki, no i co z tego? To taka cecha jego stylu. Nie ma sensu zwracać uwagi na to, co mówi – ważne, co robi. Ale jak oceniać to, co robi, skoro nie wiadomo, po co to robi? „Jak to się skończy?" – pytał generał Petraeus po ataku na Irak w 2003 r. Co za pytanie! Nie wiadomo, jak to się skończy – jak się skończy, to będziemy wiedzieć.

Może jednak warto zwrócić uwagę na to, czym w istocie jest styl Donalda Trumpa? Codzienny zalew mediów wewnętrznie sprzecznymi komunikatami wygląda jak odruchy niestabilnej emocjonalnie grupy ludzi, która przypadkowo rządzi najpotężniejszym państwem świata.

Zespół stresu potrumpowego

Spotykam czasem osoby, które bez przerwy mówią – zapewne w obawie, że kiedy przestaną, prawda wyjdzie na jaw. Jednak strategia medialna Trumpa to coś więcej. Tworzenie sprzecznych komunikatów, podbijanych regularnie filmami zrobionymi przez sztuczną inteligencję, tworzy świat medialnej iluzji, w której każdy fakt i każde zdanie kreują odrębną rzeczywistość. Odróżnienie prawdy od fałszu jest praktycznie niemożliwe; wszystko, co pojawia się w sferze publicznej, to narzędzie politycznej manipulacji.

Przekonanie, że żyjemy w świecie, w którym każda wypowiedź i każde publiczne zachowanie pozostawiają nieusuwalny ślad w sieci, wydaje się oczywiste. Ale nie dla Trumpa. Trump i jego ludzie mówią: nieważne, co zostaje w sieci, nic nie jest trwałe, wszystko może zostać wymazane i przykryte nowym śladem. A ten kolejnym, i tak w nieskończoność. Jeśli zaczniesz grzebać w sieci, i tak się nie dogrzebiesz. A nawet jeśli się dogrzebiesz i opublikujesz, następnego dnia ludzie zapomną.

Dyskusja, czyli wymiana opinii na temat zaistniałych faktów, staje się niemożliwa również dlatego, że opinię publiczną zaczyna ogarniać potworne zmęczenie. Jak długo można analizować wypowiedzi, których sens zmienia się niemal codziennie i które nie niosą za sobą żadnych twardych znaczeń? Amerykańscy psychologowie stworzyli już termin „zespół stresu potrumpowego" (*Trump stress disorder*). Lekarstwem ma być odstawienie mediów, nie trzeba psychoterapeuty: wystarczy zaangażowanie i regularna praktyka. „Ćwiczenia mindfulness i medytacja pomogą ci zachować spokój w tych czasach niepewności" – czytam na portalu anxietytozen.com.

POŻEGNANIE

Markowi Bednarzowi

najserdeczniejsze wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia i otuchy w związku ze śmiercią

Taty

składają

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

Problemy nie znikną

Kiedy pytania zostają wykreślone z zestawu narzędzi do opisywania świata, wszystko staje się możliwe. Otwiera się droga do traktowania kłamstwa jak prawdy, fikcji jak rzeczywistości. Skąd brać informacje, komu wierzyć, komu nie, kogo traktować jak autorytet, kogo jak uzurpatora? W końcu wierzymy wyłącznie tym, z którymi się zgadzamy, a zdanie tych, z którymi się nie zgadzamy, traktujemy jak kłamstwo. Hannah Arendt pisała w „Korzeniach totalitaryzmu", że izolacja i samotność ludzi są warunkami wstępnymi totalitaryzmu. Dziś te warunki spełnione są w nadmiarze, dlaczego zatem nie bijemy na alarm?

Być może dlatego, że – jak wspomniałem wyżej – unikanie odpowiedzi na pytania jest całkiem niezłą strategią, jeśli chcemy przeżyć życie, niezbyt się męcząc. Problem w tym, że procesy mające wpływ na nasze życie nie znikną, kiedy przestaniemy się nimi interesować.

Nie chodzi tylko o regionalne wojny, które wywierają globalne skutki. Ponad 20 lat po wymyśleniu Facebooka rodzice w panice zauważają skutki działania tzw. mediów społecznościowych na dzieci. Rządy w pośpiechu próbują regulować gałąź przemysłu, która dla kilku firm generuje wyższe przychody niż PKB niektórych rozwiniętych państw Zachodu. Ale jak mają to robić, skoro sami są klientami technologicznych oligarchów? Podaż informacji w skali globu została przejęta przez kilka osób niepodlegających jakiejkolwiek publicznej kontroli – większość z nich stała za Trumpem podczas inauguracji jego drugiej prezydentury.

Orientujemy się poniewczasie, wszystkich nas to przeraża. Wywołujemy więc rwetes, zakazujemy dzieciom używania telefonów, które wcześniej sami im kupiliśmy, bo wszystkie inne dzieci i tak mają.

AI zmienia wszystko

Dario Amodei, szef Anthropic (czołowej firmy wytwarzającej modele sztucznej inteligencji) zapowiada w wywiadzie dla Axios, że AI wymiecie z rynku pracy połowę tzw. białych kołnierzyków, czyli menadżerów, konsultantów, programistów, prawników, pracowników finansów i administracji: wszystkich tych, którzy tworzą społeczną bazę współczesnego kapitalizmu. Amodei twierdzi, że praktycznie znikną możliwości pierwszego zatrudnienia dla osób z tych sektorów w wieku poniżej 30 lat.

Steve Bannon przewiduje z kolei, że bezrobocie spowodowane rozwojem AI będzie głównym tematem wyborów w USA w 2028 r., a Alex Karp, szef Palantir Technologies (firmy budującej AI dla Pentagonu) mówi wprost: „AI odbierze władzę wysoko kwalifikowanym pracownikom (często kobietom) głosującym na Partię Demokratyczną i odda ją pracownikom z wykształceniem zawodowym (często mężczyznom) głosującym na Partię Republikańską".

Karp dodaje, że nowe technologie są „niebezpieczne", a nawet „samobójcze", a jedynym argumentem przemawiającym za tym, żeby je rozwijać, jest zagrożenie, że ktoś inny (Chiny) rozwinie je wcześniej. Co zresztą skłania go do współpracy z Pentagonem w celu nieskrępowanego wykorzystania AI przez wojskowych.

Podsumowując: sztuczna inteligencja właśnie zmienia cały system społeczny i mapę wyborczą Ameryki, przekształcając strukturę władzy w kraju, a sposobem na sprzedanie tej zmiany

eprasa.pl 631e544192

opinii publicznej jest przekonanie ludzi, żeby poparli przekazanie kontroli nad całym procesem Pentagonowi.

Niedawny spór Anthropic z administracją Trumpa trafnie ilustruje tezę Karpa. Pentagon zażądał od firmy zgody na wykorzystywanie jej technologii w każdym celu, który nie stanowi naruszania prawa. Amodei odmówił, obawiając się, zapewne słusznie, że administracja będzie chciała wykorzystać jego model do inwigilacji nie tylko „*bad guys*", ale wszystkich, których władze uznają za wartych inwigilacji. Rząd Trumpa uznał firmę za zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa i zakazał urzędnikom państwowym korzystania z jej produktu.

Kilka godzin po wydaniu tej decyzji umowę z Pentagonem podpisał konkurent Anthropic, OpenAI. Jego szef Sam Altman przekonuje oczywiście, że zakaz masowej inwigilacji leży firmie na sercu, a Pentagon w pełni się z nim zgadza i odpowiednie ustalenia zostały wpisane do umowy. Ale przekaz jest jasny: słuchaj się nas, albo zostaniesz zastąpiony kimś, kto się z nami zgadza.

Można by oczekiwać, że miliony „białych kołnierzyków" wykażą zainteresowanie tak dramatycznym rozwojem wypadków. Nic z tych rzeczy. Dario Amodei twierdzi, że większość pracowników sektorów najbardziej zagrożonych bezrobociem (finanse, prawo, nowe technologie) nie ma pojęcia, co ich czeka: „To wygląda jak wariactwo, ale większość z tych ludzi nie wierzy, że to wszystko się wydarzy".

Kiedy pytania zostają wykreślone z zestawu narzędzi do opisywania świata, wszystko staje się możliwe. Otwiera się droga do traktowania kłamstwa jak prawdy, fikcji jak rzeczywistości.

Skroluj dalej

Wiara w to, że prawo Murphy'ego nie zadziała, czasem przenosi góry, zwykle jednak nie wystarcza. Narzędziem, które stosujemy od wieków, aby zabezpieczyć się przed nieoczekiwanymi skutkami zmian, jest zadawanie pytań. Donald Trump postanowił obejść problem wyjaśnienia, o co chodzi w wojnie z Iranem, po prostu wymazując potrzebę ich stawiania. Na własne ryzyko rezygnujemy z nich również w obliczu największej rewolucji technologicznej naszych czasów, czyli rozwoju sztucznej inteligencji.

A przydałoby się zadać kilka podstawowych. Dlaczego pozwalamy na tak wielką ingerencję w nasze życie technologii, której nie tylko nie do końca kontrolujemy, ale nawet nie wiemy, jak działa? Dlaczego godzimy się na to, że bardzo niewielka grupa ludzi osiąga kosmiczne bogactwo powodując zmiany społeczne, gospodarcze, polityczne, których konsekwencji nie umiemy nawet przewidzieć? Czy rozumiemy bilans zysków i strat, który wiąże się z rozwojem AI? Czy godzimy się np. na paradoks zaproponowany przez Dario Amodei: „Rak staje się uleczalny, gospodarka rośnie w tempie 10 proc. rocznie, budżet państwa jest zrównoważony, 20 proc. wszystkich ludzi nie ma pracy"?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie wcale nie jest oczywista. Może cena za rozwój AI jest warta zapłacenia? Zapewne warto wziąć pod uwagę słowa Aleksa Karpa, bo przecież Chiny stworzą świat oparty na AI według swoich kryteriów, nie pytając nikogo o zgodę. Jednak fundamentem demokracji i jednym z jej kluczowych warunków jest otwarta debata publiczna na zasadnicze tematy naszych czasów.

Bez stawiania trudnych pytań i (czasem bolesnego) konfrontowania się z odpowiedziami skazujemy się na życie w iluzji szczęścia, a największą staje się system nazywany przez nas demokratycznym. To na tej iluzji kwitnie władza manipulatorów, na jej fundamencie powstają autokracje i oligarchie. Politycy i technologiczni baronowie budują nowe wspaniałe światy, a my mamy wybór: albo będziemy ich z tego rozliczać, albo pozostaniemy w ciepłej ułudzie, przeglądając sobie rolki na Instagramie. Nikt nie musi odpowiadać na pytania, gdy skrolujemy aplikacje z promienną twarzą oświetloną najnowszym modelem smartfona.

© DARIUSZ ROSIAK

REKLAMA



eprasa.pl 631e544192

OLGA

Drenda:
Dla kogo jest sztuka



Nie jestem pewna, czy mój dziadek kiedykolwiek widział na żywo przedstawienie operowe. Ale na pewno uwielbiał operę i się na niej świetnie znał, dzięki radiu, płytom i książkom, jak na muzyce klasycznej zresztą w ogóle. Prowadził nawet notes, w którym zapisywał ulubione wykonania. Mój dziadek był także górnikiem, jeździł zawsze i wszędzie na jednym i tym samym rowerze i prowadził życie, które mało z operą się kojarzy. No, może schematycznie myślącym ludziom się nie kojarzy, bo na pewno nie był jedyny. Pewien rówieśnik mojego dziadka, marynarz, a potem murarz, który dzieciństwo miał jak z pozytywistycznej nowelki i mógłby skończyć marnie, również uwielbiał operę i balet, i nadrabiał przedstawienia na zasłużonej emeryturze. Przypomniała mi się też anegdota któregoś amerykańskiego reportera, jak to przyjechał w latach 90. do Polski, a tam portier w hotelu zasłuchany w Pavarottim, w taksówce Pavarotti, w barze obiadowym Pavarotti. Był tym zdumiony, choć szczerze mówiąc to nie rozumiem, dlaczego kogoś miałoby to dziwić.

Ostatnio wszyscy przypomnieli sobie o operze i balecie po tym, jak bardzo popularny obecnie aktor Timothée Chalamet w wywiadzie zbył te dziedziny sztuki lekceważeniem jako rzekomo nierentowne. Czy dziwi mnie, że gwiazdor dzisiejszego Hollywood, do tego prawdopodobnie ktoś, dla kogo ekonomia klikalności jest oczywista jak tlen, myśli mniej więcej jak Leszek Balcerowicz w 1990 roku? Ani trochę, więc zostawmy go i potraktujmy jak pretekst, by porozmawiać trochę o operze. To, że drogie są bilety, wiemy, podobnie jak utrzymanie infrastruktury. Ale inną kwestią jest, że to sztuka bardzo przystępna, lubiana i mówiąc kategoriami popu, naturalnie chwytliwa. Nawet jeśli ktoś nie wysłuchał żadnej opery w całości, pamięta i może zanucić najbardziej znane motywy. W bardzo ciekawej książce Marty Michalskiej o tym, jak brzmiało XIX-wieczne miasto, na podwórkach rozbrzmiewają motywy z oper, a zwłaszcza operetek, w wykonaniu wędrownych śpiewaków i kataryniarzy. Nie była to z pewnością wirtuozeria, ale tu ważne jest coś innego – że była to muzyka dla każdego. Uliczną publiką byli przecież dozorcy czy praczki podczas swych codziennych zajęć. Do dzisiaj klasyka spełnia popularną definicję „pięknej muzyki". Jest to oczywiście często klasyka w wydaniu miękkim i słodkim, jak słynni Trzej Tenorzy, ale z pewnością nie da się jej nazwać niezrozumiałą. Nie trzeba się jej w ogóle bać.



OLGA DRENDA

Śliczne bydgoskie rybki spod opery

Osobiste wyznanie: nie jestem wcale koneserką opery i nawet nie chodzę na spektakle, może niestety. Nie mam tu zatem żadnego osobistego interesu. A mimo to sporo motywów przecież znam. Ktoś mógłby się żachnąć, że łatwo mówić, jeśli się od dziecka kisiło i wędziło w wysokiej kulturze. Tylko że to nieprawda. Miałam wspomnianego dziadka melomana oraz telewizor, a w nim Wielką Grę i kreskówki z Królikiem Bugsem, i to była moja szkoła muzyki klasycznej. Za to w mojej pracy miewam czasami do czynienia z, mówiąc bardzo poważnie, upowszechnianiem kultury. I jedna rzecz przyprawia mnie o ból zębów – to chodzenie na paluszkach wokół odbiorcy, żeby przypadkiem nie było mu za trudno, bo biedaczek się zmęczy. Kryje się za tym obawa przed posądzeniem o snobizm czy zadzieranie nosa.

Niestety odbiorca wyczuwa taki dystans, który odbiera jako brak zaufania dla własnych kompetencji. Pisał o tym często Stanisław Barańczak, próbując zrozumieć, dlaczego uśredniony odbiorca z własnej woli wybiera „Starszych Panów", a nie rozrywkowo-dydaktyczne programy polegające na prowadzeniu widza za rączkę. Różnica jego zdaniem leżała w naturalnym założeniu, że każdy jest zdolny do tego, by zostać odbiorcą sztuki, a nie, że dopiero musi zostać w ten świat od zera wprowadzony. Otóż lepiej jest założyć, że ktoś wie więcej niż mniej, a nawet jeśli nie wie, to się dowie, bo warto zaufać, że potrafi. Najwyżej nie polubi, co nie jest przecież końcem świata. Bo nie jest problemem zaakceptowanie, że ludzie mogą czegoś nie lubić, nie interesować się, nie mieć czasu albo ochoty. To normalne. Ale grzechem ciężkim jest uznanie, że są na cokolwiek zbyt głupi. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 631e544192

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy
za publikowane tu treści i nikt poza Wami,
Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.



OFERTA CENOWA

Paczkomat InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**
Odbiór w Żabce	Roczna	cena **688 zł**
	Półroczna	cena **368 zł**
Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl		
Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00), adres e-mail w sprawie prenumeraty: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 631e544192

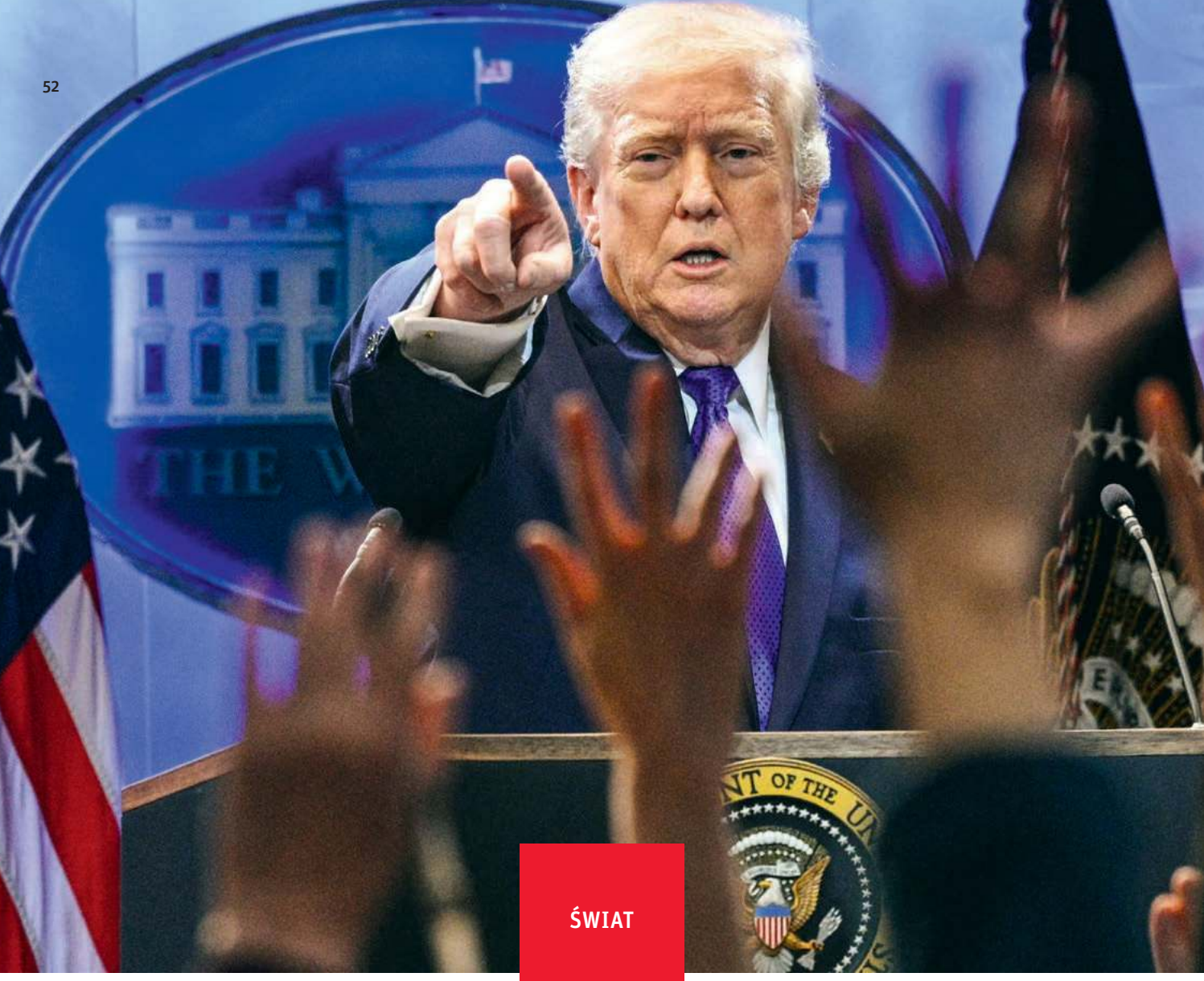

ŚWIAT

DONALD WSPANIAŁY

Uważa, że jest najdoskonalszy i wszystko robi świetnie. Jednak przypadku prezydenta USA nie da się sprowadzić tylko do narcyzmu. Co jeszcze może kryć ten umysł?

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Być może nawet i jego zwolennicy w pierwszej chwili zdziwili się tym, co czytali. „Dobrze, cieszę się, że nie żyje" – tymi słowy Donald Trump skomentował śmierć byłego dyrektora FBI Roberta Muellera, który z ramienia Departamentu Sprawiedliwości przewodniczył śledztwu w sprawie rosyjskich ingerencji w amerykańskie wybory w 2016 r.

„Nienawidzę moich przeciwników i nie chcę dla nich dobrze" – tak 21 września 2025 r., podczas pogrzebu Charliego Kirka, Trump wyłożył z kolei swoje antychrześcijańskie credo.

Nie są to jedyne wypowiedzi prezydenta USA i dalece nie jedyne jego zachowania, które prowokują do pytania: jak to się stało, że ktoś taki – by zacytować pamiętne *dictum* Trumpa ze spotkania z Wołodymyrem Zełenskim – „rozdaje karty" w międzynarodowej grze?

eprasa.pl 631e544192

Donald Trump podczas konferencji prasowej w Białym Domu. Waszyngton, 20 lutego 2026 r.

Jak to się stało, że ktoś taki decyduje – niemal jednoosobowo – o kształcie międzynarodowego ładu? Jak to się stało, że ktoś taki, kiedy chce, obala przywódców innych państw, kiedy chce, wypowiada wojny, a jeśli zechce, to – niewykluczone – zaatakuje albo zaanektuje każde terytorium, na które akurat będzie miał w danym momencie ochotę?

Co myślą wszyscy

„Prezydent Trump mówi to, co myślą wszyscy" – tak radość Trumpa ze śmierci Muellera skomentowała Laura Loomer, influencerka z ruchu MAGA. „Ma rację, nie powinniśmy się smucić, kiedy umierają źli ludzie" – dodała.

Wśród zwolenników Trumpa dominują takie opinie. Ale ze strony przeciwników – zarówno polityków, jak internetowego komentariatu – posypały się na niego gromy. Wprawdzie wśród oburzonych są i tacy, którzy wcześniej sami bronili prawa do ogłaszania radości, na przykład ze śmierci Kirka (prawicowego aktywisty, zastrzelonego przez zamachowca). Ale cóż, podwójne standardy są charakterystyczne dla każdej strony politycznego spektrum. Może więc Trump faktycznie mówi tylko to, co „myślą wszyscy"?

Mniej więcej w tym samym czasie publicysta „New York Times" Jamelle Bouie opublikował komentarz pod tytułem „Kiedy narcyz idzie na wojnę". Postawił w nim tezę, że Trump jest „skończonym narcyzem" i bez wątpienia „najbardziej solipsystyczną osobą, jaka kiedykolwiek zasiadała w Gabinecie Owalnym".

Solipsystyczną, czyli taką, dla której liczy się wyłącznie jej własny świat wewnętrzny, jej potrzeby, pragnienia i fantazje. I która ma innych za rekwizyty w swoim imaginarium, przeznaczone co najwyżej do tego, by spełniać jej oczekiwania i zachcianki. Jeśli odmawiają – odpowiedzią jest wściekłość, obraza i agresja.

Dwa listy otwarte

Nie jest to teza nowa. Już w 2017 r. kilkudziesięciu przedstawicieli środowiska psychiatryczno-terapeutycznego w USA opublikowało głośny list otwarty, w którym oznajmili, że Trump to człowiek zaburzony, pozbawiony empatii i tolerancji dla poglądów innych niż własne, i dlatego niezdolny do pełnienia tak odpowiedzialnej funkcji jak prezydentura USA.

Sygnatariusze złamali w ten sposób tzw. regułę Goldwatera, która zabrania diagnozowania „na odległość" osób publicznych; uzasadniali to dobrem ogółu.

Ten list otwarty oczywiście nic nie dał. Podobnie jak kolejna odezwa, opublikowana w „New York Times" w październiku 2024 r., niedługo przed ostatnimi wyborami.

Tym razem podpisało się pod nią ponad dwustu pracowników sektora zdrowia psychicznego. Ich tezy były jeszcze mocniejsze: Trump cierpi na „złośliwy narcyzm", „nieuleczalne zaburzenie osobowości", w związku z tym jest „całkowicie niezdolny do sprawowania władzy".

Ktoś go wybrał

Sygnatariusze podkreślali przy tym, że od 1964 r., gdy senator Barry Goldwater wygrał proces z magazynem „Fact" – w którym ukazała się ankieta rozpisana wśród psychiatrów, określających go mianem m.in. „schizofrenicznego" i „psychotycznego" – wiele się w świecie i w psychiatrii zmieniło. W szczególności klasyfikacje zaburzeń psychicznych opierają się współcześnie na klarownych kryteriach behawioralnych. Te zaś narcystyczny i psychopatyczny Trump spełnia w sposób widoczny gołym okiem.

Powtórzmy: niewiele z tych wszystkich odezw i diagnoz wynikło. Niewykluczone, że przyczyniły się one wręcz – podobnie jak niewprawne próby wtrącenia Trumpa za kraty – do wzmocnienia jego wizerunku jako kogoś, kogo dotychczasowy „układ" próbuje za wszelką cenę zniszczyć.

Bo też i psychiatryczny wątek – abstrahując od aspektów etycznych – w dyskusjach o tajemnicy zwycięstwa i skuteczności „najbardziej solipsystycznego" prezydenta USA wydaje się sam w sobie niewystarczający.

Ostatecznie Trump jest fenomenem politycznym: udało mu się dwukrotnie wygrać wybory, a za drugim razem przekonać do siebie naprawdę mnóstwo ludzi.

Ktoś go zatem wybrał. Z jakichś konkretnych powodów.

On i świat

Fakt, że jednostki o cechach narcystycznych i psychopatycznych osiągają we współczesnym świecie sukces, został dostrzeżony dość dawno temu. Jeszcze w latach 70. XX w. pisali o tym Robert Hare czy Christopher Lasch. Ten ostatni świetnie rekonstruował tę specyficzną dynamikę w kultowej i do dziś aktualnej książce „Kultura narcyzmu".

Lasch pisał, że narcystyczna kultura – zorientowana na zewnętrzny pozór, niezdolna do uznania tragizmu, odwracająca się od przemijania, oparta na manipulacji, zapatrzona w siebie – zarazem produkuje, jak i premiuje jednostki o takich właśnie cechach.

Owszem więc, Trump jest narcystyczny, podobnie jak narcystyczny jest świat dookoła. W tym sensie – podążając tropem Lascha, Carla Gustava Junga czy Jamesa Hillmana, którzy na różne sposoby zwracali uwagę na psychologiczno-kulturowe tło procesów politycznych – jest on emanacją szerokich społecznych trendów, a nie trendsetterem.

Nie mamy tu więc do czynienia z przysłowiową małpą, która pochwyciła (atomową) brzytwę i sterroryzowała nią nobliwe salony, lecz z historią człowieka, który wygrał demokratyczne wybory, bo przekonał do siebie współobywateli. A teraz po prostu korzysta w pełni z prerogatyw, jakimi go hojnie obdarowali.

Słowem: to, że Trump stał się jednym z najważniejszych ludzi na świecie, więcej mówi o świecie niż o nim. Więcej o kulturze niż o psychologii jednostki. Więcej o społeczeństwie i jego elitach niż o konkretnej, poszczególnej biografii.

Czerwona kartka dla elit

O tych społeczno-politycznych powodach zwycięstwa Trumpa wiele już zresztą pisano. Głos zabierali tu m.in. liberalny publicysta Fareed Zakaria, socjolożka Arlie Hochschild (autorka znakomitych „Obcych we własnym kraju") czy filozof i podkaster Sam Harris.

Z ich wypowiedzi wyłania się zgodny obraz: elity w USA przez dekady odwracały się od realnych problemów, z którymi borykali się zwykli ludzie, forsowały coraz bardziej odrealnione postulaty tożsamościowej lewicy, lekceważyły kwestie socjalne, nie doceniały, jak ważne są poczucie godności oraz przywiązanie do lokalnej historii i tradycji. Wskutek tego ↦

MANDEL NGAN / AFP / EAST NEWS

eprasa.pl 631e544192

↦ w pewnym momencie ostatecznie straciły wiarygodność.

Trump – gargantuiczny, pewny siebie, przekonany o własnej wspaniałości – stał się w tym układzie czymś na kształt „powracającego wypartego". Jak mówi stara psychoanalityczna zasada: im bardziej uporczywie nie uznajemy pewnych aspektów rzeczywistości, z tym większym impetem przypomną nam one w końcu o swoim istnieniu.

Byłby więc Trump czymś na kształt nemezis dotychczasowych elit i dotychczasowego porządku. A karykaturalność jego postaci byłaby wprost proporcjonalna do ślepoty tych, którym wyborcy postanowili dać w końcu czerwoną kartkę. W tym konkretnym przypadku – ze szkodą dla samych siebie. Jednak z przekonaniem, że wreszcie ktoś ich rozumie, docenia i uznaje, a nie ignoruje lub traktuje jak ciemną masę, godną politowania lub pogardy.

A że Trump zachowuje się jak panisko, które za nic ma maniery i etykietę? Tym lepiej, skoro maniery i etykieta zespoliły się w zbiorowej wyobraźni z klasą polityczną, do której nie ma się już ani zaufania, ani cierpliwości.

Kiedy kolaps?

Ktokolwiek chciałby lepiej zrozumieć ten mechanizm, niech zajrzy do kanału na YouTubie, który prowadzi Peter Santenello. Od wielu lat przemierza on Stany Zjednoczone z kamerą na wysięgniku i dokumentuje, jak tam ludzie naprawdę żyją i myślą.

Oczywiście, dziś poparcie dla Trumpa znacząco spadło – najpierw były ekscesy agentów ICE, a teraz wojna z Iranem osłabia jego pozycję również wśród zwolenników. Niektóre emblematyczne dla ruchu MAGA postacie, jak były dziennikarz Fox News Tucker Carlson, wprost wypowiedziały mu posłuszeństwo i lojalność.

Czy więc tym razem „solipsystyczna osoba" zderzy się jednak z rzeczywistością? Czy dosięgnie ją jej własne „wyparte", które wróci pod postacią problemów na Bliskim Wschodzie i postępującej utraty zaufania? A może nawet spektakularnego kolapsu przed końcem kadencji, co niektórzy już teraz wieszczą?

Cóż, nadzieje, jakie żywią tu krytycy Trumpa, są ogromne. Ale poziom jego nieprzewidywalności jest tak wysoki, że nie sposób choćby w przybliżeniu stwierdzić, jak potoczą się zdarzenia w najbliższych dniach, o miesiącach i latach nie wspominając.



MANDEL NGAN / AFP / EAST NEWS

Fakt, że ktoś, od kogo decyzji zależą losy świata, wyznaje niewyrafinowaną formę magicznego myślenia, napawa, muszę przyznać, niepokojem.

Z pewnością w jakimś momencie takie zderzenie nastąpi. Pytanie tylko, kiedy i jakim kosztem. Specyficzne napięcie – wewnętrzne i międzynarodowe – które wytwarzają Trump i jego administracja, w połączeniu z ich absolutnym przekonaniem o własnej racji, to (znów sięgając do psychoanalizy) gwarancja kolapsu. Mniej lub bardziej spektakularnego.

Przepełnione pychą autoinkantacje

A na razie, cokolwiek by się działo, Trump zaklina rzeczywistość. Powtarza w kółko, co zrobi i co na pewno zrobią inni. Niczym mantrę albo zaklęcie repetuje zapewnienia o własnym sukcesie i wspaniałości.

I znowu: czy jest to wyłącznie symptom jego narcystycznego „ja", upajającego się do niemożliwości dźwiękiem własnego głosu i opowieściami o własnej wspaniałości? Czy też może stoi za tym coś jeszcze? Coś, co nam umyka, gdyż nasza uwaga podąża po najbardziej konwencjonalnych, psychologicznych szlakach interpretacyjnych.

Na to „coś" zwraca uwagę Gary Lachmann. Ten były basista zespołu Blondie jest autorem książek o historii zachodniej tradycji ezoterycznej. W jednej z nich, opublikowanej w 2018 r. pod tytułem „Dark Star Rising. Magick and Power in the Age of Trump" (Wschodząca mroczna gwiazda. Magia i władza w erze Trumpa), Lachmann przygląda się osobliwym ideowym upodobaniom sztandarowych postaci z kręgu prawicy spod znaku alt-rightu w USA, takich jak Steve Bannon czy Richard Spencer.

Zamiłowanie tych dwóch dżentelmenów do dzieł zmarłego w 1974 r. barona Juliusa Evoli – tradycjonalisty integralnego z faszystowskimi inklinacjami, zafascynowanego ezoteryzmem – nie jest tajemnicą. Bannon sam się do tych inspiracji nieraz przyznawał.

Najciekawsze jednak w książce Lachmanna są te fragmenty, w których analizuje on owe przepełnione pychą autoinkantacje Trumpa. Nieustanne powtarzanie, jaki jest wspaniały, najlepszy, najdoskonalszy i jak wszystko, co zrobi, okaże się sukcesem. Powtarzanie, które nie ustaje nawet, gdy realia układają się inaczej.

Kościół przy Fifth Avenue

Lachmann uważa, że to zachowanie Trumpa wynika nie z jego narcyzmu, lecz raczej z pewnej doktryny, która w ciągu ostatnich kilku dekad lat zdominowała zachodnią kulturę i stała się dominującą ideologią w wielu nurtach rozwojowych, popterapeutycznych, popezoterycznych i biznesowych.

Różnie się tę doktrynę – czy też raczej: wiązkę idei – określa. Raz mianem „nowej myśli" (*new thought*), innym razem po prostu „pozytywnego myślenia" albo „prawa przyciągania".

W latach 50. XX w. mały Donald (rocznik 1946) uczęszczał z rodzicami do Marble Collegiate Church, mieszczącego się przy Fifth Avenue w Nowym Jorku. Że było to dla niego ważne miejsce, świadczy fakt, iż wiele lat później wziął w tym kościele ślub ze swoją pierwszą żoną Ivaną.

W czasach dzieciństwa przyszłego prezydenta jedną z najważniejszych osób był tam wielebny Norman Vincent Peale, autor opublikowanej w 1952 r. bestsellerowej książki „Moc pozytywnego myśle-

eprasa.pl 631e544192

nia". To klasyczna pozycja z dziedziny „nowej myśli", której korzenie sięgają XIX w. i pewnego objazdowego hipnotyzera o dźwięcznym nazwisku Phineas Quimby.

Najlepszy uczeń wielebnego Peale'a Fred Trump, ojciec Donalda, był wielkim wyznawcą pastora i jego teorii. Ponoć mawiał, że z Peale'em „nikt nie może się równać". Trumpowie świetnie znali się z charyzmatycznym kaznodzieją, który bywał częstym gościem w ich domu.

Podczas swoich kazań nauczał on, że sukces jest najważniejszą i niekwestionowaną wartością, do której należy nieustannie dążyć. Najlepszą zaś metodą jego osiągnięcia jest pozytywne myślenie. Niezachwiana, absolutna wiara w to, że rzeczywistość ułoży się tak, jak ją mentalnie zaprogramujemy. Myśli bowiem mają zdolność do kształtowania świata, duch realnie wpływa na materię, jego wehikułem są wola i intencja, a Bóg ochoczo współpracuje z kimś, kto nie wątpi w swoje powodzenie.

Donald Trump twierdzi, że Peale (zmarły w 1993 r.) uważał go za najlepszego ucznia, jaki mu się kiedykolwiek przydarzył. Być może więc te jego nieznośne przemowy są w istocie quasimagiczną praktyką, polegającą na zaklinaniu zdarzeń wedle własnych pragnień?

Być może te powtarzane nieustannie mantry nie są tylko efektem jego „narcyzmu", lecz wynikają z wiary, że „programowanie rzeczywistości", uporczywe powtarzanie, iż coś z pewnością się wydarzy, sprawia w jakiś tajemniczy sposób, że to się faktycznie wydarza?

Za wszelką cenę

Jeśli to prawda, wówczas nie wiadomo, czy jest to zła, czy też bardzo zła wiadomość. Okoliczność, że prezydent mocarstwa, od którego decyzji zależą – dosłownie – losy świata, wyznaje cokolwiek niewyrafinowaną formę magicznego myślenia, napawa, muszę przyznać, niepokojem.

Z drugiej strony: może to jest odpowiedź na pytanie o źródła jego skuteczności? Nie w tym sensie, rzecz jasna, że wymyślił sobie i wyafirmował prezydenturę, lecz że swoim sposobem bycia wciela po prostu najbardziej rozpowszechnione dziś mity i obrazy sukcesu oraz skuteczności? Że zatem wszystko to działa na – w jakimś sensie faktycznie magicznej – zasadzie sprzężenia zwrotnego?

Narcystyczny styl bycia okazuje się efektywny w narcystycznej kulturze, przepojonej popterapeutyczno-rozwojowymi narracjami, których jednym z ojców chrzestnych był wszak pastor Peale.

Co podpowiadają te narracje? Wyrażaj siebie. Nie przejmuj się opinią innych. Mów zawsze to, co myślisz. Twoja wartość nie zależy od tego, jak postrzegają cię inni. Jesteś świetny, doskonały i wspaniały, musisz tylko w to uwierzyć. Idź do przodu, nie oglądaj się za siebie. Skrupuły są dla słabeuszy, człowiek sukcesu odrzuca fałszywą skromność i sięga po swoje. Myśl pozytywnie, zawsze bądź pewien tego, co robisz, stawiaj na swoim za wszelką cenę.

Stawiaj na swoim za wszelką cenę.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

zlot POWSZECHNY

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie

Piątek, 29 maja 2026

Chcemy spotkać się **poza łamami gazety** – w rozmowie, sporze i wspólnym myśleniu.

Bez pośpiechu. Bez uproszczeń. Z uważnością.

Na zakończenie – specjalnie przygotowany dla czytelników „Tygodnika Powszechnego" **koncert Grzegorza Turnaua**.



Grzegorz Turnau

Zapraszamy na pierwszy ogólnopolski zjazd czytelniczek, czytelników i sympatyków „Tygodnika Powszechnego" – wydarzenie stworzone z myślą o tych, którzy nie chcą tylko czytać rozmów, ale chcą w nich uczestniczyć.



Ks. Adam Boniecki

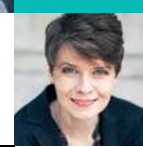

Eliza Kącka



Anita Piotrowska



Jacek Stawiski



Tomasz Stawiszyński



Katarzyna Kubisiowska



Piotr Mucharski



Monika Ochędowska



Marek Rabij

Więcej informacji i bilety: https://evenea.pl/pl/wydarzenie/ZlotPowszechny

To nie będzie seria wykładów. Będzie to **żywa, otwarta dyskusja** – z przestrzenią na pytania, komentarze i głosy uczestników.

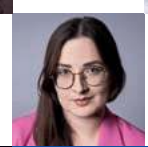

Prof. Bogdan de Barbaro

Ewelina Burda

Marcin Napiórkowski

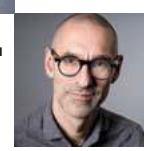

Michał Okoński

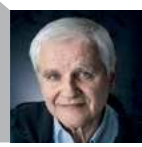

TP. NA ŻYWO

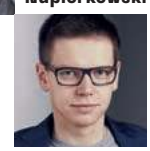

ZAMÓW BILET!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 631e544192



MARTYNA WASIUTA



PETR MALINA / CTK / PAP

Powyżej: „Prorosyjski rząd zagraża naszej przyszłości" – wielu demonstrantów przyniosło transparenty domowej roboty. Protest na Letnej w Pradze, 21 marca 2026 r.
Poniżej: „Jeden agent rządzi wszystkimi" – Babiš i jego koalicjanci jako marionetki.

Jak Babiš zmienia kraj

MARTYNA WASIUTA Z PRAGI

CZECHY | Lew się budzi wiosną na Letnej. O proteście w czeskiej stolicy.

Nie czekajcie na nowego Havla, nie czekajcie na prezydenta Pavla, nie czekajcie też na Mináře – apelował Mikuláš Minář do rodaków. Wzywał, by się angażowali, nie czekając także na niego. Apel swój kierował do kilkuset tysięcy ludzi, którzy w sobotę 21 marca zebrali się na błoniach Letnej w Pradze. 33-letni Minář jest współzałożycielem stowarzyszenia Milion Chwil dla Demokracji. Ono zorganizowało ten antyrządowy protest.

PRZECIW „WUJOKRACJI" | Miał on zwrócić uwagę na zagrożenie, jakim są erozja demokracji i oligarchizacja systemu politycznego pod rządami Andreja Babiša. Uczestnicy wzywali do zaprzestania szkodliwych dla demokracji zmian, które wdraża Babiš. Apelowano też do opozycji, by w obronie demokracji wykazała elastyczność i rozważyła tolerowanie mniejszościowego rządu ANO, partii Babiša – tak, by mógł on zrezygnować z koalicji z partiami antyunijnymi: Wolność i Demokracja Bezpośrednia Tomia Okamury (SPD) i Kierowcy dla Siebie (AUTO).

Liderzy Miliona Chwil wezwali też partie polityczne do większego otwarcia na młodych i zerwania z „wujokracją". Zwrócili się również do uczestników protestu, aby angażowali się w politykę, nie tylko protestując.

Atmosfera protestu, mimo ponurych okoliczności, jakie obserwujemy w ostatnich miesiącach nad Wełtawą, była radosna i wiosenna. Scenę na Letnej wieńczył transparent z hasłem „Lew się budzi. Wiosna jest tutaj". Nawiązując zapewne do lwa, który widnieje w godle Republiki Czeskiej, chciano dodać otuchy.

W OBRONIE WOLNOŚCI | Choć było dość chłodno, na Letną przyszli licznie rodzice z dziećmi. Dla nich utworzono specjalny sektor, z którego ulatywały bańki mydlane. Widziałam też wiele grup młodzieży w wieku szkolnym. Odziani w czeskie flagi niczym w bohaterskie peleryny, nawzajem malowali sobie na twarzach trzykolorowe serduszka.

Było też sporo seniorów. Jedni popijali herbatę z termosów, inni trzymali domowej roboty kartonowe transparenty. Dla osób z niepełnosprawnościami wydzielono miejsce pod sceną. Organizatorzy zadbali, by nikt nie czuł się dyskryminowany.

Do Pragi zjechali licznie mieszkańcy innych miast – świadczyły o tym ich nazwy na flagach i transparentach: „Liberec nie chce klaunów", „Wolność potrzebuje obrony. Litomierzyce". A także: „Stop ruskiej kolaboracji!". Z kolei hasło „Powstrzymajmy drugą normalizację" nawiązywało do inwazji wojsk Układu Warszawskiego, która w 1968 r. zdusiła reformy Praskiej Wiosny.

Specjalna linia tramwajowa nr 36, kursująca od godz. 13 do 19 co pięć minut, przewoziła ludzi między Letną a stacjami metra. Wielu wybierało jednak spacer. Zarówno przed protestem, zapowiedzianym na godz. 15, jak i potem ciężko było znaleźć wolne miejsce w kawiarni czy hospodzie w promieniu kilku kilometrów od Letnej. Najwyraźniej wielu uczestników chciało ogrzać się po kilku godzinach na rześkim powietrzu.

NARRACJA ANTYUNIJNA | Był to największy od 2019 r. protest antyrządowy. Poprzedni, także przeciw Babišowi, miał

eprasa.pl 631e544192

miejsce w czerwcu 2019 r. i zgromadził również około ćwierć miliona ludzi w tym samym miejscu. Po czterech latach, jesienią 2025 r., Babiš wrócił do władzy z rekordowo wysokim poparciem i nieprawdopodobnie aroganckimi koalicjantami.

O ile Babiš wciąż kalkuluje, że opłaca mu się narracja antyunijna – premier jest bardziej pragmatykiem niż ideologiem – o tyle jego koalicyjni partnerzy traktują ją poważnie. I dlatego są groźni.

Niedoszły minister spraw zagranicznych i środowiska, Filip Turek z partii Kierowców, powiedział, że nie rozumie powodów do demonstrowania. Jego zdaniem protestowano wciąż przeciw wynikom wyborów. Organizatorów zaś ocenił jako ludzi żyjących z datków na działalność stowarzyszenia. Część z tych, którzy przemawiali na scenie, nazwał „artystami normalizacyjnymi".

Miał na myśli uznanych aktorów i reżyserów. Byli to m.in. Ivan Trojan, aktor znany w Polsce choćby z tytułowej roli w filmie „Szarlatan" Agnieszki Holland, czy Zdeněk Svěrák, którego znamy np. z oscarowej produkcji „Kola". Na Letnej zabrzmiał z ust Anety Langerovej hymn aksamitnej rewolucji „Modlitwa dla Marty" – w 1989 r. zaśpiewany przez piosenkarkę Martę Kubišovą, rzeczniczkę dysydenckiej Karty 77.

MEDIA PUBLICZNE POD BUT | Protest na Letnej nie był pierwszą w tym roku reakcją na działania Babiša i jego koalicjantów. W lutym w Pradze i czterystu czeskich miejscowościach zorganizowano manifestacje poparcia dla prezydenta Petra Pavla po tym, jak ujawnił on treść esemesów, które otrzymał jego asystent od Petra Macinki, szefa MSZ.

Pavel nie chciał mianować ministrem wspomnianego już Filipa Turka, partyjnego kolegi Macinki. Ten postawił więc prezydentowi ultimatum. Zagroził, że jeśli tego nie zrobi, to „spali mosty w taki sposób, który trafi to podręczników politologii jako ekstremalny przykład kohabitacji". Pavel odebrał to jako groźby i zgłosił sprawę policji.

Istotniejsze jednak od tej czy innej nominacji są działania rządu – te realizowane i te planowane, które oznaczają osłabienie demokratycznego systemu. Rząd Babiša od początku zapowiada, że zmieni model finansowania mediów publicznych. Dotąd ich budżet opierał się na abonamencie i dochodach z własnej działalności, co gwarantowało radiu i telewizji niezależność i pozwalało na krytykę rządu.

Teraz Ministerstwo Kultury, kontrolowane przez Kierowców, planuje zniesienie abonamentu i wprowadzenie finansowania z budżetu. Uzasadnia to oszczędnościami dla społeczeństwa i rzekomo lepszą przejrzystością. Jest jednak jasne, że o ile model wypracowany po aksamitnej rewolucji miał gwarantować niezależność mediów publicznych, o tyle obecna zmiany to próba ich upaństwowienia i uzależnienia od rządzących.

BAT NA KRYTYKÓW | Niepokój budzą też plany utworzenia rejestru dotacji dla organizacji non-profit. Znowu pod pretekstem transparentnego ujawniania ich wydatków, rząd daje sygnał, że chce kontrolować NGO-sy. Spodziewać się należy, że jeśli w przyszłym rejestrze znajdą się organizacje powiązane finansowo z partnerami zagranicznymi, nie będą one mogły ubiegać się o finansowanie z budżetu.

Jak wiadomo, problem z NGO-sami Babiš ma nie od dziś. W jednym z wywiadów powiedział niegdyś, że organizacje pozarządowe to część tzw. *deep state*, „głębokiego państwa", a organizację Transparency International (przeciwdziałającą korupcji) określił podmiotem skorumpowanym i opłacanym w celu atakowania jego, Babiša.

To właśnie Transparency International zwracała wówczas uwagę na konflikt interesu Babiša, prywatnie milionera z branży rolno-spożywczej. Dlatego wolno sądzić, że sam w sobie niewinny rejestr dotacji czy też organizacji non-profit może być wstępem do dalszych działań wymierzonych w społeczeństwo obywatelskie i podmioty niepokorne wobec rządu.

EKOCZYSTKI | Sprzeciw budzą wreszcie czystki w ministerstwie środowiska, które prowadzą ekosceptyczni Kierowcy. Po tym, jak kandydatura Filipa Turka na fotel ministra w tym resorcie została odrzucona przez prezydenta, stworzono dla niego protezę tego stanowiska – w postaci pełnomocnika ds. Zielonego Ładu i polityki klimatycznej. Ministrem został zaś inny, mało znany członek Kierowców, który jest figurantem.

Realnie w ministerstwie rządzi więc Turek i nikt tego nie ukrywa – to on reprezentował już nawet Czechy na ostatniej Radzie Unii Europejskiej. Z resortu zwalniani są długoletni i fachowi pracownicy, których zastępują ludzie z nadania partyjnego. Niektóre stanowiska są likwidowane. Mają też miejsce cięcia finansowe w parkach narodowych, co krytycznie oceniają byli ministrowie środowiska z różnych opcji politycznych, nie wspominając już o organizacjach ekologicznych.

Historyk i publicysta Jan Škvrňák twierdzi, że rządowi chodzi o nieskrępowany rozwój przemysłu. Przypomnijmy, że przewodniczący AUTO, Petr Macinka, był wieloletnim i bliskim współpracownikiem Instytutu Václava Klausa. Były prezydent Czech napisał nawet książkę pt. „Błękitna planeta w zielonych okowach. Co jest zagrożone: planeta czy wolność?". W rozumieniu Klausa ochrona środowiska jest źródłem ograniczeń dla rozwoju gospodarczego, a efekt cieplarniany to teoria naciągana.

MNIEJ NA OBRONNOŚĆ | „Państwu, które samo się nie zbroi, nikt nie pomoże się obronić" – zabrzmiało ze sceny na Letnej. Bo kolejny zarzut wobec rządu Babiša dotyczy cięć w budżecie Ministerstwa Obrony. To drugi z resortów, na którym próbują oszczędzać Babiš i jego partnerzy.

Armia ma w tym roku dysponować sumą stanowiącą mniej niż 2 proc. PKB, mniejszą niż w 2025 r. To duży cios dla obronności i zobowiązań Czech wobec sojuszników z NATO, którym poprzedni centroprawicowy rząd Petra Fiali obiecywał stopniowe zwiększanie wydatków na zbrojenia do 3,5 proc. PKB w 2030 r.

Minęło dopiero sto dni rządu Babiša, a przez Czechy przetoczyła się już cała fala protestów. Nie można się jednak spodziewać ustąpienia samego rządu. W to nie wierzą już sami Czesi. Pozostaje im mieć nadzieję na ustępstwa w niektórych kwestiach. Pewne jest tylko, że jeśli Babiš i jego koalicjanci będą kontynuować to, co robią teraz, możemy się spodziewać kolejnych wielkich protestów. ©

Autorka prowadzi portal Czeskapolityka.pl

eprasa.pl 631e544192



KENZO TRIBOUILLARD / AFP / EAST NEWS

Nowy mer Paryża Emmanuel Grégoire uczcił zwycięstwo rowerowym rajdem, 22 marca 2026 r.

Test nad Sekwaną

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

FRANCJA | Postępy ekstremistów są umiarkowane: to wniosek z wyborów samorządowych we Francji. Słaba to pociecha dla partii centrum przed elekcją, która czeka kraj wiosną 2027 r.

Walka z przestępczością, a zwłaszcza z gangami narkotykowymi, aktywnymi dziś nawet w małych miastach – politolożka Blanche Leridon, dyrektorka badań nad Francją w think tanku Institut Montaigne, przekonuje w rozmowie z „Tygodnikiem", że to był jeden z głównych tematów kampanii przed wyborami samorządowymi 15 i 22 marca.

– W tej kampanii można było zauważyć, że lewica coraz częściej zgadza się w tej kwestii z prawicą, np. gdy idzie o zwiększenie liczby policjantów miejskich czy liczby kamer monitoringu na ulicach – uważa Leridon.

Politolożka przyznaje, kandydaci nie stronili tu od demagogii, gdyż w kwestii bezpieczeństwa samorządy mają niewielkie prerogatywy. – Franck Allisio, pretendent skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego (RN) na mera Marsylii, obiecał wprowadzić w mieście stan wyjątkowy, by walczyć z narkogangami, choć taka decyzja nie należy do mera – komentuje Leridon. Ostatecznie Allisio przegrał, zajmując drugie miejsce.

BÓJ O STOLICĘ | Najbaczniej śledzono walkę o Paryż, gdzie w decydującym starciu zmierzyli się socjalista Emmanuel Grégoire i znana prawicowa polityczka Rachida Dati. Kiedyś była ikoną epoki Nicolasa Sarkozy'ego, a ostatnio, za prezydentury Emmanuela Macrona, kierowała ministerstwem kultury.

Teoretycznie Dati miała wszelkie atuty, aby odbić Paryż z rąk lewicy, która rządzi miastem od ćwierć wieku. Korzystała z poparcia kandydatów, którzy wycofali się po pierwszej turze: „macroniści" Pierre-Yves'a Bournazela i Sarah Knafo ze skrajnie prawicowej partii Rekonkwista. Sondaże wskazywały, że Paryżanie chcą zmiany, i że ponad połowa mieszkańców źle ocenia bilans 12-letnich rządów socjalistki Anne Hidalgo.

Ale choć socjalista Grégoire był przez wiele lat zastępcą Hidalgo i nie jest szerzej znany, pokonał zdecydowanie osławioną konkurentkę – w stosunku blisko 51 do 42 procent.

ZIELONY PARYŻ | Leridon uważa, że wystawienie Rachidy Dati było błędem. – Ona mocno dzieli Francuzów. Wielu mogło odstraszyć to, że ciągną się za nią ciężkie zarzuty o korupcję – wylicza politolożka. W istocie za kilka miesięcy Dati ma stanąć przed sądem, oskarżona o korupcję w tzw. aferze Renault-Nissan: w latach 2010-12 miała za kwotę 900 tys. euro uprawiać lobbing na rzecz tej firmy, będąc jednocześnie eurodeputowaną.

Po zwycięskim socjaliście można oczekiwać kontynuacji dwóch kadencji Hidalgo. Stały one pod znakiem ekologicznej transformacji. Ambicją stołecznej koalicji socjalistów i Zielonych jest pozbycie się z centrum aut z napędem spalinowym i uczynienie z miasta raju dla rowerów.

Do tych celów jeszcze daleko, choć tylko w czasie pandemii zbudowano w mieście kilkadziesiąt kilometrów ścieżek rowerowych. Na razie Grégoire uczcił zwycięski wieczór rowerowym przejazdem ulicami miasta aż do ratusza.

PORAŻKA SKRAJNOŚCI | Umiarkowana lewica utrzymała władzę także w innych największych metropoliach: Marsylii (socjaliści) i Lyonie (Ekolodzy, dawniej Zieloni). Gorzej poszło im w małych i średnich miastach. Konserwatywna prawica (Republikanie lub pokrewne listy) zachowała w sumie prawie połowę z miast powyżej 30 tys. mieszkańców. Udało im się nawet odbić z rąk lewicy jej tradycyjne bastiony: Brest i Clermont-Ferrand.

Nie potwierdziły się obawy przed rozlaniem się w tych wyborach fali ekstremizmu z lewa i prawa. Nawet jeśli niezłe wyniki notowały i skrajna prawica Marine Le Pen (RN), i skrajna lewica Jean-Luca Mélenchona (LFI). Największy sukces RN to zwycięstwo w Nicei ich sojusznika Érica Ciottiego. W sumie lepeniści z koalicjantami zdobyli tylko 12 miast, w większości małych lub średnich, a LFI sześć, w tym na przedmieściach Paryża i Lille.

ROSNĄCY DYSTANS | Krajobraz jest więc mocno poszatkowany. Nie pozwala to na prognozy dla najważniejszej elekcji, która czeka kraj wiosną 2027 r.: wyborów prezydenckich. Faworytem wydaje się kandydat RN, zapewne Jordan Bardella.

– Wybory lokalne rządzą się własną logiką. Zauważmy, że trzy największe grupy w parlamencie, czyli skrajna prawica, centrum Macrona i skrajna lewica mają słabą reprezentację w samorządach. Tutaj dominuje tradycyjna prawica i socjaliści – zauważa Blanche Leridon.

Inną lekcją z tych wyborów jest rosnący dystans Francuzów wobec polityków, nawet na „namacalnym" szczeblu lokalnym. W drugiej turze głosowało tylko 57 proc. wyborców, o kilka procent mniej niż w poprzednich takich wyborach. Kolejny niepokojący sygnał dla tych, którzy wierzą w siłę demokracji. ©

eprasa.pl 631e544192

Włoski odruch

PAWEŁ BRAVO

WŁOCHY | Aby do września. Wtedy Giorgia Meloni stanie się najdłużej urzędującym premierem w historii republiki włoskiej. Choć dziś się potknęła.

Pełne cztery lata na czele rządu – w wielu krajach nie byłby to wyczyn. Ale tu, we Włoszech, to powód do dumy. I miara wyjątkowości kariery pierwszej kobiety na czele rządu w zmaskulinizowanej włoskiej polityce, w dodatku na czele partii o przekazie silnie tradycjonalistycznym.

POTKNIĘCIE | Skąd więc w gazetach i na kontach komentatorskich rozważania o skróceniu kadencji, skoro centroprawicowa koalicja miała dotąd niezachwianą pozycję?

W 2025 r. nawet w Brukseli żartowano, że wobec chaosu we Francji role się odwróciły – i teraz to Francja przypomina dawne Włochy, z wymianą premiera raz do roku, a Włochy jawią się jako oaza stabilności. Jednak po trzech latach dobrej passy Meloni po raz pierwszy zderzyła się ze ścianą, straciła aurę niezwyciężonej.

Utraciła więc główny atut. Bo w kwestii realiów rządzenia jej dorobek nie imponuje. Zasadą był dotąd bezruch, odwlekanie decyzji i unikanie konfrontacji. Przy dobrej koniunkturze, dużych pieniądzach z Unii i ministrze finansów prowadzącym niemal „niemiecką" dyscyplinę budżetową dawało to receptę na jako takie trwanie. Aż wreszcie, na pierwszej próbie dokonania istotnej zmiany ustrojowej, Meloni się potknęła.

REFERENDUM | Przypomnijmy: rządząca większość składa się z dominującej partii Bracia Włosi, stworzonej 15 lat temu przez pokoleniowy bunt w resztówce dawnej partii postfaszystowskiej (ale mieszczącej się w granicach prawicowego mainstreamu, a w polityce europejskiej wręcz centrowej). Z kolei wspieranie Orbána i kontestowanie wsparcia dla Ukrainy to zadanie mniejszego udziałowca: Ligi Matteo Salviniego, bliskiej francuskiemu Zjednoczeniu Narodowemu (podobnie jak ono o ciągotach prorosyjskich).

Jest jeszcze Forza Italia, niegdyś główna partia centroprawicy. Założona przez Silvio Berlusconiego, po jego śmierci jest cieniem dawnej świetności. Od tej właśnie partii, która w DNA ma niechęć do „wszechwładzy" prokuratorów (efekt kłopotów dawnego lidera, łamiącego notorycznie prawo) wyszła inicjatywa reformy wymiaru sprawiedliwości.

Projekt wzmocnienia władzy premiera, promowany wcześniej przez Meloni, utknął w parlamencie; podobnie jak dalsze zwiększenie autonomii regionów (tego chce Liga). Dlatego reforma sądów i prokuratury jawiła się jako jedyna istotna zmiana, której Meloni mogła dać twarz. I dlatego referendum, mające o niej zdecydować, stało się plebiscytem oceniającym jej postać (sama materia reformy była trudna do prostej oceny w kategoriach spolaryzowanej polityki).

REFORMA | Projekt zakładał rozdzielenie ścieżek zawodowych prokuratorów i sędziów. Dotąd we Włoszech prawnicy mogą przechodzić między jedną a drugą kategorią. Podziałowi na odrębne ciała miał ulec też odpowiednik Krajowej Rady Sądownictwa, a zmiana miała objąć też sposób ich powoływania. Większość składu miano odtąd losować, co mogłoby zakończyć klientelistyczne praktyki dzielenia miejsc między różne organizacje sędziowskie i prokuratorskie, *de facto* afiliowane przy partiach politycznych.

Gdy Berlusconi pomstował na prześladujące go „czerwone togi", była to oczywiście przesada, ale w ostatnim ćwierćwieczu nie brakowało dowodów, że spora część wymiaru sprawiedliwości jest „lewoskrętna": chętniej tropi nadużycia polityków prawicy. Jednak ekipa Meloni długo powstrzymywała się przed nadaniem reformie charakteru rewanżu politycznego. Dopiero w końcówce kampanii referendalnej ważni działacze nie wytrzymali – mówiąc o prokuraturze jako „plutonie egzekucyjnym" i „paramafijnej" strukturze w radzie sądowniczej.

Premier Włoch Giorgia Meloni. Rzym, 17 marca 2026 r.



MONALDO / EAST NEWS

NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ | To nie pomogło zebrać większości za reformą. Ale tak naprawdę Meloni przegrała referendum z 22-23 marca, gdyż elektorat chciał pokazać jej figę. I to przegrała znacznie. Frekwencja była spora, a na „nie" głosował zwłaszcza młody elektorat i duże miasta. Może dlatego, że długo obnosiła się ze swoją bliskością z Trumpem, aspirując do roli pośrednika między USA a Brukselą. Dziś, w wyniku wojny z Iranem i jej skutków widocznych na stacji benzynowej, jest to balast.

A może, jak twierdzą niektórzy, był to po prostu „trzewiowy" odruch, którym włoski elektorat karze każdego, kto chce realnie wzmocnić państwo. Włosi są gotowi tolerować tylko takie zmiany, po których wszystko zostaje po staremu.

14 milionów głosów na „nie" to więcej, niż miała obecna opozycja w ostatnich wyborach. Wątpliwe jednak, by zdołała „dowieźć" je do kolejnych, za półtora roku. Jest zbyt podzielona programowo i ambicjonalnie. Meloni może dotrwać więc do końca kadencji, silna raczej słabością przeciwników, już bez aury sprawczości, niepewna przyszłej wygranej.

Co nie jest dobrą wiadomością dla Europy, zwłaszcza w kontekście rosyjskiego zagrożenia. Centrolewicowa opozycja bardziej bowiem gardłuje „za pokojem" i przeciw Ukrainie, niż nawet współrządzący dziś Salvini, niegdyś paradujący w koszulce z Putinem. ©℗

eprasa.pl 631e544192



Szympans Dżeta w charkowskim ogrodzie zoologicznym, z opiekunką Wiktorią, biolożką po kijowskim uniwersytecie.

I łzę obetrą

TEKST: ANTONINA PALARCZYK Z CHARKOWA | ZDJĘCIA: MAREK BEDNARZ

UKRAINA | Karina i Wiktoria nie uciekły z Charkowa. Pracują w ogrodzie zoologicznym. Mimo wojny jest otwarty: normalny element nienormalnej rzeczywistości.

W sercu Charkowa żyją surykatki. Ssaki, na wolności występujące w południowej Afryce, to bez wątpienia nie pierwsze skojarzenie, które przychodzi na myśl, gdy mowa o tym mieście – położonym blisko frontu i codziennie atakowanym z powietrza. A jednak: zoo trwa.

Gdy 24 lutego 2022 r. pociski zaczęły spadać na miasto (blisko granicy z Rosją, było jednym z celów tamtej ofensywy), zoo zamknięto dla odwiedzających. – Ale nie mogło się zamknąć całkiem, jak inne miejsca pracy, gdzie starczy zabrać rzeczy i zgasić światło – wspomina Karina, pracowniczka.

– Wywiezienie nawet mniejszych zwierząt byłoby problematyczne, a co dopiero żyraf i słoni. Ich nie można wpakować w kontenerek jak kota. Tu trzeba by specjalnego transportu. Byliśmy w kontakcie z Europejskim Stowarzyszeniem Ogrodów Zoologicznych i Akwariów (EAZA), razem z nimi rozważaliśmy plany ewakuacji. Ale każdy byłby zbyt trudny do wykonania.

Część pracowników ewakuowała się, jak wielu Charkowian. Część zabrała rodziny, psy i koty, i zamieszkali na terenie ogrodu. Karina: – Chcieliśmy być blisko i na posterunku. Gdy robiło się głośno, chowaliśmy się w piwnicach, w chwilach spokoju wychodziliśmy, by karmić zwierzęta. Nawet podczas tego strasznego uderzenia w budynek administracji miejskiej.

W pobliskim gmachu zginęło ok. 30 osób. Karina: – Jakimś cudem żaden pocisk nie spadł dotąd na zoo, choć są uszkodzenia od odłamków i fal uderzeniowych, gdy obrywały domy wokół.

RYZYKO NA CO DZIEŃ | Charków dziś – to stałe ostrzały, częste odcięcia od wody i prądu. Każda kolejna zima przygotowywała ludzi, którzy w nim żyją – także w zoo – na tę ostatnią, najcięższą. Zoo miało już mocne generatory, a ludzie doświadczenie. Przetrwali najcięższe mrozy bez strat. Nawet zwierzęta ciepłolubne przeżyły.

Zamknięte w lutym 2022 r. i otwarte ponownie wiosną 2023 r., zoo pracuje odtąd cały czas. Nie planuje już ewakuacji. Żyje tak jak reszta Charkowa, wciąż pełnego ludzi. Także kulturalne inicjatywy czy koncerty nie opuszczają miasta – choć częstotliwością dorównują nalotom dronów i rakiet.

Karina mieszka w Północnej Saltiwce, dzielnicy wielkich blokowisk, która wyjątkowo ucierpiała: – Mam pięcioletnie dziecko. Ci, co chcieli wyjechać, dawno wyjechali. Reszta przyjęła ryzyko jako element rzeczywistości. Po prostu. Gdy wojnę mamy tak blisko, może to tym ważniejsze, by działały kawiarnie, teatr, żeby można było chodzić do zoo i jakoś dzięki temu się trzymać?

Niedaleko jest szpital wojskowy. Karina: – Wśród odwiedzających zoo często widzę żołnierzy w trakcie leczenia, wraz z rodzinami, które pewnie przyjechały do nich na wizytę. Organizujemy też różne wydarzenia dla dzieci z frontowych miejscowości. Z Wołczańska, z powiatu kupiańskiego.

ROMA I DŻETA | W 2025 r. charkowskie zoo obchodziło 130-lecie. Jest jednym z najstarszych ogrodów zoologicznych w Europie i najstarszym w Ukrainie. Nie jest za to jedynym w mieście: na północnych peryferiach znajduje się prywatny Ekopark Feldmana – dziś 19 km w linii prostej od rosyjskich pozycji. W 2022 r. Ekopark był na linii walk, ginęli ludzie

eprasa.pl 631e544192

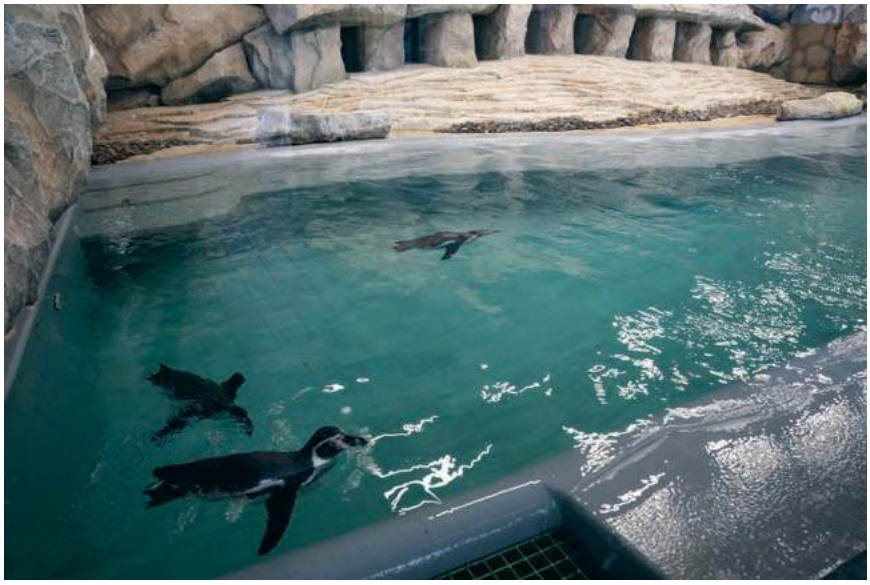

Trzy pingwiny Humboldta, uratowane z Ekoparku i przeniesione do charkowskiego zoo.



Rodzina szympansów uratowana z Ekoparku. Romeo i Julia (po charkowsku: Roma i Dżeta) z córką Lalą w zoo w Charkowie. Ukraina, 2 marca 2026 r.

i zwierzęta. Część zwierząt uratowano, przenosząc je do zoo.

Gdyby charkowskie zoo zdążyło wstąpić do EAZA, do czego się przymierzało, zostałoby włączone do programu hodowlanego i otrzymałoby nowe zwierzęta. Rosjanie pogrzebali te plany. Zamiast pięciu słoni jest więc jeden. Pingwinów Humboldta, jedynych w kraju, zamiast trzynastu jest trójka. Liczbę nadrabiają żwawością: robią w basenie tyle zamętu, jakby było ich cztery razy tyle.

W pawilonie sąsiadującym z pingwinami, ogrzanym, żyje rodzina szympansów uratowana z Ekoparku. Choć ten z czasem wznowił działalność, nie wszystkie zwierzęta do niego wróciły. Romeo i Julia (po charkowsku: Roma i Dżeta) oraz ich córka Lala zostały. Dogląda ich Wiktoria, drobna biolożka, absolwentka uniwersytetu kijowskiego.

Małpki siedzą w głębi pawilonu, łypią na nas wielkimi oczami. – Ta rodzina ucierpiała pierwsza – mówi cicho Wiktoria, śledząc Dżetę, siedzącą nieruchomo na gałęzi. – 26 lutego 2022 r. pocisk uderzył w ich dom. Szyby poleciały, na zewnątrz był mróz. One marzły, bały się, trudno było dojść z nimi do ładu. Spisano je na straty. Zabrałam się za nie wraz z kolegą.



Karina, pracowniczka charkowskiego zoo.

Ostatnie małpy z Ekoparku udało się nam zabrać 20 marca. Orangutany. W ich pawilonie sterczał niewypał rakiety.

RODZINA | Wiktoria wspomina ewakuację: – Ich rodzina była wystraszona. Trzeba było wziąć je za rączkę i prowadzić do auta. Ewakuowaliśmy ich zwykłą osobówką.

Wcześniej Wiktoria pracowała pięć lat „u Feldmana", opiekowała się małpami. Te nie urodziły się w niewoli: złowione w dzieciństwie przez kłusowników w Afryce, trafiły do Charkowa. – Nam, pracownikom, przyszło być ich rodziną. Więc gdy przyszła inwazja, mieliśmy ich zaufanie – wspomina.

Przerywa rozmowę, ilekroć za szybą widać ruch i któryś z szympansów zbliża się do niej. Patrzą jej w oczy, wyciągają dłonie. Uśmiechają się. Roma głównie oczami. Wiktoria: – Po przewiezieniu do zoo trzeba było szybko zacząć rehabilitację. Trudno im wyjaśnić, co się dzieje. Lala wyłysiała ze stresu. Tak to wszystko odbiera, jest dzieckiem. Czesze się cały czas rączkami, wszystkie włosy jej wypadły.

Wiktoria uważa, że Dżeta i Roma to najlepsi rodzice na świecie: – Niesamowicie jest patrzeć, jak się bawią z córką. Ona siada na kocyku, a tata ciągnie ją niby na sankach. Samce rzadko się tak zachowują. A Roma kocha ją jak szaleniec. Często siedzą sobie, Roma gładzi Lalę, rozczesuje i całuje w czoło. Dżeta też jest troskliwym rodzicem. Naprawdę wzorowa rodzina.

– Niezbyt lubię ludzi – wyznaje Wiktoria. – A z małpami jest ciekawie. Siadasz z nimi i rozmowa od razu jakoś płynie. Naprawdę, bardzo się Panu Bogu udały te istoty, nasi towarzysze na Ziemi. I tyle się można od nich nauczyć. Naturalności, szczerości, empatii. I poczucia humoru, bo prześmiesznie umieją zażartować. I łzę palcem obetrą. ©

eprasa.pl 631e544192

NAUKA

ZACZYNA SIĘ OD ŚWIATŁA

RAFAŁ SZABLA, FOTOCHEMIK:

Odkryliśmy niebiologiczne ścieżki syntezy wszystkich podstawowych cegiełek budujących życie. Jesteśmy na dobrej drodze, by zrozumieć, jak ono powstało.



eprasa.pl 631e544192

MARIUSZ GOGÓL: Pierwszym biochemikiem na Ziemi było Słońce?

RAFAŁ SZABLA: Jednym z pierwszych i najbardziej istotnych. W ostatnich latach dowiedzieliśmy się bardzo dużo na temat reakcji chemicznych, które umożliwiły powstanie podstawowych cegiełek budujących życie – i przekonaliśmy się, że światło słoneczne odegrało w tych reakcjach fundamentalną rolę.

Przy czym nie całe światło słoneczne jest głównym bohaterem tej opowieści, tylko pewien jego wycinek – ultrafiolet. Fizycznie światło zawiera fale elektromagnetyczne o różnej długości. Ultrafiolet to fale stosunkowo krótkie. Promieniowanie UV mogło zainicjować wiele reakcji prowadzących do biocząsteczek, ponieważ atmosfera młodej Ziemi miała osobliwy skład. Chociaż zawierała parę wodną i dwutlenek węgla, które częściowo pochłaniały promieniowanie UV, to prawie wcale nie zawierała cząsteczkowego tlenu (O_2) oraz jego drugiej znanej formy – ozonu (O_3). To właśnie te gazy dzisiaj pochłaniają znaczną ilość promieniowania UV, zwłaszcza tzw. promieniowania UV-B i UV-C, czyli części ultrafioletu o najwyższych energiach.

Wyłania się więc z tego ciekawa historia: początkowo tlenu cząsteczkowego nie było, a promieniowanie UV pomogło w powstaniu życia. Później organizmy żywe zaczęły uwalniać tlen do atmosfery, który światło UV blokuje, a dzisiaj to samo promieniowanie jest najbardziej niebezpieczne dla organizmów żywych.

Rozstrzygnijmy to od razu: w jakim miejscu jesteśmy, gdy idzie o naszą wiedzę na temat narodzin ziemskiego życia? Czy mamy już drobiazgowe chemiczne scenariusze powstania żywego organizmu, ale jeszcze nie wiemy, który z nich zaszedł w rzeczywistości? Czy może nasza wiedza jest wciąż bardzo wybrakowana – czyli wiemy, jak przebiegały niektóre procesy, bez których życie nie mogło się obejść, ale wciąż nikt nie wymyślił, jak to wszystko ułożyć w całość?

W lagunach albo płytkich jeziorach na młodej Ziemi panowały odpowiednie warunki dla reakcji chemicznych, które mogły zapoczątkować życie.

NAVA NAVA / SHUTTERSTOCK

Wciąż mamy w tej dziedzinie więcej pytań niż odpowiedzi. Są jednak takie wątki, które udało nam się rozstrzygnąć. Pośród nich, tym kluczowym wątkiem jest odnalezienie niebiologicznych i prawdopodobnych ścieżek syntezy wszystkich podstawowych cegiełek budujących życie. Dotyczy to elementów łańcuchów RNA, DNA, białek, a także lipidów. Coraz bardziej jasne dla nas jest też to, dlaczego to właśnie z tych cząsteczek – spośród setek innych potencjalnych kandydatów – powstało życie.

W jakim miejscu na Ziemi mogły zachodzić owe ważne dla powstania życia reakcje fotochemiczne? I skąd dzisiaj o nich wiemy?

Samoistne łączenie się pod wpływem Słońca ważnych dla życia prostych cząsteczek mogło zajść np. w niewielkich jeziorach lub lagunach. Dochodziło tam do parowania, które sprawiało, że zagęszczały się reagujące ze sobą związki chemiczne takie jak cyjanowodór, siarkowodór, formaldehyd, dwutlenek siarki czy sole siarczanowe. Ekspozycja właśnie tych związków i ich dalszych produktów na promieniowanie UV prowadzi do powstania wszystkich podstawowych cząsteczek, które dalej mogły wejść w skład większych biomolekuł.

Fotochemicy mogą symulować takie warunki komputerowo dzięki metodom chemii kwantowej oraz w laboratorium z wykorzystaniem lamp ksenonowych, których światło dobrze naśladuje promieniowanie elektromagnetyczne młodych gwiazd, w tym Słońca. Możemy też naświetlać mieszaniny chemiczne przy ściśle określonych długościach fali z wykorzystaniem innych źródeł światła. Właśnie w ten sposób poszukujemy odpowiedzi na pytanie, jakie dokładnie warunki sprzyjały powstaniu życia.

Czy dla powstania życia miało znaczenie to, że Słońce było młodą gwiazdą? Stare gwiazdy nie mogą spłodzić życia?

Na to pytanie jeszcze nie mamy odpowiedzi, bo do tej pory znamy tylko jeden przykład życia we wszechświecie. Wiemy natomiast, że młode gwiazdy są bardziej aktywne w zakresie ultrafioletu i emitują go więcej, i wiemy też, że właśnie ten zakres promieniowania gwiazdowego promuje chemię prowadzącą do znanych nam składników ziemskiej biochemii.

Dlaczego to światło jest takie ważne? Co zmienia w reakcjach chemicznych?

Reakcje fotochemiczne zachodzą po absorpcji, czyli pochłonięciu przez cząsteczkę chemiczną fotonu – porcji światła. Taki foton może pochodzić z zakresu światła widzialnego lub ultrafioletu. Ten proces jest w stanie na bardzo krótki czas (np. pikosekund, czyli bilionowych części sekundy) otworzyć cząsteczkom nowe ścieżki reakcji, które dla lepiej nam znanej konwencjonalnej chemii normalnie nie są dostępne. Obecność światła prowadzi więc do innych, często bardziej produktywnych reakcji niż te, które zachodziłyby bez takiego promieniowania.

Przy czym nie każda reakcja fotochemiczna jest z naszego punktu widzenia produktywna. Istnieje proces zwany fotodegradacją, czyli rozkład związków chemicznych pod wpływem światła, z którą przede wszystkim związane jest promieniowanie UV. Dlatego musimy się przed tym promieniowaniem zabezpieczać czy też trzymać leki nie tylko w suchym, ale i ciemnym miejscu, ponieważ ultrafiolet zmienia cząsteczki naszych leków w inne związki, które już nie są aktywne leczniczo, a nawet mogą być szkodliwe.

Od czego zależy to, czy dojdzie do fotodegradacji, czy do syntezy pod wpływem światła?

Tzw. fotostabilność, czyli zdolność cząsteczek do zachowania swojej struktury w obecności światła, a także tendencja do fotodegradacji, to wewnętrzne własności danej cząsteczki organicznej. Zależą one głównie od typów wiązań w cząsteczce albo od tego, jak cząsteczka oddziałuje z innymi związkami w otoczeniu – np. z wodą.

Fotochemicy, także ci, którzy badają początki życia, potrafią tymi własnościami w pewien sposób manipulować. Czasem nawet drobne zmiany w strukturze cząsteczki pozwalają znacząco zmieniać jej własności fotochemiczne. Doskonałym tego przykładem są zasady azotowe w DNA: adenina, cytozyna, guanina i tymina, a także ich alternatywne formy, różniące się od form biologicznych np. pojedynczym atomem czy przesunięciem ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ miejsca wiązania chemicznego w cząsteczce. Biologiczne zasady DNA i RNA są fotostabilne, zaś ich alternatywne formy w przeważającej większości ulegają zniszczeniu pod wpływem światła.

W laboratoriach badamy takie zmiany własności cząsteczek i dzięki temu możemy testować hipotetyczne ścieżki chemiczne powstawania lub degradacji różnych potencjalnych składników biomolekuł na młodej Ziemi.

Warto w tym kontekście przywołać też dobrze znane nam z życia codziennego zjawisko, jakim jest ekranowanie promieniowania ultrafioletowego. Otóż bardzo fotostabilne cząsteczki mogą absorbować część promieniowania UV i przetwarzać je na ciepło. Takie wychwycenie promieniowania zabezpiecza przed rozpadem mniej stabilne cząsteczki. Na tym właśnie polega mechanizm działania kremów do opalania z filtrem UV.

Fotostabilność zasad azotowych z DNA i RNA, które odpowiadają za kodowanie informacji genetycznej, była kluczem, który otwarł życiu drzwi na naszej planecie?

Wydaje się, że była ważna dla utrzymania tego życia, ale na pewno nie jest to cała historia. Choć przez kilka ładnych dekad chemicy badający początki życia sądzili, że to właśnie ze względu na fotostabilność zasad azotowych życie „wybrało" właśnie takie cząsteczki jak DNA i RNA spośród innych potencjalnych kandydatów.

W szkole średniej uczymy się, że cegiełki RNA i DNA, zwane nukleotydami, zbudowane są ze wspomnianych już zasad azotowych, a także cukru (rybozy) i grupy fosforanowej. Myślano więc, że wystarczyło połączyć te trzy elementy, by życie powstało. Natura jednak nie łączy związków chemicznych tak jak my sobie byśmy tego życzyli i tego typu reakcje po prostu nie są w stanie dostarczyć nam gotowych łańcuchów RNA czy DNA.

Dziś wiemy, że mogły one powstać w bardziej skomplikowany sposób, właśnie podczas ekspozycji „prebiotycznej zupy" – czyli rozmaitych związków rozpuszczonych w niewielkich zbiornikach wodnych na młodej Ziemi – na promieniowanie UV. Jak to się mogło dziać, pokazał niedawno krok po kroku zespół Johna Sutherlanda z Laboratorium MRC



LESZEK ZYCH / ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. RAFAŁ SZABLA jest chemikiem teoretycznym. Pracuje na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej. Specjalizuje się w badaniu reakcji chemicznych, które mogły umożliwić powstanie pierwszych funkcjonalnych biocząsteczek na młodej Ziemi.

w Cambridge. To ścieżka reakcji, w której nukleotydy powstają stopniowo z niewielkich cząsteczek, układających się wokół chemicznego rusztowania, które łączy zasadę azotową z cukrem.

Sama informacja genetyczna, kodowana w DNA i RNA, to jeszcze nie życie – raczej przepis na życie. Najprostszy organizm – czyli pojedyncza komórka biologiczna, bo przecież innego życia nie znamy – potrzebuje jeszcze innych elementów, np. aminokwasów i lipidów. Znamy już sieci reakcji, w których te cegiełki życia mogłyby samoistnie powstać?

W wielu przypadkach – tak! Co ciekawe, te sieci reakcji oparte są o bardzo niewielkie cząsteczki, takie jak wspomniany cyjanowodór czy glikoaldehyd, nazywany też najmniejszym cukrem. Reakcje te zachodzą w wodzie i wymagają obecności soli siarczanowych i siarczkowych oraz fosforanów, które z kolei są dość pospolitymi związkami. Co jest najbardziej zaskakujące, tak pozornie proste mieszaniny mogą umożliwić powstanie nukleotydów RNA, a także 12 z 20 występujących w biologii aminokwasów oraz prostych lipidów – właśnie przy ekspozycji na promieniowanie UV.

Jakie mogły być losy reagujących cząsteczek? Te reakcje zmierzały tylko do znanych nam cegiełek życia, czy oprócz nich powstaje też coś innego?

Z wielu przeprowadzonych eksperymentów, których celem było odtworzenie tego, jak mogła działać chemia prebiotyczna, widzimy, że liczba potencjalnych produktów takich reakcji była duża. Dlatego też o ostatecznej selekcji tych cząsteczek, które współtworzą znaną nam biologię i biochemię, musiało zadecydować wiele czynników.

Mówimy o selekcji, bo ten mechanizm przypomina darwinowską selekcję, która występuje w biologii. Warunki środowiskowe determinowały składy mieszanin produktów. To zresztą jeden z powodów, dla których zrozumienie powstania życia jest tak trudne. Z powodu cech ówczesnego środowiska pewnych cząsteczek powstawało więcej, innych mniej – a to prowadziło do „ewolucji" składników prebiotycznej zupy i warunkowało kolejne ważne dla życia sieci reakcji.

W takim razie gdyby zrobić „przegląd techniczny" kandydata na cegiełkę życia, jakie testy musi zdać: szybkość powstawania i rozpadu, może jakieś inne? Które cechy są najważniejsze?

Ważna jest, mówiąc ogólnie, selektywność syntezy, czyli powstawanie tej konkretnej cząsteczki w danej ścieżce reakcji przy niewielkiej liczbie produktów ubocznych. Musimy pamiętać, że mówimy ciągle o „prebiotycznej zupie", czyli mieszaninie wielu związków w wodzie, a nie nowoczesnym laboratorium chemicznym, gdzie mamy odpowiednio czyste związki i wszystkie warunki pod ścisłą kontrolą.

Dodatkowo: odporność na destruktywne warunki środowiskowe, takie jak temperatura, odporność na hydrolizę, czyli rozkład przez wodę, sposób zachowania w obecności wysokoenergetycznego promieniowania (UV).

Ale to niejedyne wymogi. Ostatecznie, wyselekcjonowane zostały cząsteczki, które były czy są w stanie spełnić ściśle określone funkcje biologiczne – np. nadają się, tak jak RNA i DNA, do kodowania informacji genetycznej, co wymaga bardzo szczególnej struktury.

To zostańmy przy DNA i RNA. Dziś w naszych komórkach istnieją bardzo

eprasa.pl 631e544192

złożone i bardzo ważne dla naszego zdrowia mechanizmy, które odpowiadają za utrzymanie tych cząsteczek w stabilnym stanie i naprawianie pojawiających się w nich uszkodzeń chemicznych. Jak tak złożone cząsteczki zachowały stabilność poza środowiskiem komórki, zanim jeszcze powstało życie?

Tu tkwi część magii DNA i RNA – ich struktura oraz odpowiednia sekwencja zasad azotowych zapewnia im pewną stabilność, a zwłaszcza odporność na promieniowanie. Naszym najnowszym odkryciem jest to, że określone sekwencje tych cegiełek w łańcuchach okazują się być bardziej fotostabilne niż inne, a nawet mogą się w pewnym stopniu naprawiać same – bez udziału złożonych enzymów, które faktycznie są wytworem późniejszej i bardziej złożonej biochemii.

Na czym polegają te naprawy?

Samonaprawa DNA i RNA jest mechanizmem fotostabilizującym. Dotyczy ona długich łańcuchów DNA czy RNA, a nie małych cząsteczek czy ich cegiełek budulcowych. Gdy dojdzie do uszkodzenia cząsteczki, to określone sekwencje zasad azotowych mogą zaabsorbować kolejny foton promieniowania UV. A on może pozwolić na naprawę, np. w ten sposób, że pod wpływem fotonu dojdzie do przekazania elektronu w kierunku tego uszkodzenia.

Co ciekawe, wydajność tego procesu naprawy jest mocno zależna od sekwencji, czyli kolejności zasad azotowych DNA. Przykładowo, takie sekwencje zasad jak GATT (czyli kolejno: guanina, adenina, tymina, tymina) są w stanie bardzo efektywnie naprawiać tego rodzaju uszkodzenia. GATT jest właśnie bardzo powszechną sekwencją w znanych nam biologicznych strukturach DNA. Lubię myśleć, że to swoista „molekularna skamielina" – pozostałość po czasach, kiedy nie istniały złożone mechanizmy naprawy DNA i cząsteczka ta musiała „radzić sobie sama".

Jaka najprostsza wiarygodna opowieść o początku życia wyłania się dziś z tych wszystkich danych, którymi dysponujecie?

Opowieść o początku życia jest pod wieloma względami bardzo złożona. Ale możemy spróbować ją trochę uprościć i skupić się na konkretnych aspektach. Np. dziś już jesteśmy sobie w stanie wyobrazić kilka scenariuszy, w których mogły powstać komponenty RNA, DNA, białek i lipidów.

Z tych wszystkich scenariuszy ten podkreślający udział promieniowania UV wydaje się być najbardziej atrakcyjny, ponieważ właśnie taka chemia daje największe wydajności i selektywności dla syntezy podstawowych komponentów biologii. Na pewno ogromnie ważne było także to, że woda jest głównym rozpuszczalnikiem na Ziemi, który jest doskonałym środowiskiem dla kwasów nukleinowych – DNA i RNA.

Wiemy, że życie powstało na Ziemi w szczególnych warunkach. Czy chemia, którą się zajmujesz, ma zastosowanie tylko do ziemskiego życia? Czy może zbliża nas także do odpowiedzi na pytanie o to, czy życie mogło powstać również ↦

REKLAMA



eprasa.pl 631e544102

na innych planetach, na których z pewnością nie panują dokładnie takie warunki, jak na młodej Ziemi?

Głównym celem chemii prebiotycznej jest pokazanie możliwych scenariuszy, w jakich biocząsteczki mogły powstać na młodej Ziemi, oraz tego, w jaki sposób wyłoniły się tu złożone procesy biochemiczne.

To wciąż ogromne wyzwanie. Np. do tej pory nie wiemy, jak i dlaczego RNA zaczęło przybierać takie funkcje, jakie obecnie pełni w biologii – syntezę białek czy katalizowanie reakcji.

Konstruujemy różne scenariusze, ale trudno je falsyfikować czy wybierać spośród nich najlepszy, ponieważ nasza wiedza na temat warunków środowiskowych młodej Ziemi jest ograniczona. A to właśnie warunki determinują to, czy dany scenariusz mógł zajść.

Natomiast samo pokazanie, że dany scenariusz powstawania funkcjonalnych biomolekuł jest prawdopodobny, ma w istocie ogromne znaczenie dla lepszego rozumienia tego, czy gdzieś w innych zakątkach naszej galaktyki lub wszechświata życie również mogło powstać. Dzięki temu lepiej wiemy, jakie planety mogą być dobrymi kandydatami na to, by zrodziły własne życie.

Na powstanie życia mógł mieć wpływ wiek Słońca. Młode gwiazdy są bardziej aktywne w zakresie ultrafioletu. A właśnie ten rodzaj promieniowania ułatwia syntezę kluczowych biomolekuł.

Dodałbym, że nasza praca ma też bardzo istotne implikacje dla biologii syntetycznej, której celem jest budowa alternatywnych komórek albo rozważanie pytania, czy informacja genetyczna mogłaby być przechowywana przez zupełnie inne cząsteczki niż DNA albo zapisywana w nieco innym „języku".

Skoro wiemy już, jak mogło powstać wiele ważnych dla życia cząsteczek – to co dalej? Czego teraz musimy się dowiedzieć, żebyśmy zrozumieli powstanie życia krok po kroku?

Kolejnym ogromnym wyzwaniem przed nami jest określenie, jak te podstawowe cegiełki życia – zasady azotowe, aminokwasy, lipidy – a nawet krótkie cząsteczki RNA czy niewielkie białka, tzw. peptydy, uzyskały biologiczną funkcjonalność. Czyli jak zorganizowały się w coraz to bardziej złożone sieci reakcyjne, które były w stanie same podtrzymywać swoje funkcjonowanie w środowisku młodej Ziemi.

To pytanie można zadać jeszcze inaczej: jaka jest minimalna forma biochemii, która jest w stanie spełniać chociażby część cech organizmu żywego? Przed nami jeszcze wiele lat badań, które przyniosą wiele ciekawych zaskoczeń.

© Rozmawiał MARIUSZ GOGÓL

REKLAMA



Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

eprasa.pl 631e544192

WOJCIECH

Bonowicz: *Uśmiech*



Wyłożyłem swoje zakupy na taśmę: olej, mleko, owoce, kawałek ciasta, dwie gazety. Pani, która jest na przedzie kolejki, już zapłaciła, ale jeszcze się wraca. „Zapomniałam papierosów, dla męża", uśmiecha się. „Mężowi nie można odmawiać", odpowiada uśmiechem druga, która właśnie jest przy kasie. „Powinno się, ale wie pani...", śmieje się tamta i poprawa siwe włosy, które wysunęły się jej spod przepaski. „Niech pani podejdzie na monopolowe, tam nie ma kolejki", mówi, także z uśmiechem, kasjerka.

Te akurat zakupy robiłem tuż przed czternastą, kiedy wszyscy są zrelaksowani. Kupujący się nie spieszą, kasjerki myślą o tym, że za chwilę pójdą do domu. Ale w tym lokalnym sklepie, do którego chodzę regularnie, o uśmiech właściwie nietrudno. Już po kilku wizytach sprzedawczynie rozpoznają cię, a ponieważ zwykle jestem uśmiechnięty, to i one uśmiechają się w odpowiedzi. W korytarzach między regałami jest dość ciasno, ale i tam ludzie na ogół nie irytują się, tylko wycofują, posyłając przepraszający uśmiech. Nawet pachnący wodą kolońską mężczyzna, któremu przy pakowaniu jabłek rozerwał się foliowy worek, nie przeklina, tylko mówi lekkim tonem: „No zawsze coś musi mi się...".

Oczywiście są to inne uśmiechy niż te, które można zobaczyć w telewizyjnych reklamach albo na billboardach. Tamte są nienaturalnie doskonałe, te natomiast doskonale naturalne. Czasem jest to tylko delikatne uniesienie kącików ust albo coś, co w innych okolicznościach mogłoby być uznane za grymas. Ludzie często spuszczają wzrok, patrzenie w oczy uchodzi za niegrzeczność. Więc uśmiechają się trochę do ciebie, a trochę do siebie. Ja zresztą też tak robię.

Owszem, są tacy, którzy nie uśmiechają się wcale. Nawet wtedy, kiedy słyszą coś miłego albo kiedy ustępujesz im miejsca w kolejce. Niektóre twarze są tak zmęczone, że nie są w stanie zmusić do wysiłku mięśni odpowiedzialnych za uśmiech. Na innych maluje się pośpiech, a niekiedy nawet panika. Są wreszcie twarze nieobecne, ich właścicielki lub właściciele chcą szybko załatwić sprawę i wyjść. Bywa, że ktoś uprzejmy wzięty zostaje za natręta. Nie ma w tym nic dziwnego; czasem za pozorami uprzejmości rzeczywiście kryje się ktoś wścibski lub natrętny. Uśmiech z natury swojej nie jest obowiązkowy, a w zawodach, w których się go wymaga, szybko się zużywa.

Tadeusz Różewicz powiedział kiedyś o sobie, że nie jest poetą śmiechu, ale uśmiechu. Szukam tego cytatu, szukam i nie mogę znaleźć. Mam w książkach Różewicza – myślę o wydanym przed laty tomie wywiadów „Wbrew sobie" oraz o zbiorze rozproszonych artykułów i wypowiedzi „Margines, ale..." – pozaznaczane różne jego wypowiedzi, ale tej akurat nie zaznaczyłem. Zaznaczyłem za to fragment o Julianie Przybosiu. „Mistrz Przyboś kochał światło", opowiadał Różewicz. „Kochał obłoki, chodził zresztą po Plantach zawsze z głową do góry, nie myślał o tym, że może się na czymś potknąć. Ja chodziłem na ogół z głową opuszczoną w dół, czasem tylko podnosiłem oczy. To bardzo dziwne, ale nawet od takich spraw zaczynały się spory estetyczne".

Uśmiech staje się czymś w rodzaju zabezpieczenia, kiedy zaczyna brakować światła, powietrza. Kiedy wokół przybywa nawet nie śmiechu, tylko rechotu. W rechocie jest coś upokarzającego; jest przeciwieństwem radości, jej odwróconym odbiciem. Radość, nawet spontaniczna, jest rozumna. Rechot to tryumf prymitywu. Im durniej, tym głośniej. Im głośniej, tym durniej. Rechot jest ciemny. Uśmiech to wpuszczenie światła między ludzi. Niekiedy słońca trzeba szukać w dole, z opuszczoną głową.

Zatrzymuję się przed wysokim regałem z papierowymi ręcznikami i chusteczkami do nosa. Nagle uświadamiam sobie, że obok mnie stoi niska starsza pani, która wpatruje się w paczki ustawione na najwyższej półce. Gdybym nie zwrócił na nią uwagi, pewnie nie ośmieliłaby się mnie zaczepić. „Poda mi pan...?", pyta. „Oczywiście". „Dziękuję, dobrze, że pan taki wysoki". „Chociaż zajmuję trochę za dużo miejsca". „Co pan mówi?! Miałam wysokiego męża, to wiem". I posyła mi uśmiech, szeroki, lekko odsłaniający zęby. Wiązkę światła. Co z tego, że przeznaczoną nie tylko dla mnie, ale również dla tego, którego przypominam. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl 631e544192

HISTORIA

NIEMKA, KTÓRA OCALIŁA POLSKĘ

1001 lat temu została naszą pierwszą królową. I uratowała Królestwo Polskie, gdy już kilka lat po jego powstaniu zagroziło mu unicestwienie. Opowieść o Rychezie, matce Kazimierza nazwanego Odnowicielem.

MACIEJ MÜLLER



Wszystko popsuło się już kilka lat po tym, jak w 1025 r. umarł wielki Bolesław, przez potomnych nazwany Chrobrym. Pierwszy nasz ukoronowany władca. Po jego śmierci rządy – i koronę – przejął, zgodnie z wolą ojca, Mieszko II; wnuk Mieszka I, pierwszego udokumentowanego historycznie władcy Polski.

Mieszko, ukochany – choć nie najstarszy – syn Bolesława, świetnie wykształcony, od dziecka wprawiany był w wojaczkę i dyplomację. Umiał dowodzić w polu, bronić grodów, ale znał też etykietę dworu cesarskiego, na którym przebywał w roli honorowego zakładnika. Niewykluczone, że wprawiał się w rządach już za życia ojca, administrując z jego woli Małopolską.

Jak to się więc stało, że w 1031 r. – zaledwie sześć lat po swojej koronacji – Mieszko wylądował, wykastrowany, w lochu czeskiego księcia Udalryka, a na polskim tronie zasiadł jego przyrodni brat Bezprym?

Zalążki upadku

W ciągu 33 lat rządów Chrobry stworzył państwo silne i drapieżne, o zakusach imperialnych. Pokonał Niemców, Rusinów i Czechów. Wiedziony pychą, po zdobyciu Kijowa wysłał do Konstantynopola poselstwo, które cesarzowi bizantyjskiemu przekazało bezczelny list. W ostatnim roku życia – bez zgody cesarza – kazał sobie włożyć na głowę koronę.

Jednak w sukcesach czasów Chrobrego kryły się też zalążki upadku. Państwo piastowskie było monarchią wojenną: żywiło się konfliktem. Utrzymanie drużyny było kosztowne, wymagało napływu łupów i niewolników, a więc ciągłych zwycięstw. Brakowało strukturalnych rozwiązań pozwalających utrzymać armię (a więc i porządek w państwie) w czasach pokoju albo klęsk.

Mało tego: upokarzani przez Chrobrego sąsiedzi dyszeli żądzą zemsty. Po kilku niezręcznych politycznie decyzjach Mieszka II – m.in. wmieszał się w spór o niemiecki tron po niewłaściwej stronie – rzucili mu się do gardła.

Cesarz niemiecki Konrad II i książę Rusi Kijowskiej Jarosław Mądry zaatakowali jeden po drugim. Ponadto Konrad wydobył z włoskiego klasztoru Bezpryma, pierworodnego syna Chrobrego. Mieszko, mając odciętą drogę na w miarę bezpieczne Węgry, uszedł do Czech. Trudno powiedzieć, na co liczył, bo rządzący tam Udalryk nie miał powodu szanować ani pamięci Chrobrego, ani teraz jego syna.

Uchodząc, Mieszko pozostawił w kraju na pastwę losu żonę Rychezę i syna Kazimierza.

Jedna z czterech

Rycheza pojawia się w szkolnych podręcznikach z rzadka – chyba głównie dlatego, że XIX-wieczny malarz Jan Matejko, nasz kolejny wieszcz narodowy, wyróżnił ją, uwzględnia-

eprasa.pl 631e544192



BILDARCHIV MONHEIM GMBH / ALAMY / BE&W

jąc jej postać w swoim słynnym cyklu „Poczet królów i książąt polskich".

Dlaczego jednak ta drobna blondynka – tak widział ją malarz – trafiła do tego niemal wyłącznie męskiego klubu? Bo poczet Matejki zawiera 44 portrety, w tym tylko cztery kobiece: Dobrawy, Jadwigi, Anny Jagiellonki – i właśnie Rychezy.

Najprostsza odpowiedź: ponieważ Rycheza była pierwszą polską królową.

Nie da się wykluczyć, że w chwili koronacji Chrobrego żyła jeszcze jego ostatnia żona Oda Miśnieńska, ale kroniki milczą o tym, czy została ukoronowana wraz z mężem (w istocie nie znamy żadnych szczegółów tej ceremonii). Natomiast jest pewne, że w chwili koronacji Mieszka II – do której doszło również w 1025 r., zapewne w Boże Narodzenie – miał on żonę, która wraz z nim dostąpiła tego namaszczenia.

Przewrotne królowe

Niewykluczone jednak, że wyróżniając akurat Rychezę, Matejko chciał polemizować z tradycją oczerniania jej postaci, ciągnącą się jeszcze od średniowiecza.

Przyznajmy: chętnie słuchamy złośliwych podszeptów i budujemy z nich dominujące potem historyczne narracje. Dlatego Bona to przewrotna włoska trucicielka, Anna Jagiellonka (nawet w ujęciu kobiet-biografek) jest charakteryzowana jako głupia i brzydka (mimo kilku niezaprzeczalnych osiągnięć politycznych i choć są źródła zachwalające jej urodę). Z kolei mówiąc o Marii Kazimierze, uzupełniamy sobie zdrobnienie „Marysieńka" i opowiadamy anegdoty o sprośnych listach Jana Sobieskiego.

Kim natomiast w tej konwencji jest Rycheza? Zdradliwą Niemką, która wywiozła z Polski insygnia królewskie. I tak dalej... (problemu nie mamy chyba tylko z Jadwigą, wyniesioną zresztą na ołtarze).

Więcej to mówi o nas niż o naszych królowych. Może najwyższy czas, żeby ktoś napisał o polskich władczyniach musical na miarę brytyjskiego „Six", w którym o swoim losie opowiadają liczne małżonki Henryka VIII.

Kronikarze mizogini

Wiadomo, kto stoi za czarną legendą Rychezy. To Jan Długosz: kanonik katedry krakowskiej i autor monumentalnej XV-wiecznej kroniki. ↦

Rycheza, królowa Polski, na obrazie z 1657 r. w kościele opactwa w Brauweiler koło Kolonii. Klasztor ten ufundował ojciec Rychezy, a ona sama osiadła w nim pod koniec życia i zmarła tam w 1063 r.

eprasa.pl 631e544192

↦ Eufemistycznie rzecz ujmując, nie cenił kobiet, a Niemiec z miejsca kojarzył mu się z Krzyżakiem. Zapewne dlatego przyprawił naszej pierwszej królowej taką, a nie inną gębę.

Długosz pisał o Rychezie: „Niewiasta umysłu wprawdzie męskiego, w wierze chrześcijańskiej wprawdzie nie opieszała, cnotę i pobożność miłująca, ale której rządy ani staranne, ani narodowi przychylne, Polakom się nie podobały. Niepomna płci swojej i słabości niewieściej, głucha na rady roztropniejszych ludzi, szczęście obrała sobie za narzędzie swojej ślepoty. Jęła pogardzać narodem polskim, szyderczo pomiatając wszystkimi, i z swym rządem kobiecym rozpierając się samowładnie".

Długosza dzieliło od czasów Rychezy tyle, co nas od Zygmunta III Wazy. Bliższa jej epoki jest już XII-wieczna kronika Galla Anonima. Również mizogin, na ogół nie uważał za potrzebne podawać imion kobiet, jeśli już o nich wspominał. O synowej Chrobrego miał do powiedzenia tyle, że była „siostrą cesarza Ottona III, z której [Mieszko] spłodził Kazimierza", i że po śmierci męża sprawowała regencję oraz „rządziła królestwem, dbając o jego sławę, o ile to było możliwe dla kobiety".



ARKADIUSZ PODSTAWKA / MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Kazimierz Odnowiciel wraca do zniszczonej Polski. Obraz autorstwa Wojciecha Gersona z 1893 r., obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Erudytka z cesarskiego rodu

Urodzona około roku 995, Rycheza wywodziła się z najwyższych kręgów arystokracji Cesarstwa Niemieckiego. Była córką Ezzona, palatyna Lotaryngii, oraz Matyldy, siostry cesarza Ottona III (Gall pomylił się: Rycheza była siostrzenicą, a nie siostrą cesarza).

Jej babką była bizantyjska księżniczka Teofano. Części niemieckich elit nie podobało się małżeństwo Ezzona z kobietą z rodu cesarskiego i stąd zapewne złośliwa plotka, że swoją żonę palatyn miał wygrać z Ottonem w kości. Historycy nie dają wiary tej anegdocie, wskazując, że dynastia ottońska świadomie wiązała się ze znaczącymi rodami, budując w ten sposób własne stronnictwo.

Miała liczne rodzeństwo; jej siostry bez wyjątku trafiały do klasztorów (oczywiście nie jako szeregowe mniszki, lecz zarządczynie potężnych majątków opactw). Nie dysponujemy żadnymi informacjami o wychowaniu i wykształceniu Rychezy, można jednak wnioskować, że skoro jej syna Kazimierza (noszącego też drugie imię Karol, po cesarzu Karolu Wielkim) Gall określił terminem *homo litteratus* (mąż uczony), to miała w tym zasługę matka.

Zapewne opanowała program siedmiu sztuk wyzwolonych *trivium* (gramatyki, retoryki i dialektyki) oraz *quadrivium*, (arytmetyki, geometrii, astronomii i muzyki), co czyniło z niej prawdziwą erudytkę.

Mezalians?

Żona z cesarskiego rodu dla bolesławowego syna – to był niebywały sukces polityczny dynastii Piastów. Wielka szkoda, że nie wiemy, kto wpadł na ten pomysł ani jak doprowadzono do jego realizacji.

Po prawdzie to nie wiemy nawet, kiedy doszło do ślubu. Według części badaczy projekt powiązania dynastii piastowskiej z cesarską mógł pojawić się już w roku 1000, podczas zjazdu gnieźnieńskiego. Faktycznie, klimat niezwykle przyjaznych rozmów Ottona III z Chrobrym teoretycznie sprzyjał podobnemu pomysłowi, ale nie ma na to dowodów.

Najczęściej przyjmowana hipoteza mówi o ślubie w roku 1013, kiedy układ w Merseburgu zawiesił na pewien czas wojnę polsko-niemiecką. Sęk w tym, że kronikarz Thietmar – *notabene* biskup merseburski – który dokładnie opisuje przebieg spotkania władców niemieckiego i polskiego, nie wspomina o małżeństwie Rychezy z Mieszkiem. Niektórzy historycy spekulowali, że Thietmar uważał to małżeństwo za taki mezalians, że nie znalazł dla niego słów.

Awans do pierwszej ligi

Dotąd Piastowie, jeśli brali za żony księżniczki niemieckie, to z rodów saskich. Małżeństwo z Rychezą i skoligacenie z cesarzem stanowiło więc dla Mieszka awans do pierwszej europejskiej ligi (a przynajmniej zrównywało go z pierwszymi rodami Rzeszy, co na jedno wychodziło).

Ale i dla Rychezy to małżeństwo nie oznaczało poniżenia: Piastowie byli dynastią panującą, wsławioną zwycięstwami Chrobrego. Inna sprawa, że Polska różniła się wtedy od Europy zachodniej – stąd zapis w roczniku z Brauweiler (prowadzonym w klasztorze ufundowanym przez rodzinę Rychezy), że synowa Chrobrego „miała we wstręcie" obyczaje Słowian.

Mediewista prof. Jerzy Pysiak w podkaście „Klub Hanny Marii Gizy" podkreśla, że Rycheza mogła po przybyciu do Polski przeżyć szok poznawczy. Przybyła z Nadrenii, gdzie stały murowane miasta połączone siecią dróg, a trafiła do kraju pokrytego wciąż puszczą, gdzie ośrodki władzy mieściły się w drewnianych grodach, a transport odbywał się głównie rzekami.

Nie wiemy, co czuła Rycheza. Możemy za to przypuszczać, że przywiozła nad Wi-

eprasa.pl 631e544192





ARKADIUSZ PODSTAWKA / MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Rycheza i jej mąż, król Mieszko II, na rysunkach Jana Matejki, XIX-wiecznego autora monumentalnej serii „Poczet królów i książąt polskich".

słę planistów, budowniczych i architektów, którzy nie siedzieli z założonymi rękami (królowej zawdzięczamy prawdopodobnie zaprowadzenie u nas kultu św. Mikołaja). Żona Mieszka zapewne usiłowała na piastowskim dworze wprowadzać nowe obyczaje, a syna Kazimierza, jak już powiedzieliśmy, wychowywała według najlepszych zachodnich wzorców.

Złodziejka koron?

Ożenek Mieszka z Rychezą był znakomitą inwestycją polityczną. W krótszej perspektywie zapewnił Chrobremu sojuszników wśród niemieckich rodów do dalszego wojowania z cesarzem Henrykiem II (wojnę zakończył dopiero w 1018 r. pokój w Budziszynie). Ale ważniejsza była długa perspektywa. Ona zaprocentowała, gdy Królestwo Polskie stanęło nad przepaścią.

Jak już wiemy, Mieszko II, uchodząc przed Niemcami, Rusinami i siepaczami Bezpryma, wylądował w lochu czeskiego księcia Udalryka, a Rychezę i małego Kazimierza zostawił na pastwę przyrodniego brata. Przebiegu wydarzeń nie jesteśmy w stanie zrekonstruować: nie ma z czego. Nie wiemy, czy Rycheza próbowała walczyć z Bezprymem, czy się z nim ułożyła. Pewne jest, że udało jej się wywieźć Kazimierza do Rzeszy.

Część źródeł głosi, że zabrała ze sobą także piastowskie insygnia królewskie. Źródła są tu zupełnie sprzeczne. Kronika z Brauweiler podaje, że Rycheza uciekła potajemnie z Polski, wywożąc dwie korony, własną oraz Mieszka, aby przekazać je cesarzowi Konradowi II, a w zamian miała otrzymać dożywotnią gwarancję używania tytułu królewskiego.

Z kolei roczniki z Hildesheim twierdzą, że to Bezprym odesłał cesarzowi koronę wraz z innymi regaliami, składając mu hołd i stwierdzając w ten sposób, że Mieszko II przywłaszczył sobie tytuł królewski.

Wybierz swoją historię

Cztery wieki później Jan Długosz ugruntował ten najczarniejszy obraz Rychezy, oskarżając ją wręcz o ograbienie skarbca królewskiego z kosztowności oraz z insygniów przed ucieczką z kraju.

Niektórzy historycy próbują łączyć dziś te przekazy: być może Bezprym wysłał insygnia za pośrednictwem Rychezy? Dla niego byłby to gest poddaństwa wobec cesarza, dla królowej – sposobność do ocalenia życia swojego i Kazimierza. Inni historycy mnożą korony: Bezprym miałby odesłać koronę Chrobrego, a Rycheza wywieźć swoją i mieszkową.

Jest też inna opowieść, z gatunku skandalicznych. Według kroniki z Brauweiler Rycheza miała doprowadzić do rozwodu z Mieszkiem II „z powodu nienawiści i intrygi jego nałożnicy, i (...) uciekła potajemnie, w przebraniu, z nielicznymi pomocnikami, jako że nienawidziła nieznośnych jej zuchwałości i barbarzyńskich obyczajów Słowian". To działa na wyobraźnię, ale badacze podają w wątpliwość istnienie kochanki królewskiej ze względu na milczenie innych źródeł.

W obronie dynastii

Ciekawsza od powyższych jest interpretacja, według której Rycheza chciała przede wszystkim zabezpieczyć prawa swego syna do tronu, a wywiezienie insygniów miało... zapobiec koronacji uzurpatora Bezpryma. Przekazanie koron cesarzowi mogło być próbą zdeponowania ich w bezpiecznym miejscu. Oraz zapewniło w przyszłości niemiecką pomoc najpierw dla Mieszka II, potem dla Kazimierza – co przesądziło o odzyskaniu tronu.

W tym wariancie królowa Rycheza staje się obrończynią dziedzictwa polskiej dynastii: Niemką, która w istocie ocaliła Królestwo Polskie.

Skoro zaś dysponujemy tylko garścią sprzecznych informacji, rozrzuconych po kilku odległych czasowo i geograficznie źródłach, stajemy przed sytuacją rodem z kultowej amerykańskiej serii dla młodzieży „Choose Your Own Adventure" (wybierz swoją własną przygodę). Musimy wybrać jakiś wariant wydarzeń. Wybór ten zdeterminuje odpowiedni rys osobowości Rychezy oraz ocenę – moralną i polityczną – jej postępku.

A może powie więcej o nas niż o królowej?

Katastrofa za katastrofą

Jeśli podążymy nie za długoszową czarną legendą, lecz za propozycjami współczesnych historyków, wówczas zobaczymy Rychezę, która po wyjeździe z Polski osiada w rodzinnych dobrach we Frankonii i natychmiast uruchamia odpowiednie koneksje. Ponieważ Bezprym wkrótce ginie z ręki zamachowca, Konrad II umożliwia powrót na tron Mieszka II (choć tylko z tytułem książęcym), wypuszczonego tymczasem z czeskiego lochu.

Ale najgorsze ma się dopiero wydarzyć. Mieszko popada w obłęd i po kilku latach umiera (rok 1034), a państwo pogrąża się w chaosie. Kazimierz, w międzyczasie następca tronu, musi uciekać – znowu do Niemiec. Kraj ogarnia zamęt powstania ludowego (dawniej zwanego reakcją pogańską), płoną grody, klasztory i kościoły. ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ Gall Anonim napisze potem, że w ruinach katedr zamieszkały dzikie zwierzęta.

W 1038 r. następuje kolejna katastrofa: najazd czeskiego księcia Brzetysława, który dewastuje kraj w stopniu nie mniejszym niż później potop szwedzki. Czesi niszczą i palą, uprowadzają tysiące jeńców, a Gniezno ograbiają z relikwii świętego Wojciecha, wokół których Piastowie budowali państwową ideologię.

Pięciuset rycerzy

Ale oto Kazimierz, później nazwany Odnowicielem, wraca do kraju – na czele posiłków pod postacią pięciuset rycerzy niemieckich, w których zaopatrzył go Konrad II.

Za taką akcją militarno-polityczną musiały stać ogromne pieniądze – i misterna gra dyplomatyczna. Zapewne inspirowana przez Rychezę, a prowadzona przez jej krewniaków: arcybiskupa kolońskiego Hermana oraz Ottona, palatyna Lotaryngii. Ale to domysły, dowodów nie ma na to żadnych.

Faktem jest, że w oparciu o taki sojusz Kazimierz obejmuje na nowo rządy, już w Krakowie (ten miał być mniej zniszczony niż Poznań czy Gniezno). Po czym odbudowuje struktury państwowe, uspokaja granice (zawiera sojusz ze swoim szwagrem Jarosławem Mądrym, wielkim księciem Rusi Kijowskiej), wraz z sojusznikami odbija odłączone Mazowsze i Śląsk. Pojawszy za żonę kijowską księżniczkę Dobroniegę, będzie mieć z nią syna Bolesława, który w 1076 r. pójdzie w ślady dziada i pradziada, i włoży na skronie koronę Królestwa.

Nie byłoby tego, gdyby nie wsparcie matki, Rychezy – w momencie najbardziej krytycznym.

Pytanie brzmi: jakiej pamięci o Rychezie dziś chcemy? O przewrotnej Niemce, która ukradła Polsce koronę? Czy raczej o królowej, której wysiłki umożliwiły zmartwychwstanie upadłej monarchii Piastów? Wybierzcie sami. © MACIEJ MÜLLER

Korzystałem m.in. z: Małgorzata Delimata „Rycheza, królowa Polski. Studium historiograficzne" i Marek K. Barański „Dynastia Piastów w Polsce".



MUZEUM DWÓR W DOŁĘDZE / DOMENA PUBLICZNA

„Rabacja chłopska 1846", obraz Jana Lorentowicza, 1851 r.

Odkupiony grzech rabacji

PROF. WALDEMAR ŁAZUGA:

W drugiej połowie XIX w. elity polskie w Galicji wyciągnęły wnioski i zadbały o oświatę. Stworzono warunki, dzięki którym doczekaliśmy się tu nowych pokoleń działaczy chłopskich. Galicja stała się kolebką ruchu ludowego.

JACEK STAWISKI: 180 lat temu, przełom zimy i wiosny, to w Galicji czas tuż po rabacji, po rzezi tutejszych ziemian, mordowanych przez chłopów. Wielkanoc musiała być ponura w kontekście wydarzeń z początku 1846 r.

WALDEMAR ŁAZUGA: Wielkanoc wypadała wtedy 12 kwietnia, wówczas było już po wszystkim. Rabacja galicyjska zaczęła się nocą 18/19 lutego i wygasła na przełomie lutego i marca. Objęła obszar od Sanoka po Bochnię i Kraków. Najgorzej było w okolicy Tarnowa, Pilzna oraz wsi Siedliska, gdzie działał słynny Jakub Szela, chłop ze wsi Smarzowa [dziś w powiecie Dębica – red.]. Europejskie gazety pisały o „krwawych zapustach".

Ile było ofiar rabacji?

Życie straciło około tysiąca osób spośród szlachty: mężczyźni, kobiety, dzieci. Z dymem puszczono kilkaset szlacheckich siedzib. Skala mordów przerażała, tej „kainowej pałki" nikt się nie spodziewał. Stanisław Tarnowski, wstrząśnięty do głębi, pisał o najboleśniejszej karcie w naszej historii. Szybko pojawiła się teza, że winni tragedii są obcy.

Czego nie wiemy o rabacji?

Faktograficznie wiemy dużo. Znamy nazwiska uczestników i pomordowanych. Często możemy nawet odtworzyć przebieg zajść. Są pamiętniki szlachty i austriackich urzędników różnych szczebli, zeznania świadków. Jest znakomite opracowanie Waleriana Kalinki, ojca tzw. krakowskiej szkoły historycznej i świadka wydarzeń. Mamy też współczesne studia i bogatą źródłowo biografię Szeli pióra Tomasza Szuberta.

Kto więc wtedy zaczął?

To wciąż najtrudniej rozstrzygnąć: kto tę beczkę prochu podpalił. Ile w „obłędzie

eprasa.pl 631e544192

mordowania" było czystej furii ciemiężonego chłopa, a ile prowokacji lokalnej administracji austriackiej, która od początku brała stronę rabantów. Ile polityki lwowskiego gubernium i Wiednia. Ile intryg Rosji, źle życzącej Austrii. Ile knowań wszechwładnego Klemensa Metternicha, kanclerza Austrii. Ile wreszcie winy emisariuszy polskiej emigracji, którzy działali w Galicji i zapowiadali wyzwolenie ludów, grzesząc w tych zapowiedziach naiwnością.

Spójrzmy na kalendarium.

Trzy dni po rozpoczęciu rabacji, 22 lutego 1846 r., wybucha powstanie krakowskie. Z góry skazane na porażkę. Po stronie wojsk austriackich zjawiają się chłopi-rabanci z kosami, co wśród powstańców wywołuje szok. Jan Tyssowski, wódz powstania, nie staje na wysokości zadania. Edward Dembowski, jego sekretarz, rusza na czele chaotycznego pochodu z chorągwiami i ginie od austriackiej kuli, której chyba szukał. Los Rzeczpospolitej Krakowskiej jest przesądzony. W krótkim czasie i na małej przestrzeni rozgrywa się tyle powiązanych ze sobą wątków, że powinniśmy być ostrożni z osądem, kto za tym stał.

Impulsem do rabacji była przepaść między chłopami a ziemianami, sięgająca wielu pokoleń wstecz. Mimo to od XVII w., od powstania Chmielnickiego, nie było takiego buntu chłopskiego. Można wytłumaczyć, skąd ten fenomen akurat w zachodniej Galicji?

Przepaść ta była istotnie głęboka, a położenie chłopów tak ciężkie, że dla Stanisława Staszica, autora „Przestróg dla Polski" z 1790 r., był to jeden z powodów „upadania" naszego państwa. Dla galicyjskiego chłopa oprawcą nie był urzędnik austriacki, przeważnie dość oświecony i bojkotowany przez szlachtę, lecz karbowy, ekonom, mandatariusz, justycjariusz i cały społeczno-gospodarczo-prawny system „dominikalny" (pański), niepozwalający mu się z tego stanu wydobyć.

Chłopi wydobyli się z niego na chwilę za sprawą oświeconych refom cesarza Józefa II [panował w latach 1765-1790 – red.], aby po jego śmierci stracić to, co uzyskali. Zagrożenie widzieli więc ze strony „ciarachów", jak nazywali polską szlachtę. Sami uważali się za „cysorskich" i tylko w „cysorzu" z dalekiego Wiednia pokładali nadzieję na odmianę losu.

Cesarz Ferdynand I zniósł pańszczyznę w zaborze austriackim wiosną 1848 r., co było skutkiem trwającej wtedy w cesarstwie Wiosny Ludów i także rabacji.

W wyścigu o zniesienie pańszczyzny Wiedeń okazał się zresztą szybszy niż np. car rosyjski.

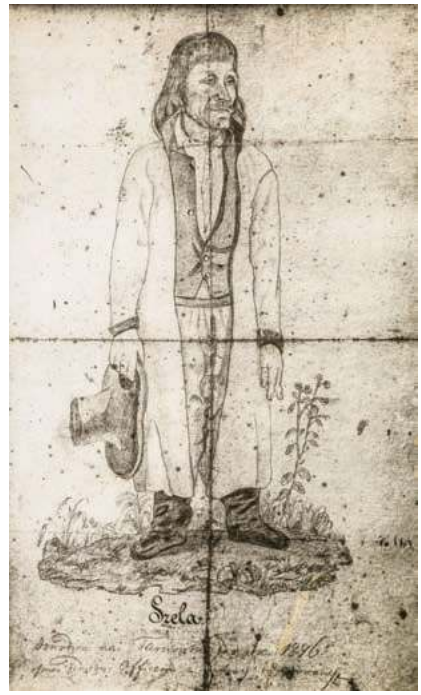

BIBLIOTEKA NARODOWA POLONA

Portret Jakuba Szeli, rysunek z 1847 r.

Kim był Jakub Szela? Są trzy jego legendy: biała, czarna i czerwona.

Był chłopem ze Smarzowej, analfabetą. Nieraz wchodził w konflikt z prawem. W młodości podpalił dom ojca, zamordował pierwszą żonę, obciął sobie u dłoni dwa palce, aby nie zostać powołanym do wojska, nie wywiązywał się z pańszczyzny. Przez lata był w konflikcie z Boguszami z Siedlisk, którym stale z czymś zalegał, odbierał od nich kije, doznawał poniżenia, i na których systematycznie skarżył do cyrkułu.

Na czele tarnowskiego cyrkułu, urzędu austriackiego, stał Joseph Breinl, człowiek nie bez pewnej ogłady literackiej, poliglota. To on, według wielu źródeł, miał zachęcać Szelę do buntu i obiecywać za szlacheckie głowy „krwawe premie". Oficjalnie Breinl temu zaprzeczał, ale wiadomo, że odnosił się do Szeli z pewnym uznaniem, a nawet podziwem dla twardości i hardości jego charakteru. Podobnie zresztą jak szef policji lwowskiej Leopold Sacher-Masoch (nie mylić z noszącym to samo imię synem, literatem) i kilku innych urzędników austriackich.

W każdym razie skargi na Szelę, które do cyrkułu wnosili z kolei Boguszowie, nie przynosiły skutku. Podczas rabacji ośmiu mężczyzn z tej rodziny straciło życie z ręki Szeli.

Po rabacji Austriacy osiedlili Szelę aż na Bukowinie, odległej prowincji cesarstwa.

Podróż Szeli na Bukowinę miała w sobie coś z triumfu zwycięzcy. Jechał przez Rzeszów, Lwów, Stryj, Kołomyję, wszędzie budząc olbrzymie zainteresowanie. Zapowiadał po drodze, że gdyby trzeba było raz jeszcze ruszyć na panów, to jest gotów. Spotykał się potajemnie z różnymi oficjelami. Chłopi na jego widok wiwatowali. Odbierał od nich hołdy.

A jak to jest z jego legendami?

Z legendami związanymi z Szelą, a także z kolorami białym, czarnym czy czerwonym, mamy kłopot – rzekłbym – symboliczny. Trochę taki, jak ze spluwaczką z wizerunkiem Szeli i Metternicha oraz groźnym napisem „Przyjdzie czas". Otóż ta słynna spluwaczka, dzieło artysty Henryka Dmochowskiego, szybko przeistoczyła się w gustowną miseczkę, a następnie jako medalion pojawiała się na ścianach. Trafiła też do Metternicha, który nie tylko jej nie wyrzucił, lecz umieścił na widocznym miejscu w swoim zamku Königswart (Kynžvart) w Czechach. Miała być więc instrumentem legendy czarnej, ale czy po takiej „transformacji" istotnie była?

Biała legenda opowiadała o Szeli jako trybunie ludu lub mścicielu, który za wiekowe krzywdy wymierzył sprawiedliwość. Po swojemu, okrutnie. Natomiast czerwona legenda wiązała się z działalnością emisariuszy i sugerowała, jakoby Szela, ten pierwszy rabant, wyznawał ich socjalistyczno-utopijne przekonania.

Toteż skromny pogląd, że Szela był przede wszystkim inteligentnym, upartym, twardym i dbającym o swój interes chłopem, któremu na domiar dopisało szczęście, a zbrodnie uszły płazem, nie wygląda zachęcająco. ↦

eprasa.pl 631e544192

Czy szlachta pomściła kiedyś rabację? Są przypuszczenia, że Szela został dopadnięty na Bukowinie przez mścicieli.

Po przeprowadzce na Bukowinę, co wielu rzeczywiście uważało za nagrodę i awans, Szela pozostał sobą. Udało mu się powiększyć majątek. Kilka razy wszedł w konflikt z prawem, sądził się, odbywał karę. Umarł, o ile wiadomo, śmiercią naturalną w 1860 r. Nie wiadomo natomiast, gdzie został pochowany. Może dlatego, że mordując ze słowami na ustach „Bóg i cysorz", odpowiadał za śmierć kilku duchownych, więc z miejscem w poświęconej ziemi mógł być kłopot.

Jak było więc z tą zemstą?

Czy szlachta pomściła rabację? No nie. Rozsądnie nie pomściła. Wolała o niej zapomnieć i całą winę zrzucać na Metternicha, który umarł w 1859 r., a także na „staroaustriacką biurokrację". Bo z tą nową, po 1867 r., gdy Galicja otrzymała autonomię, nieźle się dogadywała. Metternicha pamiętamy też z „Listu szlachcica polskiego o rzezi galicyjskiej do księcia Metternicha" pióra Aleksandra Wielopolskiego, pisma pełnego gniewu wobec Austrii i jej sternika. Wielopolski zapewniał, że Rosja na tak skandaliczne zachowanie nigdy by się nie zdobyła, i radził szlachcie, by zwróciła się w stronę cara.

Nie mogę się oprzeć i nie powiedzieć, że odpowiedź Metternicha na zarzuty, iż to on wymyślił Szelę, ma swój urok. Oświadczył mianowicie, że Szelę stworzył nie on, lecz dziennikarze, „przyjaciele kłamstwa". Po czym zachwalał pożytki z wprowadzenia cenzury prasy.

Prócz Szeli byli inni przywódcy rabacji?

Byli: Jan Bąk spod Tarnowa, Stanisław Siedlik spod Bochni, Grzegorz Wojnarowski spod Jasła czy Marcin Kaleta, także bodaj spod Tarnowa. Rabacja to w istocie suma lokalnych wypadków o różnym natężeniu. Zauważmy, że wybuchła na terenach, gdzie nie było wielkich majątków, i gdzie samoobrona szlachecka była słaba.

Jeśli zaś Szela ze wszystkich tych przywódców pozostał najsławniejszy, to może nie dlatego, że był najbardziej krwawy – wielu ludziom życie jednak darował – lecz dlatego, że jako „plenipotent" gromadzki, często bywający w cyrkule i zaprawiony w kłótniach, był postacią znaną. No i talentów przywódczych z pewnością nie można mu odmówić.



ANGELIKA SARNA

Prof. WALDEMAR ŁAZUGA (ur. 1952) jest historykiem, specjalizuje się w dziejach Polski w XIX i XX w. Autor kilkunastu książek, m.in. „Michał Bobrzyński: myśl historyczna a działalność polityczna", „Kalkulować... Polacy na szczytach c.k. monarchii", „Wspomnienia cesarsko-królewskiej guwernantki".



Spluwaczka, popielnica na cygara – plakieta żeliwna z wizerunkiem Szeli i Metternicha, upamiętniająca rabację galicyjską, XIX w.

Rabacja była traumą nie tylko dla Galicji, ale i reszty ówczesnej Polski. Mocno też odbiła się echem w Europie.

Choć zakrawa to na paradoks, Metternich miał sporo racji z tymi dziennikarzami... News był wtedy zupełnie wyjątkowy. Oto w coraz szybciej rozwijającej się Europie, dumnej z postępów cywilizacji, w jednym jej zakątku z ręki poddanych zginęło tysiąc ludzi, szlachty. Spalono wiele domów, uśmiercono księży. Dopuszczono się najdzikszych gwałtów. Towarzyszyły temu sceny z piekła rodem, jak z najgorszego koszmaru!

W Wielkopolsce wrażenie było tak duże, że tuż po Wielkanocy życiorys Szeli trafił na łamy „Gazety Wielkiego Księstwa Poznańskiego", a stamtąd do kilku gazet niemieckich, francuskich i brytyjskich.

Uderzał kontrast między tym, co działo się w Galicji, a Wielkopolską. Nad Wartą istniał już obowiązek szkolny. Działali organicznicy, zawiązywano koła obywatelskie, szerzyły się idee pracy organicznej i solidaryzmu społecznego. W poznańskim Bazarze spotykali się ludzie różnych stanów. Gdy w listopadzie 1846 r. umarł Karol Marcinkowski, lekarz i społecznik, do dziś w Poznaniu otaczany kultem, jego trumnę nieśli na zmianę przedstawiciele szlachty, mieszczaństwa i włościaństwa.

W Galicji wyciągnięto wnioski po rabacji?

Dla uprzywilejowanych rabacja stanowiła memento. W Galicji autonomicznej, po 1867 r., starano się nadrobić największe zaniedbania. Elity polskie stanęły na gruncie realizmu politycznego, zadbano o szkolnictwo i oświatę, stworzono warunki, dzięki którym Polacy nie tylko współrządzili monarchią, ale i doczekali nowych pokoleń działaczy ludowych, na czele z księdzem Stojałowskim, Jakubem Bojko, Bolesławem Wysłouchem, Janem Stapińskim i Wincentym Witosem. Galicja stała się kolebką ruchu ludowego. Grzech rabacji w jakiejś mierze „odkupiono".

Mamy teraz zwrot ludowy w badaniach historycznych. O czym to świadczy?

O pewnej równowadze po długim okresie fascynacji kulturą i tradycją szlachecką, po modzie na herby, sygnety i genealogiczne poszukiwania heraldycznych przodków. Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy z ludu i każdy z nas w linii prostej lub bocznej ma ludowych antenatów. Wielu nosi nazwiska uczestników tamtych wydarzeń. Mamy krew nie tylko etnicznie, ale i społecznie wielokrotnie zmieszaną. Przestaliśmy się tego wstydzić. I dobrze.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

MUZEUM ETNOGRAFICZNE IM. SEWERYNA UDZIELI W KRAKOWIE

eprasa.pl 631e544192



Czteroletni Shofi Mohammad jest przygotowywany do zabiegu chirurgicznego w szpitalu Lekarzy bez Granic w obozie dla uchodźców Kutupalong w Bangladeszu. Pielęgniarka, Zannatul Arafat, wyjaśnia mu, co się za chwilę wydarzy. Na sali jest z nim ojciec.

Dzięki Twojemu 1,5% podatku zespoły Lekarzy bez Granic mogą pomagać dzieciom takim jak Shofi oraz innym ludziom, których dotykają skutki najtragiczniejszych kryzysów humanitarnych na świecie. Dziękujemy!

Twoje 1,5% pomoże ratować życie i zdrowie.

Więcej: lekarze-bez-granic.pl

eprasa.pl 631e544192

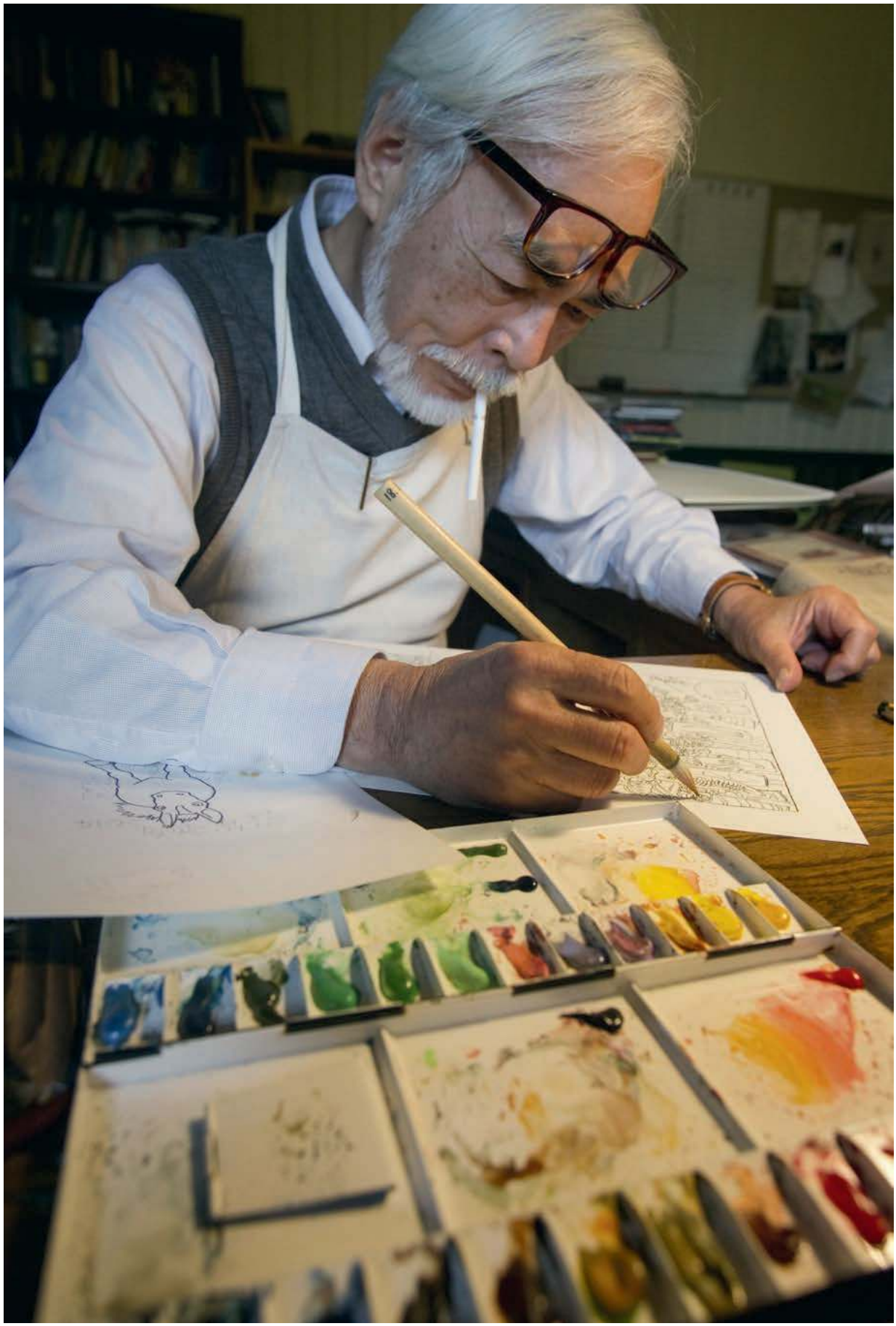

HIROJI KUBOTA / MAGNUM PHOTOS / FORUM

eprasa.pl 631e544192

KULTURA

PAN INIEMAMOCNY

Jest perfekcjonistą do szpiku kości, jego standardom trudno sprostać. Zdarzało się, że od biurka odchodził tylko w niedziele, które poświęcał na sprzątanie rzeki.

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Jest taka scena w filmie dokumentalnym „Hayao Miyazaki and the Heron" (2024), w której tytułowy bohater rysuje klatkę z „Chłopca i czapli" (2023). Pieczołowitość, z jaką pracuje nad rysunkiem, jest dość zaskakująca, w końcu dotyczy ujęcia krojenia chleba. Miyazaki głowi się nad ruchem noża, zastanawia, jak oddać sprężystość bochenka.

Ostatecznie te pozornie nieistotne szczegóły sprawiają, że nakreślony ołówkiem świat zdaje się nie mniej prawdziwy od rzeczywistości.

Być jak Disney

W drobiazgowych projektach Miyazakiego nietrudno się zatracić. Dla niego samego zresztą rysowanie było formą eskapizmu. Urodził się w 1941 r. w Tokio, na krótko przed tym, jak rozgorzało piekło na Pacyfiku. Od maleńkości ciekawiły go pojazdy. Jako chłopiec zarysowywał kartki wozami strażackimi, by w nastoletniości z zapałem szkicować samoloty.

Do tego był introwertykiem co się zowie. W czasach, kiedy przykazywano twardo stąpać po ziemi, literatura podsycała w nim fantazję. Gdy rówieśnicy przymierzali się do wejścia w szereg rodzącej się klasy średniej, Miyazaki postanowił, że zostanie mangaką.

Co wcale nie znaczy, że bujał w obłokach. W jego wypadku niepohamowana wyobraźnia wypływała z przenikliwego, analitycznego umysłu. Nie bez powodu, będąc bacznym obserwatorem społecznych zawirowań, ukończył studia w dziedzinie nauk politycznych i ekonomii.

Hayao Miyazaki. Tokio, 2013 r.

W 1963 r., niedługo po opuszczeniu akademii, został zatrudniony w Tōei Animation, jednej z największych japońskich wytwórni filmów i seriali animowanych. W tym tokijskim studiu powstała „Panda i magiczny wąż" (1958), pierwsze kolorowe anime, jak również film, który – do spółki z radziecką „Królową śniegu" (1957) – wzniecił w Miyazakim pasję do kina.

„Panda" była pionierskim tytułem, pierwszym anime, które trafiło do amerykańskich kin. Poszukujący punktu odniesienia zachodni odbiorcy prędko ochrzcili Tōei „Disneyem Wschodu" (można się spierać, czy porównanie do Hanna-Barbera nie byłoby stosowniejsze).

Podobny los czekał Miyazakiego, który przez lata, skądinąd protekcjonalnie, nazywany był „japońskim Disneyem". Choć obu twórców, nie licząc globalnej rozpoznawalności, łączy niewiele, przydomek ten wskazuje na ciekawą zależność – tak jak ojciec Myszki Miki długo kreował trendy w amerykańskiej animacji, tak od lat każdy japoński twórca musi się zmierzyć z legendą założyciela studia Ghibli (najdotkliwiej odczuł to zresztą syn Miyazakiego – Gorō).

Zielone wzgórza

W „Podniebnej poczcie Kiki" (1989) nastoletnia czarodziejka próbuje uporać się z zanikiem magicznych zdolności. Poznana przypadkowo malarka radzi jej, by szukała rozwiązania w drobnych przyjemnościach. „Spaceruj, podziwiaj krajobraz, rób drzemki w południe i polecisz, aż miło" – mówi.

Miyazaki trzyma się zaleceń swojego *porte-parole*. Kiedy w trakcie przygotowywania ostatnich stron scenorysu „Chłopca i czapli" dopada go niemoc twórcza, po natchnienie rusza do lasów Tokorozawy. Tych samych, którymi opiekuje się sygnowana przez ikonę Studia Ghibli The Totoro no Furusato Foundation.

Kilkuletni Miyazaki chętnie spędzał czas w rozległym ogrodzie dziadka, u którego zamieszkał, gdy szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę aliantów. Nim Utsunomiya została zbombardowana, zielone zacisze jawiło się jako bezpieczna przystań. Niewykluczone, że to właśnie wtedy w Miyazakim zakorzeniło się poszanowanie dla środowiska, przenikające jego filmografię.

Dorastający Hayao był świadkiem szeregu katastrof ekologicznych, będących skutkiem przyspieszonego uprzemysłowienia Japonii. Jego rozgoryczenie znalazło ujście w serialu „Future Boy Conan" (1978), pierwszym, który samodzielnie wyreżyserował.

Echa ekologizmu Miyazakiego pobrzmiewają zresztą w większości jego utworów. O ile filmowy debiut „Zamek Cagliostro" (1979) był awanturniczą opowiastką, wchodzącą w skład medialnej franczyzy, o tyle następna, na wskroś autorska „Nausicaä z Doliny Wiatru" (1984) to ekofikcja czystej wody – postapokalipsa, której bohaterka próbuje dociec, w czym tkwi istota rozprzestrzeniającego się trującego lasu, dążąc jednocześnie do pojednania istot ludzkich i nieludzkich.

Takich mediatorów, postaci na przecięciu światów, da się znaleźć u Miyazakiego więcej: na przykład Ashitaka z „Księżniczki Mononoke" (1997), który za wszelką cenę stara się zapobiec wojnie mieszkańców Żelaznego Miasta z duchami lasu, czy też Chihiro ze ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ „Spirited Away: W krainie Bogów" (2001), która w łaźni dla *kami* pomaga duchowi rzeki wydalić wchłonięte z zanieczyszczonej wody toksyny (sam Miyazaki przez dekady angażował się w oczyszczanie rzeki Yanase).

Marzenia i obsesje

Dla Miyazakiego staż w Tōei był ważny w dwójnasób. W japońskiej wytwórni młody twórca zaangażował się w działalność związku zawodowego, utwierdzając się w lewicowych poglądach. Tam też spotkał Isao Takahatę, erudytę i wizjonera anime. Starszy o pięć lat reżyser pomógł Miyazakiemu postawić pierwsze kroki w zawodzie, zaprzęgając go do rysowania klatek „Wielkiej przygody Horusa, księcia Słońca" (1968).



MATERIAŁY PRASOWE X2

„Mój sąsiad Totoro"

Nawet po odejściu z Tōei w 1971 r. ich drogi zawodowe stale się przecinały. Wspólnie pracowali nad filmami i serialami, takimi jak szalenie popularna „Heidi" (1974) czy „Ania z Zielonego Wzgórza" (1979). Na przestrzeni piętnastu lat relacja Miyazakiego i Takahaty przeszła z mentorskiej w partnerską, aż w końcu zdefiniował ją element przyjacielskiej rywalizacji.

Adaptacja powieści Lucy Maud Montgomery poróżniła twórców, przez co Miyazaki porzucił projekt na półmetku produkcji. Mimo to po pięciu latach to właśnie Takahacie zaproponował funkcję producenta „Nausiki z Doliny Wiatru". Film był ekranizacją pierwszych tomów mangi, którą Miyazaki zaczął rysować za namową redaktora magazynu „Animage" Toshio Suzukiego. W ten sposób przygody dzielnej księżniczki połączyły życiorysy trzech współzałożycieli Studia Ghibli, którego logo od 1985 r. uznawane jest przez miłośników kina za gwarancję jakości.

Miyazaki i Takahata chcieli tworzyć anime odbiegające od produkowanej po kosztach konfekcji. Odtwórczość, banalność i zachowawczość były im nie w smak. W filmie dokumentalnym „The Kingdom of Dreams and Madness" (2013) pojawia się archiwalne nagranie przemówienia Miyazakiego do nowo zatrudnionych pracowników.

„Sukces nie jest naszym priorytetem. Ważne jest, byście robili to, czego naprawdę chcecie i doskonalili swoje umiejętności. Jeżeli Ghibli przestanie wam się kiedyś podobać, po prostu odejdźcie" – mówi. Dopełnia je ujęcie ze współczesności, na którym znajduje się wywieszony w siedzibie plakat, apelujący: „odejdź jeżeli: nie masz pomysłów, zawsze polegasz na innych, unikasz odpowiedzialności, brakuje ci zapału".

W Tōei Miyazaki stał się pewnym siebie, stanowczym i skrupulatnym filmowcem, co przełożyło się na obowiązujący w Studiu Ghibli etos (według niektórych rygor) pracy. Jest perfekcjonistą do szpiku kości, jego standardom trudno sprostać. Jak wspominają jego podwładni: „im większy masz talent, tym więcej od ciebie wymaga".

Największy trud brał jednak zawsze na swoje barki. Jeszcze podczas produkcji „Zrywa się wiatr" (2013) pracował niemal bez wytchnienia – od biurka odchodził wyłącznie w niedziele, które poświęcał na sprzątanie Yanase.

To poświęcenie znajduje odbicie w jego filmach, w których każdy najmniejszy ruch – falujący na wietrze kosmyk czy ów chleb uginający się pod ciężarem noża i rozlewający się po kromce dżem – jest drobiazgowo odwzorowany.

Dzieci i rodzice

„Potrzebujesz rodziny w domu, aby pracować ciężej w biurze" – stwierdza ironicznie jedna z postaci w filmie „Zrywa się wiatr". Za tymi słowami kryją się poczucie odpowiedzialności za bliskich i wynikające z niego pragnienie zapewnienia godnego bytu. Ale można je potraktować jako autorefleksję Miyazakiego, który poświęcił życie rodzinne na ołtarzu sztuki.

Autor niechętnie dzielił się faktami z życia prywatnego, lecz jego starszy syn Gorō w wywiadach nie krył żalu w stosunku do nieobecnego ojca. Chłopcami zajmowała się przede wszystkim ich matka, Akemi Ôta. Uzdolniona animatorka, mimo dłuższego stażu i początkowo wyższych zarobków, zrezygnowała z kariery, aby wesprzeć będącego u progu wielkiej kariery męża.

Miyazaki nie wspomina też ciepło własnego dzieciństwa. Towarzyszące mu poczucie wyobcowania, potęgowane przez częste przeprowadzki oraz trudne relacje z rodzicami sprawiły, że po latach nazywa ten okres haniebnie żałosnym. Grubiański i pyszałkowaty ojciec oraz konserwatywna matka różnili się skrajnie od wrażliwego Hayao. Animator daleki jest jednak od ich demonizowania; wielokrotnie wyrażał podziw dla ich zaradności i troskliwości.

W „The Kingdom of Dreams and Madness" stwierdza, że to dzieci napędzają go do działania. Dlatego tak często gości w studiu wycieczki maluchów i codziennie zatrzymuje się przed przedszkolem, by pomachać podopiecznym. Utwory Miyazakiego – nawet jeśli według disneyowskiej miary zbyt mroczne, niejednoznaczne i brutalne – kierowane były przede wszystkim do młodych odbiorców.

Co oczywiste, różnią się one natężeniem perypetii oraz nastrojem. Są wśród nich eskapistyczne opowieści coming-of-age, takie jak „Podniebna poczta Kiki" i „Ponyo" (2008), ale też złożone historie dzieci starających się zadośćuczynić krzywdom w imieniu dorosłych, typu „Laputy – podniebnego zamku" (1986), „Spirited Away" i „Ruchomego zamku Hauru" (2004).

Do najpopularniejszych (dla wielu też najlepszych) produkcji Studia Ghibli bez wątpienia należy „Mój sąsiad Totoro" (1988). Przemierzywszy postapokaliptyczne światy, Miyazaki skierował oko „kamery" na sielską japońską prowincję, gdzie mieszkają siostry Mei i Satsuki. Dziewczynki przeprowadziły się z ojcem do wiejskiej chatki, by być bliżej szpitala, w którym leczy się ich przewlekle chora matka.

Przypominająca Tokorozawę okolica zamieszkiwana jest przez wszelkiej maści fantastyczne stworzenia, w tym gigantycznego ducha lasu Totoro. Więź, jaką nawiązuje on z dziewczynkami, można czytać jako marzenie o harmonijnym współistnieniu ludzi i zwierząt. Można również wziąć ją za przejaw dziecięcej ciekawości świata, umiejętności doszukiwania się niezwykłości w byle kałuży.

Stąd u Miyazakiego tyle magii, będącej przecież symbolem fantazji. W „Moim sąsiedzie Totoro" animator przepisuje niejako własny życiorys, zastanawiając się, jak życzliwe i troskliwe otoczenie buduje

eprasa.pl 631e544192

odporność psychiczną. W tym sensie przygody Mei i Satsuki są tyleż wyrazem tęsknoty za utraconym dzieciństwem, co jego apoteozą.

Raj utracony

Ojciec Miyazakiego zbił majątek na wojnie. W odziedziczonej po dziadku firmie produkował komponenty do samolotów wojskowych – równolegle do eskalacji konfliktu zwiększała się liczba pracowników fabryki. Reżyser „Księżniczki Mononoke" nie potrafił go jednoznacznie potępić, widząc w nim wytwór czasów, w których żył. Jednocześnie daje się poznać jako zdecydowany antymilitarysta.

Bądź co bądź jego wyobraźnia rozkwitała na powojennych zgliszczach, podsycana obrazami patrolujących ulice wojsk alianckich i rozbitych Japończyków, rozdartych między poczuciem winy a nieopisaną złością. Temat wojennej traumy powracał w mangach i anime twórców z pokolenia Miyazakiego. Przykładem są filmy „Boso przez Hiroszimę" (1983) Moriego Masakiego i Mamoru Shinzakiego oraz wyprodukowany przez Ghibli „Grobowiec świetlików" (1988) Takahaty.

Wpisana we współczesną politykę Japonii, poświadczona konstytucją doktryna pacyfistyczna unosi się nad filmografią Miyazakiego. W „Szkarłatnym pilocie" (1992) zamieniony w wieprza weteran I wojny światowej dezerteruje z wojska, żyjąc w przekonaniu, że „lepiej być świnią niż faszystą". Przymusowej mobilizacji czarodziejów przeciwstawia się też tytułowy mag z „Ruchomego zamku Hauru".

Konfliktowi zbrojnemu między królestwami próbuje zapobiec Nausicaä; jego potencjalne skutki przedstawia „Księżniczka Mononoke", w której zaślepiony nienawiścią boski dzik Okkoto posyła swoich pobratymców na rzeź. W filmach tych powraca też motyw zimnowojennego wyścigu zbrojeń. Żołnierz Kolos w „Nausice z Doliny Wiatru" i tytułowy podniebny zamek z „Laputy" są niczym innym jak bronią masowej zagłady.

Bycie niezłomnym obrońcą Artykułu 9. nie przeszkadza Miyazakiemu fascynować się słynnymi myśliwcami Zero, które zrównały Pearl Harbor z ziemią. Ich konstruktorowi Jiro Horikoshiemu poświęcił swój pożegnalny film (w 2013 r. utrzymywał, że przechodzi na emeryturę, dziś kieruje się słowami Takahaty, według którego „reżyserzy nie przechodzą na emeryturę").



„Szkarłatny Pilot"

„Wznosi się wiatr" wbrew pozorom nie gloryfikuje imperialistycznych zakusów cesarstwa, wręcz przeciwnie – jest to być może najbardziej otwarcie pacyfistyczny film Tokijczyka. Wybitny inżynier Jiro marzy o stworzeniu samolotu, który przemoże maszyny amerykańskie, choć nie tyle w sile rażenia, ile prędkości. To marzyciel, który z rozczarowaniem przygląda się, jak jego marzenie zostaje zbezczeszczone – innowacja podporządkowana prymitywnym celom. Jak stwierdził w „The Kingdom of Dreams and Madness" Miyazaki: „wszystkie sny ludzkości są w jakiś sposób przeklęte".

Choć kanwą fabuły „Zrywa się wiatr" jest życiorys Horikoshiego, Miyazaki wplótł w opowieść historię własnej rodziny, czyniąc z Jiro odpowiednik swojego ojca, a z chorującej na gruźlicę Naoko – matki. Powodowany pasją inżynier jest też w pewnym stopniu odbiciem reżysera. Być może taki urok schyłkowej twórczości wielkich artystów, że służy ona za zwierciadło ich życiorysów.

Na korzyść tej tezy przemawia „Chłopiec i czapla", ostatni jak dotąd film Miyazakiego. W końcu jego protagonistą jest Mahito, syn producenta sprzętu wojskowego, który podczas wojny na Pacyfiku przeprowadza się na wieś, nie potrafi nawiązać nici porozumienia z rówieśnikami i poszukuje sposobu na ucieczkę od rzeczywistości – w tym wypadku umożliwia ją magiczna wieża, zbudowana przez stryjecznego dziadka.

„Chłopiec i czapla" jest zarówno summą dorobku Miyazakiego, jak i elegią dla jego zmarłych bliskich i współpracowników: będącej częścią Ghibli od jego zarania Michiyo Yasudy i jego współzałożyciela Takahaty. Jednocześnie finał filmu dostarcza klucza do odczytania całego dorobku legendy anime. Mahito odrzuca propozycję pozostania w równoległym świecie, decydując się na powrót do pełnego cierpienia domu. Budzi się w nim wiara w lepsze jutro. Tak jak Miyazaki i jego rysunkowi podopieczni może mierzyć się z rozczarowaniem, lecz nigdy nie podda się cynizmowi.

Przeklęty świat

Rzeczywistość nieustannie wystawia mistrza na próby wiary. Niecałe dwa lata po premierze ostatniego filmu Miyazakiego OpenAI wyposaża model GPT-4o w funkcję generowania obrazów. Fala slopu gwałtownie narasta. Jednym z trendów staje się przeróbka zdjęć na modłę produkcji Studia Ghibli. Celebryci wnet zamieniają się w postaci żywcem wyjęte z „Mojego przyjaciela Totoro", nawet politycy chwalą się swoim sympatyczniejszym kreskówkowym obliczem.

Dwa dni później Biały Dom publikuje na X „zghiblifikowane" zdjęcie aresztowanej przez funkcjonariusza ICE migrantki. Tak prompt śmieje się w twarz rzemiosłu, a osobna filozofia twórczości sprowadzona zostaje do estetyki – co gorsza, wykorzystanej na przekór przekonaniom jej twórcy. Być może o tym przestrzegał Miyazaki, gdy stwierdził, że koniec końców cywilizacja przemysłowa wchłonie też animację. © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Susan Napir, **MIYAZAKI. ŚWIAT W ANIMACJI**, *tłum. Joanna Gilewicz, Bo.wiem, 2026*

eprasa.pl 631e544192

Jak brat z siostrą

KASIA SIENKIEWICZ,
JACEK SIENKIEWICZ:

ROZMOWA | W naszej naturze nie leży szokowanie, skandal, przypał. Łatwo nas sprowadzić do stereotypu grzecznego rodzeństwa. A może to jest właśnie prawda o nas?



DOROTA SZULC

EWELINA BURDA: Chciałam z Wami porozmawiać o byciu rodzeństwem.

KASIA SIENKIEWICZ: Kiedy urodził się Jacek, miałam półtora roku. Podobno gdy mama wróciła z nim do domu, byłam bardzo zdziwiona. Zamilkłam i tylko patrzyłam. To musiało być dla mnie wielkie przeżycie. Jednak szybko stałam się bardzo zaangażowaną siostrą. Mamy dużo nagrań i zdjęć, na których widać, jak daję malutkiemu Jackowi buziaczki. Bez przerwy!

JACEK SIENKIEWICZ: Podobno miałem już potem tego dość.

KASIA: Przestałam, na szczęście.

O relacjach rodzeństwa z małą różnicą wieku badania mówią, że przypominają więź bliźniaczą. Ale zwykle to starsze dziecko nadaje ton. Jak było u was?

JACEK: Kasia jest bardziej energiczną, ekspresyjną osobą. Jak byliśmy mali, to ona przecierała nam szlaki, robiła rzeczy jako pierwsza.

KASIA: Kiedy jechałam na letnie obozy, Ty potem jechałeś na takie same.

JACEK: Kiedy poszłaś do liceum i byłaś zadowolona, ja też starałem się tam dostać. Zawsze czułem się bezpiecznie z tym, że Kasia jest. Że ona już coś sprawdzi, przetestuje. I jak będzie dobrze, to mogę do niej dołączyć. W zeszłym roku mieliśmy taką sytuację, drobiazg, ale symboliczny. Nie wiem, czy to, Kasiu, pamiętasz.

Opowiedz.

JACEK: Po koncercie w Hamburgu poszliśmy na miasto się wyluzować, pointegrować z zespołem. Trafiliśmy na karaoke, leciał kawałek zespołu Men at Work, którego nie potrafiłem zaśpiewać, ale się zgłosiłem. Wziąłem mikrofon, stanąłem przed ekranem i doszedłem do wniosku, że sobie nie poradzę. I Ty wtedy podeszłaś, wzięłaś drugi mikrofon. I poszło.

KASIA: Podeszłam nie dlatego, że stwierdziłam, że sobie nie poradzisz, tylko dlatego, że widziałam, że wołasz o pomoc! Na dodatek sama też bym nie umiała wystąpić na karaoke, ale z Tobą? Czemu nie.

JACEK: Tak, wołałem Cię! I razem to nie było już stresujące.

Co śpiewaliście?

JACEK: „Land Down Under". I wtedy poczułem się, jakbyśmy się cofnęli do czasów szkolnych. Kasia przyszła i mnie uratowała.

eprasa.pl 631e544192

To wróćmy na moment do szkoły. Byliście zachęcani do muzyki jako dzieciaki?

KASIA: Muzyka była ważna, ale nie byliśmy do grania przymuszani. Historia jest prosta. Pamiętam, że kiedyś do mojego przedszkola przyjechała szkoła muzyczna z prezentacją. I bardzo spodobały mi się występy tych dzieci. Po powrocie do domu powiedziałam, że ja też tak chcę. I rodzice zawsze, jeżeli widzieli, że coś lubimy, to nas w tym wspierali, więc powiedzieli, że super.

A Ty, Jacku?

JACEK: Pewnie dlatego poszedłem do szkoły muzycznej, bo Kasia tam chodziła (*śmiech*). Ale kiedy już w niej byliśmy, to czułem, że to ważny obowiązek. Mama pilnowała, żebyśmy ćwiczyli, grali.

KASIA: Faktycznie dzięki mamie więcej ćwiczyliśmy, ale ja czułam, że to była taka zdrowa mobilizacja. Taka, która pokazuje, że jeżeli już się czymś zajmujesz i ci zależy, to musisz się postarać. W momentach lenistwa słyszałam od mamy, że jak mi się nie chce ćwiczyć, to mogę się po prostu ze szkoły wypisać. I oczywiście wtedy razem z Jackiem uznawaliśmy, że jednak nam się chce. Jestem mamie bardzo za to wdzięczna.

JACEK: Ale w przypadku grania rozrywkowego to zawsze była nasza inicjatywa.

KASIA: Na pewno nie trzeba było już nas zachęcać do ćwiczenia, ale tutaj znowu dostaliśmy od rodziców wsparcie i podpowiedzi, jak się do nauki rozrywkowego grania zabrać.

Pierwszy wspólny występ?

JACEK: To chyba był konkurs fortepianowy, graliśmy na dwa fortepiany, prawda? (*zerka na siostrę*) Byłem wtedy w gimnazjum...

KASIA: Tak! Ale masz dobrą pamięć. Ja byłam w drugiej klasie liceum, Ty w trzeciej gimnazjum.

JACEK: Graliśmy trzy utwory klasyczne na dwa fortepiany. I pamiętam, że to było super doświadczenie, dobrze nam wyszło, byłem zadowolony.

KASIA: Ja też, ale wykonywanie muzyki poważnej to był dla mnie straszny stres. Nigdy w życiu nie wzięłabym udziału w czymś takim sama.

JACEK: A ja spróbowałem. Kiedy byłem już w liceum, wystartowałem w konkursie fortepianowym solo. To była gigantyczna różnica: w tym, jak się czułem, jak mi się grało. Byłem tak zestresowany, że przestałem widzieć w czasie koncertu. Zamroczyło mnie na chwilę, gdy grałem Chopina. Pomyliłem się ze cztery razy, naprawdę źle wypadłem. Zupełnie inaczej niż wtedy, jak zagraliśmy razem.

KASIA: Ten konkurs to był moment, w którym zrozumiałam, że to nie dla mnie, i potem zaczęłam chodzić na pierwsze lekcje rozrywkowego grania.

A Wasze instrumenty?

JACEK: Ja dość szybko zacząłem grać na mandolinie. Pierwszy raz miałem ten instrument w rękach już w drugiej klasie podstawówki. Jeden z naszych wujków grał na mandolinie, mój ojciec chrzestny Jacek Wąsowski też. I oni mi pokazali podstawy. A że coraz bardziej mi się podobało, to uczyłem się więcej na własną rękę.

KASIA: Ja gram głównie na fortepianie. Umiem też grać na gitarze, ale raczej ogniskowo. I tak jak Jacek poszedł bardziej w naukę gry na drugim instrumencie, to ja bardziej poszłam w naukę śpiewu.

Wasz pierwszy zespół: kiedy zaczęliście?

JACEK: Tutaj role z dzieciństwa się odwróciły i to ja pociągnąłem Kasię za sobą. To był koniec gimnazjum, z kolegami graliśmy w garażu – w zasadzie to był strych nad garażem u Maksa, naszego perkusisty, ale „granie w garażu" brzmi znacznie lepiej. W pewnym momencie odszedł nasz wokalista. Nie pamiętam już kontekstu, ale zapytaliśmy Kasię, czy nie chciałaby wskoczyć do zespołu za niego. Graliśmy różne covery, ale tylko próby, nigdy żadnego koncertu.

KASIA: Miałam silne przekonanie, że ten zespół nie może nigdy zagrać występu, bo jest tylko po to, żebyśmy się nauczyli grać rozrywkowo. Dzięki Jackowi i jego kolegom poznałam takie zespoły jak Led Zeppelin, AC/DC, Marylin Manson, The Doors... Rocka po prostu poznałam dzięki Wam. Wciągnęłam się do tego stopnia, że zrobiłam sobie w liceum glam-rockową fryzurę i nosiłam wszystko w panterkę. Jak zespół Cinderella!

A wraz z dojrzewaniem przychodzi jakiś moment, kiedy macie siebie dość?

JACEK: Między nami nie było wielkich kryzysów ani naprawdę trudnych momentów. Nie było wielkich górek i dołów. Wydaje mi się, że ta nasza relacja się nam po prostu rozwija w dosyć naturalnym tempie, tak...

KASIA: ...spokojnie. Ale trzeba przyznać, że był taki czas, że sporo się jako dzieci biliśmy (*śmiech*).

Później przez kilka lat działacie jako Hollow Quartet.

JACEK: To była bardzo duża część naszego życia, od liceum do prawie końca studiów.

KASIA: I to był już taki zespół, z którym oboje wiązaliśmy duże nadzieje. Były momenty wzlotów, wystąpiliśmy na przykład w telewizyjnym *talent show* „Must Be the Music". Myśleliśmy, że to wystrzeli.

JACEK: Ale to się nie udało. Jak graliśmy w rodzinnym mieście, przychodziło dużo znajomych, ale jak wyjeżdżaliśmy gdzieś dalej, to się okazywało, że przychodziła już garstka ludzi. Raz na koncert w Krakowie nie przyszedł nikt. Ten zespół nauczył nas z jednej strony dużo pokory, a z drugiej – wielu umiejętności scenicznych.

Potem był już Kwiat Jabłoni – niedawno ogłosiliście, że robicie przerwę. Skąd ten pomysł?

JACEK: Pomysł wyszedł od Kasi. Ja od jakiegoś czasu działam z muzyką elektroniczną, ale nie miałem na to jeszcze dużo czasu. Uznałem, że to dobry pomysł, że jest to nam obojgu potrzebne. Zsynchronizowaliśmy się w tej potrzebie.

KASIA: Robimy przerwę, nie zamykamy Kwiatu na zawsze. Ja też będę nadal w muzyce, mam w planie solowe projekty. Jestem tego nowego etapu ciekawa: co zrobimy bez siebie i z czym wrócimy po przerwie do zespołu. Złapanie oddechu od Kwiatu Jabłoni przyniesie pewnie inspiracje na to, co będzie po powrocie.

JACEK: Jak myślę o moich planach na najbliższy rok, dwa, to chciałbym pograć sety DJ-skie. Wydaje mi się, że to jest pozostałość albo raczej pochodna tego, że studiowałem na Akademii Muzycznej kompozycję. Fascynują mnie długie, powtarzalne przebiegi, płynne przejścia, wtapianie się w siebie dźwięków. ↦

eprasa.pl 631e544192



ARCHIWUM PRYWATNE

KASIA SIENKIEWICZ (ur. 1992) i **JACEK SIENKIEWICZ** (ur. 1994) są muzykami. Od 2018 r. działają jako zespół Kwiat Jabłoni. Zadebiutowali albumem „Niemożliwe", który zdobył status platynowej płyty. Wielokrotnie nominowani do Fryderyków, w 2021 r. otrzymali statuetkę w kategorii Album Roku Pop za płytę „Mogło być nic". W roku 2026 ogłosili zawieszenie działalności zespołu, ale pozostają w muzyce.

Na zdjęciu: W dzieciństwie, lata 90.

↦ **Osobliwy moment na zawieszenie zespołu: wszystkie Wasze koncerty z orkiestrowej trasy „Przesilenie" wyprzedały się do ostatnich miejsc.**

KASIA: Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść.

JACEK: Niepokonanym (*śmiech*).

KASIA: Bardzo żyję tymi koncertami orkiestrowymi. To jest na pewno zamknięcie jakiegoś etapu, podsumowanie. Z każdym kolejnym sezonem Kwiatu było nas na scenie coraz więcej: zespół się powiększał, współpracowaliśmy z kolejnymi muzykami. Więc ta orkiestrowa odsłona Kwiatu wydaje mi się spełnieniem naszych marzeń sprzed wielu lat, żeby to doprowadzić do takiej pięknej, pełnej formy.

Ta trasa i nowa płyta „Przesilenie" są przeglądem naszych piosenek w nowych aranżacjach. To są dla mnie ogromne emocje. Po raz pierwszy płaczę ze wzruszenia na koncertach. Bywałam nieraz poruszona na naszych koncertach, przejęta, ale nigdy do łez. „Przesilenie" oznacza maksimum, szczytowy punkt, po którym musi przyjść coś nowego. I na to liczymy.

Jak się robi piosenki w duecie?

KASIA: Zawsze jedno z nas przynosi tekst. Czytamy go i dajemy sobie prawo do poprawiania drobnych rzeczy, pojedynczych słów. Nie piszemy razem, tego nie umiemy robić. Ja długo myślę, wielokrotnie poprawiam, wracam po kilku dniach do tekstu. Pisanie z kimś przypomina konkurs „Kto szybciej wpadnie na coś fajnego". Wolę przez pierwszy etap przejść sama.

JACEK: Ale jesteśmy w stanie razem tworzyć muzykę: przynosimy na próbę już coś konkretnego, ale jednocześnie bardzo liczymy na inwencję twórczą drugiej osoby.

KASIA: Pokazuję Jackowi akordy i wiem, że on do tego doda coś ze swojej wrażliwości, dopisze partie na mandolinie, takie, których ja bym nie wymyśliła. Tak samo Jacek daje mi tylko zarysy tego, co mam grać i ja nakładam swoje muzyczne pomysły.

A Wasze piosenki dzielą się na takie, które są bardziej Kasi, i te, które są bardziej Jacka?

JACEK: Myślę, że każdy z nas w jakimś stopniu identyfikuje się ze wszystkimi utworami. Trudno byłoby grać coś, z czym jest jednemu z nas bardzo nie po drodze, czego nie lubimy.

Wyrośliście z czegoś?

KASIA: Jest kilka takich piosenek. Dla mnie takim utworem, który porzuciliśmy nie bez powodu, jest „Nic więcej". Nieco infantylnie dziś dla mnie brzmi.

JACEK: Gdy pisałem „Nic więcej", miałem w głowie zupełnie inny przekaz niż ten, który ostatecznie zyskał ten utwór po nagraniu. Nie umiałem ująć dobrze swojej myśli w słowa i wyszło kiczowato.

To jest Wam często zarzucane: że jesteście za mili, za słodcy, za grzeczni.

KASIA: Łatwo nas sprowadzić do takiego stereotypu grzecznego rodzeństwa. Bo może to w sumie jest prawda o nas (*śmiech*). Raczej nie leży w naszej naturze szokowanie, skandal, przypał. Zresztą czy łagodność, grzeczność, wrażliwość są wadami, które można komuś „zarzucić"? Ja nawet czasami się zastanawiałam, co byśmy mogli zrobić takiego naprawdę skandalicznego, żeby ten wizerunek odmienić...

JACEK: Ale właśnie: po co?

KASIA: Oczywiście to bez sensu. Wyobrażałam sobie tylko alternatywną rzeczywistość, w której robimy coś naprawdę gwiazdorskiego.

JACEK: Ja mam wrażenie, że to mówienie o byciu „za grzecznym" czy „za sympatycznym" bardzo wiąże się z naszym narodowym zachowaniem w codziennych sytuacjach. Nie uśmiechamy się do siebie na ulicy, na przystanku, w sklepie. Normalność kojarzy nam się z obojętnością na drugiego człowieka.

KASIA: A bycie serdecznym to z kolei przesadna grzeczność i słodkość. Im więcej słyszę od innych o naszym „ugrzecznionym" wizerunku, tym więcej się nad nim zastanawiam. Na początku trochę się przed tym broniłam, mówiłam: no bez przesady, nie jestem taka znowu strasznie grzeczna, uwierzcie mi! Ostatecznie doszłam do wniosku, że nie ma się co przed tym bronić. Taka jestem w oczach innych i nie mam na to wpływu. Czasem człowiek samego siebie widzi po prostu inaczej. Kiedy w oczach innych zobaczyłam samą siebie, mogłam zauważyć lepiej to, czego w sobie wcześniej nie widziałam.

Rozmawiamy o grzeczności, a nazwa Kwiat Jabłoni pochodzi od tytułu nie bardzo grzecznej piosenki.

eprasa.pl 631e544192

KASIA: Byliśmy malutcy, kiedy rodzice puszczali ten punkowy numer w domu, a my nie mieliśmy pojęcia, o czym ta piosenka jest. Podobała nam się melodia i prosty refren: „Kwiat, Kwiat Jabłoni / Kwiat, Kwiat Jabłoni, a, a, a". Śpiewaliśmy go i tańczyliśmy.

I po latach, kiedy szukałam nazwy dla naszego zespołu, wujek Jarek przyniósł nam akurat pudło starych płyt – on przerzucił się na słuchanie ze streamingu, ale wiedział, że my lubimy słuchać muzyki z nośników. Wybrałam kilka i wzięłam do samochodu, żeby przesłuchać. To był czas, kiedy rodził mi się w głowie pomysł stworzenia nowego zespołu. I trafiłam na tę piosenkę „Kwiat Jabłoni" zespołu Trawnik, w której nasz tata gościnnie śpiewał. Wróciło do mnie mnóstwo ciepłych wspomnień z dzieciństwa. I wtedy uznałam, że chciałabym, żeby nasz nowy zespół nazywał się Kwiat Jabłoni. Tak jak nasza ulubiona piosenka z dzieciństwa. Jackowi też się to spodobało.

Dalej nie powiedzieliśmy, o czym jest ta piosenka. Pierwsza zwrotka brzmi: „Cena jest przystępna dla wszystkich / Nie to co taka whisky / Robotnicy i rolnicy / Kwiat Jabłoni piją wszyscy". A zespół Kwiat Jabłoni miał być dla wszystkich?

KASIA: Po tym, co widzimy na koncertach i po tym, jaką mamy informację zwrotną od tych, którzy chcą nas słuchać, to chyba faktycznie jest dla wszystkich.

JACEK: Wydawało nam się, że będziemy robić muzykę dla studentów.

KASIA: Ale bardzo często widzimy, że ludzie przychodzą na koncerty całymi rodzinami. Do młodzieży dołączyli na stałe rodzice, dziadkowie. Nawet małe dzieci lubią nasze piosenki, są na koncertach. Wzrusza mnie to.

JACEK: Na festiwalu Pol'and'Rock dwa razy dostaliśmy nagrodę publiczności: czyli pasowaliśmy do widowni, trafiliśmy w ich gusta. Na naszych koncertach często pojawiają się metalowcy. I nieraz nas zaczepiali na ulicy, żeby powiedzieć, że bardzo lubią naszą muzę. Zaskakuje mnie, że nasza muzyka trafia we wrażliwość osób, które na co dzień siedzą w zupełnie innej estetyce. Na przekór stereotypom.

Co było kluczem, żeby przez lata razem pracować i żyć, nie mając siebie dosyć?

KASIA: Kiedy myślę o nas jako duecie zarówno muzycznym, jak i o rodzeństwie, to widzę, że przez lata utrzymuje się między nami dobra, stabilna relacja. I chyba kluczem do niej jest to, że jesteśmy do siebie podobni.

W czym jesteście podobni?

KASIA: Kiedy rozmawiam z ludźmi, którzy mają rodzeństwo, często mówią mi, że różnią się od siebie – poglądami, podejściem do życia, zachowaniami. I chociaż się lubią, kochają, to jednak tego czasu na co dzień nie spędzają ze sobą tak dużo, bo nie dogadują się tak dobrze na poziomie chociażby światopoglądu. My mamy dużo podobieństw tego typu, choć charakterologicznie zdecydowanie się różnimy.

JACEK: Śmieszy nas często to samo, lubimy te same książki, kabarety, muzykę. Jest nam do siebie na wielu płaszczyznach blisko. I dlatego jest nam razem dobrze.

KASIA: I nie ma w nas zazdrości, to mnie bardzo cieszy. Gdy poznaję małe dzieci, które są rodzeństwem, szczególnie gdy różnica wieku między nimi jest niewielka, bardzo łatwo uruchamia mi się taka jedna rzecz. Staram się bardzo uważać i doceniać to starsze: żeby pokazać mu, że nadal jest ważne, a ten młodszy brat czy siostra nie jest dla niego zagrożeniem, lecz najlepszym kompanem i przyjacielem. Pewnie mogę trochę przesadzać, ale zawsze zależy mi na tym, żeby uczyć rodzeństwa życia bez zazdrości.

A jak to zrobić, by nie mieć tej bliskiej osoby za dużo?

KASIA: Przez ostatnie lata nasza relacja była bardzo zintensyfikowana: pracowaliśmy razem, jeździliśmy w trasy, a obok tego było też to zwykłe życie: wizyty w domu rodzinnym, wspólne święta. To wszystko skumulowane dało wielką część życia przeżytą wspólnie. Nasza żelazna zasada: na wakacje jeździmy oddzielnie, żeby odpocząć także od siebie. Bardzo zawsze pilnujemy, żeby do siebie nie pisać, nie dzwonić w czasie wyjazdów wakacyjnych.

To Wasze zawodowe rozdzielenie to ostatni etap wchodzenia w dorosłość?

JACEK: Moim zdaniem tak. Taki kolejny krok wychodzenia z domu. Ja czuję, że ciągle nie umiem do końca wyjść. I jak to nasze pokolenie, na terapii sporo o tym rozmawiam.

KASIA: Tak to czujesz? Bardzo ciekawe, nigdy tak nie pomyślałam.

JACEK: Tak. Kwiat się nie kończy, nasze wspólne rzeczy się nie kończą, ale ta przerwa, kiedy będę robić rzeczy sam, będę sobie sterem, żeglarzem i okrętem – to dla mnie kolejne, jeszcze mocniejsze wejście w dorosłość. Branie odpowiedzialności za swoje decyzje w stu procentach, a nie tylko w pięćdziesięciu.

KASIA: Masz rację, jest w tym coś. Ja też nie umiem się poczuć na sto procent pewna tego, co robię, gdy jestem sama. I to dla mnie największa przeszkoda w robieniu nowych muzycznych rzeczy samodzielnie. Prawdopodobnie po czasie nauczę się, żeby umieć stwierdzić, czy coś jest dobre, czy nie. Zawsze do tej pory miałam wsparcie w Tobie.

Na koncercie w Krakowie opowiadałaś o wracającym do Ciebie śnie: mdlejesz na scenie ze stresu, znoszą Cię za kulisy i gdy się budzisz, jest przy Tobie Jacek, który mówi: „Nie musisz już tam wychodzić, ja się wszystkim zajmę, a Ty możesz leżeć".

KASIA: I to pokazuje, że bycie razem w zespole jest niesłychanie wygodne, przyjemne i dające ogromne poczucie bezpieczeństwa.

A wspólna praca nigdy nie wyparła innych spraw?

KASIA: Zawsze dużo rozmawiamy o innych rzeczach niż muzyka: o tych dla nas w inny sposób ważnych, bardzo prywatnych. Często wykorzystując na to czas, kiedy wracamy busem z koncertów.

JACEK: Dziś będziemy wracać do Warszawy, więc jest szansa, że pogadamy o czymś ważnym. Wiemy, że nie da się przewidzieć, w którą stronę teraz pójdzie nasza relacja. To jest moment, w którym będziemy musieli zacząć o nią dbać.

KASIA: Teraz będziemy musieli się bardziej postarać. A może nie bardziej, tylko inaczej? Może dzięki tej przerwie pojedziemy razem na wakacje, jak za dzieciaka.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

eprasa.pl 631e544192

Porządek, który pozwala nam żyć

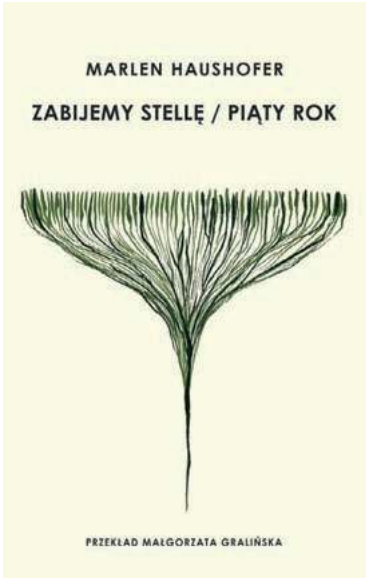

Marlen Haushofer,
ZABIJEMY STELLĘ / PIĄTY ROK,
tłum. Małgorzata Gralińska,
ArtRage 2026

RADOSŁAW KOBIERSKI

KSIĄŻKI | Ta opowieść zaczyna się niemal jak słynny melodramat Clinta Eastwooda „Co się wydarzyło w Madison County". Richard wyjeżdża z dziećmi, jego żona zostaje sama w domu na kilka dni. I wciąga nas do środka opowieści.

Różnica polega na tym, że nie wydarzy się tu żadna historia miłosna, raczej wielka spowiedź. Nie wiemy do końca, czy jest ona uczciwa – czy chodzi o absolucję, wymazanie win, a może tylko zapomnienie. Anna, główna bohaterka i narratorka, potrzebuje tej spowiedzi, żeby wieść życie jak dawniej, bez strachu i wspomnień. Żeby ustawić się obok, niestygmatyzowana przez doświadczenie winy – zupełnie jak to sugerował tytuł pierwszego włoskiego przekładu, którego dokonał Eusebio Trabucchi, „My i śmierć Stelli".

Im bardziej zagłębiamy się w coraz trudniejszą historię austriackiej pisarki, tym wyraźniejsze się wydaje, że opowiadana jest ona z wnętrza szklanej kuli (podobny zabieg Haushofer zastosowała w wydanej niedawno w języku polskim powieści „Ściana", sfilmowanej przez Juliana Polslera w 2017 r.) – ale jest to w istocie coś w rodzaju piwnicy Fritzla. Cała rodzina jest bowiem zaangażowana w proces usprawiedliwiania, wypierania, przemilczania.

Francuski filozof Jean Nabert uważał, że zło jest niemożliwe do usprawiedliwienia, co nie znaczy, że owa niemożliwość zamyka horyzonty racjonalizacji. Haushofer przedstawia nam w swojej noweli właśnie taki proces – z jednej strony widzimy, że Anna jest świadoma tego, co się wydarzyło, zdaje się przenikać dynamiki i napięcia wytwarzające się między członkami rodziny, z drugiej strony uważa, że są one usprawiedliwieniem, ponieważ zostały narzucone przez wzorce kulturowe. Zabiliśmy Stellę, bo co innego mogliśmy zrobić, żeby przetrwać jako rodzina? Groza i świadomość prawdy, która nie powinna być znana, są zaszufladkowane w porządku codziennego życia. „Tak, kurczowo trzymam się tego porządku, regularnych posiłków, codziennych obowiązków, wizyt i spacerów. Kocham ten porządek, który pozwala mi żyć".

Wielką zaletą tej noweli jest subtelność, z jaką wkracza ona w nasze strefy komfortu. Bardzo podobny zabieg wykorzystał zresztą inny austriacki twórca, Michael Haneke w filmie „Funny Games". Zło jest tutaj atrakcyjne, „pracuje" w białych rękawiczkach. Ową subtelność czy inaczej: zimną jak stal chirurgiczną precyzję w rozdzielaniu tkanek społecznych, kulturowych od nagiej zasady, instynktu życia (niewinności), ale także warstw historii, Haushofer ujawnia również w swoim debiucie, „Piąty rok".

Można powiedzieć że „Piąty rok" jest bazą, przygotowuje nas na to, co wydarzy się w kolejnych tekstach pisarki. Pięcioletnia Marili będzie głosem Stelli, Anny, bezimiennej bohaterki „Ściany" i późniejszej „Mansardy", kobiet skazanych na radykalną izolację, odnajdujących biologiczną, ale i duchową łączność z przyrodą – nie na skutek wycofania i taniego sentymentalizmu, ale z powodu traum po zderzeniu z destrukcyjną i instytucjonalną przemocą. Przy czym Haushofer o przemocy mówi najciszej, jak się da, zaledwie akcentując jej praktyki.

Na razie Marili jest nierozerwalnie złączona z rytmami dnia i nocy, pór roku, systemem pracy na gospodarstwie, nie rozumie ani historii, która zabrała jej najbliższych, ani klasowości, która przenika i buduje społeczeństwo. Dla niej dom dziadków to sieć, w której wszyscy uwijają się dla większego dobra: dzień wyznaczają ramiona babci, dające poczucie bezpieczeństwa, ramiona dziadka, przez którego przepływają opowieści, bliskość opiekunki Rose i parobka Kajetana, a pomiędzy nimi jest miejsce na doświadczanie świata ciałem i zmysłami, w najdrobniejszych szczegółach, bez podziałów i systematyzacji. Im dłużej wczytujemy się w tę idylliczną, miejscami oniryczną opowieść, tym wyraźniej widać szczeliny i pęknięcia, przez które przepływa to, co budzi niepokój.

Te nowele musiały po prostu powstać w Austrii. Tej Austrii, która zrodziła Thomasa Bernharda i Elfriede Jelinek oraz – co może mniej oczywiste w kontekście dramatycznym, ale w pełni w perspektywie feministycznej – Ingeborg Bachmann. ©

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl 631e544192

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ!
PŁATNOŚĆI POWTARZALNE
BLIK

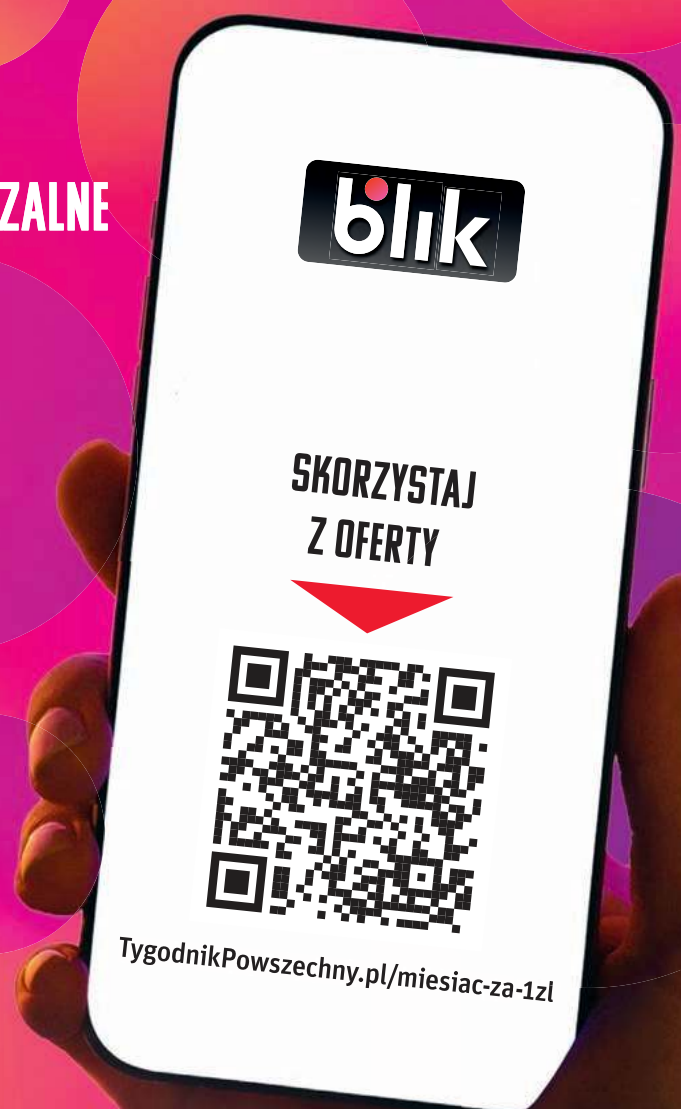

Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Santander Bank Polska, ING Bank Śląski, Bank Millenium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności Rekurencyjne Blik zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 631e544192

Piękno i krew



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Dziś, kiedy obala się dawne pomniki, „Kokuho” przywołuje blask i ciężar tradycji, wpisanej nie tak dawno na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO.

Współczesne kino japońskie zwykle dociera na nasze ekrany ze stemplem któregoś z prestiżowych festiwali, oczywiście zachodnich. W taki sposób poznawaliśmy filmy Ryûsuke Hamaguchiego („Drive My Car”, 2021) czy Hirokazu Kore-edy („Złodziejaszki”, 2018).

Inne kino, bez rozpoznawalnych laurów i recenzenckich laurek, najczęściej funkcjonuje u nas w bardzo wąskim obiegu festiwalowym, by wspomnieć tutaj bezcenny pod tym względem Festiwal Filmów Azjatyckich Pięć Smaków. Dlatego tak bardzo cieszy wejście na duże ekrany tytułu, który w swojej ojczyźnie pobił niedawno rekord kasowy wszech czasów. A świat usłyszał o „Kokuho” trochę więcej dopiero za sprawą nominacji do Oscara, w kategorii charakteryzacja i fryzury.

Nie da się ukryć, że to właśnie walory wizualne są tym, co szczególnie wyróżnia film Sanga-il Lee. Bo trudno o scenerię bardziej spektakularną niż teatr kabuki i w taki świat wprowadza nas już pierwsza scena. Kamera kocha tę doskonałą sztuczność i ściśle skodyfikowane ruchy w połączeniu z gigantycznymi emocjami, jakie aktorzy performują, a ich widzowie przeżywają. Owe bajeczne, zmieniane wprost na scenie kostiumy, soczysta kolorystyka i przerysowane makijaże zyskują w maksymalnych zbliżeniach.

Przypomnijmy, że filmową moc kabuki dostrzegł zakochany w tamtejszej kulturze Andrzej Wajda, przenosząc na ekran w 1994 roku swój tokijski spektakl „Nastazja”, z podwójną rolą Tamasaburō Bandō V. Ten mistrz teatru wyspecjalizował się w rolach żeńskich zwanych *onnagata*, bowiem kabuki, powstałe w Kioto na początku XVII wieku, rychło zakazało kobietom występów z powodów obyczajowych. „Kokuho” już na początku wyjaśnia tę kulturową specyfikę i woli pozostać wierne rodzimej tradycji, aniżeli łączyć ją na przykład z kinem queerowym.

Film Lee pozostaje także mocno umocowany w hierarchiach czy splendorach funkcjonujących do dzisiaj w świecie japońskiej kultury. Na przestrzeni półwiecza opowiada „Kokuho” o chorobliwych ambicjach i o męskiej rywalizacji, jaka staje się udziałem dwóch adeptów teatru: Kikuo, czyli syna jednego z szefów jakuzy, który po śmierci ojca zostaje adoptowany przez mistrza kabuki, oraz Shunsuke, rodzonego syna tegoż mistrza.

Pierwszy z chłopców, choć pochodzi z rodziny zaprawionej w zgoła innych sztukach, szybko przerasta na scenie przybranego brata. Mamy więc archetypiczny konflikt, bo Kikuo jako początkujący *onnagata* nie tylko dużo bardziej się przykłada, lecz i zyskuje przychylniejsze spojrzenie nowego ojca. A ten namaści go wkrótce na swego następcę.

Toteż drogi młodych mężczyzn, którzy wcześniej razem dorastali, przyjaźnili się i występowali, muszą się rozejść, ale przetną się jeszcze nie raz we wspólnej pasji. Często będzie ona silniejsza niż życie i cała reszta. Chodzi wszak o zostanie tytułowym *kokuhō*, Żywym Skarbem Narodowym – to miano otrzymują w Japonii wyłącznie absolutni mistrzowie w artystycznym fachu. Posiadał je na przykład wspomniany aktor Wajdy, a w filmie Lee dzierży ów tytuł sędziwy pan Mangiku, legenda teatru, która stała się inspiracją dla młodych bohaterów.

„Kokuho” jest więc filmem o bezwzględnym dążeniu do mistrzostwa oraz „złym” i „dobrym” urodzeniu, które często determinują zachowania Kikuo i Shunsuke. Pierwszy, z wielkim puchaczem wytatuowanym na plecach, wyrwał się co prawda z przemocowego otoczenia, ale że „genu dłutem nie wydłubiesz”, poddaje swoje aktorskie ciało morderczej tresurze. No i traumatyczna przeszłość Kikuo daje o sobie znać zarówno w życiu, jak i na scenie, podczas gdy wychowanemu w teatrze Shunsuke ta „dobra” krew zapewnia przywileje i względną osłonę psychiczną.

Na szczęście japoński reżyser i jego scenarzystka Satoko Okudera, przenosząc na ekran powieść Shuichiego Yoshidy, akcentują też liczne nieoczywistości i komplikacje pojawiające się w ramach tych fundamentalnych różnic. Nie zmienia to faktu, że ów rozbuchany plastycznie film o zniewalającej sile sztuki jest portretem brutalnym – i to bez dosłownych przedstawień przemocy.

Również epickość „Kokuho” odsłania czasami dwie różne strony tego samego medalu. Bo Lee składa hołd teatralnej tradycji i zarazem wplątuje swego widza w narracyjne meandry. Role Kikuo i Shunsuke odgrywa po dwóch aktorów (pierwszego gra Ryo Yoshizawa i znany z „Monstera” młodziutki Sōya Kurokawa, a drugiego dorosły Ryusei Yokohama i młodszy Keitatsu Koshiyama), co

eprasa.pl 631e544192



MATERIAŁY PRASOWE

KOKUHO
– reż. Sang-il Lee. Prod. Japonia 2025. Dystryb. Kinoteka. W wybranych kinach.

Sang-il Lee jest japońskim reżyserem o korzeniach koreańskich. Kręci filmy od 2002 roku. Za komedię „Tancerki hula" (2006) otrzymał w swoim kraju wiele nagród; uznanie przyniosły mu także „Bez przebaczenia" (2013) i „Gniew" (2016). Najnowszy jego film, „Kokuho", był w tym roku japońskim kandydatem do Oscara. Reżyser otrzymał też nagrodę za całokształt im. Akiry Kurosawy.

Powyżej: kadr z filmu „Kokuho"

normalne w przypadku opowieści tak rozłożonych w czasie. Łatwo jednak się pogubić – kto w danym momencie jest kim i dlaczego tak postępuje, nie mówiąc o tytularnych czy imiennych dystynkcjach.

Jeśli jednak poprowadzi nas niesłabnąca ciekawość wobec odmiennej kultury, prawie trzygodzinny seans może być frapującym doświadczeniem. Zwłaszcza przedstawienia kabuki, z ich poetyckimi nazwami i niezrozumiałymi dla laika środkami wyrazu, odtwarzane tu pod eksperckim nadzorem. A także same przygotowania do spektakli, gdy zmysłowo oświetlone męskie ciało przyjmuje na siebie kolejne warstwy charakteryzacji i kilkudziesięciokilogramowych przebrań, zanim przeistoczy się w „żywy obraz".

W scenach rozgrywającym się poza teatrem w Osace próbuje Lee trochę zrównoważyć japońską specyfikę hollywoodzkim sposobem opowiadania, telenowelowymi wątkami albo bardziej generyczną muzyką. Czasami zupełnie niepotrzebnie. Film miał być z założenia „skarbem narodowym", esencją japońskości i, patrząc na wyniki tamtejszych kin, dokonał tego w podwójnym znaczeniu.

Bo mimo uproszczeń nie serwuje zachodniemu widzowi egzotycznej pocztówki czy czegoś w rodzaju turystycznego vouchera na spektakl kabuki. Dziś, kiedy obala się dawne pomniki, „Kokuho" przywołuje blask, jak i ciężar tradycji, wpisanej nie tak dawno na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Trudno bowiem nie dostrzec jej anachroniczności, choćby w temacie *onnagata*.

Niezależnie od tego, czy finalnie reżyser bardziej tę tradycję celebruje, czy krytykuje, ta wystawna epopeja – której herosi schodzą ze sceny okaleczeni psychicznie i fizycznie lub zostają na niej aż do swojego końca – pozostawia widza z obrazami mocno skażonymi. Całe to piękno i krew zostawiają też ślady na samym filmie, w którym nie tylko ze względu na metraż jest chwilami coś nieludzkiego. Chodzi o perfekcję, która przynosi na ekranie imponujące efekty, ale przypomina „zimną rywalizację", w której stawką są nie tyle nasze emocje, co bezwarunkowy zachwyt. ©

Lektor:
Pamięć o Tybecie



▪ *Dalajlama*
GŁOS UCIŚNIONYCH. SIEDEM DEKAD WALKI Z CHINAMI O MÓJ KRAJ I NARÓD,
tłum. Adam Kozieł, PIW, Warszawa 2026

„Ciemną, mroźną nocą 17 marca 1959 roku, przebrany w świeckie szaty, prześliznąłem się przez główną bramę pałacu Norbulingka, rozpoczynając wędrówkę, która miała się zmienić w ponadsześćdziesięcioletnie wygnanie". Tak, minęło właśnie 67 lat od wybuchu powstania w Tybecie i ucieczki Dalajlamy do Indii. Kilka dni po tej ucieczce armia chińska zbombardowała stolicę Tybetu, Lhasę.

Teraz – książka ukazała się w oryginale w ubiegłym roku – blisko 90-letni duchowy i polityczny przywódca Tybetańczyków podsumowuje swoje relacje z władzami komunistycznych Chin. Najpierw, od chińskiej inwazji na Tybet w 1950 roku do swojego wyjazdu z Lhasy, bezpośrednie – był też dłuższy pobyt w Pekinie i rozmowy z chińskimi przywódcami, w tym z Mao Zedongiem – potem już tylko pośrednie, choć od 1979 roku w miarę regularne. Do czasu.

Swoją koncepcję nazywa „drogą środka", opartą na „poszukiwaniu solidnych ram, które pozwolą Tybetańczykom żyć godnie, zachowując tożsamość narodową, ojczysty język, kulturę i buddyjską wiarę" i uwzględniającą perspektywę i interesy obu stron. Uderza pojednawczy ton tych wywodów, zwłaszcza gdy się je zestawi z cytowanymi czasem agresywnymi i pełnymi nienawiści wypowiedziami polityków chińskich. Dalajlama jest świadom archaiczności dawnej struktury społecznej i ustrojowej swojego kraju, do której nie ma już powrotu. Podkreśla też błędy popełnione w przeszłości, zwłaszcza w latach 30. minionego wieku, gdy istniała szansa uzyskania pełnej niepodległości.

To nie jest książka martyrologiczna, choć przecież skala chińskich zbrodni w Tybecie jest ogromna. Bezpośrednio po powstaniu „nikt nie wiedział, ile osób zginęło w Lhasie. Mówiono mi o tysiącach ciał leżących przed pałacem", a przez dwa dni trwała metodyczna rzeź. Katalog zbrodni obejmuje też uprowadzanie dzieci, burzenie klasztorów, ograniczenie używania języka tybetańskiego, zwłaszcza w szkołach, aresztowania i tortury, nie tylko po kolejnych zrywach niepodległościowych. Nie wspominając już o niekorzystnym podziale administracyjnym – i o dewastowaniu środowiska naturalnego. Ludobójstwo, etnocyd – pojęcia, po które tak łatwo się dziś u nas sięga – mają tu w pełni zastosowanie. A o ilu rzeczach nie wiemy?

Dobrze, że ukazała się ta książka. O akcji „Flagi dla Tybetu" niemal zapomniano, wierny tej sprawie pozostaje ze znanych mi osób poeta Radek Wiśniewski. Jakby Polacy uważali, że są narody lepsze i gorsze... ©℗

eprasa.pl 631e544192

MISKA PEŁNA HARMONII

Sałatka jarzynowa budzi narodowe spory, tymczasem jej istotą jest łączenie. Nie tylko wzorców kulinarnych i składników.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Symbol Wielkanocy na stole? Jajka, rzecz jasna. Ale tylko jednym punktem procentowym ustępuje im sałatka jarzynowa. Według badań Opinii24 dla TooGoodToGo, za najpopularniejsze danie świąteczne uznaje ją 56 proc. Polaków. To więcej niż białą kiełbasę (55 proc.) czy żurek (54 proc.). Aż dziw, że obrzęd błogosławieństwa pokarmów nie przewiduje dla niej – jak dla jajek i wędlin – odrębnej formuły.

Sałatka jarzynowa, czyli właściwie co? Ten teoretycznie wspólny mianownik świątecznych stołów, gdy przychodzi do ustalania składu, rodzi poważne spory, z lubością podkręcane przez clickbaitowe nagłówki („Podzieliła Polaków bardziej niż polityka!"). Pozornie oczywista potrawa okazuje się też pełna niejasności. Skąd się na naszych stołach w ogóle wzięła? I jakie znaczenia za nią stoją?



ALEKSANDER BARON

Jabłka, ziemniaki i galaretka

– Sałatek jarzynowych jest tyle, co domów – mówią Aleksander Baron i Agnieszka Kraszewska, szefowie kuchni i gospodarze poświęconego dziedzictwu kulinarnemu programu „Rosół polski" w TVP. W ich restauracji Kapłony i Szczeżuje na krakowskim Kazimierzu dyskutujemy o tym, co musi, a co pod żadnym pozorem nie może się w niej znaleźć.

– Znam rodziny, gdzie robi się dwie sałatki, bo z jednej strony jabłko tak, z drugiej seler nie – śmieje się Baron.

– Jabłko koniecznie – dodaje Kraszewska. – Ma cudowną, twardą strukturę, kontrastuje z selerem.

– I z ziemniakiem, który musi być żółty i aromatyczny – rozaniela się Baron.

– A ja robię bez ziemniaka. I bez groszku – oponuje Kraszewska i już mamy zgrzyt. Aż obawiam się zapytać o majonez: Kielecki czy Winiary?

eprasa.pl 631e544192

– Własnej roboty – mówią jednogłośnie.

Czy to tradycyjna sałatka? Nie figuruje ona na Liście Produktów Tradycyjnych i Regionalnych Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Owszem, znajdziemy tam jej śląską wersję turbo: szałot, z wędzonym boczkiem i... śledziem (oraz ziemniakiem i, o zgrozo, cebulą).

Szałot występuje też w wersji z kiełbasą. Jest na liście również śledziowa sałatka kaszubska – bez boczku, za to z jabłkiem. Zaś Michał Świetliński, który na Facebooku prowadzi mapujący polskie regionalizmy profil Świetlan Maps, przypomniał, że w okolicach Suwałk sałatka jarzynowa nosi nieszczególnie świąteczne miano: kaczy żer.

W kultowej peerelowskiej „Kuchni polskiej" (wydanie z 1974 r.) skład „sałatki z jarzyn z majonezem" przewiduje ziemniaki, marchew, seler, pietruszkę, ogórka kiszonego, groszek zielony, jabłka, jaja na twardo, ale też fasolkę perłówkę (!) i grzybki marynowane (!!!). A gdy jeszcze cofniemy się w czasie, trop się gubi: Lucyna Ćwierczakiewiczowa w „365 obiadach" z 2. połowy XIX w. podaje wprawdzie przepis na „sałatę majonezową", ale to ziemniaki i seler pokrojone w paski, z fasolką, jabłkiem, korniszonami i marynowanymi grzybami, a przez „majonez" rozumie się tu winegret z żelatyną: bo po zmieszaniu należy całość „wlać w formę do kremów" i dać zastygnąć w galaretkę.

PRL zdaje się więc lepszym tropem. I tu niezręczny fakt: większość świata sałatkę jarzynową nazywa *Salad à la Russe* lub *Russian salad*. Oraz *Olivier salad*, bo w samej Rosji nosi ona miano *oliwje*. Rozplączmy to.

Mit Ermitażu

Sałatka *oliwje* w kwadratowych miseczkach była nieodłącznym elementem bankietu resortowego w ZSRR – notuje Irina Głuszczenko w „Sowietach od kuchni". Koniecznie z majonezem „prowansalskim" (200-gramowy słoik na miskę), na bogato – z mięsem kurczaka. Jej wynalezienie w zasadzie jednogłośnie przypisuje się niejakiemu Lucienowi Olivierowi. Prof. Darra Goldstein w „Królestwie żyta. Krótkiej historii rosyjskiej żywności" nazywa ją „zbękarconą wersją eleganckiej sałatki Olivier, którą modnym moskwiczanom zaserwowano po raz pierwszy w 1860 r.".

Istotnie, imć Olivier, szef kuchni belgijsko-francuskiego pochodzenia, założył wówczas w centrum stolicy restaurację Ermitaż. Jak to opisał kronikarz przedrewolucyjnej Moskwy Władimir Aleksjejewicz Gilarowski, bez sałatki Oliviera „obiad nie byłby obiadem", a jej sekretu kucharz miał nigdy nie zdradzić. Według licznych źródeł oryginalna sałatka Olivier zawierała nie majonez w dzisiejszym sensie, lecz sekretny sos, a także m.in. ozory cielęce, kapary, mięso homara lub raków, anchois...

Według Gilarowskiego, kuchnia Oliviera uchodziła za szczególnie szykowną wśród właścicieli ziemskich, którzy po reformie uwłaszczeniowej w 1861 r. żyli z chłopskich opłat wykupowych i nie wiedzieli, co zrobić z pieniędzmi, a zakosztowali już podróży po świecie.

Bo Olivier prowadził restaurację nie rosyjską, lecz francuską. Jak zaznacza Rachel Laudan w książce „Kuchnia i imperium. Gotowanie w historii świata", były to czasy, gdy od Meksyku po Japonię jeść po francusku oznaczało być cywilizowanym i przynależeć do elit. Francuskie restauracje pojawiły się w Londynie, Wiedniu, Nowym Jorku, Kalkucie, Sajgonie oraz w Sankt Petersburgu i Moskwie, gdzie Olivier serwował szlachcie burgundy, jesiotra w szampanie, comber jagnięcy oraz – właśnie – sałatki.

W tym sensie sałatka jarzynowa wywodziłaby się z kultury nie rosyjskiej, lecz francuskiej. Zresztą w Chorwacji, Słowenii i na Węgrzech tego rodzaju sałatka nazywana jest „francuską" właśnie. Wygląda na to, że wiek później partyjne elity ZSRR na tej samej zasadzie snobowały się na legendarny Ermitaż, a towarzysze z demoludów – na nich. Choć w misce mieszano już skromne, dostępne wówczas erzace. ↦



Wersja sałatki jarzynowej, którą Agnieszka Kraszewska i Aleksander Baron wymyślili specjalnie dla Czytelników „Tygodnika". Przepis na kolejnych stronach.

eprasa.pl 631e544192

– Zaszły naturalne procesy: obok standaryzacji uproszczenie, demokratyzacja i umasowienie – tłumaczy prof. Jarosław Dumanowski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, historyk sztuki kulinarnej i pionier polskiej gastronomii historycznej (który sałatkę lubi z ziemniakami, dużą ilością groszku, chrupiącym jabłkiem i górą majonezu). – Z tych samych przyczyn zapewne nie rozpoznalibyśmy krupniku, kapuśniaku czy nawet rosołu w ich elitarnych wersjach jeszcze z połowy XIX w. Wydaje się nam, że standaryzacja potraw i ich nazw to coś stałego, a to przecież dość późna tendencja. Szczególnie silna w PRL, a wcześniej w ZSRR, gdy mieszankę warzyw z mięsem czy wędlinami ktoś skojarzył z Olivierem, postacią już mityczną.

Otóż pochodzenie od Oliviera wcale nie musi prowadzić do źródeł sałatki jarzynowej.

Sałatka, czyli zmienność

– W pytaniu o pochodzenie sałatki jarzynowej tkwi założenie, że potrawy mają swoją genealogię lub są wynikiem jakiejś obiektywnej ewolucji. Ale to przecież tylko porównanie i metafora – tłumaczy Dumanowski. – Wielość wzorców, rodzajów i wersji to podstawowa cecha dawnej kuchni, zwłaszcza przed epoką industrializacji i mass mediów. Takich sałatek można by wymienić więcej, i zwykle tak samo mało przypominają naszą sałatkę jarzynową, jak Olivier czy sałatka macédoine – zapewnia, za przykład podając sałatki Marie-Antoine'a Carême'a czy polskich autorów z XIX w. opisujących „majonezy" i „sałaty" z mięs i warzyw. To by też tłumaczyło wersję Ćwierczakiewiczowej.

Prof. Dumanowski już prędzej byłby skłonny wywodzić naszą sałatkę jarzynową właśnie od wspomnianej sałatki macédoine, znanej od połowy XVIII w. mieszanki drobno pokrojonych warzyw i owoców w sosie winegret. – Macédoine częściej figurowało w polskich menu pałacowych z XIX w. – zaznacza. – Ale jej istotą, jak wielu innych dań, była zmienność składników. A więc to raczej typ potrawy niż jeden wzorzec.

Jeśli dodamy, że Lucien Olivier też mógł się nią inspirować, sięgając jednak po lokalne składniki, jak kiszonki i warzywa korzeniowe, to koło się zamyka. Ale cała rzecz w tym, że sałatka jarzynowa niekoniecznie musi od czegokolwiek „pochodzić". – Albo, z drugiej strony, pochodzi od tylu wzorców, skojarzeń i połączeń, że pytanie o jej pochodzenie traci sens – konkluduje historyk.

– Wiele dań, które nam się w ogóle z sałatką jarzynową nie kojarzą, np. ukraińska szuba, gdzie mamy buraki, marchew i sos majonezowy, jest przecież odmianą tego rodzaju sałatek – podchwytuje Agnieszka Kraszewska.



EDYTA DUFAJ / DLA FESTIWALU KULTURY ŻYDOWSKIEJ W KRAKOWIE

Sałatka jarzynowa Agnieszki Kraszewskiej i Aleksandra Barona:

SKŁADNIKI
1 ozór cielęcy
2 marchewki
1/2 selera
1 pietruszka
3 jaja
2 ogórki kiszone
1/2 jabłka
2 ziemniaki
kilka liści laurowych
łyżeczka ziela angielskiego
łyżeczka czarnego pieprzu
pół łyżeczki goździków
gwiazdka anyżu
łyżeczka soli
- skórka otartej cytryny

pęczek szczypiorku
pół pęczka koperku
2 łyżki kaparów
1-2 łyżki anchois
- chrzan – korzeń do tarcia
- pieprz do smaku

1. Ozór zalej zimną wodą w rondlu, dodaj sól i przyprawy. Gotuj przez trzy godziny pod przykryciem, dolewając wody, gdy tylko trzeba.

2. Po trzech godzinach gotowania dodaj warzywa i gotuj do miękkości.

3. Po wyjęciu warzywa odstaw do ostygnięcia, a ozór przelej zimną wodą i natychmiast obierz ze skóry. Dzięki temu skóra będzie schodziła bardzo łatwo. Jeśli zostawisz ozór bez hartowania i nie obierzesz od razu, będzie trudno pozbyć się skóry.

4. Oddzielnie ugotuj jaja i ziemniaki – ostudź.

5. Pokrój wszystkie ugotowane składniki, jabłko, ogórki kiszone w kostkę.

6. Posiekaj zioła, kapary, anchois.

7. Otrzyj skórkę z cytryny na drobnej tarce wprost do miski, w której będziesz mieszać składniki – dzięki temu trafią tam olejki eteryczne.

8. Mieszaj wszystko w misce, dodając majonez, zioła, kapary, anchois i pieprz. Sól – tylko w razie potrzeby.

9. Podawaj z chrzanem startym tuż przed konsumpcją.

Majonez

SKŁADNIKI
1 ugotowane żółtko
1 surowe żółtko
1 płaska łyżeczka musztardy Dijon
1 łyżeczka soku z cytryny lub octu jabłkowego
300 ml oleju
1 łyżeczka miodu
2 łyżki kwaśnej, tłustej śmietany
- sól, pieprz do smaku

1. W misce umieść surowe i ugotowane żółtko. Dodaj łyżeczkę musztardy, soku z cytryny lub octu jabłkowego.

2. Używając miksera lub rózgi, wymieszaj żółtka i pozostałe składniki. Zacznij dolewać olej – na początku bardzo powoli, kropla po kropli. Gdy składniki się połączą, możesz dolewać olej nieco odważniej. Mieszaj, aż do uzyskania gładkiego, gęstego majonezu.

3. Dopraw do smaku solą, pieprzem i miodem.

eprasa.pl 631e544192

Dlaczego „sałatka”?

Sałatka jarzynowa może zawierać wiele składników, ale akurat nie sałatę. Od kiedy i dlaczego tak nazywamy podobne dania?

PROF. JAROSŁAW DUMANOWSKI:

Sałatki w naszej kuchni „pojawiają się” wraz z rozpowszechnieniem się dokładnych opisów naszego jedzenia, czyli w XVI w., gdy rozwój literatury poradnikowej, zielarskiej, dietetycznej i kulinarnej dostarcza nam źródeł. W zielniku z 1556 r. czytamy o sałacie „uczynionej z pietruszki, z włoskiego kopru, z wodną rzeżuchą, z boragiem, z lzeżuchą, z laktuką”. Syreniusz w 1613 r. (tekst powstał znacznie wcześniej) pisze o „sałacie” z kucmerki (to warzywo korzeniowe): „Może z Kucmorki sałatę uczynić”.

Takie sałatki mogły być z buraków, pędów chmielu lub lubczyku, czy właściwie wszystkich warzyw. Na gruncie kulinarnym widać tu przeniesienie nazwy – od sałaty w sensie rośliny do mieszanki różnych warzyw, najpierw liściastych, dodawanych do sałaty, a potem już właściwie jakichkolwiek.



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Tak jak w przypadku charakterystycznego dla XVI w. „szpinaku” ze szczawiu czy liści poziomek albo w XVII w. „barszczu” z kwasu mącznego, czy w XVIII w. z kiszonych buraków. To się tak w naszym języku zakorzeniło, że nie pamiętamy, że barszcz to po prostu roślina z rodziny selerowatych, którą niegdyś kiszono na zupę.

A Aleksander Baron dodaje: – Kuchnia jest żywym organizmem, który chłonie wiele wpływów i wiele się w nim dzieje równocześnie. Wspólnym mianownikiem kuchni słowiańskich będą warzywa korzeniowe i kiszonki. Ale i tu nie brak zaskoczeń – zauważa szef kuchni i opowiada, że dla uczestniczek warsztatów, które prowadził w Archangielsku, nowością był z kolei dodatek selera. – W przerwie poszedłem na lunch do restauracji, w której cała karta składała się z różnych wersji takiej sałatki – wspomina. – Z kiełbasą, szynką, serem zwykłym i wędzonym, z ozorami.

To ważne: jeśli sałatka to model dania, a nie jedyny słuszny wzorzec o potwierdzonej proweniencji, to znaczy, że wolno ją sobie komponować wedle własnych gustów. Przynajmniej jeden z naszych narodowych sporów traci rację bytu.

Balans i harmonia

To właśnie kompozycja wydaje się sprawą zasadniczą. Grzegorz Łapanowski, kucharz, gospodarz i juror programu Top Chef oraz autor książki „Wzór na smak”, zwraca uwagę, że sałatka jarzynowa jest po prostu dobrze wymyślona.

– Tłusty majonez równoważony kwasowością i chrupkością z ogórka, umami z jajka, słodycz z marchewki, sól i pikantność pieprzu – wylicza. – Do tego konsystencja: lekko wilgotna, kleista, miękka, ale też chrupie w niej jabłko. Jeśli szukamy wzoru na smak, to jest nim właśnie balans i harmonia. Żaden składnik nie przeważa, wszystkie tworzą pełnię.

Kraszewska i Baron również zwracają uwagę na komponowanie dań metodą pięciu smaków. – To cecha nie tylko kuchni dalekowschodnich, ale też europejskich – mówią. – Tym się warto kierować, przygotowując własne wersje tej sałatki.

Ten duet w rozwijaniu tradycyjnych dań się specjalizuje. Dla czytelników „Tygodnika” skomponował więc własną wersję sałatki jarzynowej, nawiązującą do Oliviera: z ozorkiem cielęcym i sardelami (przepis w ramce obok). Tuż przed podaniem Baron ściera jeszcze na nią świeży korzeń chrzanu. Pierwsze wrażenia: moc i lekkość. Inaczej, a zarazem tak blisko. Genialnie oczywisty dodatek kopru wnosi świeżość, wyraźny jest mięsny smak ozorka, który, *nomen omen*, rozpływa się na języku. Dalej kolejni soliści: a to seler, a to jabłko.

Mistrzowie kuchni mają też kilka porad.

Łapanowski: – Grubość krojenia ma znaczenie. Powinno być drobno, ale nie za drobno. Idealnie byłoby w kostkę 4-5 mm. Jeśli pokroisz całkiem w *brunoise*, przy mieszaniu zrobi się papka.

Kraszewska: – Majonez robię na jednym żółtku surowym, a jednym ugotowanym na twardo, do tego musztarda Dijon i dobry olej. Na koniec trochę kwaśnej śmietany, żeby był lżejszy.

Baron: – Warto jeść tak, jak się lubi, ale pozostawać otwartym na nowe. Próbować, szukać, eksperymentować, bo zawsze można wrócić do tego, co się już wie, że się lubi. Sałatka jarzynowa to idealna okazja do eksperymentów z kanonem.

Ważniejsze niż konsumpcja

Słowem kluczemw temacie sałatki jarzynowej okazuje się łączenie – czy to wzorców i wpływów, czy smaków i składników. Ale są jeszcze inne jego wymiary.

– Najważniejsze nie jest jej jedzenie, ale przygotowanie – mówi Grzegorz Łapanowski. – Jej społeczny wymiar. To, że robi ją mama, ciocia, babcia albo ty, i to na wyjątkowe okazje.

– Sałatka kojarzy mi się z czasem spędzonym z rodziną – potwierdza Agnieszka Kraszewska. A Aleksander Baron dodaje: – Gdy pomagam mamie ją robić, z szefa kuchni staję się podkuchennym. To jedna z nielicznych sytuacji, gdy zamiast wielkiego noża używam kozika, i gdy w kuchni siedzę. Ten wspólny moment jest dużo ważniejszy niż sama konsumpcja.

Kolejny symboliczny wymiar niesie kuchenna chemia, z punktu widzenia której majonez – medium łączące składniki – jest podręcznikowym przykładem emulsji, czyli mieszaniny dwóch cieczy niemieszających się ze sobą ze względu na budowę cząsteczkową. Cząsteczki wody zawartej w soku z cytryny czy occie są spolaryzowane jak polskie życie publiczne. Cząsteczki oleju – nie są. Żeby je połączyć, potrzebny jest emulgator, w tym przypadku zawarta w żółtku lecytyna, ale właściwości te ma również śluz otaczający nasiona gorczycy z musztardy. Jak tłumaczy Harold McGee w książce „On Food and Cooking”, cząsteczki emulgatorów u jednego końca łączą się z wodą, a u drugiego – z tłuszczami, nie pozwalając tym ostatnim tworzyć większych kropli, co umożliwia rozproszenie ich w wodzie.

Majonez łączy sprzeczności. Czego chcieć więcej przy świątecznym stole.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

eprasa.pl 631e544192

PAWEŁ

Bravo:
Leki i lody



Ozora nie sposób pogonić, ze trzy godziny musimy sobie czymś zapełnić, zanim się ugotuje. Nie wiem, jak wy, ale ja po lekturze traktatu o sałatce jarzynowej, jaki z sobie tylko właściwą lekkostrawną erudycją ogłosił w tym numerze Michał Kuźmiński, natychmiast rzuciłem się robić podany tam przepis. Niepokoi mnie tylko sugerowana przez panią Kraszewską i pana Barona ilość anchois.

Zwykłem ufać ludziom, którzy dowiedli czynem słuszności swoich pomysłów gastronomicznych, a tych dwoje wykazywało się w kolejnych miejscach, w jakich spotykałem ich twory. Choć nie zawsze obywało się bez płaskiej łyżeczki soli sceptycznej. W głębokich archiwach naszej rubryczki spoczywa zakurzony pamflet na jedzenie trutni, które pan Baron ongiś proponował podczas jakiegoś wydarzenia. Ale to sprawy zupełnie zwietrzałe, prezydentem USA był wówczas Obama, piękne czasy i nie psujmy wspomnień.

Co do anchois, to ja bym je jadł nawet na deser, nigdy dla mnie za wiele, ale wiem z doświadczenia, że podniebienie nadwiślańskie przeważnie jest na ich specyficzną słoność uczulone. Jeśli są dobrej jakości, to dwie ich łyżki, obawiam się, mogą zagłuszyć wielogłosową harmonię tuzina składników sałatki oraz wachlarza podanych przypraw (anyż gwiaździsty, genialne!). Zacznę od jednej, zobaczymy.

Immanentna dobroć takich potraw, oprócz słusznie wybitego w tekście Michała aspektu międzyludzkiego – jeśli za noże złapie się rodzina, to robi się wesoło, niegłupio, zabawnie – wynika z ich aspektu addytywnego: dodajemy po kolei składniki, modulując ich ilość wedle coraz bardziej złożonego smaku, na wyczucie, i prawie aż do końca możemy dokonywać korekt. Tego ciut więcej, tamtego już dość. Po troszeczku. Czyż to nie jest piękny tytuł na nasze polskie *Larousse Gastronomique*?

Ozór więc nastawiony, godziny mijają. To są przebiegi zupełnie analogowe, z czasów, gdy rozmowę międzymiastową się zamawiało u pani i rozkładało cierpliwie gazetę. A tam wiadomości, owszem, z wczoraj, ale o długiej dacie ważności.

Oto w paru krajach wygasł właśnie patent na semaglutyd, substancję czynną doskonale wam znanych leków Ozempic i Wegovy. Znanych nawet jeśli nie macie problemów z cukrzycą i otyłością, bo tak znacznie odmieniły sposób radzenia sobie z nimi, że weszły już do słownika codzienności niemal jak aspiryna. Do której prawa w swoim czasie też były tak cenne, iż weszły w skład reparacji wojennych płaconych mocarstwom Ententy przez Niemcy.



PETER MACDIARMID / GETTY IMAGES

Teraz też rozchodzi się o mocarstwa, tylko z innego rozdziału historii. Indie, Chiny, Turcja, Brazylia... nikt z naszej parafii, a jednak trzeba o tym wiedzieć. W krajach, gdzie patent wygasł, mieszka 40 proc. ludzkości i – jak szacuje Światowa Organizacja Zdrowia – prawie połowa osób dotkniętych chorobliwą otyłością. To oni tam nie umierają codziennie z głodu? Dałoby się może w ramach wiosennych porządków umyć dobrze okna na świat. Głód jest, ale i znaczny awans społeczny, mierzony w skali setek milionów ludzi.

Jednakowoż ceny narzucane przez duńskiego producenta, wysokie nawet dla Europejczyka, były w tamtych krajach zaporowe. Producenci tzw. generyków od lat się szykowali na tę chwilę, zaraz apteki indyjskie czy chińskie będą ich pełne. My w Europie poczekamy jeszcze co najmniej pięć lat. Przepisy unijne chronią dodatkowo producentów, płacimy frycowe za to, że jesteśmy jako całość bogaci. Jest w tym jakaś racja, badania i wdrożenia należy solidnie wynagradzać i któż ma to zrobić, jak nie my, ale balans interesów firm i społeczeństwa wydaje się od dawna zaburzony. Zawsze w jedną stronę.

Publikowane z okazji wygaśnięcia patentów analizy kosztów produkcji i dystrybucji semaglutydu z dodatkiem 30-procentowego zysku, pokazywały, że przy dzisiejszych cenach przebicie jest kilkunastokrotne. To jest kwestia etyczna, ale i estetyczna, gdzie się kończy zarobek, a zaczyna rozbój – i nie będę udawał, że wiem, jak to rozwikłać. Poza tym dość już pisania o leku, od którego ludziom się odechciewa jeść! Toż to autosabotaż.

Ale że był dopiero co europejski dzień lodów rzemieślniczych, to muszę wam coś przypomnieć. Międzynarodowa or-

eprasa.pl 631e544192



ganizacja stojąca za Gelato Day (jak się coś nazwie po włosku, to lepiej smakuje, a słówko z angielskiego doda powagi) nominuje też smak roku. Wiedzieliście, że w dwudziestym piątym, czyli roku jubileuszowym, był to smak „Alleluja", opracowany pod patronatem Dykasterii ds. Ewangelizacji? Orzechowo-czekoladowy. Jak to się ma do uwielbienia Boga, to może kardynał Tagle wyjaśni, jeśli nasz dział Wiara ma do niego telefon, będę donosił.

W tym roku jest prościej – smak „Melody" to lody śmietankowe z pistacjowymi smugami, posypane pistacjami i polane sosem pomarańczowym – czy raczej, pardon, „salsą", jak pisze polska sieć lodziarni Good Lood, która bierze udział w tej zabawie (oprócz paru lokali z Warszawy, Gdańska, ale i Raciborza). Mam do tej sieci mieszane uczucia, bywa tam różniście, ale jestem im wdzięczny, że są otwarci całą zimę, bo np. moi ulubieni Hodurkowie zostawiają mnie na *nomen omen* lodzie aż do połowy marca. A ja lubię lody zimą, nie mam zdrowia, żeby w upale czekać godzinę w kolejce, dlatego wiele legendarnych lodziarni znam tylko z nazwy.

Tymczasem jeszcze wczoraj, w barze, gdzie pracuję, klienci pytali o grzańca. Ale to minie, zobaczycie, każdy ozór w końcu musi zmiękнąć.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Zimowa panzanella

Kiedy kilka stron wcześniej sławy gastronomii podają swój przepis, trochę głupio wyskakiwać ze swoim. Zwłaszcza że nie masz na świecie sałatki nad polską jarzynową, choćby najprostszą, bez ozora i anchois (ale groszek musi być!). Żadne oliwiery i insalata russa – Włosi są po prostu w tym śmieszni. Dobrze im wychodzi sałatka owocowa (dlaczego zwie się to macedonia, jaki to ma związek z krajem?), ale to banalne, jeśli się ma w sezonie ich owoce. Od biedy w dziedzinie dań robionych tą techniką może konkurować panzanella – toskańska sałatka nieraz przez nas chwalona za swoją kwasowość. Ale wersja kanoniczna wymaga prawdziwych pomidorów. Nawet jednak w Toskanii nie ma pomidorów w zimie, więc powymyślali różne zimowe wersje, z których ta tutaj ma swój nie tylko kolorystyczny wdzięk. Pamiętajcie o zakwaszonym chlebie, to jest klucz do tej potrawy. W lecie daje orzeźwienie, a w zimie czy na przednówku pobudza do optymizmu.

SKŁADNIKI:
pół dyni piżmowej (może też być hokkaido, jeśli jeszcze znajdziecie) pół główki czerwonej kapusty
4 grube kromki pszennego chleba 40 ml octu winnego
1 mała czerwona cebula 1 mała bulwa fenkuła
▪ garść czarnych oliwek ▪ oliwa ▪ sól

Kroimy miąższ dyni w drobną kostkę, obsmażamy na średnim ogniu na oliwie, aż się zrumieni i zmięknie (ewentualnie podlewając wodą i przykrywając na parę minut, gdyby była bardzo sucha, ale nie powinna się nam rozpaść). Siekamy cienko kapustę, podsmażamy na patelni, aż lekko zmięknie. Chleb wkładamy na kilka minut do szerokiego płaskiego naczynia, do którego daliśmy ocet z taką ilością wody, żeby się kromki mocno zwilżyły (ale nie „utopiły"). Kruszymy go palcami do miski, dodajemy dynię, kapustę, cieniutko posiekaną cebulę i fenkuł, z którego wycięliśmy starannie twardy głąb. Wszystko solimy. Na koniec mogą pójść oliwki, no i koniecznie oliwa. Odstawiamy na kilka godzin do maceracji. ©℗

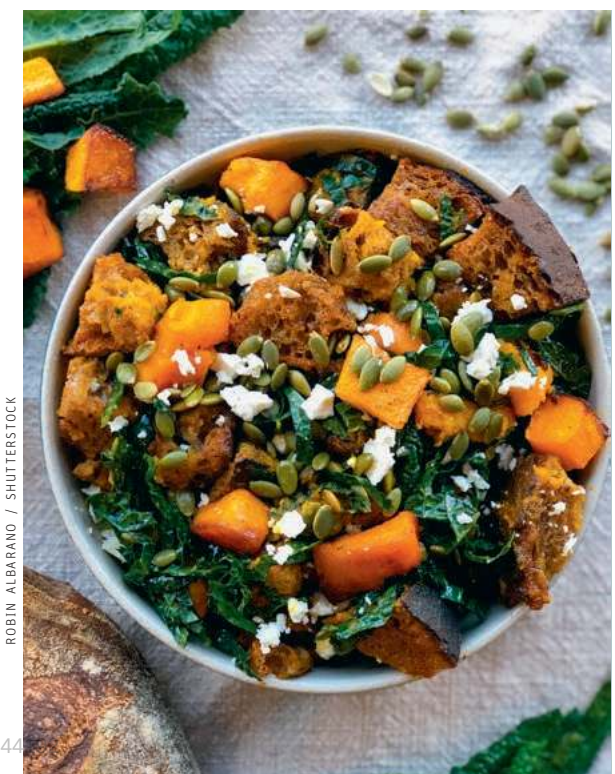

ROBIN ALBARANO / SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 631e544

ZMYSŁY

NA POCZĄTKU BYŁO JAJO

Czy jest coś doskonalszego
i zarazem bardziej pierwotnego?
Piękne i fascynujące,
bywa przedmiotem pożądania.
Nie tylko w naturze,
nie tylko na Wielkanoc.

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

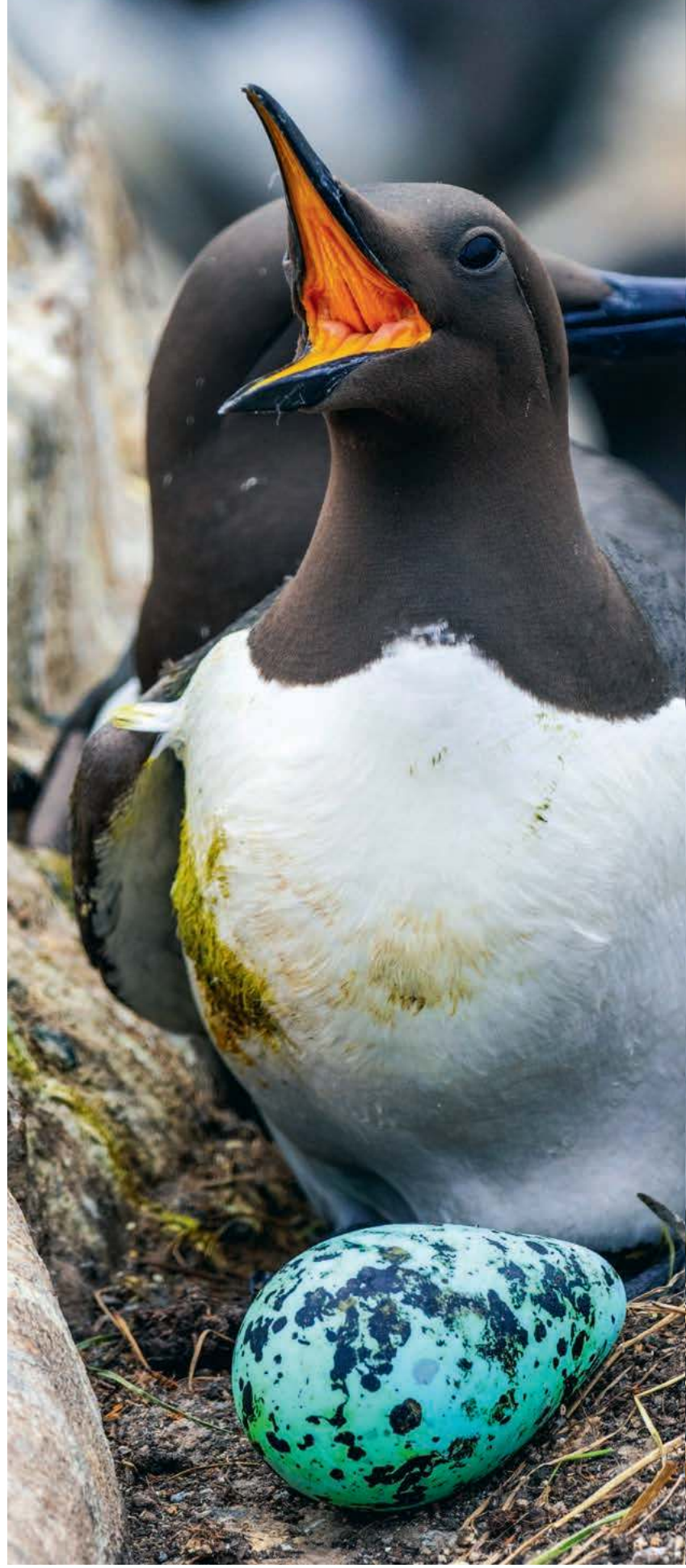

Kalevala, narodowy epos Finów, wywodzi świat z jajka. Dawno temu, zanim dziewicza bogini powietrza Ilmatar urodziła pierwszego człowieka, pozwoliła przysiąść na swoim kolanie krążącej nad morzami kaczce. Nie jest jasne, czy był to złotooki gągoł, rudogłowa głowienka, czy może inna z kaczek nurkujących z rodzaju *Anthya*. Fińskie słowo *sotka* może oznaczać każdą z nich.

Sotka złożyła sześć jaj złotych i jedno żelazne, po czym rozpoczęła wysiadywanie. Po trzech dniach Ilmatar poczuła, że ogrzewane jajka parzą, nie wytrzymała, poruszyła kolanem i zrzuciła je do wody. Z rozbitych skorupek powstała ziemia i nieboskłon, z żółtka słońce, z białka księżyc, z tego, co pozostało – gwiazdy. Z resztek jaja żelaznego powstały chmury.

Z Kalevalą współbrzmią mity Dogonów w Afryce Zachodniej, ludów polinezyjskich czy chińska opowieść o Pangu, rogatym olbrzymie, który zbudził się w jaju i z odwiecznych skał wykuł dłutem nasz świat. Zawieszone w nicości czy zanurzone w pierwotnych wodach, to w nim rodzi się impuls, wypowiedziane zostają słowa, które dają początek światu, jaki znamy.

Fińska legenda milczy na temat pochodzenia kaczki.

eprasa.pl 631e544192



STEPHAN MORRIS / SHUTTERSTOCK

Unikalny układ esów floresów na jaju nurzyka uważa się za podpis samicy.

Paradoks Plutarcha

Narzuca się pytanie, co było pierwsze: jajko czy ptak? Odwieczny paradoks, podjęty dwa tysiące lat temu przez Plutarcha, prowadzi do pytania o początek wszechrzeczy, o pierwsze tchnienie i pierwszego poruszyciela. O tym, że nie straciło całkiem swojej mocy, świadczy chyba historia, która obiegła gazety dwa lata temu.

Rzecz się działa na wyspie Celebes. Niejaki Kadir Markus odwiedził znajomego, by oddać mu dług. Mężczyźni wypili po kielichu, rozochocony gość tak zarzucił gospodarza serią podobnych zagadek, że doprowadził go do furii. Widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli, Kadir próbował uciec, ale kompan dogonił go na rowerze i zadźgał nożem.

Jak na paradoks odpowiada nauka? Na odczepnego można stwierdzić, że najstarsze, pokryte skorupką jaja dinozaurów pochodzą sprzed setek milionów lat. Kura domowa jako gatunek liczy sobie ledwie ok. 10 tysięcy lat. Sądzi się, że pierwsze musiało być jajko, które zniósł ptak niebędący jeszcze kurą. Zarodek zawierał jednak mutację, która dała początek nowemu gatunkowi. Jajo było pierwsze, to z niego wykluła się kura.

W pierwszym odruchu jajo kojarzy nam się z ptakami, choć podobne struktury wytwarzają też inne organizmy: płazy, gady, ryby, owady, pajęczaki i stekowce, takie jak dziobaki czy kolczatki. Pewnie dlatego, że większość z nas je kurze jaja. Udomowione ptactwo pojawiło się w ludzkich zagrodach kilka tysięcy lat temu, ale przez wieki rabowaliśmy (i rabujemy) gniazda dzikich ptaków. Na wiele sposobów, co dokumentuje choćby malarstwo niderlandzkie.

Złodzieje gniazd

Typowy rabunek prezentuje Pieter Bruegel obrazem „Złodziej gniazd". Przedstawia on wieśniaka, który z poufałym uśmieszkiem wskazuje chłopca wykradającego pisklęta z gniazda na drzewie. To równocześnie moment przed katastrofą, bo widzimy już spadającą z głowy czapkę, a w ślad za nią za chwilę na ziemię zleci złodziej. Obraz ilustruje niderlandzkie przysłowie: „Ten, kto wie, gdzie jest gniazdo, ten wie; ten, kto okrada, ten je ma". Tymczasem wieśniak-moralizator zdaje się nie zauważać, że sam zaraz wejdzie do strumienia.

Inną, mniej oczywistą metodę zobaczymy na płótnie Hendricka Avercampa „Pejzaż zimowy z łyżwiarzami", zresztą jawnie nawiązującym do „Pejzażu zimowego z łyżwiarzami i pułapką na ptaki" Bruegla. Na ścianie jednego z budynków widzimy gliniane dzbanki z długą szyjką, zawieszone zupełnie jak dzisiejsze skrzynki lęgowe. Miały one przyciągać do gniazdowania szpaki. Kiedy komuś z domowników przyszła ochota na jajka albo podrośnięte pisklęta, po prostu otwierał specjalne drzwiczki w naczyniu i sięgał do środka. Kilkaset lat temu gulasz czy potrawka ze szpaka były zwyczajnym daniem kuchni niderlandzkiej.

Fabryczna taśma

Już w XVII w. lekarz i anatom William Harvey wyraził przypuszczenie, że *„omne vivum ex ovo"*, czyli „wszelkie życie pochodzi z jaja". W kolejnych dekadach i stuleciach dowiedziono ponad wątpliwość, że złożone organizmy przechodzą cykl rozwojowy, a nie (jak twierdził Arystoteles) wyradzają się z materii: myszy nie wychodzą same z brudnego siana, a muchy z gnijącego mięsa. Kolejne pokolenia u większości zwierząt powstają z połączenia komórek rozrodczych samców i samic, tego jednak Harvey nie mógł jeszcze wiedzieć. Proces zapłodnienia na poziomie komórkowym zaobserwowano i opisano zaledwie niecałe 150 lat temu.

Do powstania kurzego jajka nie potrzeba jednak zapłodnienia. Jego żółtko to pojedyncza komórka jajowa, która wydostaje się z przypominających kiść winogron pęcherzyków jajowych. Kilka z nich dojrzewa, największy pęka i uwalnia żółtko. Zamieni się w jajko na drodze procesu przypominającego zmechanizowaną pracę fabryczną.

Wpierw jajko zaczyna przesuwać się w jajowodzie jak po taśmie produkcyjnej, a wyspecjalizowane gruczoły dodają kolejne komponenty. Żółtko zostaje otoczone białkiem, a następnie osłonięte powłoką z dwóch błonek – pergaminowej i podskorupkowej. Na końcu wytwarzana jest skorupka zbudowana z węglanu wapnia, o twardej, wytrzymałej, ale przepuszczalnej strukturze. Przez pory do środka przenika tlen, na zewnątrz przedostaje się dwutlenek węgla, wytwarzany przez rozwijający się zarodek. Na końcu jeszcze pigmentacja, czyli barwienie jaj.

Struktury różnią się gęstością, w dużym stopniu składają się z wody, która ma ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ zostać później wykorzystana przez zarodek. Od żółtka odchodzą dwa pasma białka, chalazy, których rolą jest amortyzowanie wstrząsów kuli żółtkowej i utrzymywanie jej w centralnym położeniu niezależnie od tego, jak potoczy się jajko. Ruchy perystaltyczne przesuwają jajo w jajowodzie, obracając je wokół osi i wygładzając nierówności. Cały proces zamyka się w jednej dobie.

Wewnątrz skorupki

Na tępym biegunie jajka, tam, gdzie porów jest najwięcej, znajduje się komora powietrzna, która powiększa się wraz z wysychaniem i zużywaniem wody przez zarodek. Rośnie razem z nim. Z tego zbiornika skorzysta wykluwające się pisklę. Pierwszy wdech zaczerpnie właśnie powietrzem zmagazynowanym pod skorupką. Popiskiwanie piskląt w jajku sygnalizuje, że rozpoczyna się proces klucia, kiedy młody ptak stara się o własnych siłach wydobyć na zewnątrz.

To nie zawsze się udaje, zdarza się, że pisklę umiera w jajku. Znalazłem kiedyś resztki po takim dramacie w majestatycznej górskiej buczynie, która chroniła się przed drwalami i harwesterami na stromym zboczu. Wokół rosły potężne, wiekowe drzewa. To była podpowiedź, że całkowicie rozwinięte pisklę przyklejone do białej skorupki mogło być małym siniakiem, płochliwym gołębiem zakładającym gniazda w dziuplach. Przypominało w każdym razie tak dobrze nam znane pisklęta gołębi. Była wczesna wiosna, moje znalezisko przeleżało tu wiele miesięcy. Na bukach pękały pączki, może zwłoki zostały wyrzucone z dziupli w ramach wiosennych porządków przez jej tegorocznego gospodarza?

Poza pisklęciem nic więcej się już w skorupce nie mieściło. Zarodek stopniowo zużywa wszelkie zgromadzone w środku zasoby, zdany jest wyłącznie na nie, rozwija się przecież poza organizmem matki. Jajka wymagają jednak opieki, stałego, równomiernego ogrzewania i regularnego obracania, tak by zarodek nie przykleił się do ściany skorupki. Kaczki wyrywają sobie z piersi pióra, by przykryć jaja i dodatkowo je dogrzać.

Choć składanie trwa przez szereg dni, pisklęta klują się zwykle równocześnie, dlatego mogą różnić się wielkością. Resztki skorupek dzikich ptaków są wynoszone z gniazda przez rodziców albo zjadane. Ze względów bezpieczeństwa – pozostałości mogłyby być sygnałem dla drapieżników, że gdzieś w pobliżu znajdują się pisklęta. W przyrodzie niewiele się marnuje, zjedzenie skorupki przywraca wapń do organizmu samicy.

ŻYCZENIA

Pani

dr Halinie Nagler
z Turku

z okazji Jubileuszu 90. URODZIN

wyrazy szacunku i pamięci

przesyła
prof. dr hab. Andrzej Piasecki

Ideał rzeźbiarza

Jako forma jajko jest ideałem, który unika oczywistej symetrii kuli. Ucieleśnieniem eleganckiej prostoty.

Constantin Brâncuși przez kilkanaście lat tworzył rzeźby, które przypominały jajka – ludzkie, uśpione głowy jakby wsparte na poduszce. Miały subtelnie zaznaczone rysy, delikatne nosy, przymknięte oczy, włosy, powierzchnia była jednak przede wszystkim gładka, dokładnie wypolerowana, nawiązująca do biologicznego źródła inspiracji. W 1924 r. Brâncuși tworzy „Początek świata", rzeźbę radykalną w swojej prostocie, przedstawia ona bowiem brązowe jajo.

Czy jest coś doskonalszego i zarazem bardziej pierwotnego? Nie wszystkie jajka wyglądają jak te najlepiej nam znane, kurze, choć i one, w zależności od rasy kur mogą się różnić znacząco. W książce „Jaja i gniazda ptaków" Jana Hanzáka znajdziemy prosty podział na cztery możliwe kształty: eliptyczne, owalne, spiczasto-owalne i stożkowate. Można sprawę zniuansować albo skomplikować, w zależności od perspektywy, bo Jerzy Gotzman i Bolesław Jabłoński w klasycznych „Gniazdach naszych ptaków" wyróżniają aż 10 typów, wśród nich np. „gruszkowate silnie wydłużone o zaostrzonym biegunie" (z nielicznych pozycji jajkoznawczych warto wymienić jeszcze szacowną, wydaną w 1862 r. „Oologię ptaków polskich" z opisami Władysława Taczanowskiego i ilustracjami Konstantego Tyzenhauza).

Przyrodnicze pisanki

A kolory? Odpowiadają za nie jedynie dwa barwniki: protoporfiryna daje odcienie brązu i czerwieni, biliwerdyna zaś barwy niebieskie i zielone. Niektóre jajka zawierają oba, i to proporcje decydują, że jak w przypadku kosa na jasnoniebieskiej skorupce widzimy gęste ciemnordzawe nakrapianie. Jaja wielu ptaków gniazdujących na gałęziach drzew i krzewów mogą mieć żywe barwy. Nie ma to jednak większego znaczenia, ponieważ są ukryte w koszyku z gałązek albo pod wysiadującą samicą. Jaja gatunków gniazdujących w dziuplach są najczęściej białe.

Nieszczególnie wtapiają się w otoczenie jaja ptaków żyjących w koloniach – zabezpiecza je hałaśliwa i dobrze działająca sieć sąsiedzkiej samoobrony. Problemem może być raczej pomylenie własnych jaj z sąsiedzkimi. Żyjące w skupi-

eprasa.pl 631e544192



DEAGOSTINI PICTURE LIBRARY / NEW PICTURE LIBRARY / SCALA / PHOTOPOWER

Constantin Brâncuși, „Śpiąca muza", 1910 r.

skach liczących tysiące osobników nurzyki gniazdują na urwistych morskich klifach. Ich jaja mają charakterystyczny, zaostrzony kształt i ozdabia je unikalny układ ciemnych esów floresów przypominających nieznaną kooperację Brâncușiego i Jacksona Pollocka. Wzór ten uważa się za podpis samicy.

Skorupki mogą zmieniać kolor nawet w obrębie jednego zniesienia. Jaja składane później mogą być bledsze, mniej wysycone, zupełnie jakby w ptaku zaczynało brakować farby. Czasami na barwę wpływają czynniki zewnętrzne. Tak ma się sprawa w przypadku perkoza dwuczubego, który składa jasne, kremowe jaja. Kiedy troskliwy rodzic opuszcza gniazdo, w obawie przed drapieżnikami przykrywa swoje przyszłe dzieci roślinami wodnymi. Z czasem kolor skorupki staje się brązowo-zielonkawy.

Barwy maskujące mają jaja składane na ziemi. Kremowo-szare skowronka jest gęsto nakrapiane brązowymi plamkami. To wysiadywane przez czajkę jest oliwkowe, grubo nakrapiane i proporcjonalnie znacznie większe. Kamuflaż jednak często nie wystarczy, jajka są pożerane przez patrolujące pola lisy, których liczebność wzrosła nienaturalnie dzięki szczepionkom przeciwko wściekliźnie. Populacja czajki spadła o 80 proc. Skowronków też jest coraz mniej.

W 1924 r. Brâncuși tworzy „Początek świata", rzeźbę radykalną w swojej prostocie, przedstawia ona bowiem brązowe jajo. **Ptaki robią to lepiej.**

Strategie przetrwania

Choć czajka i skowronek mogą gniazdować na tej samej łące czy polu, mają zupełnie różne strategie przetrwania. Jajko czajki jest większe, ponieważ musi dostarczyć pisklęciu więcej substancji odżywczych. Młode czajki to zagniazdowniki, wykluwają się pokryte puchem, z otwartymi oczami i mogą od razu opuścić gniazdo na piechotę. Skowronki przychodzą na świat nagie, ślepe i bezbronne.

Zagniazdowniki składają zwykle więcej jaj, ich młode, mimo że bardziej samodzielne, na początku zostają dłużej pod opieką rodziców. Zwykle też takie gatunki odbywają tylko jeden lęg w roku, należą do nich choćby ptaki z rzędu grzebiących (np. kuropatwy) i blaszkodziobych (do których należą łabędzie). Gniazdowniki z kolei, do których należą wróblowe (jak skowronek) czy gołębiowate, mogą mieć więcej niż jedno zniesienie w sezonie.

Wielkość jaja zależy oczywiście od wielkości ptaka – te składane przez strusie ważą przeszło półtora kilograma, podczas gdy jajeczka (nie sposób nazwać ich inaczej) najmniejszych kolibrów poniżej pół grama. Jeżeli jednak porównamy rozmiary samic obu gatunków, okaże się, że jajo kolibra jest proporcjonalnie większe.

Nielegalny handel

Piękne i fascynujące, były również przedmiotem pożądania. Eksplozja popularności zbiorów oologicznych przypadła na wiek XIX. Szczególną ekscytację budziły jaja ptaków najrzadszych. W 1844 r. na zamówienie prywatnego kolekcjonera zabito ostatnie dwa osobniki alki olbrzymiej, ale jedyne jajko należące do pary zostało zbite przez jednego z islandzkich rybaków, którzy realizowali zamówienie. W kompulsywne zbieractwo zaangażowane były osoby prominentne i niesłychanie bogate, jak Lionel Walter Rothschild, którego kolekcja stanowi dużą część dzisiejszych zbiorów Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, liczących ponad milion jaj.

Wydaje się, że najwięcej zbieraczy żyje w Wielkiej Brytanii, znanej również z największej rzeszy miłośników ptaków. Dzisiejsi kolekcjonerzy działają jednak w podziemiu, w 1954 i 1981 r. pojawiły się bowiem przepisy zabraniające wykradania lęgów dzikich ptaków. W 2024 r. w kraju przeprowadzono serię nalotów na prywatne mieszkania, podczas których przejęto 6 tysięcy jaj. Szacuje się, że nielegalny handel zbiorami przyrodniczymi jest warty 23 miliardy dolarów rocznie.

Grzywną lub krótkotrwałą odsiadką nie da się odstraszyć najbardziej zapamiętałych złodziei, więc wielu zbieraczy to recydywiści. W 2005 r. jeden z nich zabił się, spadając z czterdziestometrowego modrzewia, na którym wypatrzył gniazdo rzadkiego ptaka.

© STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Autor jest pisarzem, edukatorem przyrodniczym i ornitologiem amatorem. Opublikował m.in. „Dwanaście srok za ogon", „Książkę o śmieciach" i „Drugie życie Czarnego Kota" (2025).

eprasa.pl 631e544192

TOMASZ

Stawiszyński: *Kultura wiwisekcji*



Przeprowadziwszy niebywale wprost szczegółowe śledztwo, połączywszy wszelkie możliwe kropki, prześledziwszy to i tamto w ten czy inny sposób, agencja Reutera ogłosiła niedawno, kim – najprawdopodobniej – jest legendarny Banksy. Artysta-enigma, wirtuoz street artu, który od lat nie dawał się nikomu zidentyfikować, znany z umieszczania swoich dzieł w miejscach nieoczywistych i publicznych. Latami spekulowano, kim tak naprawdę jest, jemu zaś latami udawało się zwodzić coraz bardziej wścibskich tropicieli.

Także z tego powodu jego spektakularne akcje elektryzowały nie tylko miłośników sztuki. Banksy stał się, mówiąc bez żadnej przesady, ikoną popkultury. A przy tym, co dla ikon popkultury nie takie częste, cechowało go zawsze wyraźne polityczne zacięcie – gdziekolwiek coś istotnego się działo, tam można się było spodziewać jego interwencji. Okoliczność, że nie wiadomo było, kim właściwie jest, rodziła naturalnie mnóstwo teorii, w efekcie zupełnie osobną dziedziną recepcji jego dzieł stało się dywagowanie na temat potencjalnych personaliów twórcy. Jeśli jednak reporterzy Reutera mają rację, zagadka została rozwiązana, nastąpił koniec dywagacji, a to, co ukryte, stało się odtąd jawne.

Pytanie brzmi tylko: po co?

To samo pytanie nasunęło mi się przy okazji innej podobnej sprawy, może nie aż tak głośnej, acz swego czasu również przyciągającej uwagę międzynarodowych mediów. A mianowicie – zagadki tożsamości Eleny Ferrante. „Prawdziwe ja" tej włoskiej pisarki – a może pisarza? a może pisarzy lub pisarek? – również stanowiło od lat przedmiot nieustających spekulacji. Żeby je zdekodować, stosowano przemyślne analizy lingwistyczne, rozkładano frazy na czynniki pierwsze, porównywano biografie postaci rzeczywistych i literackich. Wreszcie, w 2016 r. włoski dziennikarz Claudio Gatti postanowił raz na zawsze przeciąć ten gordyjski węzeł. Kierując się niezawodną maksymą *follow the money*, ustalił – jak twierdził: ponad wszelką wątpliwość – że Ferrante nazywa się Anita Raja, mieszka w Rzymie i pracuje jako tłumaczka. Przelewy bankowe nie kłamią, przekonywał, a ich natężenie, wysokość oraz, specyficznie, kierunek – od wydawnictwa publikującego Ferrante wprost do konta Raji – jasno zaświadczały, że mamy tu do czynienia z czymś więcej aniżeli zwykłą koincydencją.

Nie wszystkich jednak takie wyniki śledztwa usatysfakcjonowały i już rok później ekipa dociekliwych badaczy z Uniwersytetu w Padwie – tym razem naukowców, a nie detektywów – przedstawiła publikację, z której wynikało, że Ferrante to nie tyle Raja, ile jej mąż, wzięty pisarz i dziennikarz Domenico Starnone. Oboje oczywiście zaprzeczyli i wciąż zaprzeczają, że są Eleną Ferrante, co tylko, ma się rozumieć, jeszcze mocniej kieruje pod ich adresem podejrzenia.

Nawiasem mówiąc, przy okazji śledztw dotyczących Ferrante wywiązała się w kręgach literackich zażarta dyskusja. Zwracano w niej uwagę, że całe to publiczne demaskowanie jest zwykłym łamaniem prawa do prywatności. Jeśli ktoś decyduje się pozostać anonimowy, a nie prowadzi działalności przestępczej, powinniśmy powściągnąć ciekawość i po prostu zostawić go w spokoju. Jeanette Winterson, świetna brytyjska pisarka, stwierdziła nawet, że w usilnych próbach zidentyfikowania „prawdziwej" Ferrante skrywa się jakaś złość i niezgoda na to, żeby kobieta funkcjonowała w świecie literatury wyłącznie na własnych warunkach.

Ale wróćmy do wspomnianego pytania: po co? Po co mielibyśmy wiedzieć, kim są Banksy i Ferrante? Co to właściwie zmienia? I dlaczego uznajemy, że mamy prawo wdzierać się za zasłonę, którą ktoś przed nami rozpostarł? Dlaczego uznajemy, że wolno nam beztrosko przekraczać wytyczone przez kogoś granice? A w przypadku artystów: jak to wpływa na odbiór ich sztuki? Czy lekturze genialnego cyklu neapolitańskiego albo obcowaniu z prowokacyjnymi pracami Banksy'ego tajemnica ich tożsamości nie nadaje jakiegoś szczególnego, niepowtarzalnego charakteru? Może ujawnieni nie byliby skłonni albo zdolni do napisania bądź namalowania czegoś podobnego i tylko okoliczność, że mogą (a raczej mogli) spokojnie skrywać się w cieniu, sprawia (czy też sprawiała), że ich twórczość ma tak szczególny charakter?

Na takie pytania, jak się zdaje, niewiele pozostaje miejsca we współczesnej kulturze, w której wokół dominuje wiwisekcja. Kulturze, w której niemal wszystko jest już na wierzchu, niemal wszystko zostało sfotografowane, sfilmowane, wybebeszone. Doprawdy, niewiele jest jeszcze zjawisk i obszarów naszego życia, których w sposób detaliczny nie rozmontowano, nie rozłożono na części, nie obejrzano z każdej możliwej strony w najdoskonalszej rozdzielczości. Od wysokospecjalistycznych operacji chirurgicznych transmitowanych na YouTube po najbardziej wymyślne formy seksu w dowolnych konfiguracjach; od prześwietlonych wszerz i wzdłuż celebryckich życiorysów po transmitowane na żywo najintymniejsze szczegóły codzienności ludzi nikomu nieznanych.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest w tej potrzebie totalnej dosłowności, demaskowania, oglądania wszystkiego w zbliżeniu, nazywania i katalogowania jakaś autorytarna potrzeba kontroli. Nadmiar kontroli nie prowadzi zaś, jak wiadomo, do niczego dobrego, a poza tym – *last but not least* – po prostu odbiera życiu smak. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 631e544192

REKLAMA

Albatros travel

Zagadki Peru i Chile

Od Machu Picchu po Wyspę Wielkanocną

Odkryj jedne z najbardziej tajemniczych miejsc na Ziemi – opuszczone miasto Inków, Machu Picchu oraz Wyspa Wielkanocna z jej milczącymi posągami.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Limy. **Dz. 2** Zwiedzanie starego miasta, kościoła San Francisco i muzeum archeologicznego Larco. **Dz. 3** Lima – Cuzco – Święta Dolina Inków – Ollantaytambo. **Dz. 4** Ollantaytambo. Wycieczka pociągiem do Machu Picchu. **Dz. 5** Ollantaytambo – Písac, ruiny Inków. Zwiedzanie starego miasta w Cuzco łącznie z katedrą. **Dz. 6** Cuzco. Świątynia Coricancha i ruiny Sacsayhuamán. Po południu czas wolny. **Dz. 7** Cuzco – Santiago. Zwiedzanie Santiago. **Dz. 8** Santiago. Wycieczka do Valparaiso. **Dz. 9** Santiago – Wyspa Wielkanocna. **Dz. 10** Wyspa Wielkanocna. Posągi moai i wulkany. **Dz. 11** Wyspa Wielkanocna. Wulkan Rano Kau, kult człowieka ptaka, kamienne miasto Orongo, Hanha Roa. **Dz. 12** Wyspa Wielkanocna – Santiago. Wolne przedpołudnie na Wyspie Wielkanocnej i przelot do Santiago. **Dz. 13** Wylot do Polski. **Dz. 14** Powrót do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy 11/11 2026, 22/02 2027 | od **30.998,-**

WESOŁYCH ŚWIĄT

2 posiłki dziennie

Jezioro Garda i Północne Włochy

Cudowna wycieczka nad słynne jezioro Garda połączona ze zwiedzaniem Wenecji, Werony i pięknego Tyrolu Południowego.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Piesza wycieczka po San Zeno. **Dz. 2** Całodzienna wycieczka do Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dz. 3** Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tirolo. **Dz. 4** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dz. 6** Wenecja. Rejs po Canal Grande i zwiedzanie miasta. **Dz. 7** Przejazd do Mediolanu i podróż powrotna do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 11/10, 18/10 2026 | od **5.498,-**

Południowa Anglia i Kornwalia

Fantastyczna wycieczka przez malownicze zakątki Anglii ze spektakularnym wybrzeżem, urokliwymi wioskami i owianymi legendami zamkami i skarbami kultury.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Londyn. Winchester i Bournemouth. **Dz. 2** Bournemouth – skamieliny na Wybrzeżu Jurajskim – Lyme Regis – wrzosowiska w Dartmoor – Torbay. **Dz. 3** Pociąg parowy z Paington do Kingswear. Rejs statkiem do Dartmouth Agathy Christie. **Dz. 4** Wyspa pływowa St. Michael's Mount – Penzance – Lands Ends czyli kraniec Ziemi – St. Ives – Newquay. **Dz. 5** Ogród botaniczny Eden Project – wizyta na farmie cydru. **Dz. 6** Newquay – Zamek Tintagel – Bristol. **Dz. 7** Bristol – Bath z listy UNESCO. Podróż powrotna z Londynu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 12/05, 28/07, 22/09 2026 | od **6.798,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP07**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 631e544192



eprasa.pl 631e544192

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 14/2026



eprasa.pl 631e544192

REKLAMA

spektakl inspirowany książką Grzegorza Walczaka
„Profesor. Jak genialny chemik z Kielc stał się bossem narkobiznesu"

prapremiera kwiecień 2026

PROFESOR

tekst, dramaturgia:
Anna Wakulik

reżyseria,
opracowanie muzyczne:
Jan Hussakowski

scenografia, kostiumy:
Joanna Walisiak

choreografia:
Helena Ganjalyan

wideo:
Piotr Bontron

reżyseria świateł:
Monika Stolarska

asystent reżysera:
Jan Wawrzyniec Tuźnik

asystentka scenografki:
Aleksandra Bartkowiak

asystent reżyserki świateł:
Emil Nowak

inspicjentka:
Klaudia Sobura

suflerka:
Kamila Długosz

obsada:
Klaudia Janas
Joanna Kasperek
Zuzanna Wierzbińska
Aneta Wirzinkiewicz
Janusz Głogowski
Oskar Jarzombek
Jacek Mąka
Damian Pelc
Łukasz Pruchniewicz
Dawid Żłobiński

operator kamery:
Michał Stelmaszczyk

25-507 Kielce, ul. Sienkiewicza 32 / kasa +48 41 344 75 00 / kasa@teatrzeromskiego.pl / www.teatrzeromskiego.pl

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

spokojnie, to tylko awaria
sezon 2025/2026

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Świętokrzyskiego współprowadzoną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

eprasa.pl 631e544192

Naprawdę lubimy od czasu do czasu pobyć sobie wśród dobrych płócien. Polskie muzea i galerie odwiedza rocznie ponad 40 mln osób (z roku na rok jest nas coraz więcej), a największą popularnością cieszą się właśnie te przestrzenie, które prezentują sztukę – prawie 40 proc. zwiedzających zainteresowanych jest malarstwem, rzeźbą, fotografią. W organizowanej co roku „Nocy Muzeów" udział biorą setki tysięcy miłośniczek i miłośników historii sztuk pięknych (w roku 2024 było nas ponad 795 tys.). Jak podaje Główny Urząd Statystyczny, w ciągu ostatnich sześciu lat odsetek zwiedzających muzea Polek i Polaków wzrósł o ponad 10 proc. Oczywiście, uwagę przyciągają przede wszystkim głośne wystawy i duże nazwiska: Magdalena Abakanowicz, Olga Boznańska, Józef Chełmoński, Aleksandra Waliszewska.

Ale spory tłumek towarzyszył mi niedawno podczas oprowadzania po świetnej ekspozycji „»Jam posełkini jego«. Język i emocje polskiego średniowiecza" (potrwa ona do 31 maja). Mogłoby się zdawać, że trwająca dwie godziny prezentacja najstarszych tekstów polszczyzny to zabawa dla studentek i studentów polonistyki, tymczasem wśród tych, którzy zgromadzili się pewnego wieczoru w Pałacu Rzeczypospolitej, były osoby w każdym wieku. Może dlatego, że po obejrzeniu „Psałterza floriańskiego" można było sobie pograć w „Scriptorium"? Gra, która lada chwila trafi do sprzedaży, polega na tworzeniu dzieł sztuki średniowiecznej i rozwijaniu własnej pracowni manuskryptów. Równie dobrze bawiłam się w krakowskiej Cricotece na wystawie „Dzikie harce", ponieważ można na niej wszystkiego dotykać, przebierać się, biegać i robić własny teatr w ogromnym namiocie (aż do października).

Tak, sztuka to także zabawa. Jej interpretacja może dawać nam wiele frajdy, jeśli tylko porzucimy stres związany z tym, że czegoś nie wiemy. Nie bez powodu otwieramy to wydanie „Włóczykija Kulturalnego" rozmową, która ośmiela do konfrontacji ze sztuką współczesną, abstrakcyjną, konceptualną, hermetyczną. Dobrej lektury!

©℗ Monika Ochędowska


KRZYSZTOF MARCHLAK / MATERIAŁY PRASOWE GALERII BUNKIER SZTUKI

4. Do trzech razy sztuka
Rozmowa z Delfiną Jałowik
W dużych muzeach warto spacerować i napawać się widokami. Bez presji, że musimy zaliczyć każde ważne dzieło.


ARKADIUSZ PODSTAWKA / MNWR

10. Charyzma i pasja
Beata Chomątowska
Wanda Telakowska wierzyła, że da się upowszechnić dobry gust, tworząc w Polsce społeczeństwo bezklasowe. Promowana przez nią kategoria „rodzimości" miała być odtrutką na nasze mieszczańskie ciągoty.


MATERIAŁY PRASOWE

16. Światło i lśnienie
Piotr Kosiewski
Współczesność wkracza do królewskich rezydencji oraz muzeów poświęconych dziełom powstałym przed wiekami. Czy sztuka dawnych mistrzów nam nie wystarcza?


JOSEFINA SANTOS / MATERIAŁY PRASOWE MSN

22. Co nas nawiedza
Rozmowa z Julie Mehretu
Nie dorastałam w otoczeniu obrazów, w moim rodzinnym Michigan nie było muzeów sztuki współczesnej. Dość długo nie wiedziałam nawet, że mogę żyć jako artystka.


KAROLINA JÓŹWIAK / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

28. Teatr z opowieści
Dariusz Kosiński
Przedstawienia na podstawie powieści i opowiadań stały się w ostatnich sezonach specjalnością polskiego teatru. Fala narasta. Czas zapytać: co ją wzbudza i co ona ze sobą niesie?


A.HERNIK / DSH

32. Obraz i terytorium
Rozmowa z Martą Szymańską
Wystawa „Wspólnie" w krakowskim MuFo, na dwudziestolecie kolektywu Sputnik Photos, to historia współpracy i zmieniającego się języka fotografii.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 14/2026

REDAKCJA: Monika Ochędowska, Michał Kuźmiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara | OPIEKA WYDAWNICZA: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska | KOREKTA: Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk | Grafika na okładce: Blanka Biernat

eprasa.pl 631e544192

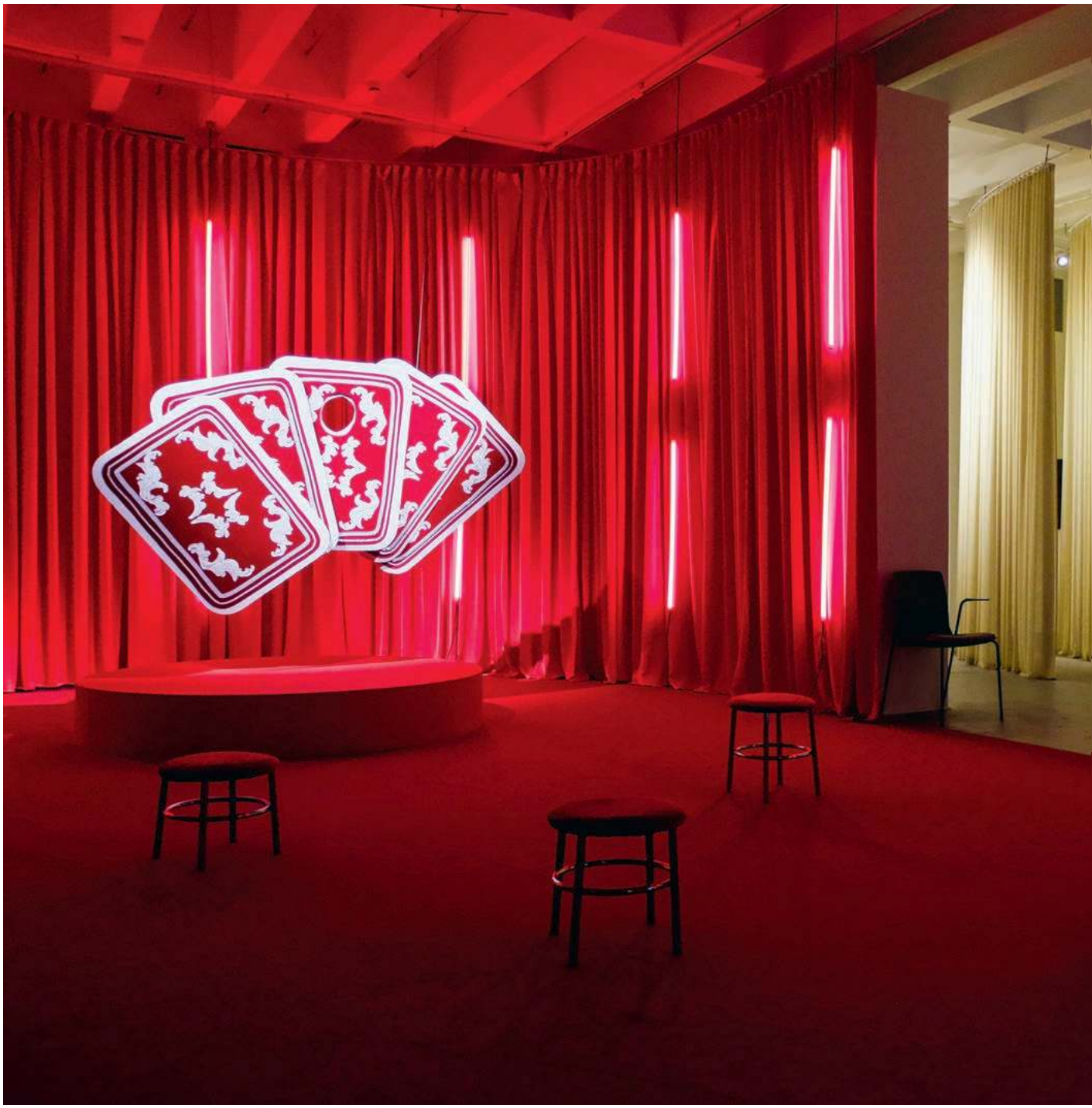

Praca Nadii Markiewicz na wystawie „Ruch, który wraca do ciała” w Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki. Kraków, 7 grudnia 2025 r.

Do trzech razy sztuka

DELFINA JAŁOWIK, DYREKTORKA KRAKOWSKIEGO BUNKRA SZTUKI:

W dużych muzeach warto spacerować i napawać się widokami. Bez presji, że musimy zaliczyć każde ważne dzieło.

eprasa.pl 631e544192



JACEK TARAN

JACEK TARAN: Patrzę i patrzę, ale mi się nie podoba. Czy to w porządku?

DELFINA JAŁOWIK: Współcześnie kategorie piękna, dekoracyjności, tego, co „ładne" i co nam się podoba, nie zawsze pokrywają się z tym, co w sztuce współczesnej jest uznawane za wartościowe i ważne. Jeśli coś mi się „podoba", zazwyczaj oznacza to, że chciałabym mieć to w domu.

Kiedy wchodzimy w dialog ze sztuką współczesną, kategoria „podoba się lub nie" powinna ustąpić pytaniu: „czy to mnie zaciekawia?".

A jeśli nie?

Żaden problem. Możemy pójść dalej i poszukać takiej pracy, która coś w nas poruszy.

Na pewno nas nie zrelaksuje.

To prawda. Sztuka współczesna stawia nas w centrum tematów, od których wolimy uciekać: wojny, strachu, poczucia zagrożenia. Konfrontuje nas z lękami, a my musimy zgodzić się wejść w ten dyskomfort i poddać refleksji, która w nas zostanie. To nie jest dla wszystkich. Świadome przeżywanie jest niezwykle trudne, a w zmęczeniu i pośpiechu nie zawsze jesteśmy na to gotowi. To trochę jak z ambitnym kinem.

Bardzo dużo mówiło się ostatnio o filmie „Dom dobry", prawda?

Obejrzały go trzy miliony widzów.

A czy oglądanie tego filmu nas relaksuje? Raczej zmusza do przyjrzenia się zjawisku domowej przemocy, do zderzenia się z nią bardzo bezpośrednio, także cieleśnie. Sztuka potrafi działać w podobny sposób.

Ale częściej operuje metaforą. Film pokazuje wiele rzeczy wprost.

Oczywiście, kino jest dużo bardziej przystępne, nawet jeśli podejmuje trudne tematy. Ale poziomy odbioru są różne. Możemy odebrać je wyłącznie cieleśnie albo wejść na poziom ogólnej refleksji i zacząć się zastanawiać: jak wygląda dzisiejsze społeczeństwo. Możemy też oglądać film, budząc w sobie czułość wobec drugiego człowieka, zapytać siebie, jak my byśmy zareagowali w podobnej sytuacji.

W sztuce to działa podobnie, tylko inaczej rozłożone są akcenty. Ona może być bardzo zniuansowana: delikatnie podszeptywać konteksty albo uderzyć w nas mocą obrazu, czymś, czego nie da się zapomnieć. Jednej drogi po prostu nie ma.

No dobrze, a banan przyklejony do ściany? Co oznacza?

W takich akcjach chodzi o wywołanie dyskusji na temat mechanizmów rynku sztuki. Banan opowiada o tym, że to najbogatsi kolekcjonerzy i inwestorzy modelują cenę dzieła. Podbijają ją w sposób sztuczny. Mogą nam potem pstryknąć w nos i pokazać: „zapłaciliśmy za to tyle, a możemy to po prostu zjeść albo wyrzucić – to nie ma znaczenia".

Współczesny rynek sztuki to rynek galerii. Rządzą nim mechanizmy inwestycyjne. Do tego dochodzi dziś kontekst wojny i ogólnej niepewności jutra, w której ludzie zastanawiają się, czy w ogóle warto inwestować w sztukę.

Wydaje mi się, że o to chodziło właśnie w słynnej akcji z bananem: pokazanie, że wiele współczesnych gestów artystycznych działa wyłącznie w obszarze ekonomicznym.

A „Niebieski kwadrat" Kleina? Przecież pomalować płótno na jeden kolor to każdy potrafi.

To zupełnie inny temat. Klein stworzył własny pigment, *International Klein Blue*, jako wynik wielu eksperymentów. Ten kolor stał się rozpoznawalnym tworzywem jego prac i przeszedł z abstrakcji w dialog z ciałem w jego antropometriach. Więc nie sprowadzałabym Kleina tylko do „plamy koloru".

Natomiast to pytanie otwiera dyskusję na temat tego, jak interpretować sztukę abstrakcyjną, która nie przedstawia rzeczywistości ani w sposób realistyczny, ani zdeformowany. Co ona nam daje? Jak na nas działa? Czy musimy szukać odwołania do rzeczywistości?

Warto postawić sobie pytanie: czego szukamy jako odbiorcy? Może porządku, rytmu linii, może kolorów, które nas uspokajają lub pobudzają. Według mnie, kiedy mówimy o sztuce, powinniśmy mówić o sztuce *wobec odbiorcy*.

Ważniejsze jest osobiste doświadczenie niż to, co przeczytam w ulotce kuratorskiej na ścianie?

Doświadczenie jest kluczowe, bo to ono sprawia, że chcemy wrócić do galerii. Miejsce musi się nam kojarzyć z jakąś emocją. Ja lubię czytać ulotki, lubię wstępy do wystaw, chociaż nie zawsze je rozumiem, a czasami mnie denerwują.

Ostatnio byłam w Düsseldorfie, w dwóch ważnych instytucjach sztuki współczesnej, K20 i K21, w tym na wystawie sztuki queerowej, tworzonej w modernizmie. I tam każdy rozdział wystawy, ↦

eprasa.pl 631e544192



FABRICE COFFRINI / AFP / EAST NEWS

Obraz Yves'a Kleina, „Untitled Blue Monochrome IKB 328" (1959) wystawiony na aukcji w domu aukcyjnym Piguet. Genewa, 19 czerwca 2025 r.

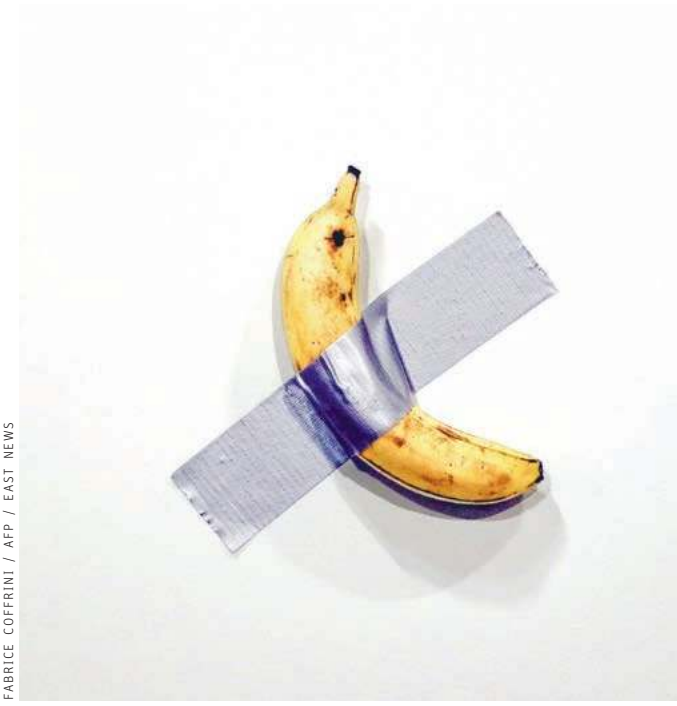

Praca Maurizio Cattelana „Comedian" zaprezentowana w 2019 r. na Art Basel Miami Beach

↦ oprócz wstępu kuratorskiego, miał wstęp pisany prostym językiem. To jest trend, który świetnie działa. Można przeczytać mądry tekst dla specjalistów, a obok tekst dla wszystkich. Z perspektywy osoby, dla której niemiecki nie jest językiem ojczystym, one właśnie były idealne.

Ten trend przyjmie się też u nas?

Tak mi się wydaje. Ostatnio po raz pierwszy zrobiliśmy literackie opowiadanie o historii Bunkra Sztuki. Można obejrzeć wystawę poświęconą naszej historii, archiwom („Bunkier. Historia aktywna"), ale też posłuchać, w jaki sposób Dominika Słowik stworzyła swoją własną opowieść o dziejach galerii. I to nie jest narracja związana z konkretną wystawą, to nie jest audioprzewodnik. Łączenie potencjału literatury i sztuk wizualnych jest fascynujące. Artyści filtrują rzeczywistość przez obrazy, formy, materiały; literaci przez słowo, które tę wrażliwość oddaje.

Myślisz, że to jest sposób na to, żeby sztuka nowoczesna była bardziej przystępna?

Tak, to jeden ze sposobów. W instytucjach możemy tworzyć wiele ścieżek: dla jednej osoby audioprzewodnik, dla innej książka, dla kogoś spacer i zatrzymanie się przy dwóch, trzech pracach. To zależy od tego, z jaką potrzebą wchodzimy do galerii, z jakim bagażem doświadczeń, wiedzy. Zadaniem instytucji jest tak stworzyć program, by każdy mógł wyjść z czymś dla siebie. Ale też pogodzić się z tym, że nic nie jest dla wszystkich.

Dużo czasu spędzasz oglądając wystawę?

Po raz pierwszy od kilku lat zdarzyło się, ostatnio w warszawskim MSN, gdzie byłam na otwarciu wystawy „Kwestia kobieca 1550-2025", że przeczytałam każdy tekst i obejrzałam prawie każdą pracę. Zajęło mi to trzy godziny. Bardzo tego potrzebowałam – zobaczyć wszystko.

To się rzadko zdarza?

Żyjemy w pośpiechu, skupiamy się na masie codziennych zadań i w tym natłoku obowiązków instytucje sztuki muszą walczyć o uwagę odbiorcy. Już sam fakt, że ktoś poświęca swój czas i fizycznie jest obecny w galerii, jest sukcesem trudnym do osiągnięcia.

Oczekujemy szybkich efektów, chcemy wszystko natychmiast zrozumieć, nie mamy cierpliwości, by się w coś zagłębiać, a jeśli czegoś nie rozumiemy, to często nas to zniechęca.

Wielu moich znajomych przed wizytą w galerii czyta wszystkie informacje o tym, co zobaczą. Analizują historię, sprawdzają, co jest w zbiorach. Ja mam strategię przeciwną: nic nie czytam. Zdaję się na samo doświadczenie i dla mnie jest ono najważniejsze. Idąc do galerii, naprawdę nie musimy o danym artyście wiedzieć wszystkiego. Nie o to w sztuce chodzi.

A o co chodzi?

Musimy być gotowi na różne emocje: oburzenie, niezgodę, złość, dyskomfort, może nawet obrzydzenie. Jeśli sztuka współczesna jest dziś w stanie coś w nas poruszyć, to to jest jej największe osiągnięcie. Na ile jakaś praca ze mną rezonuje, pozwala lepiej coś zrozumieć albo zwraca uwagę na zjawisko, którego wcześniej nie znałam, a które nagle staje się ciekawe. W świecie nadmiaru obrazów i bodźców wokół nas naprawdę coraz trudniej jest się zatrzymać, sprawić, żebyśmy chcieli czymś się zainteresować.

Jak zatem mówić o sztuce?

Trzeba podkreślać, że sztuka współczesna mówi o naszej najbliższej rzeczywistości, sąsiedztwie. Artyści żyją tu i teraz, obok nas, więc powinniśmy zna-

eprasa.pl 631e544192

leźć wspólny język, wspólne konteksty. Ale to, że nie zawsze je znajdujemy, też jest okej. Nie musimy wszystkiego rozumieć.

A dlaczego nie rozumiemy?

Ponieważ sztuka współczesna nie jest częścią naszej edukacji. Ale jakiś czas temu doszłam do wniosku, że powinniśmy przestać nieustannie to krytykować. Jeśli reprezentujemy instytucję publiczną, to po prostu trzeba skupić się na tym, co jest do zrobienia. A misją muzeów jest właśnie nadawanie dziełom znaczenia. Umieszczając je w galerii, pokazujemy: „to jest wartościowe". A skoro jest wartościowe, musimy wziąć na siebie zadanie opowiedzenia o tym dziele.

Jak wzbudzić refleksję?

Nie ma na to gotowych recept. Jeśli skupiamy się na pokazywaniu wyłącznie największych nazwisk, wpadamy w trend: „tę wystawę trzeba zobaczyć". Świat sztuki żyje takimi wydarzeniami: w zeszłym roku była to na przykład wystawa Davida Hockneya, potem duża wystawa Yayoi Kusamy, która krąży po Europie, retrospektywa Gerharda Richtera. Ludzie specjalnie podróżują, by obejrzeć wystawy artystów z kanonu historii sztuki. Ale to jest bardziej trend „zaliczania" niż głębsza refleksja.

A czy krytycy są dzisiaj przewodnikami?

Przez ostatnie kilkanaście lat działy kultury w mediach były zmniejszane albo zamykane. To zawęża środowisko i powoduje, że zaczynamy szukać miejsc, gdzie w ogóle można wypowiadać się o wystawach czy twórczości artystów. Liczba magazynów o sztuce w Polsce radykalnie się zmniejszyła. Duża część krytyki przeniosła się na portale specjalistyczne, ale to są miejsca dla niewielkiej grupy, która i tak chodzi do galerii.

Zmienił się też model współpracy z instytucjami publicznymi. Kilkanaście lat temu media udzielały patronatów przedsięwzięciom, które uznawały za wartościowe. Dziś w zasadzie patronat medialny jest patronatem płatnym. A to prowadzi do tego, że zamiast tekstów krytycznych pojawiają się artykuły sponsorowane, reklamy, banery. I mam poczucie, że prawdziwej krytyki już tam nie ma.

RHONA WISE / EPA / PAP



KRZYSZTOF MARCHLAK / MATERIAŁY PRASOWE GALERII BUNKIER SZTUKI

DELFINA JAŁOWIK – historyczka sztuki, kuratorka wystaw, doktorka filozofii. Od 2024 r. pełni funkcję dyrektorki Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki w Krakowie. Prowadzi podkast o sztuce współczesnej „Odgłosy sztuki".

Może jej nie potrzebujemy?

Może to niepopularne spojrzenie, ale myślę, że ze względu na niedobór wiedzy o sztuce współczesnej u odbiorców i uprzedzenia wobec niej, krytyka, która mogłaby ich jeszcze bardziej zniechęcić, może być niepotrzebna. Mamy ogromną liczbę wydarzeń, warto więc polecać rzeczy naprawdę wartościowe. Nie musimy mówić o tym, co nam się nie podoba. To podejście wynika z przekonania, że budowanie pozytywnego komunikatu o sztuce, podkreślanie wartościowych rzeczy w formie merytorycznych, niesponsorowanych tekstów, to jest realna wartość, którą możemy wnieść.

Tylko czy ktoś to czyta?

Są tygodniki, gdzie dział kultury nadal istnieje i gdzie jest miejsce dla sztuki. Ale w dużej mierze mówienie o sztuce przenosi się, tak jak wiele dziedzin życia, do mediów społecznościowych. A sztuka jest dziedziną wizualną, więc atrakcyjne, krótkie formy i skrótowe opowieści działają. To też jest forma krytyki, która pokazuje, co jest dobre, na co warto pójść.

Musimy pamiętać, że sztuka współczesna nigdy nie będzie przyciągała milionów. Trzeba intensywniej popracować nad tym, jak o niej opowiadać, zaczynając od zupełnie innych poziomów. Próbuję to robić tutaj w Bunkrze Sztuki: opowiadamy o sztuce dzieciom, które przychodzą z rodzicami. A rodzice często są u nas po raz pierwszy.

Ważne jest wspólne bycie wobec sztuki, przeżywanie jej razem. Dlatego tworzymy także prezentacje sensoryczne dla dzieci, a zajęcia planujemy tak, by również dorośli coś z nich wynosili, choć nigdy nie ma pewności, jak ta strategia zadziała.

Tu ważne jest wyczucie: nie zniechęcić, lecz sprawić, by kontakt ze sztuką stał się naturalnym sposobem spędzania czasu. Galeria może w tym pomagać, oferując komplet doświadczeń w krótszym czasie, ale bez przytłoczenia nadmiarem.

To częsta bolączka: wychodzę z muzeum po paru godzinach z poczuciem pustki spowodowanej nadmiarem.

Ja staram się w dużych muzeach bardziej spacerować i napawać widokami, niż przechodzić mechanicznie od pracy do pracy. Iść powoli i sprawdzać, który obraz coś do mnie mówi, przy którym chcę się zatrzymać bez presji, że musi to być konkretne „ważne" dzieło.

Te wszystkie muzealne mapki z „najważniejszymi pracami" sprawiają, że jesteśmy ślepi na prace, które mogłyby nas bardziej zainteresować. W głowie mamy obraz „mistrza" z podręczników, a omijamy rzeczy, które mogłyby nas zachwycić, choć nigdy wcześniej ich nie widzieliśmy.

Kto dziś zostaje mistrzem?

O wartości rynkowej dzieła decyduje obecność prac artysty w kolekcjach publicznych, udział w wystawach, kwoty sprzedaży w galeriach i domach aukcyjnych. Do tego dochodzi aspekt marketingowy, widoczność w przestrzeni publicznej. Wszystko to składa się na pozycję w świecie sztuki i na rynku. Cały ten mechanizm nie jest łatwy do wyjaśnienia ani do policzenia.

I oczywiście może być tak, że dzieło jest autorstwa topowego artysty, a odbiorca nadal nie rozumie, dlaczego on jest topowy. ©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

eprasa.pl 631e544192



Krajowy Plan Odbudowy to impuls dla kultury

Pandemia covid-19 zatrzymała kulturę tylko na chwilę. Projekty z KPO pokazują, że instytucje, organizacje i firmy wyszły z kryzysu, stawiając na cyfryzację, działania społeczne i zrównoważony rozwój.

Karolina Kalinowska
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca to instytucja kultury, której misją jest działalność na rzecz rozwoju polskiej kultury muzycznej i tanecznej. Od 2024 r. NIMiT realizuje inwestycję A2.5.1 w ramach Krajowego Planu Odbudowy dla kultury. Składa się ona z dwóch elementów: programu grantowego oraz programu stypendialnego. Pierwszy z nich dotyczy instytucji kultury, organizacji pozarządowych oraz małych i średnich przedsiębiorstw, drugi – indywidualnych twórców, edukatorów, animatorów i naukowców.

Jednymi z najważniejszych celów programu są wzmocnienie potencjału sektora kultury oraz złagodzenie długofalowych skutków pandemii covid-19, takich jak problemy ekonomiczne instytucji czy brak dostępu do kultury dla odbiorców. Wzięcie udziału w naborach było dla wielu podmiotów szansą na uzyskanie wsparcia finansowego na projekty rozwijające kompetencje cyfrowe i ekologiczne.

Szczególnie doceniane były te przedsięwzięcia, które aktywizowały lokalną społeczność lub promowały różnorodność kulturową poszczególnych regionów. Program KPO dla kultury kładł również duży nacisk na inicjatywy upowszechniające dobra kultury, które wcześniej nie były dostępne dla szerszej publiczności z powodu barier związanych z niepełnosprawnością czy wykluczeniem społecznym. Wreszcie kluczowe znaczenie miała innowacyjność – możliwość dofinasowania zyskały projekty wykraczające poza standardowe ramy, popularyzujące współpracę kultury z sektorami nauki, technologii i biznesu.

A jak te zamierzenia wyglądały w praktyce? Najlepiej pokazują to przykłady konkretnych inicjatyw wybranych z obu naborów programu KPO dla kultury.

KULTURA LOKALNA I WŁĄCZAJĄCA

Konieczność zaangażowania się w twórcze inicjatywy po pandemii dostrzegło wiele instytucji kultury z większych ośrodków miejskich. Jednym z nich jest Centrum Kultury w Lublinie, organizator Festiwalu Bliski Wschód. Wydarzenie to stanowiło odpowiedź na pokojowe protesty w Białorusi i wywołane nimi represje.

Niezależni twórcy teatralni z tego regionu zostali wówczas zmuszeni do emigracji lub zejścia do podziemia. W ramach festiwalu zaprezentowali oni bogatą twórczość białoruską i ukraińską w formie spektakli, wspólnych warsztatów, laboratoriów i dyskusji panelowych. Oprócz posiadania niewątpliwych walorów artystycznych, wydarzenie stanowiło wyjątkową okazję do spotkania dla twórców, którzy mają ograniczone możliwości wspólnotowego działania. Jak podkreśla organizator:

> *Festiwal prezentował (...) twórczość białoruską i ukraińską, która łączy dziedzictwo pokoleń z najnowszymi, alternatywnymi trendami w sztuce współczesnej. Spektakle, choć naznaczone doświadczeniami wygnania, stanowią niezwykle wartościowy i unikalny punkt styku między tradycją a nowoczesnością.*

Minifestiwal muzyki elektronicznej „El Fest" to z kolei wyjątkowe wydarzenie zorganizowane w mniejszej miejscowości – Siemianowicach Śląskich. Jego głównym założeniem było popularyzowanie polskiej muzyki elektronicznej i dorobku jej twórców. Siemianowickie Centrum Kultury od wielu lat stara się upowszechniać

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 631e544192

kulturę muzyczną na arenie lokalnej, jednak „El Fest" okazał się czymś więcej niż tylko nowym muzycznym przedsięwzięciem – pokazał, że warto realizować wydarzenia kulturalne poza dużymi aglomeracjami, a także wspierać rozwój sektora kultury w miejscach, które nie są tradycyjnymi centrami sztuki.

KULTURA BEZ BARIER

Z dofinansowań projektów kulturalnych w ramach KPO skorzystały także organizacje pozarządowe, które za cel stawiają sobie między innymi aktywizację społeczną osób z niepełnosprawnościami. Jednym z podmiotów o takim profilu działalności jest Stowarzyszenie „De Facto", które w 2024 r. zrealizowało dwa koncerty w ramach XIV Festiwalu Kultury i Sztuki dla Osób Niewidomych.

Oba wydarzenia muzyczne zostały zinterpretowane przez tłumaczy Polskiego Języka Migowego oraz opatrzone ścieżką audiodeskrypcji „na żywo", co pozwoliło osobom wykluczanym na co dzień z życia kulturalnego na znacznie bardziej aktywne uczestnictwo w kulturze.

Organizacje pozarządowe często poprzez swoją działalność kulturalną przyczyniają się do tworzenia lokalnych społeczności. Jednym z takich podmiotów jest Stowarzyszenie Anthill. W ramach inicjatywy „W nowym kinie" przeprowadzone zostały warsztaty dla młodych grafików oraz wspólne opracowanie animacji w formie mappingu, którą następnie zaprezentowano na elewacji zabytkowego budynku – Lubelskich Zakładów Tytoniowych. Inicjatywa zakładała stworzenie miejsca do rozwoju dla przyszłych twórców wizualnych i zaproponowanie nowej formy prezentacji sztuki w przestrzeni miejskiej, a przy tym zbudowanie trwałej wspólnoty zajmującej się edukacją kulturalną w regionie.

KULTURA POSTĘPU

Jednym z celów programu KPO jest wspieranie transformacji zielonej i cyfrowej w sektorze kultury. Z tej możliwości w bardzo dużym stopniu skorzystali mali i średni przedsiębiorcy. Jednym z nich jest firma intui Kordian Klecha, twórca „GeneraCity" – eksperymentalnego projektu z pogranicza sztuki cyfrowej i technologii przełomowych. Jego celem jest codzienne generowanie unikalnego dzieła sztuki powstającego w oparciu o dane zbierane w przestrzeni miejskiej, na przykład systemy monitoringu jakości powietrza. W efekcie użytkownicy mogą kolekcjonować „miejskie autoportrety" będące zapisem nie tylko warunków fizycznych, lecz także atmosfery i rytmu życia danego miejsca.

Innowacyjność projektu polega na wykorzystaniu aż trzech technologii przełomowych: internetu rzeczy (zbierającego dane), generatywnej sztucznej inteligencji (tworzącej sztukę) i blockchainu (zapewniającego unikalność i trwałość). Co ważne, uwzględnia również komponent edukacyjno-środowiskowy: poprzez wizualizację takich parametrów jak temperatura miasta w upalne dni ułatwia rozumienie wpływu procesów klimatycznych na nasze codzienne życie.



Jesteśmy zadowoleni z tej pilotażowej realizacji – podkreśla Kordian Klecha, właściciel intui. – Udało się potwierdzić intuicję, że strumienie danych mogą być przekształcane w dzieła sztuki (...) udało się znaleźć estetyczną formułę, która rzeczywiście tworzy dzieło na podstawie danych – a nie tylko wizualizuje je. To różnica fundamentalna: nie chodzi o wykresy ani o „pokazanie" liczb, lecz o to, żeby dane napędzały formę i narrację wizualną.

KPO. EFEKTY NA LATA W KULTURZE

Każdy podmiot objęty wsparciem w programie KPO, niezależnie od wysokości dotacji, charakteru organizacji czy segmentu, w którym składał wniosek, wykorzystał otrzymane środki nie tylko do rozwoju własnych umiejętności cyfrowych i ekologicznych, lecz także do dzielenia się swoimi pomysłami z odbiorcami wydarzeń.

Propozycje zyskały zarówno walor nowatorski, jak i edukacyjny, przyczyniając się do upowszechniania pozytywnych wzorców działania w sferze kultury, stając się inspiracją dla innych sektorów i konkretnych jednostek, a także, co być może najważniejsze, prezentując efekty, które jeszcze przez długie lata będą służyć rozwojowi polskiej kultury.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

eprasa.pl 631e544192

Charyzma i pasja

BEATA CHOMĄTOWSKA

Wanda Telakowska wierzyła, że da się upowszechnić dobry gust, tworząc w Polsce społeczeństwo bezklasowe. Promowana przez nią kategoria „rodzimości" miała być odtrutką na nasze mieszczańskie ciągoty.



BOLESŁAW MIEDZA / PAP

Wanda Telakowska (pierwsza z lewej), dyrektorka IWP, oprowadza po Instytucie małżonkę premiera Szwecji Ainę Erlander. Warszawa, 23 listopada 1967 r.

Za szaro, monotonnie", „czy to projekt celi więziennej", „witaj, smutku" – to tylko niektóre spośród kąśliwych uwag zawartych w pamiątkowym zeszycie z roku 1957, w którym zwiedzający Ogólnopolską Wystawę Architektury Wnętrz uwiecznili swoje wrażenia.

Cytowane opinie dotyczą prac Jana Kurzątkowskiego, autora projektów tak pomysłowych sprzętów jak fotel „Byk" czy gięte krzesło o rzeźbiarskiej strukturze, wykonane ze sklejki. Jeszcze przed wojną Kurzątkowski zaprojektował (w ramach Spółdzielni Artystów „Ład", której był współzałożycielem) słynne krzesło „Piórko". Pół wieku później wszystkie meble będą rozchwytywane na aukcjach.

Moda na polskie wzornictwo z czasów PRL-u, zapoczątkowana przez kolekcjonerów, trwa już co najmniej dwie dekady, także wśród przedstawicieli generacji, która tamten ustrój może pamiętać co najwyżej z wczesnego dzieciństwa. Jednak gdy te nowatorskie i funkcjonalne projekty powstawały, wcale nie budziły euforii. Głównie ze względu na inne przyzwyczajenia i związane z nimi estetyczne preferencje.

Rozdźwięk między współczesnym a niegdysiejszym odbiorem prac Kurzątkowskiego nie jest przypadkiem odosobnionym.

Domy i rzeczy

Wzmożonemu zainteresowaniu powojennym designem towarzyszą publikacje, głównie popularyzatorskie. Na tym tle wyróżniają się książki przedstawiające historię Instytutu Wzornictwa Przemysłowego oraz związanych z nim twórców.

Wśród nich jest choćby wydana w 2013 r. antologia „Rzeczy niepospolite", poświęcona polskim projektantom XX w., z której pochodzi wspomnienie o początkowych reakcjach na prace Kurzątkowskiego, ale też znakomita praca Agaty Szydłowskiej „Futerał. O urządzaniu mieszkań w PRL", poprzedzający ją zbiór rozmów Małgorzaty Czyńskiej „Dom polski", a także katalog zakończonej niedawno wystawy w Muzeum Miasta Gdyni, poświęcony Alicji Wyszogrodzkiej (również projektantki IWP).

Prędzej czy później musiał przyjść czas na biografię samej Wandy Telakowskiej, legendarnej matki-założycielki Instytutu. Wydana w tym roku książka, autorstwa historyczki sztuki Katarzyny Rzehak, przez dekadę związanej z Instytutem, jest nierówna wskutek zabiegu (zapewne narzuconego przez wydawnictwo) przycięcia opowieści o Telakowskiej do łatwo przyswajalnego, sprawdzonego formatu. W rezultacie na pierwszy plan w podzielonej na króciutkie rozdziały historii wysuwają się anegdotki z życia osobistego, pokazujące bohaterkę w roli niezgrabnej, niespełnionej uczuciowo i erotycznie „starej panny", jak mawiano w jej czasach.

Można wątpić, czy właśnie o taki efekt chodziło przy „zdejmowaniu Telakowskiej z pomnika i odsłanianiu kobiety z krwi i kości", jak czytamy na okładce. Na szczęście przez tę warstwę przebija miejscami druga, czyli zawodowe perypetie idealistki z misją, która porzuca własne twórcze ambicje, by stworzyć i pokierować najważniejszą instytucją polskiego designu, jaką był IWP. I tu historia Instytutu oraz biografia jego założycielki spotykają się: w obu przypadkach rzecz sprowadza się do niewykorzystanego w pełni potencjału.

Piękno dla mas

Charyzma i pasja – to dwie siły napędowe Wandy Telakowskiej, bez których nie byłoby Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Placówka powstaje w 1950 r. jako jedna z pierwszych tego typu w Europie. Gdy kończy się wojna, utalentowanej absolwentce Szkoły Sztuk Pięknych, nagradzanej za grafiki i projekty plakatów, która już zdążyła wyrobić sobie markę pozwalającą utrzymać się dzięki sztuce, z poprzedniego życia zostaje sztambuch pełen rymowanych wpisów zaprzyjaźnionych tuzów kultury i polityki, ze Starzyńskim, Tuwimem i Iwaszkiewiczem na czele. A także znajomości, których nie zawaha się użyć – nie dla siebie, lecz dla Instytutu.

Z początku idzie jak burza, głosząc potrzebę piękna, „podniesienia poziomu plastycznego przedmiotów codziennego użytku, dostarczanego masom odbiorców" – jak mówi już w lipcu 1945 r., wygłaszając referat podczas pierwszego zjazdu Rady Szkolnictwa Artystycznego

eprasa.pl 631e544192

Plastyki w pałacu w Wilanowie. To jej główny cel, w który wierzy, nie zrażając się oporem własnego środowiska, dla którego hasło „piękno dla mas" brzmi jak zamach na wolność artystów.

Wtedy pracuje jeszcze jako urzędniczka w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Na wyjeździe służbowym krzywi się na oglądane w sklepach pamiątki, razi ją bylejakość. Przeciwwagę dla pamiątkarskiej tandety znajduje u odwiedzanych podczas podróży twórców, u których zamawia pierwsze prace, tworząc zalążek wzorcowni Wydziału Wytwórczości w resorcie.

Forma i treść

Pozyskane zbiory pokaże dwa lata później Muzeum Narodowe. Ze zdjęciami tkanin i wycinanek Telakowska jedzie też do Stanów Zjednoczonych, by przygotować grunt pod wystawę polskiego przemysłu artystycznego i zbadać rynek amerykański, zauroczony już rzemiosłem ludowym i wzornictwem ze Skandynawii.

Telakowska doprowadza do stworzenia Biura Nadzoru Estetyki Produkcji, podległego resortowi przemysłu, które ma oceniać jakość projektów, dostarczać wzorów i modeli do fabryk, łączyć artystów z wytwórczością. Na jego bazie – w kilku nowo powstałych budynkach u zbiegu ulic Długiej i Świętojerskiej, na skraju rumowiska po Starówce i getcie – wyrasta warszawski Instytut.

Jego działalność wypełnia lukę w doktrynie obowiązującego wówczas realizmu socjalistycznego, który zakładał, że każda dziedzina sztuki ma obrodzić dziełami „socjalistycznymi w treści i narodowymi w formie", jednak nie poświęcał większej uwagi takim drobiazgom jak rzemiosło. Paradoksalnie jednak Telakowskiej, wykształconej w duchu modernizmu, udaje się znaleźć autonomię dla nowej instytucji właśnie poprzez odwołanie do samych założeń nowego ustroju, bo estetykę i piękno postrzega się w nim jako wartości egalitaryzujące i demokratyzujące.

Promuje też twórczość artystów ludowych, tworząc artystyczne kolektywy, w których współpracują z wykształconymi przez akademie plastykami. W przypadku córki socjalisty – Edmund Telakowski był przedsiębiorcą i członkiem PPS – nie jest to czysty koniunkturalizm, ale przekonanie oparte na pozytywistycznych wartościach wyniesionych z rodzinnego domu.

Na parapetach

Kierowana z tylnego siedzenia przez charyzmatyczną pasjonatkę placówka (Telakowska nie zostaje formalnie jej szefową, lecz dyrektorem artystycznym) wpisuje się w nurt, który istniał w rodzimym wzornictwie już w międzywojniu, mianowicie pragnienia, by wytwarzane przedmioty, nawet te najmniejsze i najprostsze, były ściśle związane z polską tożsamością. Od początku też ścierał się z dążeniem do nowoczesności i uniwersalności, chęcią pokazania, że niczym nie ustępuje światowym dokonaniom.

Obie tendencje wypływały z tego samego źródła, jakim były ambicje państwa, które chciało zaznaczyć swoją tożsamość względem świata, odróżnić się od dominujących sąsiadów. Projektanci chętnie pokazywali siłę narodowego przemysłu. To wtedy pojawiła się Spółdzielnia Artystów „Ład".

Związani z warszawską Szkołą Sztuk Pięknych wybitni projektanci wnętrz, mebli, tkaniny i ceramiki, którzy wyznaczyli przed wojną filozofię projektowania, również z myślą o przyszłej produkcji, w apogeum stalinizmu współtworzą IWP. Spotykają się tam z młodymi absolwentami uczelni plastycznych, których ściąga do pracy Telakowska. Wspierani przez konstruktorów i inżynierów, nie boją się eksperymentów.

„Panowała cudowna atmosfera młodzieńczego, twórczego entuzjazmu. Początkowo rysowało się na przypadkowych stołach, deskach; farby, pędzle, kartony leżały na parapetach okiennych lub na podłodze. Tam też można było usiąść, żeby pogadać, pośmiać się, zastanowić nad nowym pomysłem" – wspomina cytowana w katalogu gdyńskiej wystawy Aleksandra Michalak-Lewińska.

Pająk i Płucka

Instytut propaguje początkowo produkcję rzemieślniczą lub półmechaniczną, która wpisuje się w powojenne niedobory. Brakuje nawet kolorowych papierów czy farb akrylowych. Alicja Wyszogrodzka i jej koleżanki, tworzące ręcznie wzory dla tkanin, dla uwypuklenia faktur stosują to, co akurat jest dostępne: farbę, wosk albo ziarna kaszy.

Kolejną fazę w rozwoju instytucji zwiastują właśnie krzesła Kurzątkowskiego, zaprezentowane w 1952 r. na przyszłą wystawę. Użycie sklejki, materiału wykorzystywanego w mechanicznej produkcji, to krok w kierunku przeobrażenia Instytutu w laboratorium tworzące indywidualne pierwowzory do produkcji przemysłowej, co nastąpi w połowie dekady.

Nowe możliwości przed projektantami otwiera stalinowska polityka rozwoju przemysłu ciężkiego, a także – wskutek powojennych zmian granic w Europie Środkowo-Wschodniej – pozyskanie przez Polskę licznych fabryk mebli, porcelany i szkła na Zachodzie. Mają zachowane całe linie technologiczne, często zatrudniają wybitnych technologów, którzy pomagają wznowić produkcję. Powołane wskutek starań szefowej Instytutu dwie komisje oceniają wartość estetyczną modeli oraz sprawdzają jakość wykonania w fabrykach.

Centralizacja, obowiązująca we wszystkich branżach socjalistycznej gospodarki, okazuje się dla IWP zarazem dobrodziejstwem i zmorą. Dzięki niej powstają dopracowane w najdrobniejszych szczegółach przedmioty, ale daje się we znaki samym twórcom, od których oczekuje się, że dostarczą za każdym razem wzory gotowe do wytwarzania. Wielu z nich to przedwojenni rzemieślnicy, którzy dopiero uczą się technologii na miejscu. ↦



WŁODZIMIERZ ECHEŃSKI / EAST NEWS

Krzesło „Płucka", projekt Marii Chomentowskiej, 1956 r.

eprasa.pl 631e544192

↦ Niektóre wzory przechodzą przez estetyczne sito, inne nie. Komisje kwalifikacyjne, zatwierdzające prace, nie wyjaśniają, czemu odrzuciły akurat taki, a nie inny projekt. Budzi to zrozumiałą frustrację, zwłaszcza że wynagrodzenie w Instytucie nie należy do oszałamiających. Bieda, ograniczenia organizacyjno-techniczne czy nieudolne zarządzanie sprawiają, że wiele ciekawych pomysłów nie doczeka się seryjnej produkcji. Choćby osławione krzesła Marii Chomentowskiej z końca lat 50. – Płucka i Pająk – w których projektantka wykorzystała elementy z giętej sklejki, półprodukty do ponownego wykorzystania, dostarczane w ramach współpracy z IWP przez fabryki mebli. Pająka produkowała tylko w niewielkiej serii Fabryka Mebli Giętych w Radomsku. Z prawami autorskimi też bywa różnie: w teorii istnieją, ale wzory swobodnie krążą między fabrykami.



ARKADIUSZ PODSTAWKA / MNWR

Figurki „Kogut i kurki", projekt Lubomira Tomaszewskiego, IWP, 1957-1958 r. Wystawa stała „Cudo-Twórcy", Muzeum Narodowe we Wrocławiu

Fabryczka konfekcji

Z kolei ministrowie przemysłu niekoniecznie rozumieją, na co idą pieniądze wydawane przez IWP. Przedstawiają za wzór przynoszącą obfite wpływy do budżetu Cepelię, która pełni zupełnie inną rolę i ma inny sposób działania – skupuje gotowe wyroby od chłopów, rzemieślników i artystów, sprzedając je we własnych sklepach.

Tymczasem Telakowska od początku zakładała, że IWP, łączący twórców ludowych z projektantami i wypracowujący wzory dla przemysłu, nie był i nie będzie „fabryczką średnio ładnej konfekcji", jak sama określa intencje władz, tylko placówką naukowo-badawczą.

Dopóki może, korzysta ze znajomości na szczeblach władzy, by obronić pozycji i niezależności Instytutu. Fama głosi, że umie załatwić wszystko. Ale udaje się to tylko do czasu. Przegrywać zacznie – paradoksalnie – wraz z październikową odwilżą, która dla wielu twórców oznaczała wytęsknioną wolność od socrealistycznego gorsetu. W 1957 r. Rada Ministrów przekształca IWP w samodzielne przedsiębiorstwo państwowe na rozrachunku gospodarczym. Musi teraz na siebie zarabiać.

Wkrótce władze przenoszą większość funkcjonujących w jego ramach zakładów do nowej placówki – Centralnego Biura Wzornictwa Przemysłu Lekkiego, ulokowanego, jak na ironię, w tym samym budynku. Odbiera ono Telakowskiej większość dotychczasowego dorobku – wzory, maszyny, a przede wszystkim współpracowników, bo będzie zajmować się projektowaniem tkanin, odzieży i obuwia. Oprócz projektantów mebli i ceramiki zostają głównie ci, którzy chcą się poświęcić pracy naukowej.

Straszne mieszkania

Telakowska postuluje piękno dla mas, ale czy masy pragną piękna? Szefowa IWP wierzy, że da się upowszechnić dobry gust, edukując lud i tworząc pod tym względem społeczeństwo bezklasowe. Promowana przez nią kategoria „rodzimości" ma być odtrutką na mieszczańskie ciągoty, odpowiadającą jednocześnie na potrzeby mało zamożnego odbiorcy, dostosowaną do parametrów powojennych wnętrz.

Tymczasem jest odwrotnie: to pozycja społeczna i związany z nią kapitał kulturowy determinują gust. Więc choć promujący idee Telakowskiej intelektualiści piętnują na łamach prasy „straszne mieszkania" burżujów i mieszczan, ich wzorce estetyczne przejmuje rosnąca PRL-owska klasa średnia, w tym robotnicy, która sama przemienia się w mieszczaństwo nowego typu. Dopiero wraz z odwilżą Instytut odchodzi od pomysłu, by włączać społeczeństwo w produkowanie przedmiotów codziennego użytku.

Mimo wysiłków Telakowskiej ówczesne mieszkania Polaków długo nie mają wiele wspólnego z tym, jak dziś mogliby je wyobrażać sobie posiadacze wysmakowanych wnętrz, w których designerskie meble i ceramika zajmują poczesne miejsce. Są raczej zbieraniną przypadkowych sprzętów: częściowo z odzysku, z szabru oraz z tego, co akurat udaje się dorwać w sklepach, bo początkowo zarówno meble, jak i dodatki są drogie i produkowane w krótkich seriach, a zatem trudno dostępne. Z kolei twórcy, nastawieni na wymyślanie nowych wzorów, narzekają, że zmusza się ich do powielania starych pomysłów, tylko dlatego, że sprzedaje się to, co masowy odbiorca uzna za „ładne". Ale i tak niemal wszystko, co trafia na krajowy rynek, schodzi na pniu. Przykładem inne krzesła projektu Chomentowskiej, sprzedane w stu tysiącach egzemplarzy.

Mieszczańska z ducha przytulność pełni dla obywateli – niezależnie od pochodzenia – funkcję ochronną przed tym, co za progiem. Dom ma być dla Polaka

Kieliszki, projekt Zbigniewa Horbowego, lata 70. XX w. Wystawa stała „Cudo-Twórcy", Muzeum Narodowe we Wrocławiu

eprasa.pl 631e544192

przede wszystkim futerałem chroniącym przed niepewnością i kryzysami, więc estetom pokroju Telakowskiej, choćby o najlepszych intencjach, nic do niego. Tymczasem projektowane w IWP „rzeczy niepospolite", lekkie i łatwe w utrzymaniu, oprócz piękna komunikują racjonalność nowej rzeczywistości, pozbawionej wojennych strachów, przekonują, że świat znów stał się bezpiecznym miejscem.

Nic nie stoi na przeszkodzie, by popijać kawę ze zdobionych ręcznie filiżanek o wyrafinowanych kształtach projektu Lubomira Tomaszewskiego, wytwarzanych z prawdziwej porcelany w zakładach „Wawel" w Wałbrzychu lub „Ćmielów". Współpracujący z Telakowską wytwórcy ceramiki mają szczęście, bo udaje się im wprowadzić wiele wzorów do masowej produkcji. Sukcesem IWP w latach 60. dzięki zleceniu z Ministerstwa Oświaty okazują się też serie mebli, które wyposażą liczne, powstające wówczas szkoły-tysiąclatki.

Z piwnicy

W marcu 1968 r. w IWP, kilka lat wcześniej przekształconym już wyłącznie w jednostkę badawczą, powstaje list przeciw aresztowaniu studentów i antysemickiej nagonce. Telakowska dostaje wypowiedzenie. Kilka miesięcy później wraca do Instytutu, ale w podrzędnej roli, jako szefowa Zakładu Inwencji Plastycznych. Choć traci z wolna wzrok, opracowuje nowe projekty i plany rozwoju. Nikogo już nie interesują. Chciałaby jeszcze pojechać do Francji, do Hiszpanii, poprowadzić badania nad „rodzimością plastycznego wyrazu". Nic z tego. Wypchnięta na emeryturę, ostatnie lata życia, już niewidoma, spędza w samotności w swoim mieszkaniu na warszawskiej Ochocie.

Przed ostatecznym odejściem z Instytutu zdąży jeszcze wykorzystać jedną znajomość – ze Stanisławem Lorenzem, by przekazać kierowanemu przezeń Muzeum Narodowemu w Warszawie bezcenne zbiory wzorcowni IWP, obejmujące zarówno dokumentację projektową, jak i prototypy. Zapoczątkują Ośrodek Wzornictwa Nowoczesnego, którego zbiory rozrosną się z czasem do kolekcji liczącej 25 tys. obiektów. Ale masowego uznania przez Polaków tego dorobku, wyjmowanego z magazynów w Otwocku tylko przy okazji wystaw czasowych, już nie doczeka.

Dopiero w 2011 r., przy okazji wystawy „Chcemy być nowocześni", wybrane obiekty pojawią się na stałe w Muzeum Narodowym w Warszawie, w otwartej wówczas niewielkiej Galerii Wzornictwa Przemysłowego. Wtedy zacznie się poszukiwanie prac sygnowanych przez ich projektantów w piwnicach i na strychach.

Gdyby Instytut był przedsiębiorstwem nie państwowym, lecz prywatnym, zaś Telakowska jego szefową, jak Maija Isola w fińskim Marimekko, jej nazwisko znacznie wcześniej mógłoby stać się symbolem polskiego wzornictwa na skalę światową, zaś Instytut – silną marką, zarabiającą wciąż krocie na sprzedaży tkanin, ubrań i elementów wyposażenia wnętrz. Wiele projektów z krótkich serii czy partii testowych, rozchwytywanych dziś przez kolekcjonerów, pewnie weszłoby do produkcji. Twórcy też mieliby szansę na większą rozpoznawalność i zyski.

Pytanie jednak, czy zamierzenie na taką skalę, jaką okazał się Instytut, mogłoby się udać w innym systemie niż gospodarka planowa i w kraju demokratycznym? Dziedzictwo Telakowskiej i tak jest imponujące – to setki tysięcy świetnie zaprojektowanych krzeseł, foteli, etażerek, zestawów porcelany, kryształów i szkieł.

Pewnie byłaby dziś szczęśliwa widząc, jak młodzi kolekcjonerzy pieczołowicie odnawiają własnym sumptem meble z epoki, czasem jeszcze wypatrzone na śmietnikach, częściej – upolowane na aukcjach. © BEATA CHOMĄTOWSKA

Gdzie obejrzeć polski design

- **Galeria Wzornictwa Polskiego, Muzeum Narodowe w Warszawie** – część stałej ekspozycji Muzeum prezentująca dorobek polskich projektantów wzornictwa przemysłowego od początku XX w.

- **Przedmioty: Galeria Designu Polskiego XX i XXI wieku, Muzeum Narodowe w Krakowie, Kamienica Szołayskich** – stała ekspozycja pokazująca najważniejsze osiągnięcia polskiego designu, od projektów graficznych, przez modę i meble, po gry komputerowe.

- **Cudo-Twórcy, Muzeum Narodowe we Wrocławiu** – wystawa złożona z trzech części, w tym prezentacji wybranych obiektów współczesnego szkła artystycznego i ceramiki ze zbiorów Muzeum; jedna z największych specjalistycznych kolekcji tego typu w Polsce.

- **Sztuka dwudziestolecia międzywojennego – art déco, Muzeum Mazowieckie w Płocku** – największa wystawa stała poświęcona sztuce tego okresu, z galerią designu, w której podziwiać można m.in. bogatą kolekcję szkła cenionych polskich hut, ceramikę z Ćmielowa, Pacykowa i wytwórni śląskich, a także kilimy zaprojektowane przez cenionych polskich artystów międzywojnia.

- **Pracownia Vzory, Poznań** – galeria pokazująca przekrojowo dorobek polskiego designu: 50 eksponatów, wśród których znajdują się meble, ceramika, akcesoria i szkło.

- **Polski modernizm. Walka o piękno, 20–26 kwietnia, Torre Velasca, Mediolan.** Ekspozycja Fundacji Visteria przedstawiająca, w ramach Milan Design Week, różne odmiany polskiego modernizmu i jego historię. Oprócz dzieł wypożyczonych z Galerii Wzornictwa Polskiego oraz prac współczesnych twórczyń i twórców inspirujących się tym nurtem znajdzie się na niej pokój zaaranżowany przez IWP. We wrześniu wystawa będzie prezentowana w Willi Gawrońskich w Warszawie.



ARKADIUSZ PODSTAWKA / MNWR

eprasa.pl 631e544192





JEDYNA W POLSCE WYSTAWA STAŁA SZTUKI

ART DÉCO

Muzeum Mazowieckie w Płocku





REKLAMA

Mazowsze. serce Polski

Muzeum Mazowieckie w Płocku jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Mazowieckiego

eprasa.pl 631e544192

REKLAMA

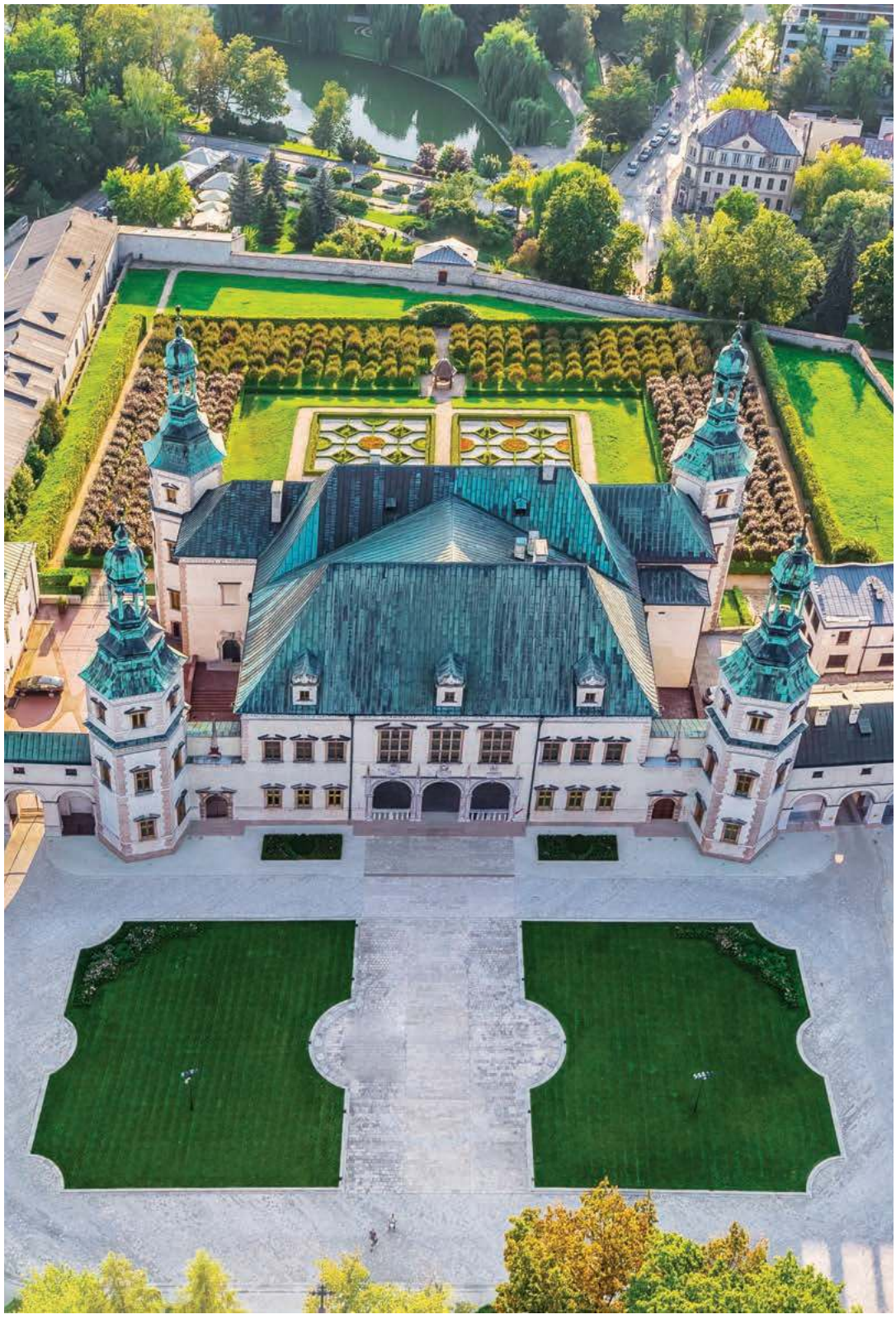

muzeum narodowe w kielcach

dla odmiany...

mnki.pl

mecenas Muzeum Narodowego w Kielcach

PGE

eprasa.pl 631e544192



MATERIAŁY PRASOWE X2

Nicolas Grospierre, „Heliogramy w Sali Salomona. W poszukiwaniu światła", Łazienki Królewskie w Warszawie

Światło i lśnienie

PIOTR KOSIEWSKI

Współczesność wkracza do królewskich rezydencji oraz muzeów poświęconych dziełom powstałym przed wiekami. Czy sztuka dawnych mistrzów nam nie wystarcza?

Na Zamku Królewskim w Warszawie obrazy czterdziestoletniego Łukasza Stokłosy zawisły obok dzieł Jana Matejki. Inne prace artysty można znaleźć w apartamentach Stanisława Augusta Poniatowskiego. Nie jest to pierwszy taki przypadek: w ubiegłym roku prace tego samego malarza oglądaliśmy na Wawelu.

To nie tylko polska moda. W paryskim Luwrze wystawiono obrazy Marlene Dumas, artystki urodzonej w RPA w roku 1953, mieszkającej na stałe w Holandii. Dumas została tym samym pierwszą współczesną malarką, której prace włączono do stałej kolekcji tego muzeum, zasadniczo prezentującego sztukę powstałą do połowy XIX stulecia. W zeszłym roku Luwr nabył także pierwszą pracę wideo – dzieło urodzonego w Algierii w 1978 r. Mohameda Bourouissy.

Legendarne francuskie muzeum nie jest jedynym, które od pewnego czasu coraz odważniej prezentuje współczesną twórczość. Od lat robi to na przykład Pałac w Wersalu. Emocje, a nawet mały skandal, wywołało pokazanie w nim prac Jeffa Koonsa, jednej z ikon współczesnej sztuki. Potem przyszła kolej na ekspozycje innych topowych postaci, takich jak Takashi Murakami, Joana Vasconcelos czy Anish Kapoor.

Z kolei w 2022 r. obrazy Anselma Kiefera zapełniły Salę dello Scrutinio weneckiego Pałacu Dożów. Specjalnie z tej okazji namalowane, weszły w dialog z historycznym dziełami Tintoretta czy Palmy młodszego, które od wieków zdobią jedno z najpiękniejszych wnętrz tej rezydencji. A dwa lata później prace głośnego niemieckiego malarza wypełniły florenckie Palazzo Strozzi.

Nowosielski i Bałka na Wawelu

Polskie muzea mieszczące się w historycznych zamkach czy pałacach wydają się na razie bardziej zachowawcze. A przynajmniej tak są postrzegane.

eprasa.pl 631e544192



Łukasz Stokłosa „Lśnienie", Zamek Królewski w Warszawie

A przecież już w latach 60. wykonano wyposażenie kilku wawelskich pomieszczeń według projektu prof. Mariana Sigmunda – zachowane do dziś meble są bardzo cennym przykładem designu tego czasu. Organizowano też wystawy aktualnie powstającej sztuki, a nawet nabyto obrazy Tadeusza Brzozowskiego, Jerzego Nowosielskiego i Jonasza Sterna (choć przez lata ich nie prezentowano).

Dopiero po latach Wawel nam o nich przypomniał. To jednak nie wszystko. Wielką, zorganizowaną w 2021 r. wystawę „Wszystkie arrasy króla" otwierała przecież instalacja wideo Mirosława Bałki oraz obraz Marcina Maciejowskiego. Trzy lata później obrazy tego ostatniego zostały skonfrontowane z wizerunkami przedstawicieli szlachty, dworzan i urzędników królewskich.

Zawieszenie prac Maciejowskiego m.in. w Sali Pod Ptakami przypominało, że również sto lat temu, restaurując Wawel po zniszczeniach z czasów zaborów, zwrócono się do współczesnych artystów. Malowidła w historycznych wnętrzach wykonali m.in. Felicjan Szczęsny Kowarski, Józef Pankiewicz czy Zygmunt Waliszewski. To dziś największy zachowany zespół polskiego malarstwa monumentalnego z czasów II RP.

Wystawy ostatnio zorganizowane na Wawelu sprawiły, że istotne stało się pytanie, czy sztuka współczesna powinna znaleźć swe stałe miejsce w rezydencji, w której przechowywane są jedne z najważniejszych historycznych i artystycznych świadectw polskiej przeszłości.

To pytanie dotyczy także innych ważnych muzeów.

Abakany i arrasy

„Współczesna twórczość może stać się dla dzieł z przeszłości rodzajem kontrapunktu" – tłumaczył na łamach „Tygodnika Powszechnego" Andrzej Betlej, dyrektor Wawelu. Wypowiedź towarzyszyła zorganizowanej w krakowskiej rezydencji indywidualnej wystawie Łukasza Stokłosy.

Niedługo potem w Sali Senatorskiej znalazła się ekspozycja „Abakanowicz. Bez reguł", w której abakany zestawiono z arrasami z kolekcji Zygmunta Augusta. Dzieła artystki zawisły obok werdiur o tematyce animalistycznej i pejzażowej. Na wystawie znalazła się też monumentalna tapiseria „Bóg błogosławi rodzinę Noego".

Wystawa na Wawelu po raz pierwszy zestawiała abakany z wybitnymi przykładami tkactwa z przeszłości. Pozwalała odmiennie spojrzeć na dzieła Magdaleny Abakanowicz, zobaczyć je w innym, niecodziennym kontekście. Jednak, co chyba najważniejsze, dała nam szansę inaczej spojrzeć też na renesansowe arrasy.

W tym roku Wawel będzie kontynuował swój dialog z aktualną twórczością. W kwietniu w zamkowych ogrodach zostanie zaprezentowana praca Joanny Rajkowskiej. Po dzieła współczesnych artystek i artystów coraz częściej sięgają także Łazienki Królewskie w Warszawie. W królewskim parku można było oglądać m.in. rzeźby amerykańskiej artystki o polsko-ukraińskich korzeniach Ursuli von Rydingsvärd. Obecnie zaś w Pałacu Myślewickim prezentowany jest obraz popularnej na świecie malarki Ewy Juszkiewicz „Bez tytułu (Za Abrahamem van den Templem)".

W pustce po Bacciarellim

Jednym z najwspanialszych wnętrz w Pałacu na Wyspie była Sala Salomona. Zapełniały ją powstałe w latach 1788-1793 obrazy Marcella Bacciarellego przedstawiające historię biblijnego króla. Jej program wpisywał się w kreowany przez Stanisława Augusta Poniatowskiego wizerunek roztropnego władcy, który w swej polityce odwołuje się do kluczowych postaci z historii.

Niestety w 1944 r. Niemcy podpalili pałac. Po wojnie salę starannie odnowiono, jednak nie zdecydowano się na rekonstrukcję zniszczonych w płomieniach dzieł Bacciarellego. Sala Salomona pozostała jedynie bogatą oprawą nieistniejących malowideł. Ich rekonstrukcja byłaby zresztą bardzo trudna. Pokazuje to przykład plafonu Sali Balowej Zamku Królewskiego, także autorstwa Bacciarellego – zdecydowano się na jego odtworzenie, ale efekt tej pracy jest bardziej niż kontrowersyjny.

W przypadku Sali Salomona sięgnięto wiele lat później po nieoczywisty ruch: poproszono współczesnych artystów i artystki, by wypełniły pustą przestrzeń po obrazach. Pierwszym artystą, ↦

eprasa.pl 631e544192

↦ który odpowiedział na zaproszenie, jest urodzony w 1975 r. Nicolas Grospierre. Wykorzystał on heliogramię, mało znaną technikę fotograficzną, w której obraz powstaje bez użycia aparatu, filmu i papieru. To promienie słoneczne „rysują" kształty na aksamicie.

W ten sposób powstały dwa abstrakcyjne obrazy, jeden utrzymany w ciepłych, drugi w zimnych barwach – oba nieoczywiste, tajemnicze. Przypominające o trwałości i przemijaniu świata.

Kontrowersyjna obecność

„Lśnienie" Łukasza Stokłosy na Zamku Królewskim w Warszawie to z kolei dialog z przeszłością. Przede wszystkim z malarstwem historycznym, które od wieków było obecne w tych wnętrzach, a dzisiaj w znacznej mierze określa jego tożsamość jako „świątyni pamięci i nieśmiertelnej chwały".

Nie jest to klasyczna wystawa odbywająca się w wydzielonej części rezydencji. Obrazy Łukasza Stokłosy „zainfekowały" apartamenty królewskie i sale matejkowskie. Znalazły się obok klasycznych, niekiedy ikonicznych dzieł, jak „Batory pod Pskowem" i „Konstytucja 3 maja".

Część zwiedzających może być nawet zaskoczona wystawieniem sztuki współczesnej akurat w tych wnętrzach. U niektórych sprzeciw wywołuje sam pomysł jej obecności w królewskiej rezydencji, co pokazywały komentarze w mediach społecznościowych.

A jednocześnie twórczość Stokłosy jest przecież dość „bezpiecznym" wyborem, bo wydaje się wręcz demonstracyjnie nienowoczesna. Zanurzona w tradycji, nieustająco odwołująca się do przeszłości i jej materialnych świadectw, ale też do pamięci historycznej. Historia jest zawsze „rekonstrukcją tego, czego już nie ma" – podkreślał wybitny francuski historyk Pierre Nora. Odtwarzaniem ułomnym, problematycznym, tworzonym z resztek tego, co pozostało. Stokłosa od dawna przygląda się pozostałościom przeszłości. W przypadku obrazów pokazanych na „Lśnieniu" szczególnie związanych z władzą i jej splendorem.

Na płótnach widzimy wnętrza, pejzaże, pojedyncze przedmioty. Zanurzone w mroku, czasami rozmyte, niczym uchwycone w przelocie kadru. Wyglądają, jakby były jedynie niepewnym wspomnieniem tego, co artysta zobaczył. I, co najważniejsze, ludzie są w nich zazwyczaj nieobecni. Wnętrza zostały opuszczone, a przedmioty porzucone.

Tym bardziej uderzające jest zestawienie jego obrazów z tym, co na stałe eksponuje Zamek Królewski. Te nieoczywiste sąsiedztwa mogą wymuszać pytania o to, czym dla nas jest przeszłość przedstawiana na obrazach współczesnego malarza. Przede wszystkim zaś zachęca do pytań o nasz stosunek do historii, która bywała tutaj bardzo różnie opowiadana.

© PIOTR KOSIEWSKI

Nicolas Grospierre, **HELIOGRAMY W SALI SALOMONA. W POSZUKIWANIU ŚWIATŁA**, Warszawa, Łazienki Królewskie, czynna do 30 sierpnia

Łukasz Stokłosa. **LŚNIENIE**, Warszawa, Zamek Królewski, wystawa czynna do 31 października

REKLAMA



eprasa.pl 631e544192

REKLAMA

16–18.04
2026
GDAŃSK

FESTIWAL EUROPEJSKI POETA WOLNOŚCI

Instytut
Kultury Miejskiej

MIEJSCA STYKU



www.europejskipoetawolnosci.pl

Organizatorzy

GDAŃSK

Projekt finansowany z dotacji Miasta Gdańska.

GDAŃSK MIASTO LITERATURY unesco

Instytut kultury miejskiej

europejski poeta wolności

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Partnerzy

DOM LITERATURY W GDAŃSKU

VERSOPOLIS where poetry lives

Dziennik Literacki

Patroni medialni

BOOKLIPS.PL

teraz!

IKSIĄŻKI

Pismo.

TYGODNIK POWSZECHNY

prestiż magazyn trójmiejski

RADIO 357

Radio Gdańsk

trojmiasto.pl

eprasa.pl 631e544192

2–5 lipca, Lublin
Wstęp wolny

INNE BRZMIENIA

wschód kultury

Koncerty bez kompromisów.
Dyskusje bez granic.
Muzyka bez cennika.

Zeskanuj
i sprawdź
line–up

WSCHODNI EXPRESS

SPOTKANIA AUTORSKIE
PREMIERY LITERACKIE

2–5 LIPCA, LUBLIN
WSTĘP WOLNY



POZNAJ NASZE KSIĄŻKI

WYDAWNICTWO WARSZTATY KULTURY
LITERARY EASTERN EXPRESS

REKLAMA

re:tradycja
JARMARK JAGIELLOŃSKI

Festiwal muzyki
i rzemiosła tradycyjnego

21–23. 08. 2026
Lublin, wstęp wolny



zeskanuj
i dowiedz
się więcej

Teatr Wielki w Poznaniu: co zobaczymy wiosną

Operowa klasyka w różnych odsłonach, poruszające współczesne choreografie i spektakularny finał sezonu: premiera baletu „Caravaggio”.

Różnorodny repertuar, współpraca z najbardziej uznanymi realizatorami i artystami oraz najwyższy poziom wykonawczy sprawiają, że widzowie chętnie odwiedzają gmach pod Pegazem. W nadchodzących miesiącach miłośnicy opery – zarówno w nowatorskich, jak i tradycyjnych inscenizacjach – będą mogli zobaczyć dwa dzieła Verdiego: „**Rigoletto**” i „**Aidę**”, a także „**Cyrulika sewilskiego**” Rossiniego oraz „**Czarodziejski flet**” Mozarta. Obok operowych arcydzieł w repertuarze poznańskiej sceny nie zabraknie również propozycji dla widzów ciekawych współczesnej choreografii.

Premierą wieńczącą sezon będzie balet „**Caravaggio**”, inspirowany zarówno malarstwem włoskiego artysty, jak i tajemnicą otaczającą jego życie. Choreograf Mauro Bigonzetti nie odtwarza scen z obrazów, ale koncentruje się na tym, co w nich najważniejsze: napięcie ciał, intensywność gestów i fizyczność postaci. Warstwa muzyczna, przygotowana przez Bruna Morettiego, opiera się na motywach muzyki Claudia Monteverdiego. Przed nami zachwycająca interpretacja sposobu patrzenia na ciało i emocje przez Caravaggia, przełożona na język tańca i muzyki **(premiera: 26 czerwca, spektakle: 27-28 czerwca)**.

Premierę „Caravaggia” poprzedzą prezentacje tytułów niezmiennie zachwycających i intrygujących publiczność. Już w kwietniu na poznańską scenę powróci „Rigoletto”. Verdi był przekonany, że to jego najlepsza opera, w której walory muzyczne idealnie współgrają z dramatycznym przebiegiem akcji. Elementy filmowe bliskie kinu noir, które wprowadził do inscenizacji reżyser Marcin Bortkiewicz, łączą frywolność dworskich igraszek z buzującym od intryg podskórnym życiem dworu. W tytułowej partii usłyszymy Andrzeja Dobbera i Luisa Cansino (**9-12 kwietnia**).

Mimo że komponowanie „Cyrulika sewilskiego” zajęło Rossiniemu podobno trzy tygodnie, dzieło to uznawane jest za jedno ze szczytowych osiągnięć w gatunku opera buffa. Kunsztowne arie, zabawne dialogi i lekkość kompozytorskiego pióra sprawiają, że „Cyrulik” rokrocznie pojawia się w repertuarze poznańskiego Teatru i cieszy widzów. W partii Figara wystąpią: Stanislav Kuflyuk i Hubert Zapiór (**7 i 9 maja**).

„Czarodziejski flet” powstał w roku śmierci Mozarta, a sceniczny żywot dzieła trwa nieprzerwanie od końca XVIII w. Opera zachwyca różnorodnością form: znajdziemy tu chóry, arie, wielkie ensamble, finały, a także katalog postaci, które kompozytor obdarzył szczególną muzyczną aurą. Doskonałe głosy oraz inscenizacja Sjarona Minailo, w której kierownictwo muzyczne sprawuje Jacek Kaspszyk – to trzeba zobaczyć! (**14-17 maja**).

Po premierze baletu „**4: Pastor / León & Lightfoot / Bondara**” Katarzyna Gardzina napisała w recenzji: „Spektakl zelektryzował miłośników tańca współczesnego, dla których te nazwiska są gwarancją nietuzinkowej zabawy formą. Po reakcjach publiczności można wnioskować, że przedstawienie porywa nie tylko znawców” („Ruch Muzyczny”, nr 15/2024). Bogactwo ekspresji wykreowanej ruchem, połączonej z muzyką Schnittkego, Góreckiego, Schuberta i Ravela – już w maju (**22-24 maja**).

„Aida” – skrząca różnorodnością barw muzyka Verdiego, zazdrość, tęsknota. Wsłuchajmy się w rozterki zwycięskiego egipskiego generała Radamesa, kochanego przez dwie kobiety: Amneris, córkę faraona, i brankę Aidę – córkę króla Etiopów. Spektakl z udziałem solistów i zespołów Teatru Wielkiego w Poznaniu oraz zaproszonych gości poprowadzi Antonello Allemandi (**10-14 czerwca**).

Klasyka operowa w nieoczywistych inscenizacjach oraz współczesne odsłony tańca – druga część tegorocznego sezonu to przestrzeń artystycznych wyzwań, pełna emocji i poruszających doświadczeń. Repertuar Teatru Wielkiego w Poznaniu zaprasza do odkrywania fascynującego świata opery i baletu.

Więcej na stronie:
opera.poznan.pl



OSKO / BOGUNIA // ARCHIWUM TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU X2





EWA KRASUCKA / ARCHIWUM TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU

Od góry: próba do „Caravaggia”, sceny z „Czarodziejskiego fletu” oraz baletu „4: Pastor / León & Lightfoot / Bondara”.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

ORGANIZATORZY TEATRU

WIELKOPOLSKA

INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS TEATRU

Enea

TEATR WIELKI im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu

eprasa.pl 631e544192



TOM POWEL / MATERIAŁY PRASOWE MSN

Julie Mehretu, „Ghosthymn (after the Raft)" 2019-2021 r.,
dzięki uprzejmości artystki i Marian Goodman Gallery, Nowy Jork

Co nas nawiedza

JULIE MEHRETU, MALARKA:

Nie dorastałam w otoczeniu obrazów, w moim rodzinnym Michigan nie było muzeów sztuki współczesnej. Dość długo nie wiedziałam nawet, że mogę żyć jako artystka.

ALEKSANDRA KAMIŃSKA: Przygotowania do wystawy w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie wiązały się z badaniem historii rodziny Twojej matki i poszukiwaniem jej polskich korzeni. Skąd pochodzi część Twojej rodziny?

JULIE MEHRETU: Mój pradziadek pochodzi stąd, z Polski. Pokażę ci na mapie – tu się urodził.

W Jeżowie?

Między Jeżowem, Brzezinami i Piotrkowem Trybunalskim. Straciliśmy kontakt z całą rodziną z Polski. Współpracuję z archiwami i szukam przodków mojego prapradziadka, chcę wiedzieć, czy żyją jacyś krewni.

Czy ta część rodzinnej historii jest obecna w Twojej twórczości?

Jeszcze nie, ale spora część mojej pracy zawsze dotyczyła zgłębiania siebie i świata. Moje wcześniejsze rysunki były poszukiwaniami tego, kim jestem; miały w sobie coś z wykopalisk. Nie wiem jeszcze, jak przełoży się to na malarstwo.

Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej przenosi Twoje prace do miasta, które było najpierw

eprasa.pl 631e544192

zburzone, potem odbudowane, zmieniało swoje granice. Czy historyczny i przestrzenny kontekst Warszawy wpływa na to, jak myślisz o wystawie?

Pobyt tutaj przypomina mi moje początki w Berlinie. Po raz pierwszy spędziłam tam więcej czasu w połowie lat dwutysięcznych i Berlin otworzył przede mną świat wielowarstwowych historii oraz kontekstów politycznych, które te historie ukształtowały. Widziałam tkankę tego miasta: badałam, jak miasta upadają i są odbudowywane; jak są brutalnie rozbijane i jak wpływa na to polityka.

Pobyt w Warszawie zaczęłam od pytania o najbliższą przyszłość. Wiem, że w ostatnich wyborach parlamentarnych udało się osiągnąć bardziej liberalny wynik, ale wybory prezydenckie poszły w drugą stronę, z niewielką przewagą, ukazując podziały społeczne. Moja twórczość wyrasta właśnie z punktów zwrotnych, historii i doświadczeń. Jednocześnie interesuje mnie, gdzie obecnie możemy znaleźć przestrzeń na emancypację.

Czas w Warszawie jest dla mnie bardzo pouczający. Jestem w kraju, który doświadczył komunizmu i powojennej rzeczywistości, a następnie populistycznego dążenia do autorytaryzmu. Populizm jest pod tym względem podobny w Stanach Zjednoczonych i wydaje się, że znajdujemy się w bardzo regresywnych czasach. Amerykanie nie zawsze zdają sobie z tego sprawę, ale imigranci, którzy doświadczyli upadku rządów, często są bardziej świadomi sytuacji politycznej. Mogę się wiele nauczyć z pobytu w Warszawie i staram się to wszystko chłonąć.

W swoich pracach często korzystasz z planów architektonicznych i fragmentów map. Nawet teraz, mówiąc o korzeniach Twojej rodziny, od razu pokazałaś mi mapę. Kiedy zainteresowałaś się architekturą jako językiem wizualnym i konceptualnym, w jaki sposób przeniknęła ona do Twojej praktyki artystycznej?

Architektura zaciekawiła mnie jako sposób przekazywania idei społecznych i politycznych. Pracowałam z językiem architektonicznym przez wiele lat. Korzystając z rysunku i malarstwa abstrakcyjnego badałam, jak powstają, niszczeją i odbudowywane są miasta, jak zmieniają się wokół nich narracje. W pewnym momencie poczułam, że rysunek architektoniczny stawia opór śladowi pędzla, że wyłaniają się dwa przeciwstawne języki.

Z czasem architektura stała się dla mnie zbyt sztywna jako struktura, bardziej interesowało mnie, co można osiągnąć gestem malarskim, kiedy nie jest do niej przywiązany. Architektura może nas zarówno wyzwolić, jak i zniewolić.

W swoich pracach podważasz zwykle niekwestionowany autorytet map i diagramów.

Dokładnie. To mój cel: podać w wątpliwość, a następnie uwidocznić absurd zjawiska. Zdałam sobie sprawę, że naprawdę interesujące rzeczy dzieją się wtedy, gdy podczas pracy nie kontroluję swojej ręki. Wykorzystałam idee Kartezjusza: polegałam na narzędziach kartografów i strukturach architektonicznych, aby nadać sens temu specyficznemu chaosowi, który tworzyła moja ręka.

W ten sposób zaczęłam do malarstwa wprowadzać język architektury, włączając go warstwa po warstwie. Po pewnym czasie kontekst przesunął się z budynków na rozmazane obrazy, zadając pytanie o znaczenie pozostałości fotografii, o to, co nawiedza obraz.

Cieszę się, że wspomniałaś o nawiedzeniach, ponieważ tytuł Twojej wystawy to „Kairos/ /Wariacje duchologiczne”. W jaki sposób echa przeszłości są obecne w Twojej pracy? I jak na Twoją sztukę wpływa duchologia Jacques’a Derridy – idea, że teraźniejszość jest nawiedzana przez powracające elementy przeszłości, a czasem także przez straconą przyszłość?

Nasza przeszłość ciągle nas nawiedza. Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej jest jedną z wystaw, w których wykorzystuję duchologię, wychodząc od Derridy, ale także myśli Marka Fishera i książki „Ghostly Matters” Avery Gordon. Czułam to nawiedzenie już w drodze do Warszawy, historia wszędzie jest tu widoczna. Dzieje się tu coś, czego doświadczyliśmy już wcześniej. Możemy bawić się koncepcją duchologii w sposób, w jaki myślał o niej Mark Fisher w kontekście muzyki i kultury, ale w duchologii mieszczą się też trudne karty historii, z którymi musimy się zmierzyć i które kształtują to, kim jesteśmy. Wtedy właśnie rozmazany obraz tworzy przestrzeń, żeby powstało coś nowego.

Wiele budynków ma wciąż widoczne dziury po kulach, a co kilka kroków natykamy się na pomnik lub miejsce pamięci. Nie da się uciec od historii.

To niesamowite i znów trochę przypomina mi Berlin. Berlin mnie ukształtował, to tam zaczęłam pracować z szarością, która jest wszechobecna.

W swoich pracach skupiasz się na tematach konfliktów i przesiedleń. Jak ewoluowało Twoje rozumienie migracji i kryzysów?

To moment, w którym wracam do duchologii: obecna sytuacja przypomina naszą przeszłość. Różnica jest taka, że tym razem inni ludzie doświadczają tych form przemieszczania się. Trzysta czy czterysta lat temu to Europejczycy wyruszali, by zakładać kolonie. To jeden z powodów, dla których mój obraz „Ghosthymn (after the Raft)” nawiązuje do „Tratwy Meduzy” Théodore’a Géricaulta z początku XIX w. Géricault chciał stworzyć arcydzieło, wielkie malarstwo o znaczeniu historycznym. Teraz te same obrazy migrantów na łodziach widzimy cały czas w gazetach, to po prostu inne osoby.

W przypadku „Ghosthymn (after the Raft)” zaczęłam od rozmycia zdjęć z dwóch antyimigracyjnych wieców, jednego popierającego brexit oraz drugiego antyimigracyjnego protestu w Chinach. Następnie połączyłam je, wykorzystując strukturę „Guerniki”.

Musimy znaleźć nowe sposoby radzenia sobie z konfliktami – stare, znane nam modele nie działają.

Seria „TRANSpaintings” również czerpie z fotoreportażu, w tym ze zdjęć rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Jednak podobnie jak w przypadku „Ghosthymn (after the Raft)”, źródłowe obrazy ulegają abstrakcji. Abstrakcyjne rozmycie zdjęć jest sposobem na zachowanie tych obrazów czy na uwolnienie ich od pierwotnego kontekstu?

Jedno i drugie. Kiedy obraz jest rozmyty, pojawia się w nim rodzaj widmowej mgły: zjawy w świetle, kolorach i kształtach. Nie kieruję tego w żadną ↦

eprasa.pl 631e544192



Julie Mehretu, „They departed for their own country another way" [Inną drogą powrócili do ziemi swojej], 2023 r., kolekcja Fundacji YAGEO (Tajwan), Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

↦ stronę. Pracuję bardzo intuicyjnie, próbując przywołać coś nowego poprzez kontakt z tymi widmami. Rozmazuję zdjęcia w Photoshopie, a mój asystent Damien wykonuje zwykle pierwszy szkic. Potem rozpoczynam pracę nad obrazem.

Niekoniecznie chcę, żeby ruch pędzla i widmo opowiadały jakąś historię. Znacznie bardziej ciekawi mnie emocjonalne przeżycie, jakie można mieć z obrazem. To niesamowite, jak cielesne może być to doświadczenie, tego właśnie szukam.

Znaczna część kultury wizualnej jest obecnie zakotwiczona w świecie wirtualnym, a nie w fizycznym, namacalnym doświadczeniu. Jednak skala wielu Twoich prac wymaga od widzów ruchu, fizycznego przemieszczania się.

O to właśnie chodzi w kwestii skali: skali znaku na płótnie i skali ludzkiego ciała. Chcę, żeby powstawał obraz, który ogląda się z daleka, w którym dostrzegasz te szerokie gesty. A kiedy podejdziesz bliżej, ten sam obraz rozbija się na miliony różnych historii i wydarzeń.

Angażując wiele zmysłów?

Tak, to pewnego rodzaju podróż, musisz faktycznie się poruszyć, aby zobaczyć cały obraz. To doświadczenie fizyczne: kiedy zrobisz kilka kroków do tyłu, nie widzisz wszystkich szczegółów, ale możesz je częściowo zapamiętać i zaczynasz patrzeć inaczej na całość.

Reagujemy na język sztuk wizualnych emocjonalnie, cieleśnie, tak po prostu jest. Pewne kolory tak na nas działają, pewne kształty, znaki i kompozycje – to część historii malarstwa, z którą pracuję. Moje pierwsze doświadczenia ze sztuką były somatyczne, zakotwiczone w ciele.

Kiedy kilka lat temu widziałam Twój obraz na żywo, niemal mogłam go usłyszeć.

Floating Points wykorzystał reprodukcję mojego obrazu jako rodzaj partytury dla siebie i Pharoaha Sandersa, pracując nad albumem „Promises". Inny kompozytor, Jason Moran, zobaczył moje obrazy i od razu powiedział, że mogą funkcjonować jako zapis utworu. Interesuje mnie wielozmysłowe, diagramatyczne doświadczenie – języki docierają do nas i oddziałują na nas na różne sposoby.

Współczesna kultura wizualna i media często kształtowane są przez feed mediów społecznościowych, krótkie wiadomości i obrazy

eprasa.pl 631e544192

generowane przez sztuczną inteligencję – ten szybki, ciągły przepływ, w którym obrazy pojawiają się i znikają niemal natychmiast. Ale malarstwo jest medium, które wymaga czasu.

Jest doświadczeniem. Wiele osób uważa, że widziało prace malarskie, oglądając je na telefonie, ale tam obraz ma wymiary 5 na 10 cm. Malarstwo wymaga, by oglądać je na żywo – zdjęcie po prostu nie wystarczy, fizyczne doświadczenie zanika.

Spójrz na Luwr – ile osób przemierza całe muzeum, aby zobaczyć „Mona Lisę". Pod Kaplicą Sykstyńską wciąż ustawiają się ogromne kolejki. Każdy, kto widział na żywo „Straż nocną" Rembrandta, dostrzega rzeczy, które wcześniej przegapił. Malarstwo jest medium opartym na czasie, podobnie jak film i wideo. Jednak wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że nie spędza przy obrazie wystarczająco dużo czasu.

Prowadzę warsztaty w krajach afrykańskich, gdzie badamy, w jaki sposób sztuka, film i media mogą funkcjonować jako narzędzia praktyk wyzwoleńczych, a nie tylko jako sposób przekazywania doświadczeń.

W jednym z wywiadów mówiłaś o chęci pozbycia się elitaryzmu w świecie sztuki, zwiększeniu dostępności. Czy istnieją rozwiązania instytucjonalne, które mogłyby wprowadzić te zmiany? Widzisz różnice w tym, jak publiczność reaguje na Twoje prace w różnych kontekstach?

W Europie sytuacja wygląda inaczej, ponieważ wiele tutejszych instytucji jest bezpłatnych lub niskopłatnych. Większość muzeów w Stanach Zjednoczonych stała się bardzo droga, 30 dolarów za bilet to bardzo dużo. Młode osoby powinny mieć dostęp do sztuki, w ten sposób ewoluuje kultura, w przeciwnym razie staje się bardzo ograniczona. Widać to na przykładzie USA z lat 60. i 70. W kraju powstawało tak wiele różnych dzieł, ale dostęp do sztuki afroamerykańskiej w muzeach pojawił się dopiero po 1968 r. Kiedy sztuka jest elitarna, nie odzwierciedla pełnego obrazu kultury.

W szkołach lekcje historii sztuki często opierają się na dość konserwatywnym podejściu.

W miejscach takich jak Muzeum Sztuki Nowoczesnej sytuacja zdaje się wyglądać inaczej. Za każdym razem, gdy tu jestem, spotykam dzieci. To naprawdę piękne muzeum, oferujące bogaty program. Nie dorastałam w otoczeniu sztuki współczesnej, w Michigan nie było żadnych muzeów sztuki współczesnej. Dość długo nie wiedziałam nawet, że mogę żyć jako artystka.

Wyjechałam do Nowego Jorku, pracowałam w restauracji i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że istnieje cały świat, do którego można po prostu wejść. Moje dzieci to wiedzą, dorastały w tym świecie, ale przez długi czas nie czułam się komfortowo wchodząc do galerii, które w większości są przestrzeniami zdominowanymi przez białe osoby. Tak zostały zaprojektowane, ale teraz to się na szczęście zmienia.

Jakie są społeczne i polityczne możliwości współczesnego malarstwa, zwłaszcza malarstwa abstrakcyjnego?

Nie do końca podoba mi się podział na sztukę abstrakcyjną i figuratywną. Istnieje więcej wymiarów sztuki; w dziełach figuratywnych jest dużo abstrakcji, a w malarstwie abstrakcyjnym mogą wyłaniać się prace figuratywne. Dla mnie malarstwo jest przestrzenią, w której widzę swój potencjał, gdzie mogę coś wnieść. Niekoniecznie pomyślałbyś o pracach Paula Klee jako o obrazach wojennych lub obrazach przedstawiających osoby przesiedlone, prawda? Ale obrazy mogą pełnić rolę świadków, są świadkami czasów.

Ważne jest to, co może się wydarzyć w przestrzeni sztuki, a ta przestrzeń jest naprawdę pełna potencjału. Mogą się w niej pojawić nowe sposoby myślenia, nowe sposoby rozumienia tego, co widzimy i jak to widzimy. Ale żeby tak się stało, trzeba mieć możliwość swobodnej pracy. Radykalna przestrzeń dla wyobraźni jest niezbędna dla wszelkiego rodzaju rozwoju i wszelkich form zmian. Malarstwo jest właśnie taką przestrzenią.

© Rozmawiała ALEKSANDRA KAMIŃSKA

Wystawę **KAIROS / WARIACJE DUCHOLOGICZNE** Julie Mehretu można zwiedzać w stołecznym MSN do 30 sierpnia

MATERIAŁY PRASOWE MSN



JOSEFINA SANTOS / MATERIAŁY PRASOWE MSN

JULIE MEHRETU nieustannie udowadnia, że malarstwo abstrakcyjne może funkcjonować zarówno jako zaangażowany komentarz polityczny, jak i głęboko cielesne doświadczenie. Wystawa Mehretu w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie to nie tylko pierwsza tak szeroka prezentacja jej twórczości w Polsce, ukazująca prace obejmujące trzy dekady działalności, ale także moment spotkania z miastem, którego historia zdaje się rezonować z jej własnymi poszukiwaniami w sztuce.

Wielowarstwowe prace Mehretu są przestrzenią, w której teraźniejszość zawsze nawiedzana jest przez duchy przeszłości, historia nie jest linearna, ale nakładana i rozmywana warstwa po warstwie. Wychodząc od kryzysów i migracji, Mehretu włącza do swoich prac elementy kartografii, rysunku architektonicznego, zdjęcia z wojen i protestów, ukazując złożoność współczesnych konfliktów.

Urodzona w Addis Abebie i mieszkająca w Nowym Jorku Mehretu jest jedną z najważniejszych współczesnych artystek, nagrodzona m.in. prestiżowym MacArthur Fellowship, znanym jako genius grant, zasiada w radzie Whitney Museum of American Art i zarządzie American Academy in Berlin, znalazła się również na liście stu najbardziej wpływowych osób magazynu „TIME". W swojej praktyce artystycznej śledzi napięcia zarówno w procesie tworzenia, jak i w kontekście krytyki społeczno-politycznej, którą podejmuje w swoich dziełach, mapując punkty zwrotne współczesnego świata.

eprasa.pl 631e544192

Ćwiczenia z władzy i pragnienia

„Power Play” i „Strach przed lataniem”, nowe spektakle TR Warszawa, opowiadają o ograniczeniach władzy i pożądania.

Jeśli mamy szczęście, rodzimy się królowymi lub królami – mając dorosłych na każde skinienie. Odkrywamy swoją moc poprzez płacz, krzyk albo życzliwy uśmiech. Z czasem jednak, dorastając, zaczynamy doświadczać także bezsilności wobec otaczającego nas świata.

„Power Play” to przedstawienie tworzone przez dzieci i dorosłych, jednak nie opowiada ono o dzieciństwie. Przeciwnie – przygląda się dorosłości jako procesowi przybierania ról, o niejasnych i często nieuchwytnych regułach. W spektaklu dzieci dzielą scenę z aktorami i aktorkami TR Warszawa. Poznają smak władzy, rozkoszują się jej słodyczą, a zarazem konfrontują z jej kruchością, grozą i towarzyszącą jej zdradą. Scenariusz powstał na podstawie improwizacji zespołu, luźną inspiracją była zaś powieść „Król Maciuś Pierwszy” Janusza Korczaka.

Reżyserką „Power Play” jest Samara Hersch, artystka pracująca w Europie, Australii i Azji, która w swoich projektach łączy współczesny teatr z działaniami społecznymi.

– Jako dzieci, a potem dorośli, często jesteśmy bardzo zaabsorbowani kwestią władzy – niezależnie od tego, czy to sobie uświadamiamy. Dzieci mają jej bardzo niewiele. To my, dorośli, ustalamy zasady, jednak musimy mierzyć się z przejęciem odpowiedzialności oraz koniecznością pogodzenia się z podatnością na zranienie, czasem także z bezsilnością – mówi Samara Hersch. – Dzieci mogą pomóc nam lepiej zrozumieć ten proces, prowokując do konfrontacji z samymi sobą, refleksji, wyobrażenia sobie innych możliwości – dodaje.

Spektakl jest adresowany zarówno do dorosłych, jak i do dzieci. Dla obu grup działa na różnych poziomach. – W ten sposób chcemy uczynić teatr przestrzenią, w której obie grupy mogą współistnieć i próbować odnaleźć wspólny dialog – podkreśla reżyserka. „Power Play” pyta: czym różni się wychowywanie dziecka od kształtowania społeczeństwa? Jak pozwolić dzieciom pozostać „niewinnymi i wolnymi” i kto płaci cenę za tę wolność?

▪ Set premierowy **„Power Play”** 23-26 kwietnia

„STRACH PRZED LATANIEM” – pożądanie, siła napędzająca życie

Czy ikoniczna powieść feministyczna z lat 70. wciąż może stawiać aktualne pytania? „Strach przed lataniem” Eriki Jong to książka, która wywołała skandal. Otwarcie opisywała kobiece pożądanie i ustanowiła nowy rodzaj bohaterki. Isadora Wing jest protoplastką wielu „kobiet w rozsypce”, które znamy z popkultury – z powieści Mirandy July, seriali „Girls”, „Fleabag” czy „Dziennika Bridget Jones”. Zabawna, niepoprawna, trochę neurotyczna.



IGA STASZEWSKA / MATERIAŁ PRASOWY

Warsztaty do „Power Play”

Niezależna, ale uwikłana w patriarchalny świat. Fantazjuje o przekraczaniu granic, a jednocześnie pozostaje obserwatorką własnych ograniczeń.

– Chcemy sprawdzić, na ile lata 70. to nasza przeszłość, a na ile przyszłość – mówi Weronika Szczawińska, reżyserka spektaklu, który będzie miał premierę w czerwcu w TR Warszawa. – Jong portretuje życie wewnętrzne kobiety, które jest regulowane przez coś, co nie do końca z niej wypływa. Przede wszystkim jest to więc spektakl o spotkaniu z samą sobą – dodaje.

Twórczynie i twórcy bawią się historycznością powieści, estetyką ery disco, jej wizualną atrakcyjnością, zmysłowością i witalnością, które są wpisane w książkę Jong.

– To opowieść o próbie wniknięcia w pożądanie jako siłę napędzającą życie: o rozpoznaniu, co jest nasze, a co narzucone – mówi reżyserka.

▪ Set premierowy **„Strachu przed lataniem”** 11-14 czerwca

Spektakl „Power Play” powstał w ramach międzynarodowego nurtu kuratorskiego „Do kogo należy teatr?” Marty Keil. Koproducentem „Power Play” jest Międzynarodowy Festiwal Teatrów dla Dzieci i Młodzieży „Korczak Dzisiaj”.

TR WARSZAWA

KORCZAK DZISIAJ

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

OFF SCHOOL

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 631e544192

REKLAMA


Platon
PAŃSTWO
DER STAAT
Reżyseria: Jan Klata
GRAMY: 15, 16, 17 maja 2026
Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie
duża scena
spektakl grany w języku starogreckim, polskim i niemieckim
NTM
SPEKTAKL W KOPRODUKCJI Z NATIONALTHEATER MANNHEIM
teatrwkrakowie.pl
Partnerzy Teatru
Patroni medialni Teatru
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
KULTURALNA MAŁOPOLSKA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
BMW M-Cars Group
Bielenda GROUP
65 TVP 3 KRAKÓW
TEATR DLA WSZYSTKICH

Teatr z opowieści

DARIUSZ KOSIŃSKI

Przedstawienia na podstawie powieści i opowiadań stały się w ostatnich sezonach specjalnością polskiego teatru. Fala narasta. Czas zapytać: co ją wzbudza i co ona ze sobą niesie?

Przez wiele lat powtarzano, że teatr wywodzi się z rytuału, bo ten szlachetny przodek zapewniał mu wysokie urodzenie. Jednak równie dobrze, a nawet lepiej da się wyprowadzić sztukę tworzenia przedstawień dramatycznych z zabawy, z żartów przy stole, oszustwa na rynku i nauczania w podmiejskim gaju. A najlepiej i najłatwiej – z opowieści.

Wie to każdy, kto kiedykolwiek słuchał gawędziarza – opowieść wciąż na nowo rodzi własny teatr. Zmiany intonacji, rytmu i brzmienia słów, obrazującą emocje mimikę, budzące wyobraźnię gesty, a nawet własne „efekty specjalne". To o nich opowiadał Adam Mickiewicz w słynnym wykładzie XVI z trzeciego kursu w Collège de France, zwanym „lekcją teatralną", gdy snuł wizję słowiańskiego teatru przyszłości. Wywołał wtedy z pamięci „teatr ludowego bajarza", który – opowiadając historię o żar-ptaku – rzuca w ogień garść suchych wiórów i na chwilę w ciemnej izbie pojawia się feniks odrodzony z popiołów wśród nocnej ciszy.

Opowieść i teatr spotykają się od wieków. Wspierają się, splatają i rozchodzą, by znów się do siebie zbliżyć. Wciąż na nowo czegoś od siebie chcą, czegoś potrzebują. Wygląda na to, że taki taniec rozkręca się właśnie ze szczególną intensywnością na polskich scenach.

Jak to wyszło

Nasz teatr od dawna korzysta z opowieści. Już w wieku XIX, epoce cotygodniowych premier i pogoni za nowościami, sięgano po popularne powieści jako źródła atrakcyjnych fabuł i budzących sympatię postaci, a także jako rynkowe marki.

Praktyka ówczesnych scen przypominała politykę dzisiejszych platform streamingowych: kolejne produkcje będące ekranizacjami znanych powieści w sposób oczywisty przyciągają uwagę i można mieć pewność, że nawet jeśli efekt końcowy nie będzie udany, to film lub serial zdobędzie wysoką oglądalność, bo publiczność będzie ciekawa „jak to wyszło".

Na tej zasadzie teatr drugiej połowy XIX w. korzystał z wielkiej popularności ówczesnych powieści (szczególnie Henryka Sienkiewicza), które na dodatek miały jeszcze spory a pożądany ładunek wartości patriotycznych i edukacyjnych.

W wieku XX zaszła dość zasadnicza zmiana. Nie jest przypadkiem, że twórca polskiego teatru inscenizacji, Leon Schiller, odnosił wielkie sukcesy wystawieniami powieści. Jego adaptacja i inscenizacja „Dziejów grzechu" Stefana Żeromskiego (Teatr Polski w Warszawie, premiera 19 X 1926 r.) była prawdziwym skandalem, bo pokazywała i wpisywała w żywe ciała osób aktorskich sceny i doświadczenia, o których istnieniu jeszcze niedawno solidarnie milczano. Ale też przynosiła nowy rodzaj dramaturgii – filmowo dynamicznej, rezygnującej z tradycyjnych sposobów budowania napięcia. Teatr odnawiał dzięki powieści swoje instrumentarium.

W drugiej połowie stulecia korzystanie z opowieści literackich stało się normą i funkcjonowało na wielu poziomach, zaspokajając różne potrzeby. Było sposobem na szybkie zapoznanie z lekturą uczniów szkół. Stanowiło sposób na przyciągnięcie do teatru publiczności niezaglądającej do niego regularnie. Służyło teatrowi aluzji. Ten ostatni był jednak tylko jedną z odmian bodaj najpopularniejszej strategii artystycznego korzystania z opowieści – scenicznej interpretacji, znacząco odchodzącej od znanych sposobów czytania dla wydobycia własnej, oryginalnej myśli.

Szczególnie często i chętnie wykorzystywano w tym obszarze zabiegi unowocześniania i aktualizacji – dawne powieści czytano scenicznie z perspektywy współczesności twórców i widzów, nadając im niekiedy wymowę zupełnie odmienną od historycznie utrwalonej. Niezmiennie działała też atrakcyjność aktorskiego ucieleśniania postaci znanych z lektury, czynienia z osób wyobrażonych – ludzi żywych.

Pod koniec stulecia wielkie zmiany w teatrze z opowieści wywołał Krystian Lupa swoimi inscenizacjami prozy modernistycznej: Thomasa Bernhardta, Roberta Musila, Hermanna Brocha, Alfreda Kubina. Jego teatr, daleki od reguł klasycznej dramaturgii, zupełnie odmiennie gospodarujący czasem i mający bardzo swoisty stosunek do fabularnych kompozycji i napięć, wiele zawdzięczał temu zwrotowi ku nowej, dotychczas słabo obecnej w teatrze literaturze.

Dziś już chyba widać wyraźnie, że o ile swoista filozofia teatru Lupy, właściwe jego teatrowi metafizyczne napięcie, głębinowy a nieuporządkowany projektowo sposób pracy nie znajdują kontynuacji, o tyle wprowadzona przez niego nowa „opowieściowość" stała się wręcz jednym z nurtów dominujących i stanowiących znak rozpoznawczy dzisiejszego teatru polskiego.

Między Lupą a Białaszkiem

Skojarzenia z teatrem Lupy zaskoczyły mnie samego, gdy pojawiły się w trakcie oglądania scenicznej adaptacji powieści Davida Fostera Wallace'a „Niewyczerpany żart", przygotowanej i wystawionej w Teatrze Narodowym przez Kamila Białaszka. Gdzie Rzym, gdzie Krym? Gdzie Lupa i rozlewające się w medytacyjne rezerwuary modernistyczne powieści pełne jungowskich symboli – a gdzie Białaszek z jego raperskim doświadczeniem i szalona postmodernistyczna plątanina wątków? A jednak...

eprasa.pl 631e544192



NATALIA KABANOW / TEATR STUDIO

„Magiczna rana" Doroty Masłowskiej w reż. Radosława Maciąga

Słuchając przez cztery godziny opowieści kolejnych bohaterów i ich niezwykle poważnych rozmów, miałem nieodparte skojarzenie z teatrem Lupy, i to tym najbardziej klasycznym – z „Kalkwerkiem". Ten sam wiodący koncept, pozornie abstrakcyjny, a przecież funkcjonujący jako symbol czegoś upragnionego i najważniejszego (u Bernhardta/Lupy – studium o słuchu, u Wallace'a/Białaszka – film rozbawiający aż do śmierci). Ta sama powaga w prowadzeniu rozmów, nawet pozornie codziennych, jakby były debatami dotyczącymi kluczowych spraw mogących rozwiązać wszelkie problemy egzystencjalne. To samo napięcie, o którym nie mogę mówić inaczej jak o metafizycznym.

Postacie „Niewyczerpanego żartu" wydają się każdym krokiem i słowem walczyć o wszystko. Tak samo jak Konrad z „Kalkwerku" i inni bohaterowie Lupy są „galernikami wyobraźni", postaciami o odsłoniętych nerwach, nieustannie odnoszącymi to, co się im wydarza, do fundamentalnych pytań o sens. Są też osobami równie (choć w innym stylu) ekscentrycznymi. Niemal każda i każdy z nich ma właściwy dla siebie koncept i dostaje w pewnym momencie rodzaj popisowej sceny, coś jakby oczekiwaną arię, z której aktorki i aktorzy z wdzięcznością korzystają (tak samo działo się u Lupy).

W efekcie powieść zostaje zamieniona na serię przeplatających się występów, spotkań, rozmów i opowieści, które wręcz zalewają publiczność, zatapiając ją jak tsunami niosące wyrwane fragmenty domów, strzępy czyjegoś życia, śmieci istniejącej kiedyś całości.

Sceniczny trip

Najważniejszą kompozycją, której splątane resztki unoszą się w tej wodzie, jest oczywiście „Hamlet". Powraca on tu w wielu echach i funkcjach. Ale przede wszystkim nadaje przedstawieniu znamię buntowniczej wypowiedzi wkraczającej na scenę nowej generacji. To, że pojawia się ona właśnie w Teatrze Narodowym, ma szczególne znaczenie. Siła, z jaką walczy się tu o zaznaczenie własnej odmienności, także przypomniała mi teatr Lupy, który – zwłaszcza w początkach kariery – przekonywał, że chodzi mu o coś ogromnie ważnego, nawet jeśli nie do końca dawało się powiedzieć, czym to coś miałoby być.

Odwołania hamletyczne umacnia decyzja obsadzenia w roli Hala – wallace'owskiej wersji królewicza duńskiego – Hugo Tarresa, który w tym samym teatrze gra szekspirowską postać. W przedstawieniu Englerta mnie nie przekonał. W przedstawieniu Białaszka – jak najbardziej. Podobnie zresztą jest w przypadku całej obsady. Aktorki i aktorzy, których przecież znam z różnych ról w Teatrze Narodowym, i z których rozpoznaniem miałem zawsze problem, tak wydawali mi się do siebie podobni w swojej rzetelnej, ale niewyróżniającej się niczym specjalnym robocie, tu zaistnieli jako indywidualności – wyraziste, choć budowane środkami czysto teatralnymi, bez jakichś szczególnych osobistych wiwisekcji.

To ogromna i osobna przyjemność oglądać Ewę Bukałę, Hannę Wojtóściszyn, Roberta Czerwińskiego, Pawła ↦

eprasa.pl 631e544192



KAROLINA JÓŹWIAK / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

„Niewyczerpany żart" Davida Fostera Wallace'a w reż. Kamila Białaszka

↦ Brzeszcza, Sebastiana Delę – by wymienić tylko tych, którzy najbardziej zapadli mi w pamięć. Wyobrażam sobie, że właśnie na tym poziomie „Niewyczerpany żart" może być dla pewnych osób przedstawieniem kultowym, to znaczy takim, na które wracają wciąż i wciąż. Znów – tak jak to bywało na krakowskich przedstawieniach Lupy.

Powtarzam to porównanie nie ze względu na chęć ustawienia młodego reżysera w jakimś historycznym ciągu, ani dla jakiejś wyrafinowanej (a niebezpiecznej) pochwały. Idę za tym skojarzeniem, sam nim zaskoczony, by spróbować osaczyć wcale niełatwe doświadczenie, jakim był dla mnie „Niewyczerpany żart". To jest przedstawienie na wielu poziomach bardzo wymagające, przytłaczające i wyczerpujące. Ale właśnie w tej walce o chwilę oddechu wydało mi się bardzo współczesne i dotkliwe.

Powiedziałbym też, że to przytłoczenie i dotkliwość to coś, co Białaszek bierze przede wszystkim z monstrualnej powieści Wallace'a. Nie zamienia jej w żaden konwencjonalnie atrakcyjny materiał sceniczny (a jest to możliwe, i to bez większego trudu), ale uruchamia narracyjno-dialogowy trip, który jako sceniczne tsunami wydał mi się niepokojąco bliski dzisiejszemu doświadczeniu chaotycznie rozedrganej rzeczywistości.

Nawiert w glamourze

„Magiczna rana" Doroty Masłowskiej to zupełnie inny rodzaj opowieści niż „Niewyczerpany żart". Nie tylko dlatego, że to kolekcja opowiadań powiązanych lekko i włożonych w ramę jednego z nich. Ważniejsza jest precyzja języka i konceptów budujących poszczególne opowieści jako chirurgiczne nacięcia prowadzone pewną ręką. Teatr zrobiony z takiej materii nieuchronnie musi się różnić od tego, który powstaje z wielowarstwowej, skomplikowanie zaplecionej powieści Wallace'a. Przynosi też inną odpowiedź na pytanie, po co dzisiejsza scena sięga wciąż i wciąż do literatury.

„Magiczną ranę" Teatr Studio w Warszawie wystawił w reżyserii Radosława B. Maciąga (i w jego oraz Konrada Hetela adaptacji). I właśnie adaptacja jest tu elementem najważniejszym. A może nie tyle adaptacja, co znacząca rekompozycja. Autorzy wersji teatralnej układają wybrane opowieści ze zbioru Masłowskiej w znacząco innym porządku i tworzą z nich własną całość.

Jej wymowa wydobywa na pierwszy plan jeden z tematów całego zbioru, który wcale niekoniecznie musi być rozpoznawany jako taki w lekturze. Przedstawienie jest więc w jakiś sposób interpretacją kreacji Masłowskiej, ale nie wydaje się, żeby jego celem było przedstawienie właśnego odczytania dzieła literackiego. Raczej – umożliwienie mu takiego oddziaływania, jakiego samo z siebie mieć w tym stopniu co w teatrze nie może.

Kompozycja „Magicznej rany" w Studio polega na tym, że kolejne opowieści stanowią etapy pogłębiającego się nawiertu przebijającego się pod powierzchnię glamourowatej fikcji, jaką stanowi życie nowoczesnej metropolii. Tak jak w zbiorze Masłowskiej, rozpoczyna go wciągnięcie Damianka (Rob Wasiewicz) w kanalizację i przeniesienie na „Wyspę", gdzie odnajduje się zabity Wujek (Marcin Pępuś). Odmiennie niż w książce, ta historia nie jest ramą otwierającą rodzaj utopijnej ucieczki, ale łącznikiem poszczególnych scen (Damianek i Wujek wielokrotnie powracają pomiędzy kolejnymi sekwencjami), sugerującym, że to, co oglądamy, dzieje się nie w jakimś fikcyjnym świecie, ale w załomach podszewki rzeczywistości.

Projekcje raju

Tematem teatralnej „Magicznej rany" jest władza pragnień generowanych i formatowanych przez komercyjny przemysł kulturowy, który nie reklamuje i nie sprzedaje już towarów i usług, lecz całościowe modele i wzorce życia powoływane z zasady jako budzące pożądanie i niedościgłe. Produkowane w oparciu o precyzyjnie rozpoznawane wyobrażenia i marzenia zbiorowe, te projekcje raju działają bardzo skutecznie, nieuchronnie unieszczęśliwiając wszystkich, którzy im ulegają.

Choć dotyczą często spraw trywialnych i śmiesznych – jak wyposażenie nowego mieszkania albo designerski garnek do *fondue* – a ich żałosna przyziemność budzi śmiech, to ich władza i generowane przez nią nieszczęścia są ważne i poważne.

Władzy tej nigdzie w Polsce nie da się odczuć tak silnie jak w Warszawie, mieście zbudowanym – najdosłowniej – z ikonicznych przedstawień masowo formatowanych pragnień. Chodząc po tej metropolii ponowoczesności zbudowanej na gruzach i grobach, wciąż mam wrażenie, że obcuję z jakąś gigantyczną iluzją, ledwie zakrywającą przerażający w swojej niekwestionowalnej prawdzie brak rdzenia, źródła życia.

Wystawienie „Magicznej rany" w samym centrum Warszawy, nad wciąż modnym Barem Studio, ma znaczenie

eprasa.pl 631e544192

szczególne. Siedząc na widowni i wchodząc z kolejnymi scenami coraz głębiej pod powierzchnię fikcji, jaką stało się to miasto, miałem wrażenie, że siedzę pośród postaci z tego spektaklu, które śmiejąc się z pary organizującej *housewarming party*, śmieją się same z siebie.

I miałem ogromną nadzieję, że gdy w świadomie kończącej całość opowieści Gabi (Maja Pankiewicz) usłyszą głos ofiary tej nieustannej spektakularnej rzezi, nie wzbudzi on tylko ich trwogi, ale także litość. Ani na jedno, ani na drugie opowieść literacka nie ma tak znaczących szans jak teatr. Oddana ciału i głosowi zyskuje na skuteczności oddziaływania. W tym sensie teatr nie tyle korzysta z literatury, co oferuje jej nowe możliwości.

Recepta na chaos

Oczywiście, sam też ma z tego określone zyski. Dzięki marce autorki i tytułu przyciąga uwagę tych, których chce z tematem skonfrontować. Sięgając po silną narrację i kompozycję językową stworzoną przez Masłowską, umożliwia też uruchomienie bardzo atrakcyjnej teatralnie formuły współczesnego aktorstwa opartego na równowadze dystansu i bliskości.

> Opowieść i teatr wciąż na nowo czegoś od siebie chcą. Wygląda na to, że ich taniec rozkręca się właśnie ze szczególną intensywnością na polskich scenach.

Tę szansę zespół Studia wykorzystał w pełni, tworząc znakomite role, których słuchanie i oglądanie jest znów wielką przyjemnością, choć to, co i jak grają Dominika Biernat, Daniel Dobosz, Tomasz Nosiński, Sonia Roszczuk, Ewelina Żak czy Wiktoria Kruszczyńska, stanowi popis zupełnie innego aktorstwa niż to, które przyciąga na „Niewyczerpany żart". Ale sam fakt, że w obrębie tygodnia w dwóch teatrach warszawskich dzięki sięgnięciu po materiał z opowieści literackich można oglądać dwie odmienne, a równie atrakcyjne wersje współczesnej sztuki aktorskiej, wydaje mi się znaczący.

To jeden z wielu dowodów, że alians współczesnego teatru i opowieści może być szczególnie skuteczny w tym, co wydaje się dziś może najważniejszym zadaniem sztuki – zmierzeniu się ze świadomie generowanym, spektakularnym, przytłaczającym i wyczerpującym chaosem rzeczywistości. © DARIUSZ KOSIŃSKI

Najbliższe spektakle **NIEWYCZERPANEGO ŻARTU** w Teatrze Narodowym od 29 kwietnia do 7 maja.

MAGICZNĄ RANĘ w Teatrze Studio będzie można zobaczyć pod koniec maja.

REKLAMA



eprasa.pl 631e544192





MATERIAŁY PRASOWE MUFO X3

Obraz i terytorium

MARTA SZYMAŃSKA, KURATORKA:

Wystawa „Wspólnie" w krakowskim MuFo, na dwudziestolecie kolektywu Sputnik Photos, to historia współpracy i zmieniającego się języka fotografii.

JACEK TARAN: Czym jest kolektyw Sputnik Photos?

MARTA SZYMAŃSKA: To grupa fotografek i fotografów, która zawiązała się w 2006 roku. Połączyło ich wspólne zainteresowanie regionem Europy Środkowo-Wschodniej oraz zbliżone rozumienie fotografii.

Obecnie należą do niego: Jan Brykczyński, Karolina Gembara, Michał Łuczak, Rafał Milach, Agnieszka Rayss, Adam Pańczuk oraz koordynatorka działań Marzena Michałek-Dąbrowska. To grupa, która od 20 lat w bardzo aktywny sposób współtworzy środowisko polskiej fotografii i angażuje się w działania związane z edukacją czy działania aktywistyczne.

Jak rozumieć tytuł wystawy? Jako opowieść o wspólnocie twórców czy nawiązanie do poczucia solidarności?

Tytuł odnosi się z jednej strony do idei pracy w kolektywie, czyli grupy, która działa razem, wspiera się, wspólnie tworzy projekty artystyczne. Ale tych znaczeń jest oczywiście więcej. Na wystawie odwołujemy się do różnych form współpracy, które podejmowali członkowie Sputnik Photos.

Czy można pokazać 20 lat pracy, żeby nie był to wybór typu *the best of?*

W pewnym sensie to jest wybór *the best of*, ale ułożony według klucza, którym jest współpraca. Ekspozycja jest podzielona na cztery części.

W pierwszej przyglądamy się współpracy z bohaterami, wychodząc z założenia, że fotografia nigdy nie jest działaniem jednoosobowym. Ta część opowiada o tym, w jaki sposób artyści kolektywu budowali relacje ze swoimi bohaterami, jak z nimi współpracowali oraz jak zmieniało się to w czasie ich praktyki.

Druga część dotyczy współdzielenia autorstwa i jest związana z projektem „Archiwum Straconych Terytoriów".

Trzecia część mówi o działaniach solidarnościowych i aktywistycznych. To bardzo ważny aspekt twórczości Sputnik Photos, bo kolektyw to także osoby, które uczestniczą w rzeczywistości społeczno-politycznej naszego regionu. Na wystawie pokazujemy projekty będące reakcją na konkretne wydarzenia i problemy.

Czwarta część pokazuje, w jaki sposób wieloletnia współpraca rezonuje we współczesnych projektach członków kolektywu.

Na czym polega współdzielenie autorstwa z drugiej części wystawy?

W tym przypadku mówimy o projekcie, zatytułowanym „Archiwum Straconych Terytoriów", mającym opowiadać o republikach byłego Związku Radzieckiego. Powstawał on w latach 2008-2016. Fotografowie podróżowali m.in.: do Gruzji, Kirgistanu, Kazachstanu, Uzbekistanu, a także do Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy i Białorusi. Udało się odwiedzić wszystkie byłe republiki z wyjątkiem jednej. Celem projektu było stworzenie możliwie najpełniejszego obrazu tego obszaru.

Okazało się, że zgromadzony materiał jest bardzo obszerny, a sam temat jest na tyle złożony, że nie da się go opowiedzieć za pomocą jednej narracji – zwłaszcza w odniesieniu do tak zróżnicowanego regionu, mimo jego wspólnej historii.

Wystawę **WSPÓLNIE. 20 LAT KOLEKTYWU SPUTNIK PHOTOS** można zwiedzać w siedzibie MuFo do 30 września

1. Adam Pańczuk, z cyklu „Jasna noc", 2014-2019
2. Jan Brykczyński, z cyklu „Boiko", 2009-2012
3. Rafał Milach, z Archiwum Protestów Publicznych, 2021

eprasa.pl 631e544192



3

Wtedy pojawił się pomysł połączenia wszystkich tych projektów artystycznych w jedno archiwum. Miało ono służyć kuratorom i kuratorkom do budowania różnych narracji, właśnie po to, by otworzyć możliwości interpretacyjne.

To rozwiązanie wiązało się także ze współdzieleniem autorstwa, a właściwie z jego rozproszeniem. Kolektyw zdecydował, że prace pozostaną niepodpisane indywidualnie. Funkcjonują one jako zbiór sygnowany nazwą Sputnik Photos, z krótkimi opisami tego, co zdjęcia przedstawiają i jaka historia się za nimi kryje, ale bez wskazania konkretnego autora. Część tego projektu zobaczymy na wystawie.

Czy eksponowani będą wszyscy twórcy tworzący kolektyw?

Tak, zobaczymy najstarsze prace, ale też projekty nowe i dotychczas nieprezentowane. Są np. prace Rafała Milacha, który wraca do swojego dawnego tematu – diaspory wietnamskiej w Polsce. Ale też nowe prace Karoliny Gembary i Adama Pańczuka.

Kolektyw powstał z potrzeby opowiedzenia o rzeczywistości Europy Środkowo-Wschodniej. Czy dzisiaj ta potrzeba jest aktualna?

Myślę, że bardziej niż zwykle. Zmieniła się co prawda sytuacja społeczno-polityczna, ale jednocześnie to, o czym mowa była w projektach realizowanych 10, 15 czy 20 lat temu, zwłaszcza w projekcie „Archiwum Straconych Terytoriów", wybrzmiewa także w obecnym kontekście. Sam tytuł wskazuje, że niechciane dziedzictwo postsowieckie – mimo wielu prób jego przezwyciężenia – nadal kształtuje życie mieszkańców i przestrzeń tych krajów.

Z jednej strony zmieniła się więc sytuacja polityczna, z drugiej – bardzo znacząco zmieniła się fotografia i sposoby pracy.

Sama idea opowiadania o tym regionie pozostaje aktualna i nadal spotyka się z dużym zainteresowaniem. Jednocześnie wiemy, że żadna z byłych republik radzieckich nie chce być określana wyłącznie jako „postsowiecka", więc ten projekt być może byłby dziś inaczej komunikowany – z większym naciskiem na emancypację i niezależność poszczególnych krajów, a nie tylko wspólne doświadczenia.

Tematem projektów kolektywu często jest władza, propaganda, kontrola. Czy fotografia ma siłę i możliwość zdemaskowania tych mechanizmów?

Tak, poprzez opowiadanie i zadawanie odpowiednich pytań we właściwym momencie otwiera odbiorców na pewne sytuacje.

Jestem daleka od stwierdzenia, że fotografia może zmieniać rzeczywistość, natomiast z pewnością może zwracać uwagę na te jej elementy, które bywają ukryte czy zafałszowane. I to często dzieje się w pracach Sputnik Photos – twórcy wykorzystują narzędzia artystyczne do opowiadania o propagandzie, opresji, ale też do wyrażania niezgody i jednoczenia ludzi wokół jakiejś sprawy.

Jak przyjmowane są wystawy kolektywu w Europie Zachodniej?

Bardzo duże znaczenie ma kontekst kulturowy. Kilka tygodni temu zakończyła się wystawa projektu „Archiwum Straconych Terytoriów" w galerii Fotodok w Utrechcie w Holandii.

Wymagała ona znacznie szerszego wprowadzenia kontekstów historycznych oraz zmiany warstwy opisowej, odpowiedniego doboru fotografii. To, co dla nas jest oczywiste – zarówno na poziomie wiedzy historycznej, jak i doświadczenia takich sytuacji jak wojna w Ukrainie czy poczucie zagrożenia, w którym funkcjonujemy – nie jest w ten sam sposób odczytywane w Europie Zachodniej.

Jaką rolę pełni kurator w pracy z tak rozległym archiwum – jest fotoedytorem, redaktorem, tłumaczem? Jak Pani postrzega swoją rolę?

Jestem wszystkim po trochu. Myślę, że „tłumacz" to bardzo trafna metafora, ponieważ kurator jest osobą, która musi mediować między artystą a odbiorcą – wyobrazić sobie, co odbiorca wie, a czego nie wie, co może być dla niego interesujące. Jednocześnie musi umieć uwypuklić to, co najważniejsze w twórczości artystów.

Dlatego bycie tłumaczem i mediatorem to chyba najtrafniejsze określenie. Ale kurator jest także redaktorem i fotoedytorem – ta rola wymaga bardzo wielu różnych kompetencji. Bardzo trudno jest z tak różnorodnego i bogatego zbioru wysnuć wątki, które wspólnie będą czytelne w odbiorze.

Jak sobie Pani wyobraża widza, który przyjdzie zobaczyć wystawę w MuFo?

Myślę, że to osoba, która być może 20 lat temu nie była uczestnikiem kultury, więc niekoniecznie wie, jak zmieniała się fotografia. Trzeba też podkreślić, że te 20 lat działalności Sputnik Photos to jednocześnie lata dynamicznych zmian w fotografii – zarówno jeśli chodzi o sposoby obrazowania, jak i myślenie o funkcji tego medium. To także wybrzmiewa na wystawie.

Próbujemy więc wyobrazić sobie widza osadzonego w naszym, polskim kontekście kulturowym – takiego, dla którego kontekst geograficzny jest zrozumiały i który myśli w podobnych kategoriach jak twórcy. Jednocześnie może to być osoba, która urodziła się już po rozpadzie Związku Radzieckiego. Jesteśmy też w przestrzeni Muzeum Fotografii, więc zakładamy, że będą to osoby zainteresowane sztukami wizualnymi. ©℗


A. HERNIK / DSH

MARTA SZYMAŃSKA – kuratorka związana z Fotofestiwalem w Łodzi i Fundacją Edukacji Wizualnej. Autorka i współautorka wystaw, m.in. „Czuła uwaga" (Muzeum Sztuki w Łodzi, 2021), „Long Life for Belarus" (Instytut Pileckiego w Berlinie, 2021). Zajmuje się także promocją polskiej fotografii oraz realizuje projekty z zakresu edukacji wizualnej.

eprasa.pl 631e544192

Fosse i Fryzeł.
Fragment większej całości



Próba czytana „Snu o jesieni”, na zdjęciu: Anna Oramus oraz zespół spektaklu. Poniżej: Tomasz Fryzeł.



GRAŻYNA JAKUBOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE X2

W Teatrze Nowym im. Kazimierza Dejmka w Łodzi trwają próby do spektaklu „Sen o jesieni” – inscenizacji dramatu norweskiego pisarza i noblisty Jona Fossego. Rozmawiamy z twórcami przedstawienia: reżyserem Tomaszem Fryzłem i scenografką Anną Oramus.

WERONIKA OSOSKO: Dlaczego „Sen o jesieni”?

TOMASZ FRYZEŁ: To dramat, który fascynuje mnie od dawna. Pozornie opowiada prostą historię: spotykają się kobieta i mężczyzna, spacerują po cmentarzu. Ale szybko okazuje się, że to nie jest zwykłe spotkanie. Nie wiemy, kim są ani czy żyją, może są duchami. Z czasem dołączają do nich kolejne osoby: matka i ojciec mężczyzny, a także była żona. Wtedy ta prosta sytuacja zaczyna się komplikować.

Spotkanie tych osób odsłania swój głęboki sens; staje się konfrontacją z pamięcią, utratą, ze splątanymi relacjami, w których trwali. Fascynuje mnie też, że u Fossego niektóre postaci są trochę jak lustra – nie mają imion, są po prostu Mężczyzną, Kobietą, Matką, Ojcem.

Czy od początku właśnie ten dramat chcieliście zrealizować w łódzkim Nowym?

T.F.: Odpowiadając na zaproszenie do realizacji spektaklu, zaproponowałem ten tekst, widząc tutaj odpowiednie warunki obsadowe.

Akcja dramatu rozgrywa się na cmentarzu. Jak przełożyliście tę przestrzeń na język sceny?

ANNA ORAMUS: Nie chcieliśmy budować realistycznego cmentarza. Interesuje nas stworzenie miejsca, które energetycznie odpowiada temu w dramacie. W didaskaliach u Fossego zapisany został „mały fragment dużego cmentarza”. Nasza scenografia jest wyraźnym wycinkiem większej całości. Podłoże jest czarne, pofalowane i nierówne, przypominać może spaloną ziemię, geologiczne warstwy, zatrzymane w ruchu nocne morze.
W tę formę wrzynają się białe płaskie podesty. Są czymś znanym i stałym w nieregularnej i niepokojącej przestrzeni.

T.F.: To, co Fosse nazywa cmentarzem, zawiera w sobie ślady relacji i spotkań. Pytaliśmy: czym jest cmentarz w sensie egzystencjalnym? Każda z tych postaci spogląda na siebie z perspektywy miejsca, w którym wszystko już się wydarzyło i niczego nie da się zmienić. W tej perspektywie doświadczenia jawią się jako coś nieustannie traconego. Matka patrzy na swoje dziecko i widzi, że nieustannie je traci – bo dziecko przestaje być dzieckiem i staje się kimś innym.

Tekst Fossego jest bardzo minimalistyczny, rytmiczny.

T.F.: Jest swego rodzaju partyturą z wyraźnie zaznaczonymi pauzami. Te pauzy stają się momentami wglądu w to, co pozajęzykowe. Poprzez nie pojawiają się pęknięcia, szczeliny w rzeczywistości, tekst otwiera się na coś nieustannie innego.

A.O.: Dlatego zależało nam na przestrzeni, która przedłuży napięcia w tekście. Często punktem wyjścia jest dla nas powierzchnia, po której poruszają się aktorzy. Chętnie wykorzystujemy napięcie zbudowane poprzez różnice poziomów czy nieregularność podłoża.

Ta przestrzeń wydaje się mocno związana z tematem czasu.

A.O.: Tak jak w dramacie spotykamy paradoks czasowy, tak w scenografię wpisany został paradoks przestrzenny: skamieniała fala.

T.F.: To dobrze ujawnia dramaturgię tego tekstu. U Fossego mamy do czynienia z czymś w rodzaju zatrzymania czasu. Postaci znajdują się w jednej chwili – w rozbłysku czasu, w którym zbiegają się linie ich życia: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. To coś jak moment, gdy patrzymy nocą w morze i nagle dociera do nas poczucie własnej obecności w czasie i w świecie. Trwa to dwie albo trzy sekundy, po czym znika, a człowiek wraca do zwyczajnego biegu życia.

Teatr staje się miejscem, w którym taki krótki moment uświadomienia sobie własnego istnienia może zostać zatrzymany i rozciągnięty w czasie?

T.F.: Myślę, że na tym polega dramaturgiczny talent Jona Fossego: potrafi uchwycić taki moment – coś w rodzaju świeckiej epifanii – i rozciągnąć go w czasie. Mam nadzieję, że właśnie coś takiego będzie mogło wydarzyć się także podczas oglądania naszego spektaklu. ©

Premiera 8 maja 2026, Teatr Nowy im. Kazimierza Dejmka w Łodzi

Teatr Nowy

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 631e544192

REKLAMA

Kwiecień z Sinfoniettą Cracovią

GWIAZDY z SINFONIETTĄ



ZOSJA ZIJA & JACEK PIÓRO / MATERIAŁ PRASOWY

Atom String Quartet

Projekt *Muzyczne Mosty*

Sala koncertowa im. prof. Jerzego Katlewicza Filharmonii Krakowskiej

12.04.2026, godz. 18.00 (niedziela)

Niestroniąca od nowych wyzwań i sięgająca po różne stylistyki muzyczne Sinfonietta Cracovia zaprasza na kolejne spotkanie z jazzem w tle. Tym razem orkiestra połączy siły z najsłynniejszym improwizującym polskim ensemblem smyczkowym – Atom String Quartet.

Podczas koncertu w Filharmonii Krakowskiej 12 kwietnia o godz. 18.00 zabrzmią autorskie utwory członków zespołu: Dawida Lubowicza, Mateusza Smoczyńskiego, Michała Zaborskiego i Krzysztofa Lenczowskiego w orkiestrowych aranżacjach.

Bilety na **filharmoniakrakow.pl** oraz stacjonarnie w kasie Filharmonii



PAULINA STĘPKA ŚLĄSKA / / MATERIAŁ PRASOWY



DARIUSZ KULESZA, W. NIEDZIÓŁKA / / MATERIAŁ PRASOWY

Błaszczyk, Niedziółka

Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie
Sala wystawiennicza w gmachu głównym

18.04.2026, godz. 18.00 (sobota)

To wydarzenie będzie doskonałą okazją do doświadczenia międzypokoleniowego dialogu i wymiany myśli. Tego wieczoru Sinfoniettę Cracovię poprowadzi ceniony skrzypek, dyrygent i pedagog Łukasz Błaszczyk, a w roli solisty zaprezentuje się jeden z najciekawszych przedstawicieli młodego pokolenia polskich skrzypków, Wojciech Niedziółka, student maestro Błaszczyka w Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi.

W programie koncertu znajdą się dzieła kompozytorów różnych epok: Mozarta, Sibeliusa, Panufnika, Bacewicz i Lemańskiego.

Bilety na **sinfonietta.bilety24.pl** lub pod nr 784 936 909

Sinfonietta Nova. Ośmiornica & motyl



GRZEŚIEK MART / MATERIAŁ PRASOWY

Cricoteka, ul. Nadwiślańska 2-4, Kraków

30.04.2026, godz. 19.30 (czwartek)

Koncert w Cricotece będzie okazją do doświadczenia muzyki najnowszej. Podczas wydarzenia zabrzmią utwory młodych polskich kompozytorów: Macieja Zakrzewskiego i Krzysztofa Wołka, a centralnym punktem programu będzie światowe prawykonanie kompozycji Moniki Szpyrki pt. *Soft-body na orkiestrę smyczkową i elektronikę*, której koncepcja wynika z podziwu dla złożoności morfologicznej ośmiornicy.

Bilety na **sinfonietta.bilety24.pl** lub pod nr 784 936 909

eprasa.pl 631e544192

REKLAMA

Kraków

W_SPÓLNIE

20 LAT
KOLEKTYWU
SPUTNIK
PHOTOS



Fot. Adam Pańczuk, z cyklu „Jasna Noc", 2014–2019

WYSTAWA CZASOWA
11.04–13.09.2026
MUFO RAKOWICKA

mufo.krakow.pl

MuFo

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

sputnik photos

Mecenas MuFo RE-Bau

Partner ams

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury oraz ze środków Gminy Miejskiej Kraków

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Patroni medialni

Trójka Polskie Radio · Radio Kraków · Radio Kraków Kultura · TVP Kultura · Tygodnik Powszechny · wyborcza.pl · zwierciadło · sens · mft · MINT

prasa.pl/31fe8